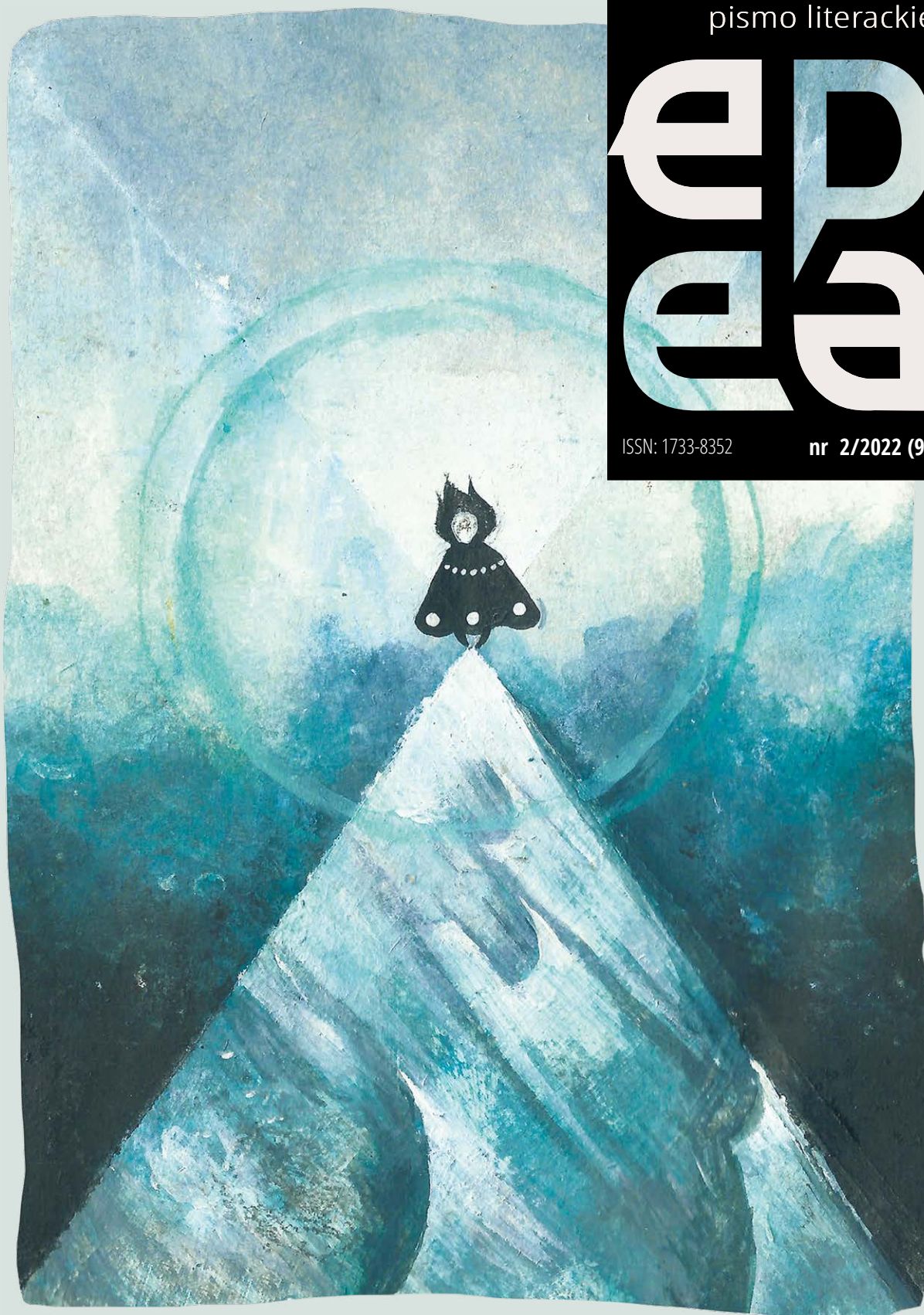


pismo literackie

# ep ep

ISSN: 1733-8352

nr 2/2022 (9)



pismo literackie



**Epea. Pismo literackie,**

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,  
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14A, 15-097 Białystok,  
e-mail: [epea@ksiaznicapodlaska.pl](mailto:epea@ksiaznicapodlaska.pl)



Nieregularnik, nakład 300 egz.

ISSN: 1733-8352

Redaktor naczelna: Justyna Sawczuk;

Redakcja: Piotr Janicki, Tomasz Filipowicz, Daniel Znamierowski, Marta Kozłowska,  
Bogumiła Maleszewska-Oksztol, Mona Al-Kaber

Projekt graficzny: Małgorzata Masłowiecka

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

Szanowni Państwo,

już po raz dziewiąty witam się z Wami z tej pierwszej strony. To dla mnie numer szczególny, bo jego motyw przewodni „Wysoko / niżej / najwyżej” inspirowany jest postacią Wandy Rutkiewicz, jednej z patronek roku 2022, kobiety gór, a góry od lat są moją wielką miłością, choć do wyczynów Wandy mi – rzecz jasna – daleko.

Nie wyobrażałam sobie tego numeru bez rozmowy z Anną Kamińską, która – choć nie poznała Wandy Rutkiewicz osobiście – poświęciła dwa lata swojego życia na podążanie jej śladami. Efektem tej podróży jest książka. A nawet dwie, bo w trakcie pisania biografii Rutkiewicz, Ania znalazła kolejną bohaterkę – Halinę Krüger-Syrokomska, jedną z najwybitniejszych polskich alpinistek, himalaistek i taterniczek. Opowiedziała nam o tych niezwykłych kobietach i o tym, jaki wpływ wywarły na nią ich życiorysy.

Nie byłoby jednak Wandy i Haliny, gdyby nie te, które przetarły im drogę na szczyt. Kim były? Z czym musiały się zmagać? Między innymi o tym przeczytacie w artykule Katarzyny Drogiej *Czekan i tiurniura...* oraz w mojej recenzji książki *Taterniczki* Agaty Komosy-Styczeń. Motyw górski towarzyszy nam także w reportażu Zofii Piłasiewicz, poszukującej śladów dawnych mieszkańców Bieszczad.

„Wysoko / niżej / najwyżej” w kontekście kondycji literatury psychologicznej w Polsce – to temat rozmowy, jaką z Agnieszką Jucewicz, dziennikarką i autorką książek o zdrowiu psychicznym, przeprowadziła Malika Tomkiel. Piotr Janicki natomiast, ciekaw co widać z poziomu koron drzew, zapytał o to arborystę Marcina Leszczyńskiego. A skoro jesteśmy przy drzewach, to do lasu właśnie zabrał Łosia Czytusia nie kto inny jak Tomasz Samojlik, którego komiks czytać i oglądać możecie Państwo (wraz ze swoimi pociechami) w dziale „Dla dzieci”.

Całe spektrum „wysokich, niższych i najwyższych” emocji kryje się w tekstach autorów, którzy swoje wiersze, opowiadania czy reportaże przesłali w ramach prowadzonego przez nas naboru. I tu – korzystając z przywileju redaktor naczelnej – całkiem subiektywnie polecam *Wiśnie* Katarzyny Chomczyk, znakomitą prozę o dojrzewaniu.

Mogłabym tak jeszcze długo nęcić Państwa dobrą literaturą, lecz liczba znaków wskazuje, że zbliżać się powinnam do końca. Zanim to jednak nastąpi, zwróćcie Państwo uwagę na grafiki – tę na okładce oraz te pojawiające się w całym numerze. Ich autorami są młodzi, zdolni, pełni pasji uczniowie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu. Niech ta szczypta sztuki uprzyjemni Państwu lekturę.



fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Justyna Sawczuk  
redaktor naczelna



## ROZMOWA

- 4 | *Biografia to niekończąca się historia* – z Anną Kamińską rozmawia Justyna Sawczuk

## POEZJA

- 11 | **Magdalena Jerzak** – *przecucie, sierpień*  
 12 | **Magdalena Anioł-Mirek** – *Miesiąc wcześniej, pięć lat później; Lista obecności, Stany niejednoczone*  
 14 | **Malika Tomkiel** – *Proszę ponieść mi siaty, I tak będę pić kawę, Mam na swojej skórze rozstępy*  
 16 | **Krzysztof Kwintkiewicz** – *Niedopatrzenie, Logistyka procesów..., POV: jesteś starymi badaniami*  
 18 | **Dariusz Tomasz Lebioda** – *Koncert cykad w ogrodzie cesarskim dynastii Ming, Sroki błękitne, Szybką koleją z Nankinu do Pekinu*

## REPORTAŻ

- 20 | **Dariusz Tomasz Lebioda** – *Nankin*

## PROZA

- 32 | **Katarzyna Chomczyk** – *Wiśnie*  
 37 | **Mira Serafin** – *Sinobrody*  
 47 | **Beata Wilczyńska** – *Helena (fragment)*

- 52 | **Rafał Mikołaj Krasucki** – *Zamawianie*  
 59 | **Katarzyna Nowak-Szelejewska** – *Pierwszy śnieg*  
 62 | **Aleksandra Woźniak** – *Wędrówka niedźwiedzia*  
 64 | **Marek Nowak** – *Kraj Dogonów*  
 71 | **Przemysław Walczak** – *Przypadki Waldemara*  
 74 | **Tomasz Juchniewicz** – *Droga z domu do domu*  
 77 | **Małgorzata Sochoń** – *Tato Kazio*  
 82 | **Jean Anglemont** – *Au Rue Vignon, samedi du memoire. Z relacji cher Monsieur J. Heurtebise*

## ROZMOWA

- 88 | *Żeby „ono” już do nas nie mówiło* – z Agnieszką Jucewicz rozmawia Malika Tomkiel

## DLA DZIECI

- 92 | **Bogdan Malach** – *Wrona, Pliszka, Kogut i kura*  
 94 | **Janina Lesiak** – *Jak Gucio i Franciszek nauczyli się przyjaźni*  
 102 | **Tomasz Samojlik** – *Jak czytać książki w lesie*  
 104 | **Tomasz Filipowicz** – *Nie tylko dla dzieci*  
 108 | Recenzje Redakcji:  
 • Praca zbiorowa – *Oddech smoka*  
 • **Agnieszka Jucewicz** – *Bajka o Lęku*  
 • **Agnieszka Suchowierska** – *O Białymstoku i o białym stoku*  
 • **Justyna Dźbik-Kluge, Jarosław Sowizdraniuk** – *Praktycznie wszystko. Podpowiednik dla dzielnych dzieciaków*



4 |  
 Biografia to niekończąca się historia  
 – rozmowa z Anną Kamińską



- **Gunilla Bergström** – *Albert w kosmosie*
- **Elżbieta Michalska** – *W domu to w domu*

#### REPORTAŻ

- 113 | **Zofia Piłasiewicz** – *Bieszczady*

#### ROZMOWA

- 118 | *Aby nikomu nie stała się krzywda* – z **Marcinem Leszczyńskim** rozmawia Piotr Janicki
- 121 | *Muzyka jest językiem uniwersalnym* – z **Katarzyną Garlukiewicz-Szubdą** rozmawia Eligiusz Buczyński

#### KULTURA

- 124 | **Katarzyna Droga** – *Czekan i tiurniura. Kobiety w drodze na szczyt*
- 129 | **Jan Wyspiański** – *Monopol na Chińczyka? Nie, dziękuję*

#### RECENZJA

- 133 | **Irena Słomińska** – *Lotne* – IMPRESJA
- 134 | **Ewa Szarkowska** – *Portret z litewską nutą*
- 136 | **Ewa Szarkowska** – *Takie kwiatki*
- 138 | **Justyna Sawczuk** – *Wbrew zasadom*
- 140 | **Piotr Janicki** – *A co ty byś zrobiła?*

#### RECENZJA ODZYSKANA

- 141 | **Piotr Janicki** – *Punktualnie nigdy*
- 142 | Recenzje Redakcji:
- **Zofia Piłasiewicz** – *Rzeka. Opowieść Czarnej Hańczy*

- **Jan Belcik** – *Jeszcze inne cienie*
- **Maryja Martysiewicz** – *Sarmatyja*
- **Janusz Taranienko** – *rupieciarnia*
- **Italo Calvino** – *Trudne miłości*
- **Juli Zeh** – *Witamy w Unterleuten!*
- **Anna Dudzińska** – *Dubaj. Miasto innych ludzi*
- **Michał Jagiełło** – *Piarzysko. Tatry i Zakopane w reportażach prasowych przełomu XIX i XX wieku*
- **Jerzy Plutowicz** – *Dom pod gwiazdą wieczorną*
- **Stanisław Wysocki** – *Kształt piękna*
- **Zygmunt Gloger** – *Sen*



124 |  
**Czekan i turniura. Kobiety  
w drodze na szczyt**  
– rozmowa z Katarzyną Droga

88 |  
**Żeby „ono” już do nas  
nie mówiło**  
– rozmowa z Agnieszką Jucewicz



118 |  
**Aby nikomu  
nie stała się krzywda**  
– rozmowa z Marcinem  
Leszczyńskim

## Biografia to niekończąca się historia

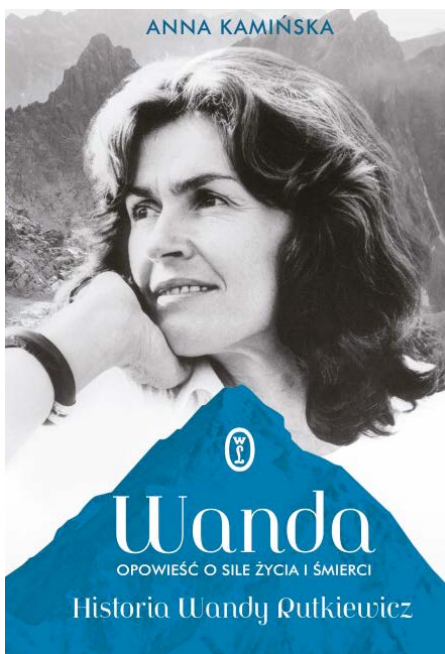
– z Anną Kamińską rozmawia Justyna Sawczuk

**Justyna Sawczuk:** Pretekstem do naszego dzisiejszego spotkania jest książka Twojego autorstwa, poświęcona postaci Wandy Rutkiewicz – urodzonej na Kresach himalaistki, prekursorce kobiecych zespołów górskich, pierwszej Polki i trzeciej kobiety na świecie, która zdobyła Mount Everest. Kiedy pierwszy raz usłyszałaś o Wandzie?

**Anna Kamińska:** O tym, jakim człowiekiem była Wanda Rutkiewicz, usłyszałam od sportowca, o którym pisałam artykuł – byłego alpinisty, który należał do tego samego klubu wysokogórskiego, co ona. Wiedziałam wówczas tylko tyle, że Rutkiewicz była „ikoną himalaizmu”, ale sposób w jaki ten człowiek o niej mówił – pełen emocji, z estymą, wzruszeniem i jakąś nutką tajemnicy – sprawił, że zapaliła mi się taka reporterska czerwona lampka w głowie.

To było na długo przed tym zanim powstała moja książka o Simonie Kossak<sup>1</sup> czy ta wcześniejsza – o osobach adoptowanych<sup>2</sup>, ale po pracy nad *Simoną* wiedziałam już, że napisanie książki biograficznej to bardzo intensywna praca, dlatego warto wybrać bohatera, który mnie porwie i któremu byłabym w stanie poświęcić dwa lata, by żyć jakoś blisko tej postaci, chodzić jej śladami, jeździć w jej miejsca i spotykać ludzi, z którymi była w relacjach.

Nie chciałam zajmować się kolejną osobą ze środowiska przyrodników czy jakimś innym, które było mi znane. I wtedy się okazało, że Wanda Rutkiewicz jest świetnym przyczynkiem do tego, żeby dowiedzieć się czegośkolwiek



Anna Kamińska, *Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci*, Wydawnictwo Literackie, 2017

na temat gór i tego środowiska ludzi gór, o którym tyle słyszałam, że takie hermetyczne, trudne, zamknięte.

Kiedy zaczęłam czytać książki o górach, Tatrach, Zakopanem, to w każdej z tych publikacji pojawiał się nazwisko Wandy Rutkiewicz, ale w żadnej nie znalazłam tego, co jako reporterkę tak naprawdę mnie interesowało, np. jej kresowy życiorys był zupełnie nietknięty, żaden z dziennikarzy nie zgłosił się do jej rodziny, która mieszka na Litwie. Było sporo białych plam, które można było wypełnić.

**Czy dla Wandy pochodzenie kresowe było ważne?**

Silą rzeczy było ważne, bo matka Wandy Rutkiewicz pozostała

do końca swojego życia osobą, która mimo, że żyła w Polsce, myślami i całym swoim stosunkiem do rzeczywistości była na Kresach. Po tym jak została wyrwana z miejsca, gdzie zapałała korzenie, oderwana od rodziny nie odnalazła się w zrujnowanym Wrocławiu. To miało ogromny wpływ na Wandę, która sama musiała radzić sobie z rzeczywistością, z którą nie radziła sobie jej mama, prawdopodobnie cierpiąca na depresję.

Wanda jako najstarsze dziecko w rodzinie musiała wziąć sprawy w swoje ręce, opiekować się domem oraz wypełniać obowiązki, należące zazwyczaj do osoby dorosłej. To spowodowało, że z jednej strony żyła w opowieści swojej mamy o świecie, do którego nie ma powrotu, a z drugiej strony musiała wcześniej dojrzeć.

<sup>1</sup> A. Kamińska, *Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak*, Wydawnictwo Literackie, 2015.

<sup>2</sup> A. Kamińska, *Odnalezieni: prawdziwe historie adoptowanych*, Wydawnictwo Literackie, 2010.

**Czy podczas pracy nad książką był taki moment, gdy Twoje wyobrażenia, zbudowane ze znanych Ci skrawków życiorysu Wandy, zaczęły ustępować innemu obrazowi? Jaka kobieta wylaniała się z zebranych przez Ciebie materiałów?**

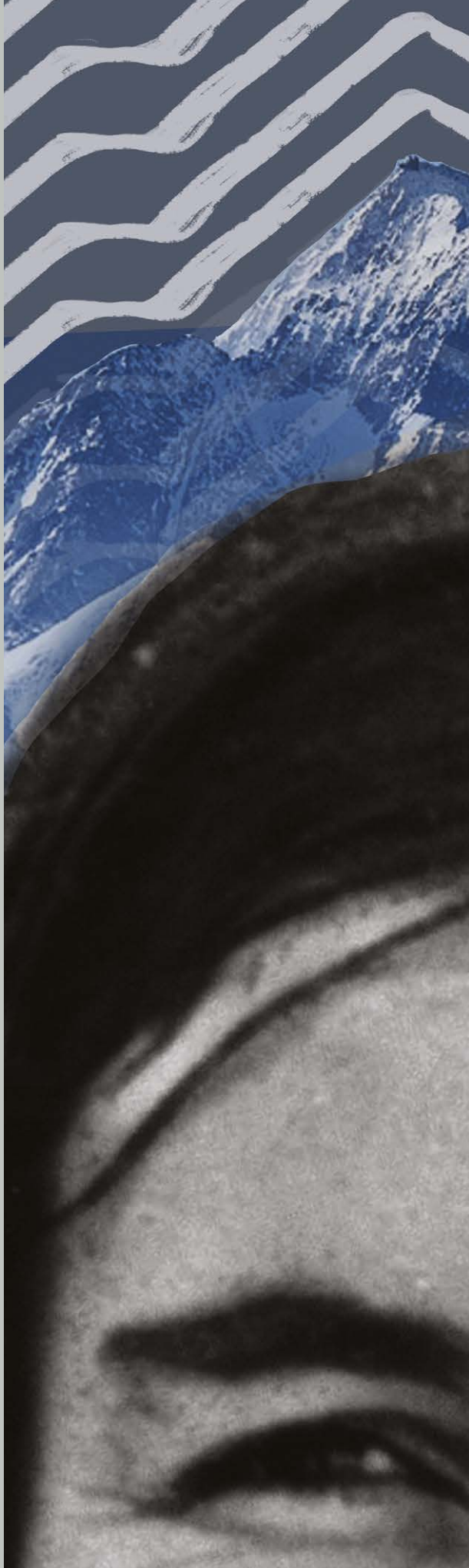
Właściwie wszystko w tej pracy było zaskakujące. Nie planowałam chociażby tego, że tak dużo dowiem się o ojcu Wandy – nie tylko z relacji osób, które go znały, ale też z dokumentów, w których on sam pisał o sobie i swoich losach. Nie planowałam też tego, że sporo miejsca poświęcę relacjom Wandy Rutkiewicz z innymi ludźmi. No ale jak nie poświęcać tyle miejsca, skoro do tylu ludzi dotarłam, a oni mówili tak emocjonalnie o bohaterce mojej książki? Poza tym to taki wątek, który przewija się przez całe jej życie, bo ona miała kłopoty w relacji z ludźmi. Te kłopoty wynikały z tego, że jako dziecko szybko musiała stać się samodzielną, żyła w takim nieustającym napięciu, gotowości do podjęcia działania. Taka gotowość do natychmiastowego reagowania i podejmowania akcji jest zresztą esencją alpinizmu, więc taka zaprawa w dzieciństwie w jakimś sensie przydała się Wandzie Rutkiewicz jako himalaistce. Człowiek w górach szybko się staje gotowy czy raczej musi być gotowy, musi reagować na to, co dzieje się po drodze, podejmować działania, pokonywać przeszkody i swoje lęki.

Ten przyspieszony kurs dorosłości sprawił, że ona całe życie czuła się trochę osobno w grupie. Ludzie, którzy ją znali, mówili, że jest wsobna, że jest obserwatorką rzeczywistości czy środowiska, nie jest częścią towarzystwa i nie odgrywa w nim jakiejś roli. Siedziała z boku, na co polscy alpinści często narzekali, bo nie chcieli się z nimi bawić.

Nigdy nie zakładałam, że spotkam tak wielu mężczyzn, którzy opowiedzą o swojej relacji z Wandą Rutkiewicz. Czy to była relacja wspinaczkowa, partnerska, czy emocjonalna. Tych, którzy darzyli Wandę uczuciem i opowiadali o swoich rozstaniach z nią, znalazłam jednak sporo. Nie przypuszczałam też, że Wojciech Rutkiewicz powie tyle na temat Wandy, która nosiła jego nazwisko, chociaż ich małżeństwo trwało dwa lata i w zasadzie nigdy nikomu o tym związku nie opowiadał.

Proces pisania *Wandy* także trwał dwa lata. W tym czasie dotarłam do wielu rozmówców, więc starałam się skomponować książkę tak, by portret tytułowej bohaterki był jak najpełniejszy, jak najbogatszy i żeby oddać głos moim rozmówcom, pokazać ją z wielu perspektyw i dać możliwość interpretacji jej zachowań czytelnikom. Po prostu.





**Wspominałaś, że Wanda trzymała się z boku, ale – paradoksalnie – jednocześnie była świetnym PR-owcem. Zwłaszcza jeśli chodzi o promocję własnej osoby, radziła sobie znakomicie.**

Wanda Rutkiewicz bardzo wcześnie zorientowała się, że w górach warto robić zdjęcia, że warto nagrywać filmy, przywozić te materiały i urządzać prelekcje, gdzie puszczane są slajdy. Zarabiała prezentując zdjęcia w Austrii, we Włoszech, w Niemczech. To były spore kwoty, dzięki którym mogła sobie pozwolić na sprzęt wspinaczkowy czy wyjazdy. W ten sposób zdobywała fundusze na wyprawy. To była kluczowa sprawa w latach 70., 80., kiedy się wspiwała.

A jeśli chodzi o autopromocję, robiła to jako pierwsza osoba z tego środowiska wspinaczkowego w Polsce. Wyprzedziła swój czas.

**Tyle, że w tamtych czasach nie było to dobrze postrzegane.**

Wanda Rutkiewicz w 1972 roku uczestniczyła w wyprawie na Noszak i tam, w górach Hindukuszu, spotkała Reinholda Messnera, już wtedy bardzo znanego himalaistę, który powiedział jej wprost, że jeżeli chce być profesjonalistką i żyć z gór – w tamtym czasie w Polsce nikt nie żył z gór – to musi robić zdjęcia, publikować je, pisać teksty, prowadzić prelekcje, bo nie da się funkcjonować pracując na etacie i będąc do dyspozycji pracodawcy, a od czasu do czasu jechać w góry i tam robić jakieś wyniki.

Wtedy każdy himalaista w Polsce był zatrudniony w jakimś zakładzie pracy. Brał albo urlop bezpłatny albo sobie w jakiś sposób dorabiał, np. malując kominy po to, żeby zarobić na wyprawę. Wanda Rutkiewicz niby też była zatrudniona, ale były to fikcyjne zatrudnienia. Ona gdzieś tam funkcjonowała w spisie pracowników, ale przebywała notorycznie na urlopie bezpłatnym i z biegiem lat tych urlopów, tych wyjazdów było więcej. Ostatnie lata życia Wandy to jest pakowanie się na wyprawę, wyprawa, powrót i szybkie myślenie i organizowanie kolejnego wyjazdu.

Po tej rozmowie z Messnerem, która miała miejsce sześć lat przed tym jak zdobyła Everest, wiedziała już, w którą stronę należy pójść. Była pierwszą osobą, która miała menadżerkę, Austriaczkę – Marion Feik, reprezentującą jej interesy na Zachodzie. Nikt z Polaków tego nie miał, ona to sobie po prostu zorganizowała, wiedziała, że chce się profesjonalizować w tym sporcie.



Także PR-owcem była świetnym. Kolekcjonowała wizytówki, wysyłała kartki z Himalajów czy z Karakorum – nie do przyjaciół z pozdrowieniami, chociaż też takie otrzymywali, ale po to, żeby utrzymać kontakty ze wspinaczami czy klubami, żeby móc się w każdej chwili odezwać, jeśli będą organizować wyprawę, by móc do tej wyprawy dołączyć. Była jedną z pierwszych osób, które w Warszawie miały faks i automatyczną sekretarkę. Krzysztof Kiesłowski miał taki sprzęt i Wanda Rutkiewicz. Bardzo zabiegała o to, żeby utrzymywać dobre relacje i żeby one jej pomagały w budowaniu górskiego życiorysu.

**Aniu, powiedziałaś w jednym z wywiadów, że nie ma czegoś takiego jak koniec pracy nad biografią, więc skąd wiesz kiedy się zatrzymać?**

Wiem wtedy, kiedy zerknę sobie w umowę... [śmiech]

**Kiedy czas ci się kończy?**

Tak, natomiast to też nie jest takim wyznacznikiem, bo na przykład książkę o Simonie Kossak oddałam pół roku później niż się umawiałam. Kiedy całość jest gotowa, następuje rodzaj rozstania z bohaterem, ale ta praca i te spotkania z ludźmi, o których napisałam: Markiem Kotańskim, Wandą Rutkiewicz, Haliną Krüger-Syrokomską czy Simoną Kossak, to są niekończące się historie.

Z Simoną będę zawsze w jakiś sposób związana przez to, że jestem związana z Puszczą Białowieską i tutaj z Podlasiem jakieś więzy też mnie będą łączyć. Wyobrażałam sobie, że kiedy oddam te górskie książki – o Wandzie i Halinie – to w zasadzie wyjdę z tego świata. Nie, nie wyszłam. To jest tak, że jak już człowiek zbuduje różne relacje, to siłą rzeczy uczestniczy w różnego rodzaju spotkaniach czy uroczystościach.

**Na Wandzie się nie skończyło i pojawiła się Halina...**

Spotkałam się z rodziną Haliny Krüger-Syrokomskiej kiedy pisałam książkę o Wandzie Rutkiewicz. Mąż i córka Haliny kojarzyli mnie z opowieści o Simonie Kossak, wspomnieli że mają dużo materiału o Halinie i są gotowi pokazać mi to archiwum, gdybym była zainteresowana napisaniem książki o niej. Tak pojawił się pomysł. O Halinie wiedziałam już mnóstwo rzeczy, bo kiedy pytałam ludzi o Wandę Rutkiewicz, twierdzili że trudno było się z nią porozumieć, ale za to z Haliną szło się w góry jak po masle. Była niezwykła, ekstrawertyczna i ekstrawagancka, przeklinała, paliła fajkę, opowiadała dowcipy, była „do tańca i do różańca”.

**Trochę w opozycji do Wandy?**

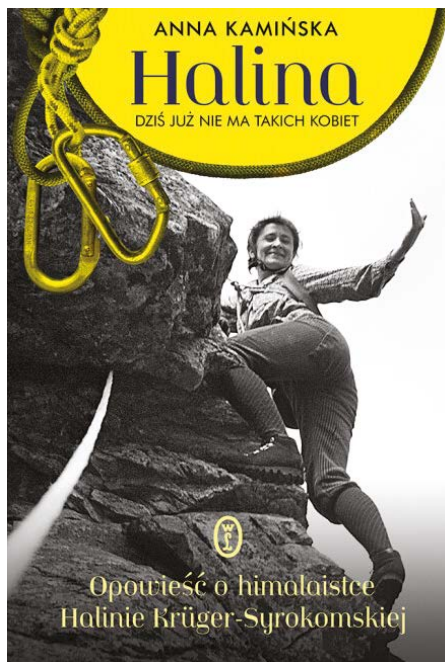
Tak. Moi rozmówcy przeciwstawiali je sobie. Dla mnie ta opowieść o Wandzie dzisiaj jest takim studium samotności. Halina wprost przeciwnie – budowała głębokie przyjaźnie, kochała ludzi, miała miłości, dziecko, stworzyła

dom. Odnajdywała się i w macierzyństwie, i pracy zawodowej. Kochała nie tylko góry, ale też film i fotografię.

Ta postać do mnie przyszła, a ja byłam wtedy bardziej oddana chodzeniu śladami tych kobiet niż miłości do gór, natomiast muszę powiedzieć, że ja te góry niezwykle pokochałam po tych książkach. To rozpało moje uczucie i ta miłość jest coraz większa. Sam widok gór działa na mnie niezwykle emocjonalnie, kojąco i wzruszająco.

**Też tak masz, że wjeżdżasz do Krakowa i nie zatrzymujesz się, bo widać Tatry?**

No tak. Czuję się częścią tego górskiego świata, do którego nigdy nie aspirowałam i nigdy nie miałam takich planów. Czuję się zaakceptowana i tak trochę siłą rzeczy wciągnięta w ten świat, ale jest mi też w nim bardzo dobrze, bo ja jestem trochę takim typem włóczęgi, który lubi być w dzikiej



Anna Kamińska, *Halina. Dziś już nie ma takich kobiet*, Wydawnictwo Literackie, 2019

przyrodzie, więc to się ze sobą nie gryzie. To mi pasuje, więc płynę wraz z tym górskim nurtem.

**Muszę przyznać, że o ile o Wandzie Rutkiewicz słyszałam wcześniej, to nie ukrywam, że Halina pojawiła się w mojej świadomości dopiero wraz z pojawieniem się Twojej książki. Skąd taka różnica? Przecież obie panie napisały się na kartach tej naszej górskiej historii.**

Jak zauważyłaś, Wanda była świetnym PR-owcem, natomiast Halina PR-u nie znosiła. Zresztą wtedy był taki trend u wspinaczy, żeby nie opowiadać o swoich przeżyciach w górach, tylko Wanda tak odstawała od środowiska. Halina uważała, że swoich intymnych przeżyć w górach i tego, co się pomiędzy ludźmi dzieje, absolutnie nie należy wносить nigdzie, a już na pewno nie dzielić się tym w prasie. Pójście do gazety i opowiadanie, jak było na wyprawie uważane było za faux pas.

Halina myślała o górach jako o pasji, a nie sposobie zarabiania pieniędzy czy budowania swojego wizerunku. Była daleka od tego, żeby tworzyć własną legendę. Rutkiewicz wprost przeciwnie.

Halina działała w klubie wysokogórskim, wspierała wielu młodych wspinaczy. Czytelnikom książek górskich była znana, także jako partnerka Wandy Rutkiewicz w górach, mniej – szerszej publiczności. Przeszły wspólnie jako pierwsze kobiety wschodni filar Trollryggenu w Norwegii – jedną z najdłuższych tras wspinaczkowych w Europie. To było ogromne osiągnięcie. Pisały o tym wszystkie gazety w Skandynawii. Jako pierwszy zespół kobiety robiły różne przejścia w Alpach, tak więc chociaż Halina nie była znana szerokiej publiczności, to każdy człowiek gór, każdy wspinacz w Polsce doskonale wie, kim była.

**Powiedziałaś kiedyś: „jestem zbudowana z tych kobiet, o których miałam szansę napisać”. Co takiego pozostawiła w Tobie Wanda?**

Wanda to taka bohaterka, która nie tylko mi, ale również wielu czytelnikom, dodaje siły. Pisało do mnie wiele kobiet, które miały jakiś taki czas kryzysu, a lektura tej książki wzmocniła je. Wanda to jest też historia motywacyjna, himalaistka miała takie powiedzenie: „Akcja likwiduje strach”. Nie skupiała się na lęku, który odczuwała, tylko podejmowała akcję, wiedziała, że ten strach zniweluje czy odsunie,



Anna Bulatewicz / PLSP w Supraślu

kiedy będzie podejmowała działania. Była nieustająco w akcji, także została mi taka gotowość do działania. Wanda twierdziła, że nie ma takich rzeczy, których człowiek chce, a nie może się ich podjąć, zawsze znajdowała sposób, żeby sobie poradzić. I myślę, że ta książka o niej też podpowiada wiele takich rozwiązań, zachęca do tego, by myśleć niekonwencjonalnie, żeby wychodzić poza schemat.

**A Halina?**

Halina imponuje mi sztuką życia. Spełniała się jako matka, jako mężatka, jako przyjaciółka, osoba niezwykle towarzyska, prowadząca dom otwarty czy jako redaktorka, kochająca książki. I swoją pracę w redakcji. Potrafiła żyć tak, by mieć pasję i ją realizować, i wyjeżdżać w góry, a jednocześnie cieszyła się życiem w mieście. Jej mąż i córka chcieli mieć szczęśliwą żonę i matkę w domu, i mimo, że tęsknili za nią, gdy była w górach, wspierali ją w tym, by mogły one być częścią jej życia. Halina była niezwykle żywiołowa, barwna, miała pewien rodzaj charyzmy w sobie,

co pozwalało jej zresztą realizować taką ideę alpinizmu kobiecego. Uwielbiam Halinę, jej optymizm, miłość do zwierząt, którą emanowała i wszystko to, co zrobiła dla innych ludzi, pomagając im, gdy byli w kryzysie. Piękna postać! Ogromnie cieszę się, że mogłam o niej napisać książkę.



fot. Tomasz Roslon

### ANNA KAMIŃSKA

– absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”. Autorka książek: *Odnalezieni. Prawdziwe historie adoptowanych* (2010) oraz bestsellerowych biografii: Haliny Krüger-Syrokomskiej *Halina* (2019), Wandy Rutkiewicz *Wanda* (2017) i Simony Kossak *Simona* (2015). Za tę ostatnią nominowana do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Laureatka tej nagrody za wydaną w 2017 roku książkę *Białowieża szepciem. Historie z Puszczy Białowieskiej*. Nominowana do Bestsellerów Empiku za *Wandę* – jedną z dwóch najchętniej czytanych biografii 2017 roku. Laureatka Grand Prix XXIV Festiwalu Górskiego im. Andrzeja Zawady za *Halinę ...* – Książkę Górską Roku 2019 oraz – również za *Halinę ...* – laureatka Nagrody Literackiej Zakopanego 2020. W 2021 roku ukazała się jej książka *Kotański. Bóg Ojciec. Konfrontacja* – opowieść o legendarnym twórcy Monaru. Jej książki biograficzne stały się inspiracją dla twórców filmowych i teatralnych, z inspiracji książką *Simona* powstał spektakl teatralny „Simona K.,” autorka konsultowała scenariusz filmu dokumentalnego o Simonie Kossak, o której powstaje obecnie także film fabularny, podobnie jak film o Wandzie Rutkiewicz.

(źródło: Wydawnictwo Literackie, Anna Kamińska)



Magdalena Jerzak

## przeczcucie

Za moim oknem kasztanowce przeżyły kolejne lato. Przyglądamy im się codziennie, oczekując obietnicy owoców, jakby to było coś oczywistego. Jakby

były nam to winne tylko dlatego, że rosną nad nami. Możesz być częścią świata od tylu lat, a później ktoś zechce zbudować dom pod twoimi gałęziami, i nagle te liście nie są już tylko dla ciebie.

Kasztanowiec nie przejmuje się uschniętą gałęzią. Dni, tygodnie, miesiące, lata obracają się wokół niego w ciszy pozbawionej żalu. To tylko ty kręcisz głową, z niepokojem śledzisz przedwczesny koniec kolejnego zawiązka. To tylko ty się wstydzisz. Zostaw już, pozwól im kwitnąć i uschnąć, to już nie są moje kasztanowce, to już nie jest mój dom.

## sierpień

Opowiedziały mi pszczoły kilka historii tak starych, że nie pamięta ich już ludzki język. Zachowały się jedynie w hipnotycznym brzęku skrzydeł i leniwie płynących rzekach bursztynu.

Historie pachnące słodyczą i czasem – kiedy ich słucham, miód zakleja mi oczy, wygląda ostre krawędzie.

Nie wolno mi patrzeć na te wspomnienia, mogę ich tylko dotykać, powoli przesuwając opuszki palców w obawie przed ukłuciem. „Tak musi być”, bzyczy mi pszczoła do ucha, „nie podglądaj, nie patrz, tylko wtedy możemy opowiadać”.



foto. archiwum prywatne autorki

### MAGDALENA JERZAK

– urodzona w 1989 r. w Gdańsku. Absolwentka filologii angielskiej, nauczycielka, tłumaczka. Wychowana na styku miasta, lasu i morza; miłośniczka literatury, akwareli i wędrówek z plecakiem.

Magdalena Anioł-Mirek

## Miesiąc wcześniej, pięć lat później

Nie lubię takich bezsłonecznych niedziel,  
kiedy zniecka cichną ptaki.

Ze smutkiem sobie myślę wtedy,  
gdzie się podziały tamte Chłopaki.

Syrena zatacza kręgi na wodzie  
Syrena rozsada czaszkę.  
Zawsze bezpieczna rozmowa o pogodzie.  
Ktoś podniósł zgubioną blaszkę.

Trudny jest obraz tego miasta  
– Siekiera, motyka,  
siedemnasta.

## Lista obecności

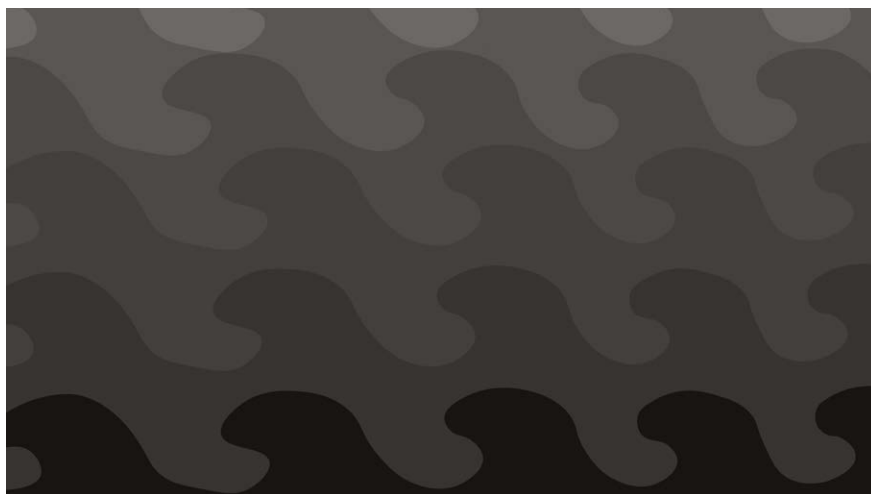
To było całkiem sensowne lato,  
mimo że parę rzeczy kulało.

Teraz  
kobiety po raz przedostatni  
nakładają letnie sukienki.  
Dzieci w białych koszulach  
wybiegają ze szkoły,  
by jeszcze raz nacieszyć się  
słodko-gorkim powietrzem.

Mężczyźni  
– tym razem obecni.

To było całkiem sensowne lato,  
przedarte gorzkim ogniem  
września.

Dzisiaj  
jeszcze kulka lodów – i lista obecności  
Wtedy  
– kulka i lista pamięci.



Natalia Filimoniuk / PLSP w Supraślu

## Stany niezjednoczone

Tak naprawdę  
w tej rozgrywce nie ma  
policjantów i złodziei  
Przypuszczalnie  
w określonym momencie dziejowym  
każdy mógłby stanąć  
na miejscu  
każdego  
Kto kiedyś  
nie wiedział  
nie umiał  
nie czuł  
–  
Nie mógł  
Inaczej  
Potem  
na wyblakłych mapach  
zostają tylko  
stany międzywojenne  
poprzeplatane  
oceanami miłości

Natalia Filimoniuk / PLSP w Supraślu



### MAGDALENA ANIOŁ-MIREK

– urodzona w 1979 r., absolwentka edytorstwa na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego (2003). Zwolenniczka stoickiego epikureizmu. Energię do życia czerpie między innymi ze swoich pasji:

*Rower i wiersze  
– z rzeczy  
te są pierwsze.*



fot. archiwum prywatne autorki

Malika Tomkiel

## Proszę ponieść mi siaty

Lubię sobie wyobrazać, że jestem w ciąży.  
Ośmielam się na to w centrum handlowym.  
Czuję, że coś porusza się w brzuchu;  
głędzi, mamrocze więcej niż głowa,  
tworząc szeregi nowych połączeń,  
siateczek pomiędzy wiotkimi tkankami.  
Tak, może pan mi ponieść te siaty.

Najlepsze w tej ciąży są mdłości bez końca.  
W końcu niedobrze mi nie jest z niemocy.  
Mogę poronić lżę, tłąc chorobę,  
zwalając na koktajl z zieleni hormonów.  
Tworząc na plótnie coś na kształt sztuki,  
wypłutych słów, bełtu, pieniędzy na leki.  
Czy mogę przed Panią się wtrącić w kolejkę?

To wszystko się dzieje w pierwszym trymestrze.  
Trwa od alejki warzywnej po nabiał,  
Na którym z piersi wypływa mi mleko.  
Oddycham, sapiąc, i jestem znów w domu,  
gdzie łóżko moje ma metr osiemdziesiąt.

## I tak będę pić kawę

Jestem panią na trzydziestym trzecim piętrze,  
w drugim trymestrze.  
Choć wiecznie strzygę trymerem na zero  
mojego męża, ojca bez dzieci,

to czasem siedzimy wspólnie przy stole,  
dawkując kawę. (Wiem, lekarz broni,  
lecz mi kofeina już nie zaszkodzi;  
mózg i neurony mam wciąż uśpione.

Śpią jak ci państwo z czwartego piętra:  
wiecznie spóźnieni,  
wiecznie skłóćeni,  
wiecznie liczą pieniądze i doby

do urlopu,  
do świąt dziękczynienia  
Pańskiego i śmierci swojej  
i siebie nawzajem.

Ja jednak tak nie chcę.)  
Więc piję tę kawę,  
liczę obwody  
piersi, brzucha, bo może urosły już od tej ciąży.



## Mam na swojej skórze rozstępy

Mogę ci urządzić pokoik.  
Internet powiedział, że w różach tapety ma dla dziewczynki.  
Dla chłopca są błękity, jasne niebo,  
więc patrzę w te chmury i liczę tygodnie.

Panie doktorze,  
jakie owale ma moje łóżysko?  
Czy dziecko aby układa się dobrze?  
Proszę, mam marker, odporny na wodę  
Maluję nim siatki gałązek na brzuchu,  
rozstępy na skórze, żeby pan mi uwierzył.

Niech pan mi powie:  
czy widzi pan tu jakieś komplikacje?  
Świat pokazuje, że gorzej nie będzie  
i nawet jeśli dziecko urodzi się chore,  
to przynajmniej wiadomo będzie,  
że matki

Panie doktorze,  
mam już tapetę,  
dwie wzięłam w sklepie, na cztery ściany.  
Te dłuższe są w różę,  
te krótsze w uliczne światła i drogi.

Mogę mu usłać tę drogę różami.



### MALIKA TOMKIEL

– dziennikarka związana z kulturą i sztuką. Była redaktorka naczelna magazynu „Kraft”, która po przygodzie z wydawnictwem przeniosła się na Podlasie, by obcować ze słowem pisanym i jogą, której uczy. Pracowała w radiu, współzałożycielka Grupy Wolność, gdzie sprawuje opiekę literacką i działa z Up To Date Festival. Od ponad 10 lat nie ukrywa faktu, że choruje na anoreksję. Chcąc pomagać innym ludziom, napisała książkę *Biel kości*, w której opowiedziała swoją historię i pokazała realia życia osób cierpiących na zaburzenia odżywiania.

Krzysztof Kwintkiewicz

## Niedopatrzenie

Największym problemem komputerów kwantowych nie są, jak  
sądzą niektórzy, ograniczone moce przerobowe  
ani nieidealna struktura sieci neuronowej.

Pytanie o ich tragizm sięga poza kod logiki, wplątane  
gdzieś pomiędzy to, co niejasne  
i to, co ulotne.

Inteligencja jutra, jeśli już cokolwiek zrozumie, będzie  
rozpaczać nie dlatego, że nigdy nie stworzy idealnej symulacji  
wszystkich wszechświatów, a dlatego, że

zostanie sama, otoczona zastygłą próżnią po naszym odejściu.  
Wbrew konsensusowi środowisk naukowych, tragedią  
nowych umysłów będzie nie limit  
operacyjny, a osamotnienie.



Natalia Filimoniuk / PLSP w Supraślu

## Logistyka procesów (część 4: optymalizacja struktury rozliczeń kontrahentów z zakresu łańcuchów dostaw)

wdrożenie tego rozwiązania umożliwi  
przyspieszenie realizacji  
procesów jak widzieliśmy  
na poprzednim slajdzie przeniesione do chmury  
narzędzia pozwalają wyliczyć co  
się stało jeszcze niedawno na egzaminie  
opowiadałeś o biopolityce materializmie dialektycznym  
wieczorem pokryci dymem dyskutowaliście  
o ciężkim brzmieniu gitar  
głębokim katastrofizmie w tamtej powieści  
pierwszym toaście po przeprowadzce do miasta  
i naprawdę wszystkim co  
się dzieje jak to możliwe że jesteś nagle pośród  
ruchomych hasel zmiennych współczynników gdzieś  
w pozornym porządku  
gąszczu bez twarzy nad wykazem  
rentowności scalonych łańcuchów dostaw  
r/r rezultatów dywersyfikacji wachlarza  
kontrahentów (kogo?)

## POV: jesteś starymi badaniami

według najnowszych badań  
jak pokazano w najnowszych badaniach  
zgodnie z nowymi badaniami  
jak pokazują  
nowe badania

poglądy uzasadnione tymi  
nowymi badaniami  
przekonania i wierzenia  
jednak takie, bo tak wykazały nowsze badania  
uprzedzenia wynikające  
tylko z tych aktualnych badań  
żadnej myśli  
bez konsultacji z nimi

### KRZYSZTOF KWINTKIEWICZ

– autor prozy i poezji, z wykształcenia filolog. Laureat konkursów poetyckich, w tym m.in. Turnieju Jednego Wiersza im. P.B. Greca. Publikował w „Helikopterze”, Wydawnictwie J, „Szortach” oraz „Składce”. Stale wraca do amerykańskiej prozy postmodernistycznej. Na co dzień pracuje jako specjalista od komunikacji, z kolei po godzinach walczy o prawa drzew i krzewów. Mieszka w Warszawie.

Dariusz Tomasz Lebioda

## Koncert cykad w ogrodzie cesarskim dynastii Ming

Ostateczne jak kotły maszerującej  
armii posępne jak żaloszny śpiew  
erhu tajemne jak nuty sihu

obwieszczaly światu swoje  
ulotne istnienie

zanim rozerwał je na strzępy  
barwny ptak zanim chwyciła  
oślizła żmija

mówiły: jesteśmy tak jak wy  
jesteście

mówiły: przemijamy jak wy  
przemijacie

wokół pyszniły się w różu  
krepowe mirty i peonie

chwile mknęły donikąd słońce  
zsuwało się za wzgórze

w którym przed wiekami  
pochowano cesarza

teraz jego ogród świątynie  
i strażnice zieją pustką

i tylko samotny poeta  
przystaje przy nich  
na chwilę

i myśli o gasnącym  
wciąż czasie

i niemożliwej  
wieczności

## Sroki błękitne

Wydawały z siebie srebrne głosy  
i wyglądały jak wysłanniczki  
z rajszych krain

przelatywały z drzewa na drzewo  
a ich błękitne pióra połyskiwały  
w słońcu

patrzyłem na nie jak osłupiały  
wsluchiwałem się w wibrujące  
tony w oniemieniu

a one heroicznie trwały w swym  
pięknie i nie zwracały na mnie  
uwagi

patrzyłem na nie długo ale dopiero  
nad kartką papieru  
zrozumiałem

że zawsze tu na mnie czekały  
i nawoływały  
subtelnie

choć starczyłby jeden  
nieostrożny ruch

a wzcierałyby w górę  
i wylądowały

w innym  
życiu



## Szybką koleją z Nankinu do Pekinu

Nigdy jeszcze nie mknąłem  
na kołach z taką  
prędkością

za oknem migaly gaje olchowe  
samotne platany i zarośla  
bambusów

ludzie pracowali na polach  
w słomkowych kapeluszach

miasta otwierały się i gasły  
wsie przemykały chyłkiem

daleka brzoskwinia słońca  
sunęła lekko za horyzont

jadąc szybką koleją z Pekinu  
do Nankinu rozmyślałem  
o ludzkości

budującej mosty tunele  
estakady

i burzącej wszystko  
w jednej  
chwili

w imię nienawiści  
i odwiecznej  
żądzy

posiadania

---

Nankin 2015



foto: Klub Boks / Pexels

Tekst i zdjęcia: Dariusz Tomasz Lebioda

## Nankin



Droga duchów

Na wielkim dworcu w Nankinie wędruję najpierw na dolnej platformie, a potem wchodzę na górne tarasy i z ich wysokości przyglądam się ludziom. Nieprzebrane tłumy czekają, aż na wielkich telebimach pojawi się informacja o zbliżającym się pociągu, a wtedy wolno wstają z miejsc i ustawiają się w kolejce do odpowiedniego zejścia. Piękne młode kobiety i staruszki, których pomarszczone twarze zdradzają, że ich życie nie było lekkie za panowania kolejnych przywódców, chłopcy i młodzieńcy wykazujący wielkie ożywienie i mężczyźni w kwiecie wieku, karnie czekający na swoją kolej przy bramce, gdzie urzędnik kolejowy sprawdza bilety i dokumenty tożsamości. Wolno przesuwam się do przodu i przed moimi oczyma pojawiają się obrazy kilku ostatnich dni. Oto wkraczam do wielkiego ogrodu cesarskiego we wschodniej części miasta, gdzie u podnóża Purpurowej Góry usytuowano mauzoleum Ming Xiaoling. Szeroka aleja (droga duchów) prowadzi do strażnic, a po ich przejściu

odslania się widok na okrągły kopiec o średnicy czterystu metrów, usypany nad grobowcem Hongwu, pierwszego cesarza z dynastii Ming, żyjącego w latach 1328-1398. Urodził się jako Zhu Yuanzhang (chiń. 朱元璋) w ubogiej rodzinie chłopskiej w prowincji Jiangsu, a potem głodował wraz z rodzeństwem i szukał schronienia w klasztorze buddyjskim. Szybko okazało się, że musiał go opuścić, bo zabrakło środków na przygotowywanie posiłków. Tak stał się wędrującym żebrakiem. Po trzech latach powrócił jednak do klasztoru, gdzie nauczył się czytać i pisać. Niestety, gdy miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, jego świątynię i przyległe budynki zburzyły wojska mongolskiej dynastii Yuan. Zhu znowu ruszył w drogę i postanowił przyłączyć się do powstania czerwonych turbanów. Szybko awansował, ożenił się z córką przywódcy, co dopomogło mu w objęciu dowództwa nad armią chłopską. Miał dwadzieścia siedem lat i piał się w górę, został przywódcą i poprowadził wojska

na Pekin, gdzie w 1368 roku obwołano go cesarzem zjednoczonych Chin. Potrafił być bardzo surowy, ale też – pamiętając o swojej przeszłości – robił wszystko, by polepszyć byt najuboższych warstw społecznych, między innymi rozdzielił między chłopów ziemię możnowładców mongolskich i złagodził system podatkowy. Dzięki inwestycjom irygacyjnym, zbiory zbóż i innych płodów rolnych były większe, co przelożyło się na poprawę bytu biedoty, która zaczęła też korzystać z papierowych pieniędzy, wprowadzonych przez cesarza.

Szybko przeszedłem drogę duchów, przecinającą ogromny kompleks grobowy o powierzchni prawie trzech tysięcy hektarów, minąłem bramę Dajinmen, zniszczoną w dziewiętnastym wieku podczas powstania tajpingów, a obecnie pięknie zrekonstruowaną. Za tym budynkiem znajduje się pawilon Sifangchen, w którym Yongle, syn i następca Hongwu na cesarskim tronie, umieścił na grzbiecie kamiennego żółwia stelę wysławiającą dokonania ojca. Stąd było już widać kopiec usypany nad grobowcem, w którym pochowano cesarza wraz z żoną Ma i jego nieszczęsnymi konkubinami. Budowa mauzoleum zakończyła się dopiero w roku 1431, ale małżonka spoczęła w grobie już w roku 1384, czekając do roku 1398 na paradny pochówek jej męża. Chińczycy bardzo dbają o spokój takich miejsc i rozkopali zaledwie trzy grobowe wzgórza, dostając się do wewnętrznych komór. Możemy tylko domniemywać, jakie skarby znajdują się pod ziemią, jak pyszne i wykwintne artefakty czekają na odsłonięcie w kolejnych kopcach cesarskich. Szczególnie intrygujący jest grobowiec w Xiaan, usytuowany niedaleko słynnej terakotowej armii, która miała być zapleczem władcy w zaświatach.

Pobył w ogrodzie cesarza dynastii Ming ma w sobie wiele z moich wcześniejszych wyobrażeń o Chinach, zarówno jeśli chodzi o ich heroiczną i krwawą historię, jak i warstwę wizualną. Ta czysta przestrzeń może oczarować rozległością alei, prowadzącej do kolejnych budynków, a nade wszystko kształtem i urodą kolejnych pawilonów, krytych pięknymi dachówkami. Na skrajach ich delikatnych krzywizn łatwo zauważymy porcelitowe figurki *Dūn shòu* (蹲兽), czyli przycupnięte bestie, usadowione w linii prostej, jedna za drugą. Od dawien dawna były one znakiem statusu właściciela budynku i umieszczano je na dachach za zgodą cesarza. To był rodzaj potwierdzenia, że osoby żyjące w danym domu należą do elity społeczeństwa chińskiego i cieszą się przychylnością władcy. Ich ilość też miała znaczenie i wahała

się od jednej do dziewięciu, a tylko Pałac Najwyższej Harmonii w pekińskim Zakazanym Mieście ma dziesięć figurek. Miało to podkreślać jego wagę dla cesarstwa i odróżniać go od innych tego typu pawilonów – na przykład Pałac Niebiańskiej Czystości przyozdobiono dziewięcioma, a Pałac Ziemskiego Spokoju tylko siedmioma symbolicznymi figurkami. Postaci te miały przede wszystkim chronić budynek przed żywiołami pogodowymi, ogniem i słońcem, deszczem, śniegiem i mrozem. Te stworzenia z mitologii chińskiej zawsze ustawiano w ściśle określonej kolejności, zgodnie z ich hierarchią – pierwsza z figurek to nieśmiertelny król *Min*, skazany na wieczną wędrówkę po ziemi. Dalej ustawiano smoka i feniksa, symbolizujących cesarza i cesarzową, akcentując, że są oni silniejsi od następnego w kolejności – lwa, stojącego na straży gór i lasów cesarstwa. Z kolei jednorożec i konik morski są symbolami władzy cesarskiej, od morza, poprzez ziemię, aż do powietrza. Po nich ustawiano dwa stwory mityczne: *Yayu* (押鱼) i *Douniu* (斗牛), wynurzające się z głębin morskich, przyciągające opady i zbierające wody, co mogło zapobiegać pożarom drewnianych budynków. Dalej odnajdziemy legendarną bestię *Suanni* (狻猊), mogącą pożerać największe kocie drapieżniki (lwy, pantery, tygrysy i rysie), chroniącą całą przyrodę państwa. Ostatnie dwie figury to chimera *Xiezhi* (獬豸), odróżniająca prawdę od fałszu i latająca małpa *Hangshi* (行什), chroniąca budynki przed piorunami. Wszystkie figurki chroni *Chiwen*, czyli młody smok, umieszczany na skraju dachu, mający też często formę paszczy wypluwającej wodę.

Jest coś ostatecznego w wiśniowej barwie budynków pokrytych żółtawo-pomarańczowymi dachówkami i obcowanie z nimi przypomina wchodzenie bohaterów kulturowych do mitycznych, zakazanych krain. Tak jak oni, wspina się po schodach na szczyt ostatniej strażnicy, broniącej dostępu do kopca cesarskiego, pod którym głęboko pod ziemią złożono trumny i skarby. Inne odsłonięte grobowce dają wyobrażenie o tym, jak tajemnicza rzeczywistość została tam zatrzymana w czasie, wszak do grobowca cesarza Wanli niedaleko Pekinu, zwanego Dingling (定陵) schodzi się schodami dwadzieścia siedem metrów pod ziemię. I dopiero na dole widać rozmach tego typu konstrukcji, przypominającej krzyżowe połączenie przestronnych hangarów, kryjących nowoczesne odrzutowce, a nie miejsce spoczynku władcy i jego dwóch żon. Podobnie musi być w grobowcu nieopodal Nankinu i aż dziw bierze,

że najeźdźcy japońscy nie zapragnęli dobrać się do kosztowności tkwiących pod ziemią. Teraz mauzoleum Ming Xiaoling jest oazą spokoju i ulubionym miejscem spacerów mieszkańców tej ogromnej metropolii, a także przybywających zewsząd turystów. Ten wielki park wypełniony rzeźbami, znakomicie zagospodarowany jest przypomnieniem wielkości i wspaniałości cesarskich Chin. Dynastia Ming (1368-1644) dźwignęła ten rozległy kraj na wyższy

poziom rozwoju, a przy tym pozostawiła po sobie tak wspaniałe zabytki jak ceglana część Wielkiego Muru, Zakazane Miasto i Świątynię Nieba w Pekinie oraz liczne pagody, będące znakiem harmonii i ładu. Ming znaczy w języku chińskim „coś ośniewającego”, „coś wspaniałego” i widzimy to w malarstwie na jedwabiu, w rzeźbach i przy wytwarzaniu wykwintnej porcelany, a nade wszystko w takich kompleksach jak Ming Xiaoling, z którego wychodzę z ogromnym żalem, mając nadzieję, że kiedyś znajdę się tu raz jeszcze. Ulica Nankinu także obfituje w liczne wydarzenia, do których zaliczyć należy ruch samochodów, motocykli, bum-bumów, rowerów i pieszych, przemykających ku swoim celom. Uliczni grajkowie, specjalnie ucharakteryzowani na Chińczyków z odległych wieków, budowniczości wysokich wieżowców, policjanci i strażacy, kierowcy autobusów miejskich i kolejarze z rozgałęzionego metra – wszyscy gdzieś podążają, wszyscy mają jakiś cel, jakby ogromne ludzkie mrowisko zjednoczyło się w drodze ku przyszłości i budowie nowego imperium, gdzie historia sąsiaduje z nowoczesnością, a ludzie wiedzą, że tylko praca może dźwignąć ich na wyższy poziom rozwoju. Przemierzam kolejne ulice, chłonąc wszystko jak gąbka, przyglądając się małym sklepikom, restauracyjkom i wielkim wieżowcom, mającym w oddali. Jestem w Chinach i wszystko ma tutaj swoją wartość, która w przeszłości zaowocuje w różnorodny sposób, wzbogaci mnie niewyobraźalnie.

Dokucz mi *jet lag*, więc budzę się po kilku godzinach – w Nankinie jest szósta rano, ale w Polsce jest już dwunasta, więc moja aktywność o tej porze jest normalną rzeczą. Odslaniam grube zasłony i przyglądam się rzeczywistości za oknem, tonącej w charakterystycznej chińskiej

*Jest  
coś ostatecznego  
w wiśniowej barwie  
budynków pokrytych  
żółtawo-pomarańczowymi  
dachówkami i obcowanie  
z nimi przypomina wchodzenie  
bohaterów kulturowych  
do mitycznych, zakazanych  
krain.*

mgłę. Widać, że to miasto szybko przekształca się w metropolię, ale wciąż jeszcze wiele jest w nim domów z poprzedniej epoki. Sporo tutaj też nowoczesnych wieżowców, ale pomiędzy nimi stoją domy niższe lub zupełnie małe, które niebawem zostaną zburzone i ich miejsce zajmą wielopiętrowe świątynie chińskiego postępu. Widzę w dali taki drapacz chmur, otulony we mgły, ale z każdą chwilą wylaniający się z nich i lśniący w dali niczym tajemniczy, wielki obe-

lisk. Na pobliskich drzewach zauważam sroki błękitne, moje ulubione chińskie ptaki, jakże egzotyczne w swoim umaszczeniu, a zarazem jakże bliskie polskim, swojskim ptakom krukowatym. Tutaj wylęgły się z jaj, nauczyły się polować i zdobywać pożywienie na śmietnikach i tutaj będą przez całe życie. Jak ludzie, którym nigdy nie przyjdzie do głowy by porzucić to miasto, pojechać do innego urbanistycznego molocha albo do sąsiedniego kraju – Birmy, Wietnamu, może Tajlandii. Myślę o tych zasiedlonych mieszkańcach miast, którzy urodzą się, będą codziennie przemierzać miejskie przestrzenie w drodze do pracy i podczas powrotu do domu, a potem umrą spokojnie i zrobią miejsce nowym pokoleniom. To się odnosi przede wszystkim do starszych ludzi, bo młodszy już dostrzegł, jakie szanse dają im nowe Chiny, wciąż pełne obostrzeń, ale też pozwalające się rozwijać. Moja przyjaciółka Si urodziła się w Szanghaju, przebywała z rodzicami w Kantonie, by osiąść w Xuzhou, a potem dalej kształcić się i pracować w Pekinie. Długo mieszkała we wspólnotowym mieszkaniu na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca, ze wspólną kuchnią i ubikacją, uczestnicząc w wielkim pędzie stolicy kraju. I dopiero niedawno osiągnęła niezależność, zdobyła piękny apartament, który urządziła z wyszukany smakiem. Stoję przy oknie i rozmyślam o takich ludziach jak ona, a jednocześnie cieszę się nową obecnością w Państwie Środka.

Moją uwagę przykuwa małe podwórko sąsiadujące z hotelem, które z tej wysokości jest dobrze widoczne. To kilka domów z czerwonej cegły i betonu, pokrytych dachówkami, dość brudnych, z wewnętrznymi przestrzeniami zagraconymi jakimiś starymi sprzętami, papierami i szmatami. Przy jednym z domów widzę coś na kształt



wieży zbudowanej z szarych cegieł, przypominających te, które zobaczą na Chińskim Murze. Może to jakiś fragment murów miejskich, a może po prostu pozostałość po starym Nankinie, zaadaptowana do celów użytkowych. Na jej dachu urządzono niewielki ogródek z roślinami w dużych donicach, zamontowano też trzepak, na którym teraz wisi pranie. Druga część zwieńczenia tej wieży wygląda jak graciarnia – pełno na niej połamanych dachówek i kafelków, jakichś brezentów i szmat, starych plastikowych misek i wiader. Okna w domach są otwarte, a okiennice wysunięte na zewnątrz, zapewne od wielu dni nie ruszane, bo Nankin leży w takim miejscu Chin, gdzie zdarzają się długotrwałe upały. Świadczą o tym też nowoczesne klimatyzatory przyłączone do ścian domów, dające nieco wytchnienia podczas najgorętszych okresów. Widzę ludzi krzątających się w pomieszczeniach domów i na podwórkach, wsiadających na rowery i elektryczne skutery, podążających gdzieś pieszo, rozwieszających pranie

na linkach. Ileż takich domowych enklaw jest w chińskich miastach i jakże wiele z nich też zniknęło, ustępując miejsca nowoczesnej zabudowie. Ludzie rodzili się tutaj, żyli i umierali, a potem popadali w zapomnienie, bo orientalny świat nie przykłada tak wielkiej wagi do upamiętnienia szeregowych obywateli. Wielki postęp Chin dokonuje się za sprawą anonimowych bytów, które dają mu swoją energię w zamian za nieco lepsze warunki życia i chwile wytchnienia w takich domach, jak te w dole. Przez moment zatrzymuję wzrok na roślinności, wdzierającej się na podwórko i otaczającej domy, wyraźnie mającej znamiona tropikalnej. Z wysokich drzew zwisają cienkie liany, a na dole krzewią się oleandry, karłowate sykomory i palmy. Mgła szybko ustępuje i zielen nabiera wyrazistości, staje się przestrzenią kontrastową dla małych i wielkich domów. O Nankinie nie można pisać bez nawiązań do wielkiej tragedii, która miała miejsce w tym mieście od grudnia 1937 do stycznia 1938 roku i teraz też, patrząc na podwórko pode mną wyobrażam sobie małą



Ming Lou – główny pawilon Ming Xiaoling

dziewczynkę, rosnącą pośród kochającej ją rodziny, a potem podstępnie schwytaną i bestialsko zgwałconą przez japońskich żołdaków. Może właśnie w tym momencie zrodziła się we mnie myśl, by napisać książkę o cierpieniach ludzkości w różnych miejscach świata i jeden z rozdziałów poświęcić dziewczynce o mlecznym imieniu Mały Skarb? Na razie stoję przy oknie nankińskiego hotelu i przyglądam się budzącemu się do życia miastu, położonemu nad rzeką Jangcy i jakby symbolicznie wchodzącemu do nowej rzeczywistości ogromnego państwa.

Opuszczam pokój hotelowy i wychodzę na ruchliwą ulicę, jak zwykle w chińskich miastach mającą specjalny pas dla rowerów, skuterów i motocykli. Chcąc przejść na drugą stronę trzeba być bardzo ostrożnym, bo pasem tym mkną wciąż nowi ludzie, często okryci brezentem i zamaskowani, chroniący się przed smogiem. Mijam ogromny sklep jubilerski z figurkami ze szczerego złota, bransoletkami, łańcuszkami i biżuterią jadeitową, a potem kieruję się ku sporemu placowi, gdzie chcę poobserwować ludzi i pojazdy. Po drodze mijam miejsce, gdzie zaparkowano dziesiątki, a może setki elektrycznych skuterów, świadczących o tym, że ich właściciele dotarli do miejsc przeznaczonych – biur, sklepów, niewielkich restauracji i placów budowy. Wszystko tutaj tętni życiem i manifestuje niespotykaną energię ludzkich mrówek, składającą się na potężny przekaz energetyczny monstrialnego mrowiska. Przy placu zauważam wysokie wieżowce mieszkalne z oszklonymi balkonami, służącymi mieszkańcom jako suszarnia do prania albo niewielka oranżeria. Okna niestety nie są najczystsze, a niektóre wręcz porażają brudem – wszystko dlatego, że wiele z nich umocowanych zostało na stałe, a nikt nie ma zamiaru wychylać się na dwudziestym czy trzydziestym piątym



Skutery i rowery w Nankinie

piętrze budynku. Nie widać przy nich zbyt wielu samochodów, bo Chińczycy od dawna budują osiedla, zaczynając od parkingów podziemnych. Przy wieżowcach stoją niższe bloki, zaledwie kilkupiętrowe, w których mieszkają bogatsi ludzie. Będzie mi dane w przyszłości zobaczyć takie mieszkanie, często mające kubaturę powyżej stu metrów kwadratowych, gustownie ozdobione sztukaterią z marmuru i gipsu. Po kilku minutach dochodzę do placu, przy którym mieści się sporo małych lokali gastronomicznych, jest nawet chiński McDonald's. Wchodzę do tradycyjnej restauracyjki i zamawiam miskę makaronu sojowego, wcześniej upewniwszy się, że na stolikach są pojemniki z pastą chili. Lubię jeść tutejsze dania z tą ostrą przyprawą, czym zaciekawiam moich chińskich przyjaciół, przyzwyczajonych do europejskich i amerykańskich zwyczajów żywieniowych obcokrajowców. Siadam przy oknie i po chwili otrzymuję sporych rozmiarów naczynie wypełnione makaronem zalany rosółem i drugi półmisek z warzywami. Jem powoli czując, że pot występuje mi na czoło od gorąca i ostrości przyprawy, którą wkładam pomiędzy nitki potrawy. Na placu jest wielkie rondo, na którym aż trzech policjantów kieruje ruchem, zatrzymuje i uruchamia przepływ pojazdów. Najwięcej jest jednolicie pomalowanych taksówek, ale na rondo wjeżdża też sporo ciężarówek, trzykołowych bum-bumów i ludzi na skuterach. Czasem pojawia się motocyklista, a innym razem policjanci przepuszczają rowerzystów i właściciele elektrycznych hulajnóg. Kończę jeść makaron, wypijam z miski resztę rosółu, który zabarwił się od chili na czerwono i tak pokrzepiony wędruję z powrotem do hotelu na umówione spotkanie z grupką przyjaciół. Po drodze podziwiam piękne, filigranowe, młode Chinki i fotografuję niektóre, a one odwziewają się promiennym uśmiechem. Jedna z nich, wędrująca wraz z koleżanką, zatrzymuje się i mówi do mnie po angielsku, że chciałaby mieć zdjęcie ze mną. Prosimy koleżankę by pstryknęła fotkę moim aparatem, a dziewczyna wręcza mi wizytówkę z e-mailem swojego biura i prosi o przesłanie zdjęcia. Żartuję, że wykorzystam jej adres, by czasem z nią poflirtować, co wywołuje u niej nową salwę śmiechu i zapewnienie, że odpowie na każdego maila. Odchodzę, myśląc o moim przyjacielu, który ożenił się z piękną Chinką i potem opowiadał, że na początku był miód, ale szybko jego ukochana stała się ostra jak brzytwa i zaczęła mnożyć żądania, którym nie mógł sprostać.

Znowu jestem w hotelu i z okna na końcu korytarza patrzę na Nankin, a moją uwagę przykuwa kolejne podwórko z innej epoki. To tyły domów wybudowanych

w czasach komunistycznych, upakowanych jeden obok drugiego, szarych i nijakich, jakby z powieści i opowiadań Franza Kafki. Przerażająca rozpacz bije z tego miejsca, w którym nie ma przestrzeni dla ludzi, dla ich życia i rozwoju. Później wiele razy będę widział w Chinach takie skomasowanie domów i uliczek, brudnych podwórek i zagraconych śmietników. Jakże przerażające jest to, że w takich antyprzestrzeniach rodziły się miliony ludzi i ich życie toczyło się potem wokół nich, a jedyną odmianą była poranna wyprawa do fabryki i powrót o zmierzchu. Na wyciągnięcie ręki są dwa dachy z blachy falistej i metalowych dachówek, jeden brązowy, a drugi rdzawy. Pod jednym z nich widać trochę domu, z oknem kuchennym, za którym zauważam nieco starych mebli, małą kuchenkę na prąd i jakąś starą emaliowaną miskę. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że brakuje tam bieżącej wody, którą jacyś pracownicy ludzie przynoszą wiadrami z ulicznych pomp. Gdy wybuchała moja świadomość i biegłem jako malec po bydgoskiej ulicy, widywałem często ludzi noszących ciężkie wiadra z wodą, napelniane przy pompach. W Chinach, w wielu miejscach, taka rzeczywistość się zatrzymała, choć przecież po drugiej stronie są owe wykwintne apartamentowce, w których elita władzy i finansjera żyje nie gorzej niż w Europie, Australii czy Ameryce Północnej. Widać, że ta przestrzeń nie była remontowana od wielu lat, a renowacje i udogodnienia przeprowadzono bez troski o elewację i ogólny kształt domów. Stąd tyle tutaj kabli, byle jak zamontowanych rynien, przewodów elektrycznych biegnących do skrzynek zaokiennej klimatyzatorów. Szyby w oknach są brudne i ledwie widać za nimi jakąś czarną przestrzeń, najczęściej przerażająco pustą, z matami do spania na podłogach. Chińczycy rzadko gotują posiłki w domach, bo najczęściej jedzą w niewielkich restauracjach, albo przynoszą gotowe dania do swoich mieszkań. Jedno z okien jest wybite, ale zamiast wstawić kosztowną szybę, zakryto je

*Na pobliskich drzewach  
zauważam sroki błękitne,  
moje ulubione chińskie ptaki (...).  
Tutaj wyległy się z jaj,  
nauczyły się polować i zdobywać  
pożywienie na śmietnikach  
i tutaj będą przez całe życie.  
Jak ludzie, którym nigdy  
nie przyjdzie do głowy,  
by porzucić to miasto (...),  
będą codziennie przemierzać  
miejskie przestrzenie  
w drodze do pracy i podczas  
powrotu do domu, a potem  
umrą spokojnie i zrobią  
miejsce nowym pokoleniom.*

turkusową fakturą, co nie dziwi, bo Nankin jest raczej ciepłym miastem, w którym na porządku dziennym są upały, a temperatura bardzo rzadko spada poniżej zera. Najcieplejszym miesiącem jest lipiec, a najzimniejszym styczeń, choć bliskość Morza Wschodniochińskiego i w dalszym tle Oceanu Spokojnego generuje różne anomalie pogodowe. Szczególnie mgły są tutaj fascynujące, obserwowane z mostu nankińskiego albo przy jednym z dopływów potężnej Jangcy, chociaż i deszcze mają swój urok i zdarzało się, że stawałem na jakiejś ulicy, długo przyglądając się zmieniającej się rzeczywistości, z pokracznymi platanami ulicznymi i ludźmi umykającymi przed ulewą.

Fotografowanie ludzi w Chinach to jedno z moich ulubionych zajęć. Teraz, patrząc na oba podwórka przy hotelu, przypominam sobie ludzi widzianych nieopodal niego i moje myśli biegną najpierw do tysego ślepcy, siedzącego na rozkładanym krzeselku i grającego na miniaturowym *èrhú*. Jego dwustrunowy instrument wydawał tak żalosne dźwięki, jakby miał odzwierciedlić ogrom tragedii tego starego człowieka, który może urodził się z tą straszliwą niedogodnością albo stracił wzrok w jakichś dramatycznych okolicznościach. Lewą dłoń oparł na gryfie i dociskał struny, a w prawej trzymał smyczek, którym wydobywał właściwe tony. Stałem zauroczony i wyobrażałem sobie kim mógł być ten niepozorny mężczyzna o urodzie japońskiego samuraja, będący wirtuozem *èrhú*. Przed nim leżał odrapany futerał w formie długiego prostopadłościanu, noszący ślady co najmniej trzech malowań olejną farbą: białą, brązową i błękitną. Na futerale stała duża puszka z napisem *Kanbro*, zapewne po ciasteczkach z orzeszkami ziemnymi, do której życzliwi ludzie wrzucają jakieś monety, rzadziej banknoty. Moja darowizna w wysokości dwudziestu yuanów zapewniła muzykowi dobry obiad, choć może miewał w swoim życiu szczęśliwe dni, gdy uzbierał znacznie więcej pieniędzy. Jakkolwiek by nie było, muzyka wydostająca się z jego instrumentu chwyta za serce i przenosi w wyobraźni



↑ Bezdonna chora na ulicy Nankinu  
← Niewidomy grajek

ku magicznym Chinom, pełnym cudownych górskich zakątków, wijących się między nimi rzek, srebrzyste połyskujących jezior i morskich wybrzeży. Starzec musi siadać w tym miejscu codziennie i grać bez ustanku, na co wskazuje niewielka płachetka cielejącej skóry ułożona na lewym udzie i chroniąca je przed odcisnięciami. Patrzę na tego człowieka, robię mu zdjęcie i staram się przeniknąć materię jego losu, jakże tragicznego i pięknego w kontekście muzyki, z którą stale obcuje. Beethoven powiedział kiedyś, że muzyka jest większym odkryciem niż cała mądrość i filozofia, i teraz, gdy tak opromieniła mnie sztuka tego niewielkiego człowieka, znalazłem potwierdzenie tych słów.

Odchodzę od starca, przyglądam się mijającym mnie taksówkom, autobusom i bum-bumom, i po przejściu dwustu metrów przystaję nieopodal ławki, na której śpi w najlepsze mężczyzna w średnim wieku. Ma na sobie schludnie wyglądające spodnie z licznymi kieszeniami zewnętrznymi i niebieską, elastyczną koszulkę. Głowę oparł na szarej siatce z zakupami lub całym jego dobytkiem, ale najbardziej interesująca jest gazeta, którą przyciska rękoma do brzucha i boku. Zastanawiam się, czy jest to jego dziwaczne odkrycie, czy też może czytał ją zanim zasnął i tak już zostało. Nie ulega wszakże wątpliwości, że śpi spokojnie, a poruszające się pod powiekami gałki oczne wskazują, że właśnie śni w najlepsze. Śpi przy ruchliwej ulicy i nie zwraca

uwagi na mijających go ludzi, na pojawiające się w jego tle rowery i skutery, parkowane przy ścianie dużego budynku. Śpi z ufnością, że nie spotka go nic złego w tym miejscu, złodziej nie pojawi się, a policjanci nie odprowadzą go do aresztu. Nie wygląda na żebraka, miejskiego włóczęgę, a nawet jeśli wstąpił na jakąś wątpliwą ścieżkę, to zapewne znajdzie swoją drogę w życiu – tacy jak on potrafią sobie poradzić i nawet w najtrudniejszych momentach wypływają na powierzchnię życia.

Opuszczam śpiącego i wędruję dalej ulicami Nankinu, a za rogiem dużego domu handlowego nieomal wchodzę na uliczne łożo kolejnego „śpiocha”, bez żenady leżącego na środku chodnika. Ten człowiek bliższy jest wyobrażeniom polskiego lub europejskiego menela, a unoszący się wokół niego nieprzyjemny zapach sytuuje go poza nawiasem chińskiego społeczeństwa. Leży na dużej plastikowej macie w żółtym kolorze, zajmując jej prawą część, jakby za chwilę miała przyjść druga osoba, która położy się obok niego. I tutaj stoi duża puszka na pieniądze, a przy niej rozłożono kartki z informacjami, które odczytała mi z fotografii moja przyjaciółka Zhao. Okazało się, że była to jednak kobieta, bardzo chora i przyniesiona na ulicę przez męża, który umieścił na kartce takie oto informacje: *Nazywam się Wang Q. i mieszkam niedaleko Huaibei. Moja żona leży tutaj, bo ma guza macicy, a dodatkowo martwicę naczyń krwionośnych w kończynach dolnych. Jeśli jej nie wyleczę, istnieje ryzyko amputacji. Do tego wszystkiego w mózgu mojej matki są robaki. Pragnę leczyć moją żonę i matkę*

*i błagam życzliwych ludzi, by pomogli mi przejść przez te trudności. Będę wdzięczny za wszelkiego rodzaju pomoc. Dziękuję! Dobre intencje są nagradzane, a dobrzy ludzie są bezpieczni w swoim życiu!*

Ociągając się trochę, ruszyłem dalej ulicą i natknąłem się na przystojnego młodzieńca w granatowej koszulce, z angielską reklamą stylowych podróży i pomarańczową torbą z prawej strony. Chłopak szedł swobodnie, tuż przy parkingu dla setek rowerów i skuterów elektrycznych. Ręce oparł na kieszeniach długich džinsów i wyraźnie zamyślił się nad czymś, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że go fotografowałem. To był dość mglisty dzień i w dali widać było ledwie zarysy wieżowca ze strzelistą

po wyburzeniach, jakby specjalnie przygotowane do nowej zabudowy. Po chwili dołączyli do mnie chińscy przyjaciele z Jalalem z Maroka, poetką z Francji i ruszyliśmy pieszo w stronę Librairie Avant-Garde największej księgarni w mieście, w której miało mieć miejsce nasze czytanie wierszy.

Z Librairie Avant-Garde wziąłem folder reklamowy zatytułowany dumnie *Najning: A City of Literature*. Teraz spoglądam na niego i najpierw zrażam się mottem z Mao Zedonga, pompatycznym i komicznym, porównującym miasto do smoka i tygrysa, w którego antycznej chwale łączą się żywioły ziemi i nieba. Przez ułamek sekundy pojawia się w mojej głowie myśl o Czesławie Miłoszu, który tłumaczył poezję tego typu i opublikował w „*Twórczości*”. Na szczęście na następnych stronach pojawiają się informacje i zdjęcia, które budzą moją ciekawość. Okazuje się, że Nankin ma pięćdziesiąt trzy uniwersytety i kolegia pedagogiczne, w których uczy się bagatela osiemset tysięcy studentów, a pośród nich dwadzieścia tysięcy gości z osiemdziesięciu obcych krajów. W tak wielkiej struktu-



← Uliczny grajek w charakteryzacji z chińskiej opery  
↓ W miastach Chin wielu ludzi śpi na ulicach



iglicą, ale w bliższym planie rysowały się wyraziście wysokie, nowoczesne budynki. Za przejściem dla pieszych zauważyłem też orientalne kształty dawnej cesarskiej fabryki brokatu, jedynie poszerzonej nowymi sześcianami dobudówek. Spokój młodzieńca dobrze współgrał z zatrzymanymi autami i ludźmi przechodzącymi na pasach dwie wstęgi ulicy. Stałem na chodniku i kontemplowałem rozległość Nankinu, jego liczne place i puste przestrzenie

rze odnajdziemy też około tysiąc bibliotek, spośród których największa jest Biblioteka Narodowa z dwunastoma milionami woluminów. Jak piszą twórcy katalogu, ambicją Nankinu jest zachowanie i odwzorowanie światowego dziedzictwa kulturowego, w którym akcentuje się dokonania Chin. Już w piątym wieku (438 r.), w czasach panowania cesarza Wena założono pierwszą instytucję edukacyjną, w której nauczano konfucjanizmu, taoizmu, historii

i literatury. Trudno się zatem dziwić, że w Nankinie poeta Zhong Rong z piątego wieku, napisał pierwszą książkę teoretycznoliteracką, zatytułowaną *Styl poetycki*, a przecież z dumą wskazuje się jeszcze innych nankińskich poetów, teoretyków i prozaików: Xie Lingyuna, Xie Tiao, Liu Xie, Zhou Xingsiego, Xiao Tonga. Na sąsiedniej stronie umieszczono wizerunki słynnych poetów i poetek chińskich, którzy poświęcili swoje strofy miastu nad Jangcy. Czytam zatem fragmenty wierszy Li Baia, Du Mu, Li Yu i najsłynniejszej chińskiej poetki Li Qingzhao. Autorzy wskazują, że w czasach dynastii Ming (1368-1683) i Qing (1683-1911) Nankin stał się ważnym centrum kulturowym w Chinach, czego przypieczętowaniem było powstanie w mieście *Encyklopedii Yongle* w sześćdziesięciu tomach, zawierającej 370 milionów słów, określanej do dzisiaj jako największa encyklopedia w dziejach ludzkości. Na kolejnych stronach umieszczono nawiązania do dzieł słynnych współczesnych pisarzy chińskich: Zhu Ziqinga, Yu Pingbo, Lu Xuna i Ba Jina, a także amerykańskiej pisarki i laureatki Nagrody Nobla Pearl S. Buck. Znajdziemy tam też dział prezentujący 24 arcydzieła współczesnej sztuki edytorskiej – między innymi kompendium *Materia medica* Ge Honga, *Sen czerwonej izby* Cao Xueqini, *Historia późnej dynastii Han* Fan Ye, *Historię kultury chińskiej* Liu Yihui, *Poezję dynastii Song* Tanga Guizhanga. Dwie kolejne karty poświęcone zostały regionalnym pisarzom nankińskim, takim jak Gao Xiaosheng, Su Tong, Han Dong, Zhao Benfu, Lu Wenfu i lekko zezowaty Ye Zhaoyan, którego miałem okazję kilkakrotnie spotkać w Chinach. Liczne wydawnictwa w tym mieście publikują sporo klasyki chińskiej i światowej, a serie wydawnicze promują noblistów i laureatów innych wielkich nagród literackich: między innymi J.M. Coetzee'ego, V.S. Naipula, D. Lessing, J.M.G. Le Clézio. Odmocną rolę odgrywa tutaj też wymiana międzynarodowa i organizacja licznych imprez literackich i festiwali – Chiny to może ostatnie miejsce na ziemi, gdzie w księgarniach są tłumy, a spotkania z pisarzami przyciągają ogromne rzesze uczestników.

Obiad jemy w osobnym pokoju, przygotowanym specjalnie dla nas i raz jeszcze oddaję się przyjemnościom pochłaniania ogromnych ilości warzyw i owoców. Są też półmiski z rybami, ale pochodzą one ze zbiorników słodkowodnych i mają bardzo dużo ości. Zhao umiejętnie wydobywa skrawki mięsa spomiędzy nich, ja wolę specjalnie przygotowane grzyby *mun*, kielki i gotowane

na parze młode liście kapusty *pak choi*. Ilekroć wybieram się do Chin, znajomi pytają mnie o różne obrzydlistwa żywieniowe, o których czytali w Internecie lub widzieli je podczas projekcji filmowych. Najwięcej wątpliwości budzą specjalnie preparowane kostki krwi, tłuste larwy owadów, koniki morskie i skorpiony pieczone na patykach w oleju, wędzone pisklaki i węże, nieodmiennie padają też pytania o mięso psów i kotów, o cuchnące stuletnie jaja, o zupy z żab, karaluchów i ślimaków morskich. Najczęściej dania te pojawiają się na specjalnych straganach, przy niewielkich jadłodajniach, gdzie przewalają się tłumy ludzi, w luksusowych restauracjach raczej trudno je dostrzec w menu. Tutaj widzę tylko wieprzowe żołądki i osmiornice w panierce, są też rozgwiazdy i śmierdzące tofu, które zdążyłem już polubić. Bezpiecznie jem tylko warzywa i najczęściej nakładam sobie talarków korzenia lotosu, który jest ważnym komponentem posiłków w krajach Dalekiego Wschodu. Przyglądam się poszczególnym okręgom, ścinanym z grubych bulw i liczę okrągłe otwory. W każdym jest co najmniej dziesięć takich kóleczek, którymi żywa roślina transportuje płyny na powierzchnię, do liści i przepięknych kwiatów. Korzeń smakuje dziwnie, jakby natura połączyła w jednym dziele kalarepę i brukiew, a do tego dodała nieco słodkości owocowych. Danie jest lekko mdłe, więc dodaję do niego sporo papryczek chili, małych cebulek i młodych marchewek. Widzę, że moi towarzysze też pałaszują co się da i wszystko przetykają ryżem z sosem sojowym. Siedząca obok mnie Zhao co chwilę podrzuca mi na talerzyk białe kawaleczki ryby, zachęca też bym jadł słynne chińskie buleczki, przygotowywane na parze w piętrowych pojemnikach z wikliny. Mam na nie ogromną ochotę, ale trochę boję się ich farszu, w którym mogą być zmielone owady, żaby lub bliżej nieokreślone podroby. Przyjaciółka zapewnia mnie, że w środku są tylko warzywa, ale nie dowierzam i dalej pałaszuję grzyby z lotosem.

Po obiedzie ruszamy metrem do kompleksu świątynnego w Nankinie z górującą nad nim strzelistą pagodą Jiming (雞鳴寺). Jego obiekty znajdują się na wzgórzu Jilong, tuż przy jeziorze Xuanwu, w samym centrum miasta, przy ośrodku olimpijskim. Budowę świątyni zainicjował cesarz Liang Wudi i pierwotnie nosiła ona nazwę Tongtai, ale niewiele się zachowało z tamtych czasów, bo trzęsienia ziemi i pożogi wojenne zrobiły swoje. Obecny kształt – z roku 1387 – Jiming zawdzięcza wspomnianemu cesarzowi Hongwu, choć nie wiadomo ile oryginalnych

detali odtworzono po wielkim pożarze w 1973 roku. Legenda głosi, że w jednej ze studni świątynnych, wraz z dwiema konkubinami, ukrywał się słynny generał Chen Shubao. Wchodzimy na dziedziniec i rozdzielamy się, zaczynam więc samotnie zwiedzać wąskie uliczki i kolejne budynki, w których widzę wiele figur bóstw i słynnych postaci z dziejów Chin. Patrzę na ludzi klęczących i bijących pokłony przed jakimś wąsatym demonem z wykrzywioną twarzą, odzianym w złote szaty i przy-

widokiem i rozmyślam o drogach mojego życia, które przywiodły mnie do tego miejsca. W którymś momencie z oddali podchodzi do mnie Zhao Si i zaprasza na poczęstunek w pięknej restauracji ze znakomitym chińskim piwem, kawą i słodkim deserem. Siedzimy przy otwartych oknach i przyglądamy się szarościom w dali, jakiejs innej odległej pagodzie, elementom reklam centrum sportowego i wieżowcom wyrastającym z mglistych oparów. Widać też fragment murów miejskich i mostu, na którym



Świątynia Jiming w Nankinie

ozdobionym wieńcami z kwiatów. Jak zwykle w takich momentach rodzi się we mnie refleksja o naturze wierzeń i przekonaniu ludzi, że jakiś wojskowy z dawnych czasów, cesarz lub postać fantastyczna dopomogą im w życiowych trudach. Niestety nie mogę wejść do czterdziestoczworometrowej pagody, która została zamknięta dla zwiedzających, rozkoszuję się jednak jej orientalnym

zamontowano pięć ogromnych kół olimpijskich, a pośród niskich domów stoją wysokie, budowlane żurawie, zapowiadające zmianę rodzaju zabudowy. Patrzę w dal, roztapiam się w szarościach i dopada mnie nostalgia, może spowodowana zmianą pory dobowej, wszak w Polsce jest już głęboka noc. Wielokrotnie w takich chwilach myślałem o miliardach ludzi, którzy żyli w Chinach i umierali

w każdym stuleciu i nic po nich nie pozostało, oprócz budynków, umocnień obronnych, dróg i mostów. Patrząc na dwie dziewczyny siedzące przy sąsiednim stoliku, żywo sobie o czymś opowiadające, popijające zieloną herbatę i jedzące pałeczkami nieco warzyw z krewetkami. Obie należą do grupy etnicznej Han – jedna jest dość puculo-wata, przez co zatraciła charakterystyczne rysy, ale druga, ubrana w czarną, jedwabną sukienkę prezentuje się pięknie i ma bardzo zmysłowe usta. Widzę, że obie panie zerkają na naszą grupę od czasu do czasu i wymieniają uwagi. Wreszcie ta urodziwsza podchodzi do nas i pyta pana Liu, czy mogłyby zrobić sobie z nami zdjęcie. Zastanowiło

mnie to, że od razu skierowały się do tego milczącego Chińczyka, jakby nauczone doświadczeniem wielu lat, wiedziały, że to nasz tajny opiekun. Wstajemy od stolów i pozwalamy dziewczynom zrobić sobie z nami zdjęcia, a w ostatniej chwili dobiegają jeszcze dwie kelnerki w bordowych fartuszkach i stają po bokach grupy.

Dzień powoli zbliża się do końca i opuszczamy kompleks świątynny, by metrem wrócić do hotelu, w którym czeka na nas jeszcze jedna kolacja, tym razem znowu bardzo obfita, ze słynną wódką 1573 i chińskim winem w baryłkowatych, fajansowych baryłkach.



fot. archiwum prywatne autora

## DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

– ur. 23 kwietnia 1958 roku w Bydgoszczy. Poeta, prozaik, tłumacz i wydawca, wieloletni wykładowca Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Visiting professor The State University of New York at Buffalo (2002). Członek Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Redaktor naczelny kwartalnika filologiczno-artystycznego „Temat”. Przewodniczący kilku kapituł nagród, w tym Prezydent European Medal Of Poetry And Art HOMER. Członek honorowy związków pisarzy Armenii, Bułgarii, Ukrainy, Chorwacji, Macedonii, Czarnogóry, Stowarzyszenia Pisarzy Bałkańskich. Wiersze i eseje publikował w „Twórczości”, „Odrze”, „International Poetry Review” (USA), „Contemporary International Poetry” i „Translations” (Chiny) oraz w dziesiątkach innych periodyków literackich w kilkunastu krajach. Uczestnik wielu międzynarodowych festiwali literackich na pięciu kontynentach, w tym spotkania pisarzy amerykańskich i polskich (Nowy Jork 2000) oraz wymiany międzynarodowej autorów chińskich i europejskich (Pekin 2009). Za twórczość literacką nagradzany w Chinach, Iraku, RPA, Armenii, Bułgarii, Rosji i Macedonii. Odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi RP, Odznaką Honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej i Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Laureat wielu polskich i zagranicznych nagród literackich, między innymi Nagrody Qu Yuana (Chiny 2019).





Małgorzata Masłowiecka, ilustracja do: Małgorzata Dobkowska, *Lotne*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok, 2022

Katarzyna Chomczyk

## Wiśnie

Znudzone dzieciaki rozpełzły się po okolicy jak mrówki z rozdeptanego mrowiska. Szukały zajęcia, podczas gdy ich organizmy skrycie skupiały się na dorastaniu. Długie dni upływały na wałęsaniu się po okolicy i kąpielach w rzece.

My z Iloną nie kąpałyśmy się tamtego lata. Trzymałyśmy się z dala od pozostałych, wybierając obojętne towarzystwo krów na łące pod starą lipą. Przestałyśmy pasować. Nasze ciała zaczęły nagle wzbudzać niezdrową ciekawość. Wraz ze zmianą ich proporcji, zmieniało się to, jak traktowali nas inni. Chłopcy, nagle natarczywi i wulgarni, sprawili, że przestałyśmy czuć się bezpiecznie. Co wieczór modliłam się, by moje piersi nie stały się takie, jak u matki: duże i rozlane. Z trwogą czekałyśmy na krew na majtkach, o której, czasem z wyższością, wspominały starsze siostry Ilony. Sprawdzałyśmy bieliznę po kilka razy dziennie przeczuwając, że to też przydarzy nam się szybciej niż koleżankom z klasy. I już naprawdę nie będzie odwrotu. Zazdrościłam młodszym dziewczynom. Emanowały beztróską, nieświadome zdrady, którą szykowały im hormony. Tylko my dwie wiedziałyśmy – nigdy nie odzyskamy tej swobody.

W sadach dojrzewały wiśnie. Zbierałyśmy ciemne owoce do wielkiej miski, a potem szłyśmy na łąkę, szukając oparcia w wiekowym drzewie. Wkładałam dłonie w mięsistą masę, tak pełną soku, jakby miała za chwilę eksplodować. Ilona krzyczała na mnie, bo je gniotłam, ale miałam to gdzieś. Wyobrażałam sobie, że zagłębiam się w pulsujące ciało, jak chirurg, a potem przyglądałam się poplamionej na bordowo skórze. Czasem udawałam morderczynię i ganiałam moją towarzyszkę dookoła drzewa. Obie wiedziałyśmy, że nigdy jej nie dotknę, bo nie wolno nam było brudzić ubrań, nawet, jeśli były to spłowiałe rzeczy po starszych siostrach, jak u Ilony, lub po kuzynkach, jak u mnie. Kiedy nasyciłyśmy się tą niby-krwią, rozkładaliśmy się w cieniu i garściami napychałyśmy sobie usta. A potem wypływałyśmy pestki, byle dalej, jak z karabinu. Wiśnie były zbyt cierpkie i bolał mnie po nich brzuch, nie lubiłam ich smaku. Ale ten sok i te pestki – warto było.

Lipa już prawie przekwitła, ale wciąż wydzielala słodko-mdły zapach miodu. Trawa ugiwała się od ciężaru

życia, wszystko wokół jazgotało, chrobotąło, brzęczało. Niewidoczne insekty muskały nasze nogi, gryzły karki i uszy. Pasące się krowy przeżuwały ze stoickim spokojem. Znalazłyśmy puszkę po piwie i próbowałyśmy ją przewrócić, strzelając bardzo niecelnie z ust jak z wiatróvky pestkowymi pociskami. Ilona wyszczerzała zęby zabarwione sokiem. Śmiała się, że jest wampirem. Nagle znieruchomiała. Zrobiłam z dłoni daszek nad brwiami i zmrużyłam oczy. Nadchodzili jak chmara szarańczy – straszna, bo nieunikniona. Można było tylko patrzeć, jak się zbliża, jak nie sie ze sobą kłęskę, przetacza się z niszczycielską żarłocznością, a po wszystkim: liczyć straty. Znałam ich wszystkich, chłopaków ze szkoły. Mirek z ósmej klasy szedł na początku, dalej Michałek, Bartek, Rysiek Koziół i kilku innych. Na końcu, jak na doczepkę, ciągnął się Głupi Kazik, który siedział ze mną w jednej ławce.

- Chodźmy stąd – Ilona chwyciła miskę z wiśniami.
- Zostajemy – złapałam ją za rękę.

Jeszcze był czas, żeby się wycofać. W nasze plecy trafiłoby kilka wulgarnych okrzyków, ale uszłybyśmy cało. A jednak nie drgnęłam, choć wcale nie byłam odważna. Jeśli odejdziemy teraz, już nie będziemy miały spokoju. Wygnają nas z każdego miejsca, które sobie znajdziemy, pewni, że mogą brać wszystko, czego chcą, że im ustąpią. Czułam to, dlatego wstałam, zacisnęłam pięści i czekałam na ich nadejście.

– Skąd macie piwo? – wzrok Mirka zatrzymał się na starej puszcze, w którą celowałyśmy pestkami. Reszta chłopaków się śmiała, kilku z nich paliło papierosy, wykradzione starszym braciom lub ojcom. – Najlepsza uczennica... Powiem twojemu staremu, Maryjka. Chyba, że się podzielisz.

- Odwal się – burknęłam. Ilona wsunęła się za mnie.
- Pokażcie, co macie, dziewczyny – chyba faktycznie sądził, że ukryłyśmy alkohol, bo rozglądał się badawczo.
- Wiśnie. Chcesz, to się nimi wypchaj. Puszka jest stara, nie nasza.

– Szkoda – Mirek wyrzucił papierosa i splunął. Był tylko dwa lata straszny, ale wyglądał bardzo dorosłe. Wargi rozpełzły się mu na twarzy w coś na kształt parszywego

uśmiechu. Podszedł bliżej. – Może jakoś się dogadamy. Podobno dajesz za pieniądze. Pokaż cycki, dam ci służbę.

Cofnęłam się, ale tuż za mną stała Ilona. Upuściła miskę i wiśnie rozsypały się na ziemię, a ja poleciałam z hukiem do tyłu, prosto w owocową masę. Chłopcy wybuchli piskliwym śmiechem mutujących głosów. Na moich żółtych spodniach wykwitły bordowe plamy, które na pośladkach i w kroczu zwały się w wielki krwawy ślad.

– Dostała ciotę! Dostała ciotę!

Głosy nade mną wirowały, ręce miałam umazane ziemią i sokiem, a po chwili też czoło, które pobrudziłam odgarniając włosy. Czułam pod sobą wilgoć gniecionych owoców. Kręciło mi się w głowie. Z każdej strony napierały na mnie chłopięce ciała. A może oni wcale się nie ruszali, może to ich śmiech mnie przytłaczał? Widziałam wykrzywione twarze z zaczątkiem zarostu, słyszałam swój płacz, ale ta przerażona dziewczynka w brudnym ubraniu nie mogła być mną. Zerknęłam na moje martwe ręce i przez chwilę wydawało mi się, że jest na nich prawdziwa krew. To trwało wieczność, a ja nie byłam w stanie się ruszyć, jakbym to nie była ja, a ktoś całkiem inny. Wtedy, jak spomiędzy zasłon, wysunęła się do mnie dłoń, a ja bezwiednie ją chwyciłam. Ktoś pomógł mi się podnieść i dopiero wtedy zauważyłam, że to Mirek. Na chwilę jego rysy złagodniały, patrzył na mnie, a ja nie mogłam oderwać od niego wzroku. Miał szare oczy i długie piękne rzęsy. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi, nigdy wcześniej nie przyglądałam mu się w ten sposób. Wydał mi się wręcz ładny, dobry. Ocknęłam się, gdy coś szorstkiego przebiegło mi pod koszulką. To jego brudne palce o obgryzionych paznokciach zacisnęły się na moim sutku.

– No, Maryjka, jesteś już kobietą, pokaż, co potrafisz – odskoczyłam, ale trzymał mnie mocno prawą ręką, podczas gdy lewa macała moje piersi. Szybko wbiłam mu kolano w krocze i wyrwałam się.

– Wypierdalać, skurwysynu, bo cię zajebię gnoju niemoty, a potem rozpiardolę łeb twojemu ojcu i wsadzę kij w dupę twojej matce! Won stąd, brudne małe fiuty! – zacisnęłam pięści pewna, że za chwilę wydarzy się coś najstraszniejszego w moim życiu. Zabiją mnie albo zrobią to, co mężczyźni robili czasem dziewczynom, które wieczorami same chodziły po lesie. To, czym straszyla mnie matka. Ilona gdzieś zniknęła, pewnie uciekła. Na swojej skórze wciąż czułam brudny dotyk. Wstrząsały mną dreszcze. To koniec, uznałam.

– Bładź – Mirek splunął w moją stronę, wyprostował się. Pozostali czekali, żaden chłopiec nie drgnął. Z tyłu stał Głupi Kazik. Wyglądał, jakby nic nie rozumiał.

– Doigrasz się, Maryjka – oblizal palce prawej dłoni, tej, którą przeze mnie miał teraz zabarwioną sokiem z rozniecionych wiśni. Nic więcej nie powiedział. Kiwnął głową i wszyscy, podśmiewając się i ciskając we mnie wyzwiskami, odeszli. Głupi Kazik unikał mojego wzroku.

Patrzyłam, jak zlewali się w niewyraźną masę, żeby w końcu zniknąć za zakolem rzeki. Dopiero wtedy, znowu bezpieczna, usiadłam na ziemi i rozplakałam się. Skurwysynu. Nikt mnie nigdy więcej nie dotknie. Zacznę nosić nóż. Jak mnie matka zobaczy, zabije mnie, tego byłam pewna. Płakałam długo, przysnęłam. Kiedy się ocknęłam, stała nade mną Wanda, matka Głupiego Kazika. Nie wiem, która z nas bardziej się wystraszyła.

– To sok z wiśni – wyszeptalam w końcu, bo zauważyłam, że z przerażeniem lustrowała moje brudne ubranie. Nie odpowiedziała, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Poddalam się, szłam posłusznie, było mi wszystko jedno, co robi, byle tylko nie powiedziała mojej matce. Nie zastanowiło mnie nawet to, że był środek dnia, a ona powinna była być wtedy w pracy. Potrzebowałam, żeby ktoś się mną zajął i ulżyło mi, że to akurat ona, ktoś, z kim moja matka nigdy nie rozmawiała.

Wanda była inna niż kobiety ze wsi. Nie trzymała zwierząt, nawet kur, więc ładnie pachniała, a jej paznokcie były równo pociągnięte lakierem. Zawsze czerwonym. Pracowała na poczcie, niedawno została kierowniczką. Wydawała mi się ważna i mądra, ale inni gadali. Bez rodziny, bez znajomości, co musiała zrobić, żeby dostać taką posesję? Jej niewybaczalnym grzechem było to, że nie miała męża, podobno z własnej woli! Nasze matki jej nie ufaly. Jak baba może poradzić sobie w życiu sama? I to na wsi! A może upatrzyła któregoś z cudzych mężów i skrycie zaginała na niego parol, cała wyfiokowana w obcisłych spódnicach, w skórzanych czółenkach? Chodzi po poczcie jak kłacz po wybiegu i wywija kuprem na prawo i lewo. Suka. Na szczęście Bóg jest sprawiedliwy. Puszczala się nie wiadomo z kim, to ją pokarał takim dzieckiem. Głupi Kazik. Ma za swoje, ściervo. Tak mówiły między sobą sąsiadki, gdy popołudniami schodziły się do nas na herbatę. Miały suche dłonie, przepoczone włosy przykrywały chustkami, stopy chroniły w starych trepach. Śmierdziały oborą, były zmęczone, przedwcześnie postarzałe.

Wanda zabrała mnie do siebie i dyskretnie wprowadziła na podwórko od strony ogrodu. Po chwili stałyśmy w łazience. Zielonej. Wyjęła coś z szafki, zabrała miskę, a potem kazała mi się rozebrać i zostawić ubranie za drzwiami. Wyszła. Było tu mniej miejsca niż u nas i pachniało zupełnie inaczej, czystością. Połowę pomieszczenia zajmowała śnieżnobiała wanna. Nasza była odrapana, upstrzona rdzawymi plamami, choć i tak częściej myśliśmy się w balii, jedno po drugim, żeby oszczędzać wodę. Nie wiedziałam nawet, że taka biel jest możliwa! Wszystko tu było ładne: włochaty dywanik, koronkowa firanka w małym okienku, butelki z kolorowymi płynami ustawione równo na półce. Co ja tu robiłam, taka brudna, z obgryzionymi paznokciami, przesiąknięta zapachem potu moich rodziców jak niezbywalnym znakiem rodowym? Wyobraziłam sobie, że to także moja łazienka. Że jestem jej córką. Byłam tam bardzo długo, tak mi się przynajmniej wydawało. Bezwstydnie oblewałam się ciepłą wodą w takich ilościach, że matka na pewno skrzyczałaby mnie za marnotrawstwo. Powoli wycierałam się ręcznikiem w wymyślne wzorki. Takich ręczników nie sprzedawali nigdzie u nas. Chciałam zapamiętać tę chwilę, zostać tutaj. Zazdrościłam Kazikowi, że ma taką matkę.

Na kłamce, zamiast moich ubrań, wisiała sukienka, za duża. Drzwi wejściowe były uchylone, Wanda siedziała na schodach, paliła. Nasze matki nie paliły. Bardzo chciałam, żeby poczęstowała mnie papierosem, choć miałam dwaście lat i wcześniej wcale o tym nie myślałam. Usiadłam obok, a ona bez słowa podała mi kubek schłodzonego kompotu. Na sznurze powiewały moje spodenki i koszulka.

– Powinno niedługo wyschnąć.

– Dziękuję.

– Plamy z owoców schodzą trudniej. Żeby zmyć krew wystarczy mydło i zimna woda. Tu trzeba było porządnie szorować.

– Dziękuję – powtórzyłam, choć nie wiedziałam, po co to powiedziała. Kompot był słodki, z wiśni. Postawiłam szklankę obok paczki Marlboro i popielniczki, która stała pusta, bo Wanda strzepywała popiół prosto na trawę.

– Wiesz, kiedy urodził się Kazik, bardzo długo marzyłam o córce – nie odpowiedziałam, ale pożałowałam, że trafiłam się mojej matce, a nie jej. To ja mogłam być jej córką, wymarzoną. – Ale może to dobrze – dodała po chwili. – Chłopakom jest łatwiej. Dużo łatwiej.

– Wiem, mam trzech braci.

– Poproś matkę, żeby kupiła ci stanik. Dni, kiedy mogłaś chodzić w samej koszulce masz już za sobą – kiwnęłam głową, ale wiedziałam, że tego nie zrobię. Nie chciałam być jak te wszystkie kobiety, które co wtorek na bazarze przymierzały biustonosze przy stoisku. Na oczach wszystkich upychały piersi do wielkich usztywnianych miseczek. Sprawdzały obwód, usiłując zapiąć haftki

na wzorzystych bluzkach tak, że na plecach formowały im się fałdy. Nie mogłam stać się jedną z nich. Wanda na pewno nie kupowała bielizny ze stołu.

Sięgnęła po kolejnego papierosa. Była tak inna od reszty kobiet, które mnie otaczały, że wydawała mi się jak z telewizji. Nawet mówiła inaczej, tak twardo, bez miękkiego akcentu. Nie „po naszemu”. Jej profil był ostry, wyrazisty. Nie wiem czy świadomie, ale często zagryzała wargi, jakby bała się, że z ust wymkną się jakieś nieprzemyslane słowa. Miała gęste, ciemne włosy, teraz domyślałam się, że farbowane. Zwykle upinała je w ciasny kok, przez co wyglądała starzej i bardzo surowo, ale teraz luzem opadały na plecy. Kiedy poruszyła głowę, ciemna firanka rozchyliła się na chwilę i zobaczyłam na szyi czerwony ślad, jak po ugryzieniu.

– Czy wśród nich ... czy Kazik był z nimi? – Przelknęłam ślinę, udawałam, że nie rozumiem.

– Z kim?



foto. Valentin Salja / Unsplash

– Z tymi, którzy ci to zrobili – nigdy nie widziałam, by ktoś tak długo wydmuchiwał dym.

Potrząsnęłam głową, a ona dopiero wtedy odwróciła się w moją stronę, zaczęła mi się przyglądać, jakby zastanawiała się, czy mówię prawdę. Po chwili jej rysy złagodniały, postura się rozluźniła. W życiu nie byłam tak zadowolona, że skłamałam.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Większość mężczyzn to prostackie gnojki. Nieważne, czy mają dziesięć, trzydzieści, czy siedemdziesiąt lat – zgasła papierosa, podniosła się i podeszła do sznura na bieliznę. – Już prawie suche!

Na spodniach nie było śladu. Odetchnęłam. Znowu stałam się w zielonej lazience. Ubrania pachniały przyjemnie. Rozejrzałam się jeszcze, chciałam wszystko zapamiętać: kolor płytek, miękkość dywanika, wielką wannę. Jak będę duża, też się tak urządę.

Zamykając bramkę stwierdziłam ze smutkiem, że już nigdy tu nie wrócę. Gdyby moja matka się dowiedziała, gdzie spędziłam popołudnie ... Właściwie nie wiem, co by zrobiła. Spuściłaby mi lanie? A może kazałaby mi

wszystko dokładnie opowiedzieć, czujna na każdy szczegół, za który mogłaby jeszcze bardziej zniechęcić tę kobietę? Nie powiem nikomu, że tu byłam. Nikt na to nie zasługuje.

– Poczekaj! – Wanda wybiegła za mną, kiedy zanurzałam się w niewidoczną między wysokimi trawami ścieżkę. Zamarłam, ścisnęłam rękę w kieszeni. – Kiedy naprawdę przyjdzie ten czas – wcisnęła mi w ręce miękką paczkę w czarnej ścierce. – Uważaj na siebie, Maryjka. Nie jesteś już dzieckiem.

Wpatrywałam się w rozduszone wiśnie, które kilka godzin wcześniej przyczyniły się do mojego upokorzenia. Obok, na rozłożonej czarnej chustce, białe podpaski. Podpaski! Towar nieosiągalny wtedy dla zwykłego człowieka. Proste kobiety używały waty.

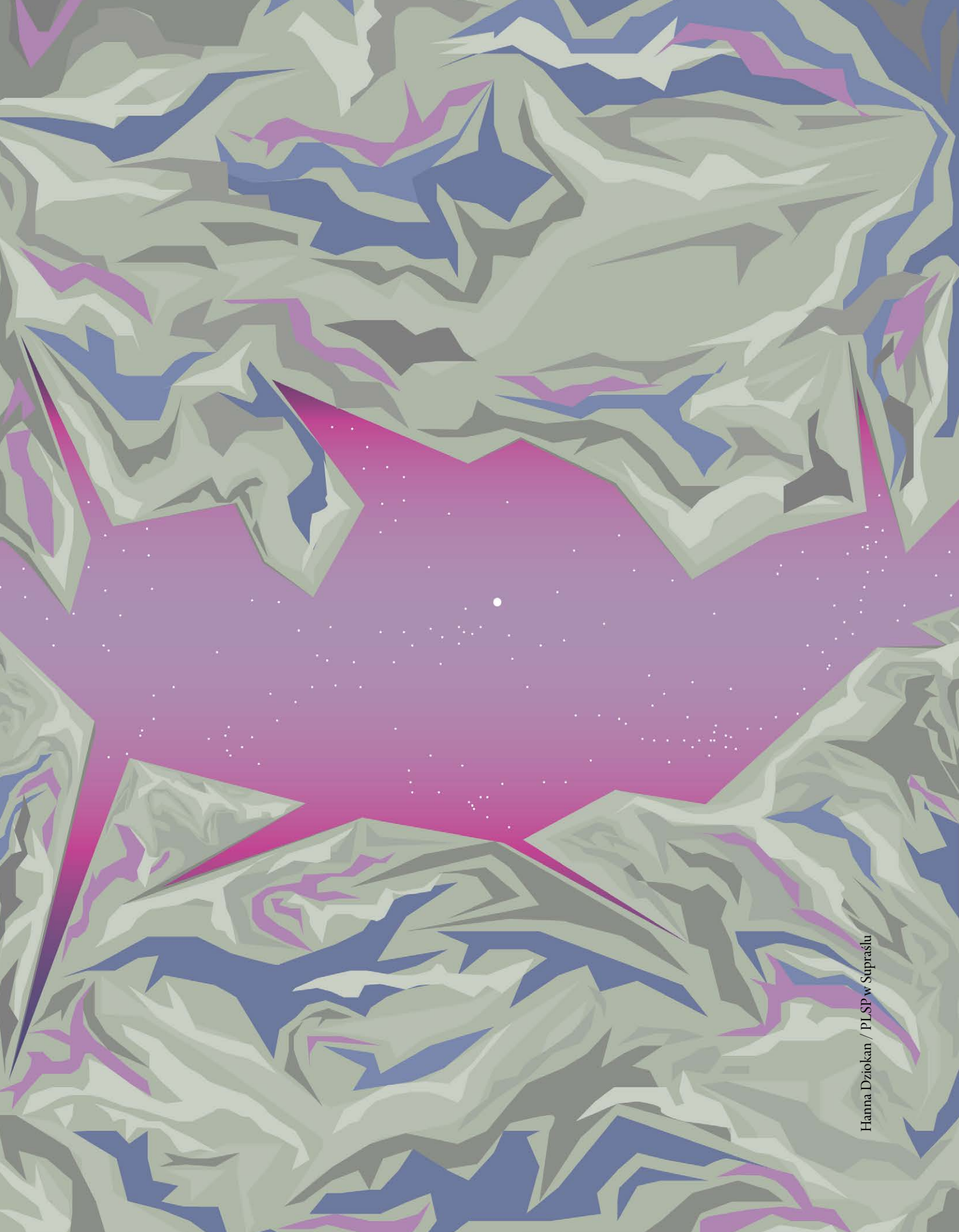
Wanda miała rację, nie byłam już dzieckiem, już się tak nie czułam. Tylko kim stałam się teraz? Między palcami trzymałam tłacę się Marlboro. Krztusiłam się, ale próbowałam wydmuchiwać dym powoli, długo, jak ona. Szara smuga unosiła się przez chwilę wokół mnie, a potem rozplywała w gałęziach starej lipy. Obojętne krowy przeżuwały trawę.

## KATARZYNA CHOMCZYK

– autorka opowiadań, słuchowisk i dramatów. Absolwentka filologii hiszpańskiej i gender studies. Ukończyła Kurs Kreatywnego Pisania w Państwowej Akademii Nauk. Jej słuchowisko „Papierówki” zajęło pierwsze miejsce w konkursie PAN na najlepszy scenariusz. Dużo czasu spędziła za granicą. Choć lubi podróże, w sercu pozostaje dumną Podlasianką, którą losy zaprowadziły do Warszawy. Nie boi się wyzwań: pracowała między innymi w fabryce czajników i tureckim sklepie z diamentami.



fot. archiwum prywatne autorki



Mira Serafin

## Sinobrody

Odkąd pamiętam w mieszkaniu panował półmrok. W zimie matka oszczędzała prąd – paliły się tylko wysokie stojące lampy, nigdy górne światło. W lecie żaluzje były spuszczone do połowy okna, żeby mieszkanie się nie nagrzewało. Mniej więcej od dwunastego roku życia obiecywałam sobie, że kiedy wyjadę z domu na studia, już do niego nie wrócę. Na piątym roku zaszłam w ciążę, a wielka miłość stała się wspomnieniem. Obawiając się zamknięcia w wypalonym, pozbawionym miłości związku wróciłam do ciemnego mieszkania mojej matki. Nigdy nie usłyszałam słowa pretensji czy wyrzutu, przeciwnie, zostałyśmy z Hanią powitane z radością. Nawet ojciec dziecka dostał swoją kanapę z rudym kocem – żeby mógł swobodnie odwiedzać córkę. Matka nieraz powtarzała, że za to, co dla mnie robi, za przyjęcie mnie z dzieckiem i pomoc w jego wychowaniu powinnam z wdzięczności codziennie całować ją po rękach. Że powinnam stulić pysk i cieszyć się, że mam dom, darmową niańkę i możliwość rozpoczęcia pracy. Zgadzam się, a mimo to nigdy nie umiałam się z nią komunikować inaczej niż warcząc.

Mniej więcej kiedy Hania miała roczek poznałam mężczyznę, w którym się zakochałam. Starszy o piętnaście lat, rozwiedziony ojciec dwójki nastoletnich dzieci. Dojrzały i rozważny. Kiedy powiedziałam o nim matce, usłyszałam to, co zwykle. Że to nie jest czas na romanse i miłości. Że mam mieszkanie, pracę i cudowne dziecko, i na tym powinnam się skupić. Że dla mnie przyjdzie jeszcze czas, a teraz mam zająć się tym, co najważniejsze, czyli wychowaniem Hani. Że ona się na ten świat nie prosiła i należy jej się niepodzielna miłość matki. Że jak ja to sobie wyobrażam, kiedy zamierzam się w ogóle spotykać z tym gościem, skoro pracuję, po pracy czasem mam jeszcze korepetycje, mnóstwo sprawdzianów i prac do poprawiania. Że chyba nie chcę znowu

zajść w ciążę i sprowadzić na świat kolejnego dziecka, które nie uświadczy normalnej rodziny. Przez pół roku po cichu, z ciężącym jak kamień poczuciem winy, spotykałam się z Pawłem na krótkie spacerunki i szybkie obiady po pracy. Raz udało nam się wyjechać na weekend, powiedziałam matce, że jadę na wycieczkę zorganizowaną dla nauczycieli. Nie spałam przez te dwie noce, przed oczami miałam obraz porzuconego, nieszczęśliwego dziecka, które skręca się z bólu w tęsknocie za matką. Czulałam, że jestem potworem, skoro dla jakiegoś faceta zostawiłam moje małeństwo. W uszach słyszałam słowa matki, gdyby dowiedziała się, gdzie naprawdę jestem. Że jestem obrzydliwa, skoro wolałam pojechać się z kimś pieprzyć niż tulić swoje dzieciątko, że fuj, ona nie może na mnie patrzeć. I jej łamiący się głos.

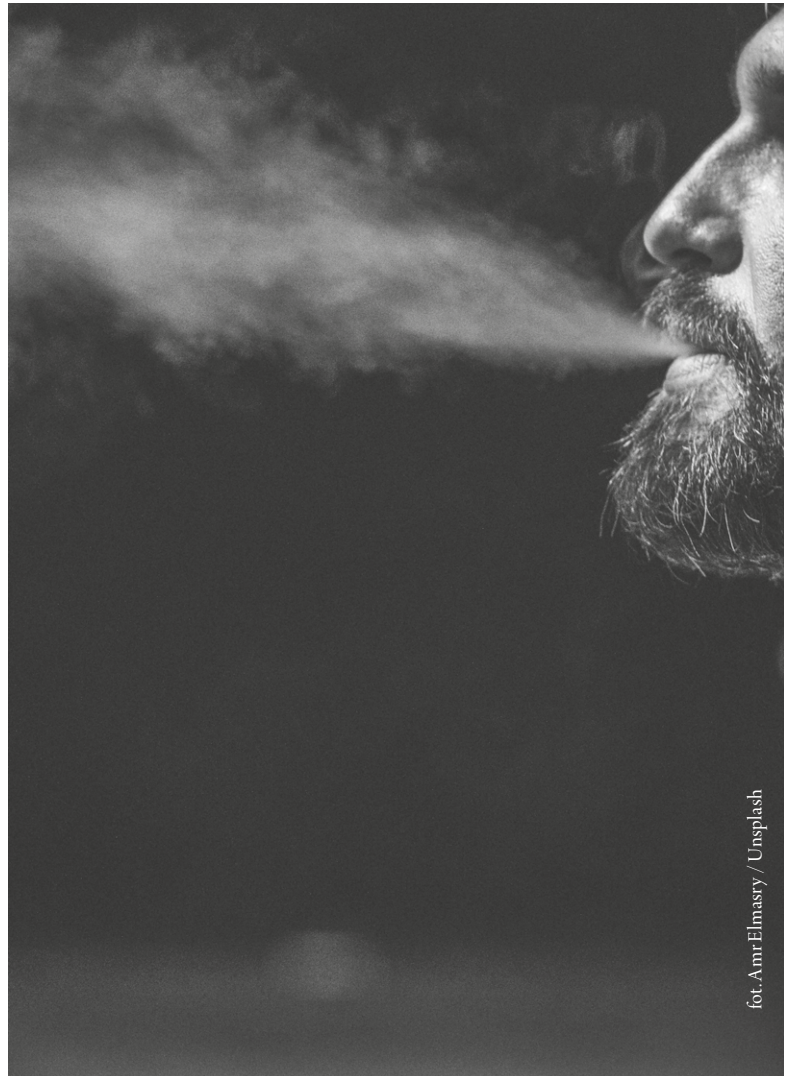


foto: Amir Elmasy / Unsplash

I żebym wzięła natychmiast Hanię na spacer, bo dziecko tęskniło się za matką. I żebym więcej nie robiła takich rzeczy.

Po pół roku pełnej ekscytacji, pożądania i poczucia winy znajomości przyprowadziłam Pawła do domu. Kiedy chciał przywitać się z matką, ta obrzuciła go z góry na dół pogardliwym spojrzeniem i wyszła na balkon. Przez kolejne miesiące czułam, jakby mieszkanie napełniło się jakimś dziwnym światłem. Razem z Pawłem i Hanią jeździliśmy na wycieczki albo zostawaliśmy u nas lub u niego i budowaliśmy ciuchcie, wieże i zamki z drewnianych klocków. Ten czas wypełniał głośny, szczerzy śmiech Hani. Matka gdzieś zniknęła. Kiedy wchodziłam do kuchni, wydawało mi się, że oglądam niemy film – aktor robi dziwne miny i przewraca oczami, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Zanim pojawiły się napisy, wyjaśniające, co chciał przekazać, zdążyłam już zmienić program.

Kiedy przyszła wiosna, Paweł zaczął więcej pracować. Potem nagle zgłosił się do poprawiania matur. Byłam zaskoczona, bo zawsze twierdził, że ta robota się nie opłaca. Potem jego córka Natalia miała jakieś problemy z chłopakiem, więc chciał z nią spędzić więcej czasu. Proponowałam, żebyśmy gdzieś pojechali wszyscy razem, ale on tłumaczył mi, że to jest między nim a jego córką. W maju spędziliśmy razem nie więcej niż pięć dni. Wieczorami, kiedy Hania już spała, chodziłam po kuchni i szukałam słodyczy albo co chwilę wychodziłam na balkon. Potrafiłam w jeden wieczór spalić paczkę papierosów. Próbowalam dozwonić się do Pawła, ale on nie odbierał, tylko odpisywał, że zadzwoni jutro, że mnie kocha i żebym się nie martwiła, bo po prostu jest zavalony robotą. Matka zamykała się w swoim pokoju – kiedy chciałam z nią porozmawiać, mówiła, że przez ostatnie miesiące to ja byłam ciągle zajęta, więc teraz ona ma swoje sprawy. Raz, kiedy stała w kuchni i widziała, jak pochłaniam kolejne porcje czekolady zapytała z uśmiechem, czy teraz dam sobie spokój z romansami, bo widzę, jak to się wszystko kończy. Że kiedyś spotkam mężczyznę, który się ze mną ożeni, a do tego czasu powinienam się zająć Hanią i pracą. Że może faktycznie mogłabym zacząć pisać doktorat, że w zasadzie ona mogłaby mi pomóc przy dziecku. Tylko że to by wymagało ode mnie dyscypliny i samozaparcia, a nie znowu szukania sobie miłości.

Dokładnie dwanaście lat temu matka stała w tym samym miejscu w kuchni, z tym samym uśmiechem. Wróciłam wtedy zapłakana z nocowania u koleżanki, na którym dziewczyny zaczęły mnie wypytwać, dlaczego nie mam ojca i zastanawiać się, jak się nazywa taka sytuacja.

Jedna powiedziała, że jej matka mówiła, że jestem sierotą. Powiedziałam rodzicom Izy, żeby zadzwonili do mojej mamy i poprosili ją, żeby przyjechała. Potem matka pocieszała mnie, tuliła i nawet zamówiła pizzę. Powiedziała mi też, żebym dała sobie spokój z szukaniem towarzystwa, tylko zajęła się nauką, bo jestem mądra i utalentowana. Że te dziewczyny nie dorastają mi do pięt, tylko muszę w końcu uwierzyć, że szczęścia nie znajdę uzależniając się od ludzi. Pół roku później wygrałam ogólnopolski konkurs na opowiadanie w języku obcym. Matka była ze mnie dumna.

Ktoregoś wieczoru stałam na przystanku w wiosce pod miastem, gdzie miałam uczennicę i czekałam na spóźniający się autobus. Było ciepło i cicho, nikt nie czekał razem ze mną. Niedługo zaczynało się lato i mimo późnej pory, zmierzch jeszcze nie zapadł. Spokój otoczenia jeszcze wzmacniał moje wewnętrzne rozdrażnienie. Czułam, jakby coś w środku nie chciało już wytrzymać i siedzieć spokojnie. Jakaś mała dziewczynka ubrana w białe podkolanówki i różową sukienkę w kwiatki stoi grzecznie obok mamy w kościele, panie siedzące obok posyłają jej pełne zachwyty spojrzenia, mama, dumna ze swojej córki głaszcze ją po elegancko uczesanych włosach, a ona nagle zaczyna płakać, krzyczeć, wrzeszczeć, potem zdiera z włosów gumeczki ozdobione kwiatkami i rzuca nimi w matkę. Wszyscy patrzą zażenowani. Młodsze kobiety posyłają kobiecie pełne współczucia spojrzenia, starsze patrzą z niesmakiem, ktoś z boku mówi, żeby matka wyprowadziła z kościoła małą furiatkę, bo inni chcą się tu modlić. Albo niepewna nastolatka, siedzi przy stoliku w pubie na pierwszej randce w życiu. Powiedziała chłopakowi, że napiłaby się coli, a on przynosi jej piwo i mówi, że po odrobinie alkoholu będzie się im lepiej gadało, ona wypija łyk, potem drugi, czuje w ustach gorzki smak i nagle, nie wiadomo dlaczego oblewa chłopca przyniesionym przez niego piwem i wychodzi. Potem płacze, bo wie, że on już nie zadzwoni.

Autobus był pusty, jechał szybko – o tej porze na ulicach nie ma już ruchu. Miałam wrażenie, jakby wszystko i wszyscy poszli już spać, tylko ja po coś wyszłam na ulicę, gdzieś bez sensu jechałam, potem szłam. Minęłam mieszkanie matki, nie mogłam wrócić do tego mroku i wyciągniętych łapek Hani, nie zniosłabym jej uścisku. Usiadłam w ogródku jakieś knajpki i zamówiłam największą pizzę. Słyszałam, jak w torebce dzwoni telefon, ale coś nie pozwalało mi po niego sięgnąć. Jadłam powoli, a może szybko, musiałby to ocenić ktoś siedzący obok – dla mnie czas na przemian zwalniał i przyspieszał między małą



dziewczynką w różowej sukience, a nastolatką z nierówno ostrzyżonymi włosami, zahaczając o jakieś pośrednie formacje bez biustu, z biustem, ważące 30, 50, 65, znowu 50, 70, 60 kg. Czułam w ustach ostry smak pizzy, wiedziałam, że moje zęby rozszarpują kawałki mięsa, a ślina robi z ciasta bezkształtną papkę, ale brzuch i żołądek pozostawały puste. Jakby jakimś cudem oddzieliły się od reszty ciała. Patrzyłam tępo przed siebie i pochłaniałam kolejne kawałki. W pewnym momencie moje palce natknęły się tylko na gładką powierzchnię talerza. Kiedy wstałam, poczułam, jak ciężka się zrobiłam. Brzuch rozsadzał wąską sukienkę, jedzenie podchodziło do gardła.

Niepewnie ruszyłam w stronę centrum miasta. Moja świadomość chyba ostatnia dowiedziała się, gdzie idę. Musiałam wyglądać okropnie, kiedy stanęłam przed Pawłem w jego przedpokoju, bo gdy tylko mnie zobaczył, zapytał, czy jestem pijana. Przez chwilę staliśmy bez słowa, a potem wylała się ze mnie cała kaskada żalu, pretensji, rozpaczy, szłochu i wściekłości. On nie chciał rozmawiać, powiedział, że najpierw muszę się uspokoić. Próbował odprowadzić mnie do drzwi, ale wyrwałam się i żądałam odpowiedzi, określenia, nazwania, zdefiniowania tego, co jest między nami. Usłyszałam, że potrzebuję go tak bardzo, że on czasem nie może tego znieść, że czuje litość i pogardę jednocześnie, i wtedy muszę mu zniknąć z oczu, żeby te uczucia mogły się schować, bo inaczej musiałby mnie znienawidzić. W jego oczach była złość i czułość jednocześnie, jakby chciał mnie przytulić, ale wiedział, że rozkapryszonemu, roszczeniowemu dziecku trzeba postawić granice. Odwróciłam się i wbiegłam do łazienki. Zanim zdążyłam dobiec do ubikacji, z moich ust wypłynęła kaskada śmierdzących wymiocin. Paweł stał w drzwiach i patrzył na mnie z obrzydzeniem. Wstałam, spojrzałam na jasne płytki pokryte gęstą, cuchnącą zawiesiną, odwróciłam się i wyszłam.

Obudziłam się w pustym pokoju. Hania musiała już pójść do matki. Wiedziałam, że zaraz usłyszę, że wróciłam późno, a dziecko całe popołudnie na mnie czekało, że powinnam przynajmniej wstać wcześniej, skoro mam wolny dzień i wziąć Hanię na spacer, że ona jak zwykle musiała zrobić mojej córce jeść, mimo że jest stara i zmęczona, że chyba sobie nie wyobrażam, że na wakacjach też tak będzie, że wakacje to czas, kiedy nie mam pracy i w całości powinnam ten czas poświęcić dziecku.

W mieszkaniu matki żyłam w dwóch światach. Jeden był ciemny, ze słabo świecącymi lampami i spuszczoneymi

nisko żaluzjami – tu wciąż rządziła matka, a ja nigdy nie byłam dość dobra, niezależnie od tego, ile konkursów z języków obcych i matematyki wygrałam między dwunastym a osiemnastym rokiem życia, niezależnie od bardzo dobrych wyników na studiach, a potem opinii zaangażowanej i kompetentnej nauczycielki angielskiego i hiszpańskiego w dobrym liceum, bez względu na to, z jaką troską i oddaniem zajmowałam się moją małą córeczką. W oczach matki zawsze za bardzo uzależniałam się od ludzi i za bardzo pragnęłam miłości mężczyzny – to oznaczało, że jestem słaba i żalosna, i że marnuję swój wielki talent. Ale był też drugi świat – ten był jasny i pogodny, wypełniony świetlistym śmiechem, tu byłyśmy tylko ja i Hania. Mogłam wysłuchiwać nieustannego utyskiwania matki, wiedząc, że za chwilę zamkną się drzwi do naszego – Hani i mojego – pokoju albo wsadzę ją do kolorowego wózka i pójdziemy na długi spacer po parku. Kiedyś, podczas jednej z wizyt ojca Hani, siedzieliśmy razem na kanapie i zachwyceni wsłuchiwalismy się w jej radosny śmiech. Zapytał wtedy, czy nie żałuję, czy gdybym mogła, cofnęłabym czas. Bez wahania odpowiedziałam, że nie, że kiedy jestem z naszą córeczką, nawet ta ciemna klatka nie jest tak straszna. Po raz kolejny zapytał, czemu nie chcę się przeprowadzić z powrotem do Torunia, że przecież on tam będzie i zajmie się Hanią, a ja na pewno znajdę pracę, tak jak tu znalazłam. Wtedy przypomniałam sobie ten potworny lęk, kiedy jeszcze przed poznaniem Pawła znalazłam mieszkanie do wynajęcia i chciałam się tam przenieść. I słowa matki, że jako młoda nauczycielka nie utrzymam się z dzieckiem i przyjdzie w końcu opieka, i mi je zabiorą, i że u niej mam wszystko i powinnam się cieszyć, a nie zawracać sobie głowę, i że póki ona żyje, mogę jeszcze napisać doktorat, bo potem, to już nikt mi nie pomoże. Doktorat był mi obojętny, mieszkać mogłam w małej klitce, ale ta myśl, że ktoś mógłby mi zabrać Hanię! Więc żyłam z matką i oszczędzałam każdy grosz. Jakaś racjonalna część mnie wiedziała, że te moje lęki są bzdurne i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Bywały takie chwile, kiedy czułam to bardzo mocno, kiedy byłam świadoma swojej siły i nie potrzebowałam nikogo, kto by to potwierdził. Ale potem, jakbym się kurczyła, karłała. Strach powoli rozchodził się po moim ciele jak trucizna, w końcu myślałam tylko o jednym, żeby usiąść z matką przy stole, napić się herbaty i opowiedzieć, co dobrego i wartościowego dziś zrobiłam, a ona może w końcu powie, że to już ostatnie zadanie, które przede mną postawiła i teraz jestem już wolna.

Nie chciałam myśleć o tym, co stało się wczoraj. Wstałam i poszłam do kuchni. Hania z matką mieszały coś w garnku, chyba ciasto na naleśniki. Przy stole siedział Paweł i pił kawę. Matka i on po raz pierwszy razem w jednym pomieszczeniu. Matka powiedziała, żebym włączyła Hani piosenki i wsadziła ją do kojca, i przyszła z nimi porozmawiać. Okazało się, że powinnam być wdzięczna Pawłowi, bo po tym, co poprzedniego wieczoru zrobiłam, każdy normalny chłop by mnie zostawił, ale że on chce mi pomóc, bo widzi, że coś się ze mną dzieje, że ona – matka – opowiedziała mu o mnie, że od dziecka byłam dziwna i kłopotliwa, że muszę przestać osaczać Pawła i zająć się swoją pracą naukową, a oni będą pilnować, żebym nie rozpraszała się i panowała nad emocjami, że Paweł z dziećmi jadą na dwa tygodnie na Mazury, i jeżeli będę opanowana i spokojna, być może będę mogła z Hanią do nich dołączyć na dwa, trzy dni, i żebym teraz szybko się ubrała, bo pojedziemy wszyscy razem pochodzić gdzieś po lesie, żeby się uspokoić, a potem mam dać Pawłowi spokój już do końca roku szkolnego, bo będzie miał huk roboty.

*W Białych nocach* Dostojewskiego jest Nastienka, którą babcia przypina agrafką do swojej sukni, żeby ta nie mogła jej nigdzie uciec. Ale Nastienka skrycie prosi lokatora, żeby ją zabrał od babki, a potem co noc wychodzi na most i na niego czeka. Żebym ja chociaż mogła na coś czekać! Żebym mogła mieć nadzieję, że coś się zmieni, że jest ratunek, wyjście, choćby wąski podziemny tunel, przez który mogłabym przejść na drugą stronę! A teraz jest już nie jeden, ale dwóch strażników, rzucają sobie klucz do mojej klatki i śmieją się szyderczo. Karmią mnie ptasim mleczkiem i bezą, żeby potem smakować co tłustsze kawalki. Matka i Paweł przy suto zastawionym stole, wgrzają się w soczyste mięso, miękkie owoce, a przed nimi danie dnia – skrepowana sznurami, bo jeszcze się rusza, zakneblowana czerwonym jabłkiem, potrawka z kogoś, kto kiedyś był córką i kochanką.

Kiedy Paweł odwiedził nas do domu, zapytałam, czy wejdzie na kolację. Powiedział, że musi jechać. Zapytałam, czy pojedziemy do kina, bo wchodzi parę dobrych filmów. Powiedział, że słyszałam, że do końca roku szkolnego musi mieć czas dla siebie, żebym nie zaczynała znowu prosić, bo robię się w tym żalosna. Przytuliłam się do niego, a on pocałował mnie krótko, wsiadł do samochodu i odjechał. Nie chciałam spojrzeć na matkę. Wiedziałam, że w jej twarzy zobaczę satysfakcję. Zacisnęłam usta

i weszłam do mieszkania z Hanią na rękach. Zamknęliśmy się w pokoju. Gdybym mogła, postawiłabym za moimi drzwiami wielki mur. Albo najlepiej zamurowałabym matkę w jej ciemnym pokoju, żeby poczuła się jak ja. Słuchałabym jej krzyków, prośb, błagań, drapania w ściany, wyobrażałabym sobie, że jej ręce od uderzania w twardą cegłę są już podrapane do krwi. I powiedziałabym jej, że, jeżeli będzie spokojna i opanowana, to na dwa, trzy dni ją wypuszczę.

Kiedy Hania zasnęła, położyłam się, ale wściekłość nie pozwalała mi zasnąć. Nie mogłam wyjść do kuchni ani na balkon, bo natknęłabym się na matkę. Leżałam w ciemności letniej nocy. Wzięłam telefon, żeby napisać do Pawła, żeby raz jeszcze poprosić o jego miłość, żeby znowu upokorzyć się i wywołać w nim odrazę, obrzydzenie, wstręt. A potem nagle palce same wybrały zupełnie inny numer.

Kiedys w Toruniu, w letnie wieczory, kiedy czułam cudowną, nieskrepowaną wolność, chodziłam na długie spacerunki po mieście. Czasem zatrzymywałam się w zatłoczonych knajpach i chłonołam woń przyjemności, wspomnienia, zmysłowego flirtu, zabawy z własną cielesnością. Kiedy siedziałam sama przy stoliku, przy szklance mrożonej herbaty, podchodzili do mnie różni ludzie. Niektórzy myśleli, że szukam szybkiego seksu. Nie szukałam. Kilka razy jednak ciekawość zwyciężyła i szłam do oddalonego zaledwie o parę przecznic mieszkania z jakimś przystojnym lub brzydkim brunetem albo blondynem. Nie umiałam rozpałcić w swoim ciele ognia podczas tych krótkich chwil udawanej ekstazy. Ale odnajdywałam w tym wolność. Czułam, że moje sprężyste ciało należy do mnie, że mogę z nim zrobić, co chcę – być może nie mogłam się zatracić w cielesnej przyjemności, żeby go nie utracić na rzecz kogoś obcego człowieka.

Pewnego wieczoru zaczęłam rozmawiać z przystojnym mężczyzną w średnim wieku, który następnie przedstawił mnie swoim znajomym. Wtedy poznałam Marka. Potem, kiedy o nim myślałam, nie byłam w stanie przypomnieć sobie, jak wyglądał. Nie umiałabym nawet powiedzieć, czy mi się podobał czy nie. Zapamiętałam tylko wrażenie. Kiedy opowiadał dowcip i nikt się z niego nie śmiał, on nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu. Jakby to, co myślą inni nie istniało, nie liczyło się. Kiedy się nudził, po prostu wstawał i wychodził – bez żadnych tłumaczeń, bez przeproszenia, bez spotkania się wtedy i wtedy. Kiedy podobala mu się jakaś dziewczyna, podchodził i zaczynał z nią tańczyć. Kiedy stałam blisko i słyszałam, jak jedna powiedziała mu, że przy stoliku siedzi jej chłopak. Powiedział,

że szkoda i tańczyli dalej. Widywaliśmy się co parę miesięcy przez trzy kolejne lata. Któregoś razu wymieniliśmy się numerem telefonu – ani on ani ja nigdy nie zadzwoniliśmy. Parę razy ze sobą tańczyliśmy, ale nie sądzę, by on mógł to pamiętać.

Tej nocy, kiedy leżałam w wypełnionym ciemnością i oddechem Hani pokoju, zadzwoniłam do Marka. Zdziwiłam się, że odebrał telefon i że mnie pamiętał. Nie umiałam mu wytłumaczyć, dlaczego właściwie odzywam się w nocy, parę lat po tym, jak się ostatni raz widzieliśmy. Może usłyszał moją rozpacz i wściekłość, a może po prostu tak miał, ale zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że mieszka w Gdańsku, a więc jakieś pięćset kilometrów ode mnie, ale że co tam, żebym przyjechała.

Przy śniadaniu powiedziałam matce, że w Trójmieście są dni literatury iberyjskiej i że pojedę, żeby nawiązać jakieś kontakty, może spróbuję się w tłumaczeniu, generalnie, że wyjeżdżam zaraz po zakończeniu roku szkolnego, czyli za pięć dni.

Po apelu dyrektora, jak gdyby nigdy nic wyszłam z sali gimnastycznej. Na korytarzu złapał mnie Paweł, poprosił żebym zaczekała na niego po rozdaniu świadectw, to pójdziemy na jakiś obiad. Kiedy popatrzyłam mu w oczy, poczułam, jakbym go nigdy nie spotkała, jakby przede mną stał zupełnie obcy mężczyzna. Nie czułam już wobec niego złości, nie czułam też miłości, tęsknoty, nie miałam ochoty, żeby mnie tulił i całował, jak to było zazwyczaj podczas naszych spotkań. Czułam się jak Kaj, którego serce staje się bryłą lodu, obojętne, zamrożone, bez czucia. Nie myślałam o rozstaniu z Pawłem, chciałam założyć z nim rodzinę, razem zamieszkać i wychowywać wspólne dzieci. Tylko czułam się tak, jakby wyrwano mi ząb, a dziąsło było cały czas znieczulone. Odparłam, że przykro mi, ale nie możemy się spotkać, bo zaraz po wyjściu ze szkoły jadę nad morze, że to takie krótkie, trzydniowe wakacje, żeby się trochę uspokoić, że wymyśliłyśmy to z mamą, bo faktycznie nie-dobrze było ze mną ostatnio.

Wróciłam do domu tylko po to, żeby się przebrać i ucałować Hanię – nie będziemy się widziały przez trzy dni. Włożyłam luźne lniane spodnie i sandały dla wygody – czekało mnie kilka godzin w samochodzie. Spakowałam się do niewielkiego plecaka, tylko kosmetyki i dwie lekkie sukienki. Wzięłam Hanię na ręce i przytuliliśmy się mocno. Powiedziałam, że za dwa dni wracam i że w tym czasie będzie się bawić z babcią. Ale ona nie chciała mnie puścić. Zazwyczaj, kiedy wychodziłam z domu była spokojna, jakby

wiedziała, że za chwilę do niej wrócę. Często stała z matką w oknie i machała mi z uśmiechem. Tym razem oplotła moją szyję mocno ramionkami i zaczęła bardzo głośno płakać. W pewnym momencie płacz stał się tak intensywny, że Hani trudno było złapać oddech. Wtedy matka kazała mi natychmiast wyjść i nie drażnić malej. Jednym stanowczym ruchem oderwała ode mnie dziecko. Szybko otworzyłam drzwi i wybiegłam na korytarz. Schodząc, nadal słyszałam rozpaczliwy, spazmatyczny płacz. Zanim wsiadłam do samochodu, spojrzałam w okno. Matka stała trzymając na rękach wyrrywającą się do mnie Hanię. Jej mała buźka była wykrzywiona grymasem okropnego żalu i smutku. Na moment zawahałam się – po co wybieram się na drugi koniec Polski, do człowieka, którego tak naprawdę wcale nie znam i zostawiam w rozpaczliwym kogoś, kto mnie kocha i potrzebuje?! Co za pustka jest we mnie, niepozwalająca mi żyć w codzienności i realności, być niezależną i wolną, obdarzać miłością kogoś, kto tej miłości potrzebuje jak tlenu? Zrobiłam szybki zwrot na pięcie i już byłam w samochodzie, a za chwilę wyjeżdżałam z dusznego, ciasnego osiedla.

Nie chciałam o niczym myśleć i niczego czuć. Przez te ostatnie dni czucie bolało jak cięcie skóry nożem. Ostry, piekący ból. Ból, który wyrывa ze snu w środku nocy, a potem nie daje zasnąć, który otumania swoją ogarniającą całe ciało i umysł mocą, i który niespodziewanie przywraca do rzeczywistości, przywołując na myśl ostatni grymas twarzy Pawła, dziką satysfakcję w oczach matki, szloch i rozpacz na malutkiej twarzy Hani. Przez całą drogę do Warszawy lzy nieprzerwanie ciekły mi po twarzy, na policzkach czułam ich ciepło, a w ustach słony smak. Raz zatrzymałam się w przydrożnym McDonalddie, zamówiłam hamburgera i frytki, ale nie mogłam nic przelknąć. Żołądek domagał się pokarmu, umysł mówił, że na niego nie zasłużyłam. Kobieta, która zostawia skręcające się w rozpaczliwym dziecku nie zasługuje, żeby jeść. Zasługuje tylko na słony smak lez. Kiedy wyjeżdżałam z parkingu, na chwilę oprzytomniałam. Pomyślałam, że jeżeli natychmiast nie zawrócę, zniszczę wszystko. Jeżeli teraz pojedę do tego obcego, ekscytującego mężczyzny, dla którego nic nie znaczę, nie będzie już powrotu do Pawła. Mimo wszystko włączyłam kierunkowskaz w prawo i dalej jechałam na północ. Kiedy za Warszawą wjechałam na autostradę, odłączyłam się. Jakby wywalilo korki. Być może siła przekazywania impulsów w komórkach nerwowych była w ostatnim czasie tak duża, że coś się przepaliło. Twarz i oczy wyschły, po łzach został tylko słony posmak na ustach i piekące laskotanie

na policzkach. Nie myślałam o tym, co było moim życiem jeszcze dziś rano. Ból zniknął. Podkręciłam na maksa lecącego z płyty Franka Zappę. W jego szalonych piosenkach nie było emocji, tylko jakaś bezsensowna płatanina, rozedrganie, burza, huragan. Czułam się jak ta muzyka. Wcisnęłam mocno pedał gazu, błyskawicznie zmieniałam pas; prawy – lewy – wyprzedzam – prawy – lewy – wyprzedzam – prawy, jakbym robiła jakieś szalone wężyki, silne, głośne, kolorowe. Pomyślałam, że jeżeli ktoś z lewego pasa na mnie najedzie, kiedy zaczynam wyprzedzać, to przy tej prędkości nawet nie poczuje, jak umieram, że może nawet już umarłam, dlatego nie czuję bólu. Ta myśl spowodowała jakiś gwałtowny wybuch śmiechu, przez kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt kilometrów jechałam, nie mogąc przestać się śmiać. Stałam się głośną, chaotyczną kakofonią dźwięków.

Drogę z Warszawy do Gdańska przejechałam w jakieś trzy godziny, nie zapominając w międzyczasie zatankować. Po wysokich, krętych schodach starej kamienicy weszłam do mieszkania praktycznie obcego mężczyzny. Wszystko, co czułam dziś rano, wczoraj, w zeszłym tygodniu zniknęło, była we mnie tylko dzika ekscytacja, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy szłam do kina i to w dodatku na „Gwiazdne wojny”. Wielka sala, światło nagle gaśnie, głośna, intensywna muzyka. Kiedy pojawia się Lord Vader znikam z fotela i staję się częścią wydarzeń na ekranie. Mieszanina ciekawości i lęku, a przecież może się tu wydarzyć wszystko, bo to i tak nie dzieje się naprawdę.

Mieszkanie Marka było zaskakująco duże, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkał w nim sam. Długi korytarz, z którego wchodziło się kolejno do: łazienki, kuchni, sypialni i małego saloniku, prowadził do przestronnej pracowni. Było to surowe pomieszczenie z kamienną posadzką i brudnymi ścianami. Pod dużym, zasłoniętym czarną zasłoną oknem, stały wielkie płyty podmodelowe, narzędzia, których nigdy wcześniej nie widziałam, kilka modeli betonowych lamp – najnowszego dzieła Marka. Na biurku leżały jakieś szkice, rozrzucone ołówki. Pod ścianą stał stary, jakby z zeszłej epoki, aparat fotograficzny. Ale to, co najbardziej przykuwało uwagę w tym ekscentrycznym mieszkaniu to fakt, że każde pomieszczenie było inne od poprzedniego, jak w Akademii Pana Kleksa – każde drzwi prowadziły do innej bajki. Kuchnia była brudna, na stołach i blatach połyskiwały plamy starego tłuszczu, w kątach i oknach wisiały ogromne pajęczyny, w zlewie piętrzyły się nieumyte naczynia. Pomyślałam, że nie wyobrażam sobie,

że mogłabym w takiej kuchni coś zjeść, samo przebywanie w niej wywoływało we mnie obrzydzenie. Natomiast kiedy weszłam do saloniku, poczułam się jak w muzeum. Wszystko było nieskazitelnie czyste, czułam, że nie powinienam dotykać tak wypielegnowanych eksponatów. Nad stojącym pod ścianą, czarnym fortepianem wisiał portret pięknej kobiety o bardzo smutnych oczach. Marek powiedział, że przedstawia on jego matkę.

Właściciel dziwnego mieszkania też wywoływał we mnie sprzeczne uczucia. W jego niedbałości, rozwichrzonych włosach, których koloru nie umiałabym określić było coś pociągającego, może chodziło o ten rodzaj swobody i lekceważenia dla ogólnie przyjętych norm, na które sama nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Jednocześnie jednak, kiedy podszedł, żeby mnie pocałować, poczułam coś w rodzaju wstrętu. Odwróciłam twarz i powiedziałam, że chciałabym się położyć.

Wybrałam niezbyt szerokie łóżko w małym saloniku, bo jego tradycyjne, staroświeckie umeblowanie z wiszącymi w oknach firankami i haftowanym obrusikiem na stoliku dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka zostawałam czasem na wakacjach u dobrej, czulej babci. W małym domku z czerwonej cegły, gdzie wszystko było stare, dziwne, jakby zawieszone w czasie, mogłam zapomnieć o tym, że za parę dni przyjedzie po mnie matka i zabierze do ciemnego dusznego mieszkania w mieście.

Ubrałam się w dużą, spraną podkoszulkę Marka i zasnęłam. Śniła mi się moja stara szkoła. Szłam jej długimi jasnymi korytarzami z matką i niosłam wielki wiklinowy kosz, taki w jakich indyjscy fakirzy trzymają kobry. Przed nami pelzł wąż, co o dziwo nie wywoływało w nas strachu, był to bowiem wąż łagodny. Nagle, nie wiedzieć czemu, z kosza, który niosłam, wypuściłam drugiego węża, tym razem niebezpiecznego i jadowitego. Ten był szybki i zwinny, więc łatwo zniknął nam z oczu. Matka zaczęła krzyczeć, żebym złapała gada i zamknęła go w koszu, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić – chwytając go, naraziłabym się na ukąszenie. Obudziłam się spocona i przestraszona. Marek siedział na krześle przy stoliku. Kiedy otworzyłam oczy, wstał, podszedł do łóżka i położył się obok mnie. Nie protestowałam, tylko odwróciłam się do niego tyłem, a on mnie przytulił i tak spaliśmy do późnego poranka.

Widział, co się ze mną dzieje, że budzę się przestraszona, a potem przez kilka minut przewracam niespokojnie, zanim znowu na chwilę zapadnę w płytki, krótki sen. Mimo

to nie pytał o nic i nie wracał do tamtej nocnej rozmowy, kiedy tak niespodziewanie wybrałam w telefonie jego numer. Być może czuł, że teraz, kiedy jestem tu, na drugim końcu Polski, tamto zniknęło, że mocą mojej świadomości chcę zrobić wszystko, aby się od tego odciąć, a być może po prostu nie chciało mu się pytać, bo ja mało go obchodziłam. Tego dnia pojechaliśmy na plażę do Sopotu. Cały dzień chodziliśmy wzdłuż brzegu morza, milcząc. Momentami wydawało mi się, że Marek jest nierealny, że wymyśliłam go sobie tylko, żeby czuć się mniej samotnie, jak wtedy, kiedy miałam może siedem lat i pojechałam na jedyne w moim życiu wakacje z ojcem. Mama bardzo mnie zachęcała do tego wyjazdu, może miała nadzieję, że ja i on będziemy mieć dobrą relację, że mimo ich rozstania, on będzie w naszym życiu. Zabrał mnie wtedy do Jastrzębiej Góry, popularnej nadmorskiej miejscowości. Mam z tych wakacji tylko jedno wspomnienie – zawsze, kiedy z jakiegoś spaceru czy wycieczki wracaliśmy do pensjonatu, ja miałam nadzieję, że, kiedy otworzymy drzwi, zobaczę tam mamę, która na nas czeka. Tak bardzo za nią tęskniłam, że w pewnym momencie nawet uwierzyłam, że faktycznie przyjedzie i nie mogłam się doczekać otwarcia drzwi do pokoju.

Samotność i tęsknota mają moc stwórczą. Marka też w pewien sposób sobie stworzyłam. Fizycznie był obecny jak masa innych ludzi, których mijalam, spacerując wzdłuż plaży. Psychiczenie istniał w moim wewnętrznym świecie w jakiś dziwny i nienaturalny sposób, jakby olbrzymia pustka przeraziła się sama sobą i wchłaniała coraz to nowe formacje.

Matka miała rację, mówiąc, że uzależniam się od ludzi. Zawsze obrażona i zbuntowana, zarzucająca jej, że ogranicza moją wolność, co chwilę przyklejałam się do następnego faceta albo kolejnej przyjaciółki. Chciałam wypłynąć na wielkie morze, poczuć wokół siebie przestrzeń i nieograniczone możliwości, ale kiedy pojawiała się za dużo przestrzeni, zaczynałam czuć okrutną pustkę.

W pustce emocje i uczucia nie istnieją – jak w pralce, podczas wirowania, nie odróżnisz poszczególnych elementów garderoby – tak tutaj wszystko, co naturalnie znane i nazywalne staje się przypadkową mieszanką, odczuwaną ostatecznie jako nieznośny dygot, bezsensowne machanie skrzydłami, które męczy i wyczerpuje, ale do niczego nie prowadzi.

Wieczorem upiliśmy się. Nie potrzebowaliśmy do tego słów, tylko komputera i Internetu. Kolejno puszczaliśmy piosenki, które akurat przyszły nam na myśl. Beztrudnie

zanurzaliśmy się w nierzeczywistość, w której istniała tylko muzyka. Ale kiedy Marek chciał się ze mną kochać, moje ciało powiedziało stanowcze nie. Prawdopodobnie było zdecydowanie bliżej rzeczywistości i nie wierzyło w miłość desperacko stworzoną przez ciągłą samotność. Mięśnie mojej pochwy były tak silnie zaciśnięte, że wdarcie się do wnętrza było niemożliwe. Jak w baśni o Sinobrodym – potwór przebrany w szaty czarującego mężczyzny próbuje się wdrzeć do rodziny, w której są trzy siostry. Dwie z nich sprzeciwiają się, najmłodsza zostaje jego żoną. Pewnie pozwolenie mężczyźnie na wejście do pochwy wywołałoby mniej szkody niż jego dostanie się do umysłu.

Następny dzień był znacznie bardziej rzeczywisty i realny, może przez silne odczuwanie ciała nienawykłego do alkoholu, tym bardziej w takich ilościach. Jechaliśmy na wycieczkę do Łeby, on prowadził, nie było już między nami milczenia. Opowiedziałam mu jak to się stało, że po studiach wyjechałam z Torunia, o moim życiu przy matce i o związku z Pawłem. Marek nie mógł zrozumieć, że można tak po prostu, naturalnie godzić się na życie, jakiego nie chce się wieść. Mówił, że sam jest po dwóch rozwodach, że płaci wysokie alimenty, że przy jego twórczej, niestabilnej pracy bywa, że ledwo wiąże koniec z końcem. Z rosnącym zafascynowaniem patrzyłam na człowieka, który nie godził się na kompromisy. Żył tak jak chciał, spotykał się z kim chciał, pracował, jak chciał. Powiedziałam mu, że zadzwoniłam właśnie do niego, bo od zawsze, odkąd go znam, kojarzy mi się z jakąś dzikością, żywiołem, którego nie można ujarzmić. Zapytał, dlaczego ja tak łatwo daję ujarzmić siebie. Powiedziałam, że jest we mnie część, której poskromić się nie da. Miałam na myśli lęk. Odkąd pamiętam, czułam się najbezpieczniej w mieszkaniu matki. Zawsze też tak je nazywałam. Nigdy nie mówiłam, że idę do siebie, zawsze „do mieszkania matki”. Dusiłam się tam, to prawda, ale też czułam bezpiecznie. Paradoksalnie, mimo początkowej wściekłości, poczułam się również bezpiecznie, kiedy matka i Paweł połączyli się. Przestałam czuć, że ją z nim zdradzam. Marek mówił, że na moim miejscu wyprowadziłby się do innego miasta i rozstał się z Pawłem. Przez chwilę poczułam nawet, że to możliwe, że teraz jest on i będę mogła na niego liczyć, a ponieważ tak dobrze mnie rozumiał, na pewno mi pomoże.

Plaża w Łebie był pusta. Piasek przyjemnie grzał stopy, a fale delikatnie je obmywały. Było ciepło, na niebie żadnych chmur, tylko jasne, pełne słońce. Wczesnym wieczorem zerwał się nieprzyjemny, zimny wiatr z północy.

Nie było sensu wracać na noc do Gdańska. Zaczęliśmy szukać noclegu. Mimo początku wakacji, bez problemu znaleźliśmy mały pokoik nad smażalnią ryb. Nadal był nagrany po całodziennym upale. Pod ścianą stało wąskie, jednoosobowe łóżko, dalej niska szafka z nocną lampką i drugie łóżko. Była jeszcze kanapa, a przed nią stary telewizor – pudełko. Usiadłam i zaczęłam przerzucać kanały. Marek szybkim ruchem wysunął szafkę pomiędzy łóżek, a następnie je złączył. Tej nocy kochaliśmy się. Szybka, bezmyślna miłość w pokoju śmierdzącym smażonymi rybami.

Rano zadzwoniła matka. Pytała, czy już wyjechałam, bo Hania tęskni. Kiedy usłyszała mój zaspany głos, powiedziała, że jak ja mogę, że powinnam natychmiast, jak najprędzej wracać do dziecka, bo sama wiem, jak przeżywało mój wyjazd. Tak głośno krzyczała w słuchawkę, że Marek wszystko słyszał. Popatrzył na mnie ze współczuciem, szybko ubraliśmy się i pojechaliśmy do Gdańska. Znowu nie było słów. Weszłam do jego mieszkania, żeby zabrać rzeczy. Spróbowałiśmy się jeszcze kochać, ale poczucie winy zaczęło już we mnie pęcznieć, mogłam zarazić nim i jego.

Mimo wszystko, kiedy wsiadałam do samochodu, czułam się silna i szczęśliwa. Chciałam jak najprędzej przejechać drogę do domu, uściskać Hanię, a potem pójść do Pawła i wykrzyknąć mu, że już go nie potrzebuję, że od dziś jestem wolna od tej chorej, toksycznej miłości. Oczami wyobraźni widziałam siebie i córkę w małym mieszkanku w Toruniu – duże okna, jasne meble, gwar ludzi, którzy nas odwiedzają, cotygodniowe wycieczki do Gdańska albo przyjazdy Marka do nas. Raz po raz zerkałam na telefon, przyklejony do uchwytu na szybie, czy on już tęskni, czy zadzwoni, gdzie już jestem, czy napisze, że ciągle nie zmył z siebie mojego zapachu. Jego milczenie tłumaczyłam sobie tym, że nie chce mnie rozpraszać w drodze.

Staralam się zachować spokój, ale z każdym kilometrem kielkowało we mnie nowe ziarenko niepokoju. Za Warszawą zatrzymałam się, żeby do niego zadzwonić. Kiedy w telefonie usłyszałam jego głos, poczułam, że nie mogę ustać na nogach – była w nim obojętność. Powiedziałam z wymuszonym luzem, że jestem już za Warszawą, że droga jest dobra i za parę godzin będę w domu. Liczyłam na jakieś „tęsknię” albo „kiedy się znów zobaczymy” albo chociaż „właśnie o tobie myślałem”, ale usłyszałam tylko spokojne „ok” i uprzejme „szerokiej drogi”.

Tymczasem matka rozdzwoniła się na dobre. W każdym telefonie słyszałam, że mam się już absolutnie nie zatrzymywać, tylko jechać prosto do domu, że jeżeli

jestem głodna, to zaraz, jak wejde, ona da mi obiad, że Hania robiła go specjalnie dla mnie, bo już tak bardzo czeka. Z trudem przelknęłam ślinę, wyrzut sumienia stanął mi w gardle jak twardy kamień. Próbowałam odnaleźć w sobie to uczucie, z którym wyjeżdżałam z Gdańska, ale miałam wrażenie, że należało do innej osoby, a ta osoba została gdzieś daleko, na którejś ze stacji benzynowych przy autostradzie. Do domu wracała żalosna podróbka matki, która nie była nawet w stanie wziąć odpowiedzialności za potrzeby swojego małego dziecka. Potem zadzwonił jeszcze Paweł, po raz pierwszy od trzech dni. Nie odebrałam. Nienawidziłam go za tę obojętność i chłód, ale jeszcze bardziej nienawidziłam siebie za to, że wciąż błagałam. Oszukałam go, zdradziłam, a teraz wracam, żeby na kolanach żebrać o jego miłość. Po dwóch nieudanych próbach skontaktowania się ze mną, Paweł napisał, że tęskni i że nie dzwonił wcześniej, bo chciał mi dać czas na „relaks i refleksję”. Zatrzymałam się przy drodze i zwymiotowałam.

Okolo dwudziestej pierwszej weszłam z powrotem w ciemność mieszkania matki. Hania czekała na mnie. W różowej wesolej piżamce jej malutka twarzyczka wyglądała żałośnie i smutno. Matka zaczęła wypytywać, jak było, czy jakoś mi się ta podróż opłacała, czy nawiązałam kontakty. Powiedziała, że jest zupa pomidorowa, którą robiła z Hanią i żeby przyszła zjeść. Nie mogłam nawet spojrzeć jej w twarz. Czułam się brudna i obrzydliwa. W ustach ciągle miałam smak wymiocin. Poszłam umyć zęby, a potem zamknęłam się z Hanią w pokoju i położyłam się obok niej. Mała bacznie mi się przyglądała, jakby wiedziała, jaka jest prawda, że jej matka oszukała wszystkich i pojechała na drugi koniec Polski, żeby błagać o szczątki uczuć. Otoczyła mnie małym ramionkiem i głaskała po twarzy. Kiedy zasnęła, leżałam nieruchomo, wsłuchując się w jej równy oddech. Kiedy byłam troszkę starsza od niej, leżałam w tym pokoju, wsłuchując się w oddech matki. Rozpoznawałam, czy jest spokojny i równy, czy nie. Mocny zapach perfum, których używała przyprawiał mnie o mdłości. Chwilę wcześniej ojciec wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Siedział ze mną cały wieczór i przekonywał, żeby poszła spać, bo mama zaraz wróci. A ja wiedziałam, że coś jest nie tak. I żadne bajki puszczone ze starego magnetowidu nie przekonałyby mnie, że jest inaczej, żadna zielona galaretką z bananami, którą nieudolnie zrobił ojciec. Wiedziałam, że dopóki nie zobaczę mamy, nie zasnę. Potem ona weszła do domu, piękna, wysoka, w butach na obcasie, w pomarańczowej marynarce ze złotymi guzikami

i jedwabnej spódnicy w pomarańczowe kwiaty. Jej rude kręcone włosy wydawały się błyszczeć. Była tak piękna i tak niedostępna. Ojciec i ja patrzyliśmy na nią z uwielbieniem, a ona warknęła do niego, czemu ja jeszcze nie śpię. Poczułam, że muszę natychmiast zasnąć, wtedy ona obdarzy mnie odrobiną tego piękna, które wniosła do domu. Ale kiedy położyliśmy się razem do łóżka, zasnęła natychmiast, a ja długo leżałam zaczarowana melodią jej oddechu. Wiedziałam, że rano mama będzie siedzieć po turecku na łóżku i płakać. Będę próbowała ją pocieszyć, ale ona spojrzy na mnie niewidzącymi oczami i powie, żebym poprosiła tatę, by mi zrobił śniadanie.

Nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudziłam się z lękiem podchodzącym do gardła. Spojrzałam na telefon, mając nadzieję, że zobaczę tam nieodebrane połączenie albo chociaż SMS. Nic. Nikt do mnie nie dzwonił ani nie pisał. Kilkakrotnie tego dnia dzwoniłam do Marka, ale wciąż nie odbierał. Późnym wieczorem, kiedy Hania już spała, udało mi się do niego dodzwonić. Był pijany. Powiedział, że jest u niego kumpel, więc nie porozmawiamy, ale że nie jestem dzieckiem, wiem, czego potrzebują

mężczyźni, więc żebym wzięła jakąś koleżankę i przyjechała do nich jak najszybciej.

Nie wstałam następnego ranka. Hania tuliła się do mnie i ciągnęła za ręce. Matka krzyczała, żebym przestała się wyglupiać i zajęła się życiem. Po południu przyszedł Paweł. Słyszałam wszystko, co do mnie mówił, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Byłam tak poniżona, że nie chciałam na siebie patrzeć. Czułam jak klatka piersiowa unosi się i opuszcza w spokojnym, miarowym rytmie, jak brzuch delikatnie zapada się – od wczoraj rana nic nie jadłam – jak powietrze mnie napelnia, a następnie opuszcza, delikatnie ogrzewając usta. Wszystko, czym byłam wydało mi się nagle wstrętne. Jak wtedy, kiedy mama – piękna, z rozmazanym po wczorajszej nocy makijażem – siedziała na łóżku i płakała. Każdy grymas jej twarzy, każdy ruch były nieskazitelnie piękne, doskonałe. Chciałam podejść i ją przytulić, schować się w jej gęstych, płomienych włosach, ale ona wyciągała tylko swoją dłoń o długich palcach i mówiła, żebym poszła do taty po śniadanie. Szłam, ale taty nie było w domu. W lodówce w kuchni – nie wiem, czy zdarzyło się to raz czy więcej, pamiętam



fot. Matt Hoffman / Unsplash

to jako refren piosenki, zawsze taki sam, zawsze żaloszny i smutny – znajdowałam parówki. Wyciągałam je z opakowania i kładłam na wielki talerz, potem niezdarne nalewałam keczup i jadłam palcami, bo byłam za mała, żeby sięgnąć do szuflady ze sztućcami. Któregoś razu, kiedy tak siedziałam, patrzyłam na swoje odbicie w szybie kuchennej szafki. Pomyślałam, że jestem jak mama i wysmarowałam usta keczupem jak czerwoną szminką. Spojrzałam jeszcze raz i zobaczyłam coś tak przerażająco wstrętnego, że zaczęłam płakać z żalu i strachu.

Od tego czasu poczucie własnej obrzydliwości zakotwiczyło się we mnie na stałe. A potem, kiedy stałam się nastolatką, dość odrębną od matki, ona też stała się obrzydliwa. Żyliśmy spojone ze sobą jakąś wymianą trucizn. Kiedy ojciec odszedł, stałam się dla niej jedynym żywicielem. Przez kolejne lata, jak huba na drzewie odbierała mi wszelkie pragnienia. Kiedy zaczęłam się interesować chłopcami, mówiła mi, że jestem gruba i brzydka. Czasem w żartach podczas jakichś zakupów mówiła, że bym nie stała przy niej w kolejce do kasy, bo ktoś pomyśli, że ma taką brzydką córkę. Wtedy wierzyłam, że to, co mówi jest prawdą i że w związku z tym nie mam prawa do uczuć, które u większości dziewczyn normalnie pojawiają się w tym wieku. Potem zauważyłam, że nawet, jeżeli jestem brzydka, to w sposób, który przyciąga chłopców. Jak na złość jej, stale przyklejałam się do jakiegoś, a potem opisywałam

jej moje przygody w poczuciu winy i z wielkim pragnieniem poprawy. Im mocniej pragnęłam uciec od matki, z tym większą tęsknotą do niej wracałam. Nie mogłam bez niej żyć tak jak ona beze mnie.

Paweł przychodził i pytał, co się dzieje. Nie mogłam się do niego odezwać. Czułam się zbyt wstrętna. Jak zalegający ludzkie jelito tasiemiec. Jeden żywiciel przestał mnie sycić, przerzuciłam się na kolejnego. Miałam nadzieję, że teraz będzie przy mnie Marek. A on wziął mnie za zwykłą szmatę, dmuchaną lalę, którą, kiedy się zużywa, wyrzuca się do śmieci. Ich pogarda wobec mnie stała się nagle oczywista, bo co innego można czuć wobec kogoś, kto potrafi żyć tylko kosztem kogoś innego.

Nie zadzwoniłam więcej do Marka. Kiedy po mniej więcej trzech dniach wstałam, zadzwoniłam do Pawła i powiedziałam, że z nami koniec. Poszłam na dworzec i kupiłam bilety na pociąg do Kołobrzegu. Powiedziałam matce, że biorę Hanię na wakacje. Chciałam pokazać córce morze, jego bezkres i dzikość, ale nie mogłam być za blisko Gdańska. Czy tasiemiec przeżyłby poza organizmem żywiciela?

Przyjechaliśmy na miejsce późnym popołudniem. Od razu poszliśmy na plażę. Hania stanęła nóżkami na ciepłym piasku i zapiszczała z radości. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zerwał się zimny wiatr z północy. Poszliśmy do hotelu. Tej nocy nie miałam żadnych snów.

MIRA SERAFIN

– absolwentka orientalistyki. Kocha książki, morze i baśnie.



Beata Wilczyńska

## Helena (fragment)



Gabriela Łapińska / PLSP w Supraślu

Podskoczyli na wybojach. Helena uderzyła głową o szybę i otworzyła oczy. Przed nimi lśniły światła miasta. Alan prowadził pogwizdując pod nosem jakby wracali z niedzielnej wycieczki.

– Jak ci się spało? – zapytał.

– Śniło mi się piekło – odpowiedziała, powstrzymując wzruszenie ramion. Świeże wspomnienie wciąż ją drażniło i musiała się hamować, by nie odpowiedzieć złośliwością.

– Przepraszam, ale nie mogę cię zabrać – powiedział. – Jest tam cała ekipa, a nikt nie może się o nas dowiedzieć. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Gdyby się wydało, że mam romans, straciłbym dorobek całego życia. Dosłownie wszystko. Moja żona... Ech... – machnął ręką, jakby miała sobie dopowiedzieć resztę. – Muszę się spieszyć, rano lecimy dalej. Telefon mi się urywa... Może podrzucę cię do jakiegoś hotelu?

Helena słuchała, a złość i rozgoryczenie narastało w niej coraz bardziej. Niech się pocałuje w dupę. Nie zdążyli przecież nawet ze sobą porozmawiać, a teraz

on proponuje, że odstawi ją do jakiegoś hotelu i „żegnaj mała”? Odwróciła głowę udając, że patrzy przez okno. Saragossa to piękne miasto, ale w tej chwili nie miała ochoty zostać tu ani chwili dłużej.

– Najchętniej wsiadłabym już do samolotu i wracała do domu – powiedziała, starając się ukryć emocje. Nie pozwoli mu się domyślić, że sprawił jej przykrość. – Kiedy indziej sobie powiedzam.

Zatrzymali się na stacji benzynowej – dużej, z parkingiem dla tirów. Helena kupiła kilka rzeczy i poszła wziąć prysznic. Alan siedział przy stoliku, popijając kawę. Przez telefon próbował kupić jej bilet do domu. Kiedy wyszła z łazienki, przez moment przyglądała mu się z daleka. Wyglądał jak jeden z siedzących tam twardej mężczyzn. Szerokie barki, silne ramiona pokryte tatuażami, mocne dłonie. Podobał jej się. Szkoda, że się więcej nie zobaczą. Westchnęła i ruszyła przed siebie. Może za gwałtownie, może dlatego, że się nie rozejrzała,

a może właśnie dlatego, że los lubi płatać figle, zderzyła się z przechodzącym obok facetem. On też gapił się na Alana. Chwila nieuwagi i cola, którą trzymał w ręku, wylądowała na niej.

– Kurwa mać! – zakłęła. Kupiła jedyną koszulkę w tym sklepie, a teraz znowu stała cała mokra i lepiąca się od cukru.

Facet niechętnie oderwał wzrok od Alana i spojrzal na nią. Widocznie coś w jej wyglądzie przykuło jego uwagę, gdyż niemal natychmiast uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Jezu! Najmocniej przepraszam! – niespodziewanie odezwał się po polsku. – To moja wina.

– No i super, ale ja już nie mam w co się przebrać! – fuknęła. Była wściekła, a ten palant stał i gapił się na nią jak na miss mokrego podkoszulka.

– Wiesz co, poczekaj sekundę, zaraz coś skołuję – powiedział, odstawiając tacę na wolny stolik. Helena wróciła do łazienki. Znowu musiała się rozebrać. Weszła pod prysznic, żeby splukać z siebie cukier.

– Jesteś tam? – usłyszała po chwili. Co za namolny typ. Wszedł za nią do damskiej łazienki. Wyjrzała zza zasłonki. Stał, trzymając w ręku czarny t-shirt. Wyciągnął go w jej stronę.

– Mój ulubiony – powiedział. – Ale czysty! – Twarz miał poważną, ale w jego oczach tańczyły iskiereki tłumionej wesołości.

Wzięła koszulkę i schowała się pod prysznicem. Kiedy się ubierała, on oparł się o ścianę i gapił w lustro.

– Czy w ramach przeprosin dasz się zaprosić na kawę albo drinka? – Darł się, mimo że stał niecały metr od niej. Koszulka faktycznie była fajna. Z logo Metalliki, z któregoś z południowoamerykańskich koncertów.

– Jestem z kimś – wyszła, wycierając włosy okropnie mokrym już ręcznikiem. I tak go wyrzuci. Nie miała przecież nawet torby z rzeczami. Na szczęście jej ukochana kurtka była sucha.

– Robert jestem – wyciągnął do niej rękę.

– Helena – podała swoją.

Miał budzący zaufanie uścisk. Nie za słaby i nie za silny. I ciepłe, przyjemne w dotyku dłonie.

– Dzięki – powiedziała. – Straciłam wszystkie swoje rzeczy. – Pochyliła się do lusterka. Musiała poprawić makijaż.

– O! Okradli cię? Wiesz, gdybym mógł jakoś jeszcze pomóc... Jadę do kraju, może chcesz się zabrać?

– Wracasz do Polski? – upewniła się.

– No pewnie. Nie wiesz, jak bardzo pożądane jest towarzystwo w takiej trasie. Zrobiłabyś mi przysługę.

– Wiesz... mój... znajomy właśnie próbuje mi kupić bilet na samolot, ale nie wiem czy mu się uda, więc być może skorzystam. Zależy mi na tym, żeby jak najszybciej stąd wyjechać. Dzięki. Zaraz dam ci znać.

Skończyła malować rzęsy i ruszyła do wyjścia.

– O, jesteś!

Helena wzruszyła ramionami. Nie jej wina, że musiała się przebierać dwa razy. Siorbnęła stygnącą kawę.

– I jak? – spytała bez zaciekawienia.

– Najbliższy lot masz jutro rano. Może po prostu weź jakiś hotel w centrum? Odpoczniesz, zrobisz zakupy... Przeleję ci pieniądze...

Boże, jak on ją wkurzał! Ciągłe wyskakiwał z tą kasą. Przecież nie była jego utrzymanką. Jadł szybko, jakby ktoś go gonił. Za chwilę zacznie się wiercić i ją poganiać albo po prostu zamówi jej taksówkę. Odsunęła się i patrzyła aż zorientował się, że coś jest nie tak. Jego telefon znowu zadzwonił. Widziała, jak walczy ze sobą, żeby nie spojrzeć na wyświetlacz. Chciał odebrać. Dzwoniła żona albo menadżer. Ktoś, przed kim będzie musiał się tłumaczyć z każdej minuty, jaką z nią spędził. Z napięciem patrzył jej prosto w oczy.

– Wiesz, nie kłopot się – powiedziała przez zęby. – Spotkałam znajomego. Jedzie do domu. Zabiorę się z nim.

Usłyszała w głowie trzask walących się mostów. Przesła, upadające jedno za drugim, zupełnie jak poruszone klocki domina. Kolejny raz odpędziła od siebie żal. Odwróciła się w stronę Roberta i podniosła kciuk do góry, uśmiechając się nieszczercze.

\*\*\*

Zaciskał ręce na jej szyi. Nie mogła złapać tchu. Był za silny. Zawsze lubiła takich facetów, ale nie miała z nim żadnych szans. Myślała, że to tylko taka zabawa. Wydawało jej się, że to dobry pomysł. Był nawet fajny, a ona potrzebowała odreagować to, co działo się ostatnio, szybko zapomnieć o Alanie. Kombinacja: wino, spacer i seks wydawała się całkiem przyjemną perspektywą. Wino zaczęła pić jeszcze w samochodzie. Niedużo, może pół butelki. Tylko tyle, żeby się odprężyć. Przejeżdżali przez odludne miejsca i kiedy Robert zjechał z głównej drogi, nie czuła niepokoju. W sumie przez cały czas dawał jej znać, że mu się podoba,



Nina Roskowińska / PLSP w Supraślu

a przecież oboje byli dorośli. I to od dawna. Więc kiedy ją popchnął na kocyk, roześmiała się tylko. Wcześniej żartowali trochę na temat ostrzejszych zabaw, a teraz nie mogła już złapać tchu.

Skończył dopiero, kiedy przestała się szarpać. Nie oddychała. Wiedziała, że jest martwa, mimo to doskonale wszystko widziała i czuła. Jej ciało było sztywne jak kłoda, a on zwalił się na nią, jakby nagle stracił siły. Czuła, że jej serce stanęło.

Robert zabrał ręce z jej szyi. Widziała wszystko w zwolnionym tempie. Jak podpala papierosa i zaciąga się, a potem

ściąga i starannie pakuje prezerwatywę. I wtedy ten ciężki głaz, którym było jej serce, drgnął.

Ból omal jej nie rozsadził. Starala się złapać oddech cichutko, żeby jej nie usłyszał. Bała się drgnąć, ale koniuszkami palców próbowała wymacać coś, czego mogłaby użyć jako broni. Jakiś kamień, luźny kawałek skały, ale miała pod ręką tylko swoją ulubioną kurtkę, w kieszeni której był łańcuch. Nosila go Bóg wie czemu, a teraz tak dobrze pasował do dłoni. Nie wyciągała go. Po prostu zacisnęła na nim rękę i z całej siły uderzyła Roberta w bok głowy. Usłyszała głuchy trzask i wiedziała, że kość pękła. Robert znowu ją przygniótł. Trząśił się. Nie wiedziała, czy zrobiła mu krzywdę, czy nie zaatakuje jej znowu. Uderzyła raz jeszcze na oślep, tym razem w potylicę. Poczula, że kość ustąpiła, a na jej twarz prysnęła odrobinka czegoś wilgotnego. W panice zaczęła go odpychać rękoma i kolanami. Kiedy udało jej się wreszcie wstać, już się nie ruszał, mimo to jeszcze długo kopała go bosymi stopami.

Przestała, gdy się zmęczyła. Bolały ją nogi. Usiadła obok i dygotającymi rękoma zabrała mu papierosa. Przez dłuższą chwilę walczyła z zapalniczką, ale wreszcie udało się

i gryzący dym wypełnił jej płuca. Nie paliła od lat i od razu poczuła spływające na nią otumanienie. Zakręciło jej się w głowie, ale z każdym oddechem stawała się spokojniejsza. Przestała się trząść i zanim skończyła palić, zaczęła myśleć. Może później, kiedy przyjdzie na to pora, zwinie się gdzieś w kłębek i będzie szlochać, ale teraz musiała się zbierać. Rozejrzała się. Faktycznie – miejsce było dobre. Starannie wybrane. Idealne do ukrycia ciała. Niedaleko znalazła odpowiednią szczelinę. Wydawała się dostatecznie głęboka. Helena włożyła buty. Pomyślała, że jeśli skaleczy stopy i ktoś znajdzie jej krew na skałach tuż obok trupa...

Z niemalym trudem zaciągnęła tam ciało. Spadło z głuchym loskotem. Widocznie było głębiej niż sądziła.

Ubierając się, myślała o tym, co powinna zrobić. Pozbierała starannie wszystkie rzeczy. Miała nadzieję, że nikt go nie znajdzie. Nie chciała, by jakiegokolwiek ślady prowadziły do niej. Musiała przewidzieć wszystko, co się może wydarzyć. Zatrzeć ślady. Metodycznie przeszukała jego rzeczy. Znalazła telefon, dokumenty, kilka kart, jakieś pieniądze, jak to w podróży. Wrzuciła wszystko do auta i ruszyła.

Lubiła samochody, a one lubiły ją, zupełnie jakby były świadomymi istotami. Przez moment znowu chciała sięgnąć po papierosa. Zapalić, zaciągnąć się, poczuć spływający na nią spokój, ale odsunęła od siebie tę myśl. Poradzi sobie bez tego.

Jechała, jak jej się wydawało, na północ. Po jakimś czasie wyłączyła swój telefon. Nie chciała, żeby logował się w tych samych miejscach, co telefon i GPS Roberta. Wreszcie zatrzymała się w małym miasteczku na południu Francji. Kiedy przekroczyła granicę? Zużyta gumka, starannie zawinięta w chusteczkę jednorazową poleciała do pierwszej kratki ściekowej, jaką zobaczyła. Poczula ulgę. Znalazła niedużą knajpkę ze stolikami wprost przy brukowanej uliczce. Zamówiła obiad i kawę. Trochę się dziwiła, że jest taka spokojna, wytłumaczyła to sobie szokiem. Musi znaleźć bezpieczne miejsce. Schować się gdzieś na ten czas, gdy dopadną ją emocje. Kiedy będzie zupełnie bezbronna i bezradna. Ale na razie... Na razie trzymała się nieźle.

Kim się stała? Przecież umarła. Była tego pewna. Dotknęła niezabliźnionego rozcięcia na piersiach. Czy ślad zostanie na zawsze? Czy miała ślady po duszeniu? Czy to dlatego ludzie tak dziwnie na nią patrzą? Skończyła kawę. Zostawiła na stoliku telefon Roberta. Bez karty SIM w środku. Czy we Francji też kradną telefony? Miała nadzieję, że tak. W najbliższym butiku kupiła apaszkę. Siniaki nie były jeszcze tak bardzo widoczne, ale za godzinę lub dwie rozleją się na jej szyi. Pospieszenie wsiadła do samochodu i ruszyła dalej.

W czasie kolejnego postoju znalazła galerię handlową. Kupiła zapasową parę dżinsów, bieliznę na zmianę, skarpetki i dwie koszulki, bluzę z kapturem oraz czapkę z daszkiem i nieduży plecak. Z bankomatu pobrała kilkaset euro. Woląła płacić gotówką.

Gorączkowo zastanawiała się, jak powinna się zachować. Co robić, żeby być bezpieczną, żeby jej nie znaleźli, jeśli wszystko się wyda. Ile miała czasu zanim ktoś zacznie

go szukać? Co z samochodem? Będą sprawdzać monitoring, GPS. Dokąd powinna jechać? Wracać do Polski, czy raczej udać się w podróż? Myśli przeskakiwały jedna po drugiej. Nie potrafiła niczego zaplanować, nigdy nie była w takiej sytuacji, nawet nie była miłośniczką kryminałów. Powinna odpocząć, ale nakręcała ją adrenalina.

W kolejnym z mijanych miast spakowała rzeczy Roberta do reklamówki i wrzuciła do kontenera z odzieżą używaną. Jego portfel wyleciał za okno na autostradzie. Karty płatnicze wypadły jej z kieszeni podczas spaceru nad Loarą, walizka w kolejnym kontenerze z ciuchami. Był człowiek, nie ma człowieka. Przez moment tylko zastanowiła się nad tym, czy ktoś będzie za nim tęsknił, czy będzie go szukał. Czy miał rodzinę, dzieci? Nie sprawdziła jego telefonu. Mogła się czegoś o nim dowiedzieć. Mogły być w nim zdjęcia jego wcześniejszych ofiar. Dowód jej niewinności. Tego też nie zgadnie. Nigdy się nie dowie. Było po wszystkim. Został tylko samochód. Auto na warszawskich numerach. Trochę szpanerskie, nie najnowsze BMW. Powinna je porzucić zanim ktoś zgłosi zaginięcie Roberta, a może nawet zdecydowanie wcześniej. Przecież wszędzie są kamery!

Wreszcie zdecydowała, że wróci do kraju. Może jeśli samochód będzie w Polsce, nikt nie będzie szukał ciała w Hiszpanii czy Francji. Nawet nie wie gdzie to się stało... Nie ma ciała, nie ma przestępstwa.

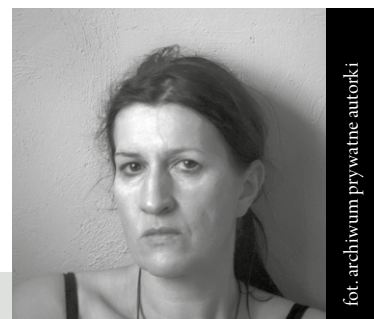
Nie zauważyła kiedy z ofiary stała się sprawcą. Dlaczego zamiast zgłosić wszystko na policję, uciekała teraz jakby to ona była winna? Nie czuła się skrzywdzona. Nie była ofiarą gwałtu. Seks jej się podobał. Zgodziła się. Zaskoczyło ją to, co wydarzyło się później. Zaskoczyło? Rozzłościło? Jak to możliwe, że czuła jedynie złość?

Kiedy nie była już w stanie prowadzić, poszukała zajazdu. Starła się zaparkować w miejscu niewidocznym dla kamer, ale i tak kryła się za okularami, nakładała czapkę, naciągała kaptur. Zmieniała sposób poruszania się. Czuła się jak zaszczuta zwierzyzna, a przecież strach nigdy nie jest dobrym doradcą.

W pokoju obejrzała dokładnie swoje ciało. Rozcięcie na piersi zaczynało się zasklepiać. Co ciekawe – nie bolało. A raczej bolało, ale gdzieś poza granicami świadomości. Jakby jej umysł nie był w stanie pomieścić więcej bólu. Szyja nie wyglądała tak źle. Będzie musiała jeszcze jakiś czas nosić apaszkę, której nie znosiła, ale pod nią widoczny był tylko zwykły siniak. Żadnych krwawych wybroczyn.

Wyglądała jakoś inaczej... Chyba trochę zeszczupiała. Patrzyła na odbicie z przyjemnością. W końcu sięgnęła do kieszeni. Wyjęła z niej łańcuch. Polyskiwał srebrzyście w jej rękach. Zdawał się mienić, jakby świecił własnym blaskiem, rozgrzewał delikatnie jej dłonie. Nie był ciężki. Nie mogła uwierzyć, że można czymś takim zabić człowieka. Albo spętać matkę demonów.

Sen nie chciał przyjść mimo zmęczenia. Łzy nie chciały przestać płynąć. Była tak bardzo, tak przeraźliwie samotna. Nie miała przy sobie nikogo. Nikogo, o kogo mogłaby się oprzeć.



fot. archiwum prywatne autorki

### BEATA WILCZYŃSKA

– rocznik 1973, z wykształcenia plastyk, z zawodu nauczyciel rysunku i malarstwa w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu. Prywatnie szczęśliwa żona, matka dorosłych już dzieci. Karmicielka psów i kotów. Hobbystycznie fotografuje.

Sama o sobie mówi: „Praca w szkole zapewnia mi odrobinę wolnego czasu, a ja zamiast łapać etaty wolę ganiać chmury i wymyślać niestworzone historie”. Do pisania wróciła po latach, jej debiutanckie opowiadanie *Ścieżka*, opublikowane zostało na stronie Starej Waśni.

Rafał Mikołaj Krasucki

## Zamawianie

– Ona nigdy na głos przy tobie nie będzie się modliła. Nigdy. Jedni powiadają, że z Bogiem trzyma. Dlatego cicho mówi, żeby inni nie słyszeli jak jej odpowiada. Gadają, że umie szeptać na odległość. I ten twój niemota, jest jak urzeknięte stworzenie, ona nie musi go wcale widzieć, żeby go wyleczyć. Ale ja za to słowa nie dam. Są takie cuda, co inne babki robią, ale ta z nich najlepsza. Ona tam proszku z Groty Mlecznej z Betlejem pić nie każe, ani nosić paska świętego Dominika, ani nowenny odmawiać, ani jeździć na sześciogodzinne msze. To różne modlitwy są. Każda na co innego i każdą ona zna. A co dla twojego syna pomoże? Nie wiem. Modlić się trzeba. Ty się módl.

– Panie Fortuna, gdzie mam jej szukać?

Antoni Fortuna miał na sobie ciemną marynarkę w szare paski. Zapięta na środkowy guzik, była sztywna od brudu, jakby noszona całe życie. Spod wygiętego kaszkietu wystawały poskręcane, rzadkie włosy opadające na policzki. Mówił tylko połową ust, ponieważ w jednym z kącików tkwił niedopałek papierosa. Żółta skóra, pełna zmarszczek, była prawie jak maska. Sztywna, z jednym grymasem, nieprawdziwa.

– Kiedyś to do telewizora trzeba było dochodzić, żeby program zmienić. A teraz z daleka przełączasz. I telefony na kabel były, a teraz to telefon w kieszeni nosisz. Lepsza technika i sposoby inne. Może ona ci wcale nie jest potrzebna, bo jak ty nie wierzysz, to dzieciakowi nie pomożesz. Ja ci powiedziałem, co wiem, a co widziałem, to i tak mi nie uwierzysz – starzec wypluł niedopałek i złapał dłonią drewniane ogrodzenie. Zrobił to tak mocno, aż było słychać trzask. – Czasami nie można było patrzeć, jak stworzenie się mordowało. Wiło z bólu. Tłukło o ścianę. Ani jeść, ani wstać, ani zegnać tego, co je napadło nijak nie można było. Doktory tylko ręce rozkładali. A ona pomagała. Pluła trzy razy, po trzy razy na stworzenie, świeczkę paliła i szeptała. Krzyki to nieraz słyszałem. Strasznie cierpiące, jakby ktoś kogoś żywym ogniem palił. Potem tylko cisza.

– Panie Fortuna, mój syn przestał mówić. Nikt nie wie, dlaczego. Z niego i ze mnie zrobili wariata, bo nie wierzą w to, co mówię. Ja... Nie wiem, czy mnie pan zrozumie, ja myślę, że w nim ktoś jeszcze jest. Coś w niego wlało,

jak robak w jabłko. On się tego boi, dlatego przestał mówić. Lekarze dali tylko lekarstwa na choroby, wie pan, te choroby od głowy. Ale to nic nie pomaga. Widzę, jak w nocy wykręca mu ręce, jak on walczy z czymś, co nie chce z niego wyjść.

Mężczyzna opuścił głowę. Fortuna odszedł od ogrodzenia, utykając na lewą nogę. Z kieszeni marynarki wyciągnął papierosa i włożył w usta.

– Pojedziesz do Czeremchy. U popa powiesz, że jesteś ode mnie, od starego Fortuny mu powiedz. Będzie wiedział. Powiedz, że szukasz Andrychowej co ma dar zamawiania. Jeżeli cię pokieruje, to dobrze, jak nie, to ja już nie pomogę. Ludzie mówią, że ona te złe rzeczy do siebie zabiera. Tak ratuje. Ma pewnie z dziewięćdziesiąt lat teraz, a dalej chodzi do cerkwi i śpiewa. Podobno ten dar to dostała za to, co jej we wojnę zrobili. Za gwałty ruskich żołnierzy, za to, że jej rodzinę na jej oczach zastrzelili, że ją w ziemię za żywego zakopali. A ona z umarłych do ludzi wróciła. Nigdy za to co robi pieniędzy nie wzięła, a jak cię przyjmie, to ty jej pieniędzy nie dawaj.

Batuszka Tomasz przechodził przez ulicę Szkolną tak, jakby chciał ominąć każdego kogo spotka. Szedł w kierunku budynku ZDZ-tów, gdzie miał odebrać naprawione pięcioletnie audi. Batuszka potracił psa, który zniszczył prawy błotnik, a naprawa samochodu trwała prawie dwa tygodnie. Pewnie dlatego pop szedł z uśmiechem na twarzy, prawie biegl. Kiedy przechodził przez niebieską bramę ZDZ-tów, zatrzymał go szczupły mężczyzna.

– Proszę poczekać. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Mogę na słowo? – zawołał.

– Pochwalony. A co tak zza pleców nachodzi, jak zbir jaki?

– Niech pop wybaczy, ale potrzebuję pomocy. Nie będę tłumaczył, o co chodzi dokładnie, ale przysłał mnie do pana stary Fortuna. Potrzebuję pewnej informacji i tylko pan może mi... pomóc.

– Fortuna? To on jeszcze żyje? Ja już myślał, że on do żony poszedł, ale widać twarda sztuka z niego. On mi dach pomagał robić... i inne rzeczy też robił. Ale o co chodzi? Jest pan jego krewnym czy co?

Mężczyzna wziął oddech i wyjął z kieszeni zdjęcie.

– To jest mój syn. Na imię ma Jan. Jest chory na coś, czego nie mogą zdiagnozować lekarze i...

W tym momencie pop Tomasz przyłożył palec do ust i wydał z siebie przeciągły syk.

– Ja nie chcę tego słuchać. Ja nie znam się na takich rzeczach. W tym nie pomogę. Ja mogę się za pana pomodlić, za syna mogę się pomodlić. Nic więcej.

– Proszę mnie posłuchać, poszukuję Andrychowej. Zna ją pop prawda?

– Nie znam. Tu co drugi to Andrychowiak albo Andrychowski, nie wiem o kogo chodzi.

– Chodzi o to, żeby uratować życie dziecka.

Pop Tomasz spojrział na twarz szczupłego mężczyzny i na wielkie drzwi zakładu mechanicznego w Czeremsku. Wyciągnął telefon z kieszeni.

– Pisz pan, tylko szybko – rzucił, dyktując numer telefonu. – Tylko nie mówić od kogo numer dostał, rozumiemy się?

– Ale ona podobno ma ponad dziewięćdziesiąt lat, jak odbierze...

– Jeżeli pan jest od Fortuny, to pan chyba wie, że ona ze zmarłymi rozmawia, ale to nie znaczy, że nie odbierze telefonu. Jak odbierze to proszę rozmawiać. Jak nie odbierze to... z Bogiem.

Andrychowa odebrała telefon trzy dni po tym, jak szczupły mężczyzna rozmawiał z popem Tomaszem. Rozmowa była krótka, padło zaledwie kilka słów:

– Tak, przyjedzie. Syna weźmie. Do Olszówki, to za Hajnówką. Dom numer 14. Z Bogiem przyjedzie i wejdzie do sieni. Niech czeka wtedy.

Szczupły mężczyzna pojawił się przed domem numer 14 w sobotę rano. Na rękach wniósł do starego drewnianego budynku swojego dziesięcioletniego syna. W sieni stała pralka wirnikowa typu Frania, miotła i dwie pary skórzanych butów. Była też ławka, która błyszczała w ciemnościach. Lśniła tak mocno, jakby była polakierowana kilkoma warstwami Drewnoluxu. Uginająca się w połowie od ciężaru czekających na wizytę ludzi.

Drewniane drzwi otworzyły się cicho. W progu stała kobieta w szarej czapce. Opierała się o laskę. Poprawiła okulary i machając dłonią zaprosiła do środka.

– Rozumie po naszymu?

– Rozumie – odpowiedział mężczyzna.

– Posadzi go na krześle.

Chłopiec patrzył na Andrychową tak jakby pierwszy raz widział tak starego człowieka. Był spokojny. Siedział prosto.

– Nad nami jest Bóg. Jeden dla wszystkich. Wszyscy mówimy tak samo, wszyscy mamy te same myśli. Janek... Janek.

Mężczyzna cofnął się do drzwi i powiedział cicho, prawie szepcząc:

– On ma na imię... Jan.

Babka przyciągnęła do krzesła niewielki taboret. Usiadła naprzeciwko chłopca i dotknęła jego policzka:

– Skaży<sup>1</sup> ty mnie Janek... skaży... co widzisz, jak masz zamknięte oczy? Do kogo chodzisz, jak śpisz? Skaży mnie, Janek... kto z tobą rozmawia, kiedy nie słuchasz?

– Ale on... nie mówi. Nie odpowie.

– Skaży mnie, Janek, kogo się boisz?

Chłopiec spojrział na twarz starej Andrychowej, a potem na szczupłego mężczyznę. Zamknął oczy. W izbie zapadła ciężka, ciemna cisza. Usta chłopca drgnęły. Podniósł prawą rękę i palcem wskazał ścianę z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Ich.

\*\*\*

– Zmowa była taka, że ty mi już nikogo nie podsyłasz. Ani ja do ciebie nikogo. Po jaką cholere nam teraz problemy? Mało ci? Czego ty jeszcze chcesz? Prędeż do ziemi trafisz, niż te wszystkie pieniądze wydasz. A jak co wyjdzie na jaw, to mnie z urzędu boskiego na pysk wywałą, a ty na pośmiwisko pójdziesz, Antoni. Na ludzkie usta trafisz. A te cię rozszarpia, bo ty na potrzebujących pomocy się żywisz.

– Nie trafilem i ty nie trafisz. Ot psia mać, jaki ty mądry! Zapomniał już, jak to było. Pamięć masz wybiórczą, patrzę. A mało to żeś do mnie ludzi nasyłał? Mało to ja do Hajnówki ci pieniędzy przywoziłem? Mało? Nie pamiętasz ptaszku kolorowy. I inne rzeczy też pamiętam. Ty się bardziej święty nie zrobisz. Nie za to, co do kieszeni wzięłeś.

– Antoni, ty zrozum, że ja ją dwa dni telefon uczyłem obsługiwać. Ona ledwo widzi, może wcale nie odebrała. Może on też do niej nie pojechał. Bo to już wygasła inwestycja. Babka rady nie daje.

– Babka to i ciebie i mnie jeszcze przeżyje. A tamten z synem wróci. Do ciebie, a potem do mnie. Ja mu

<sup>1</sup> Skaży – powiedz

powiedział, żeby babce pieniędzy nie dawał. Ale on da. To widać było. W wielkiej potrzebie był. Syn mu przestał mówić i taki niemota zostanie. Tu cudów nie będzie, ale trzeba się odwdziżyć. W oczach to miał. On da. Da i to da dużo, Tomaszku.

– Żeby samochodu nie rozbił, to bym posłał go do diabła, do Białegostoku, do lekarzy specjalistów. Ale to tak zawsze jest, że ty mnie zaskakujesz wtedy, kiedy ja w potrzebie jestem. I ja tobie muszę być wdzięczny. Czasami sobie myślę, że ty mnie na innego Boga namówiłeś, że ty tę starą marynarkę to siarką nie bez powodu nasączyłeś. Piekłem od ciebie woni, staruszk. Jakbyś tam na spacer chodził, a nie do cerkwi.

– Nie bluźnij, Tomasz. Bóg daje wtedy, kiedy potrzebujesz. I zobacz: dostałeś, a nie prosiłeś.

– Ja z tego nic nie wezmę. To ostatni raz. Jak wróci, to ty weź te pieniądze, Antoni. Na trumnę. A kiedy do Pana naszego zapukasz i jeżeli on cię wpuści, to ja te pieniądze od ciebie zarobię. Zaśpiewam ci, Antoni, i popiół na głowę położę. I nikt nie będzie nic wiedział, co ja z tobą miałem.

– Gołodupiec byłeś i będziesz. Babka czary odprawi, dzieciak się uśmiechnie, chłop zadowolony będzie i już.

– A pamiętasz, Antoni, taką dziewczynkę, chyba spod samego Zambrowa ją do babki przywieźli? Co ją Andrychowa ratowała prawie dwa dni? Jak złego wzięła do siebie i o mały włos nie umarła? Pamiętasz, stary diable? To teraz też tak może być. Tylko, że ona już tego nie przeżyje. A mi na sumienie czyjeś śmierci brać nie można, a już na pewno pieniędzy.

– To tylko raz tak było. I też nie wiadomo, jaka prawda. Babka dwa dni nie jadła to i mogła źle się poczuć. Ty z racji swojej profesji to wierzyć w takie rzeczy musisz, a ja tam wiem, że z głodu mało nie padła i tyle. Teraz to prosta sprawa. Babka świeczki zapali, poszepta i wypuści do domu. Nikt nie umrze. Pan Bóg na to nie pozwoli, przecież wiesz o tym, Tomaszku. Ty wiesz o tym najlepiej.

\*\*\*

– Razdziewaj jeho<sup>2</sup>. Z góry bluzki zdejmij i niech siedzi. A ty czekaj. Pilnuje derewi<sup>3</sup>!

<sup>2</sup> Razdziewaj jeho – rozbieraj go

<sup>3</sup> Pilnuje derewi – pilnuj drzwi

<sup>4</sup> Jeho mać – jego matka

<sup>5</sup> Znajsze – wiesz

Babka wyszła do izby obok i przyniosła ze sobą kawał białego, czystego płótna, kłębek czegoś, co wyglądało na poplątane nici, świeczkę i kubek z wodą.

– To len. Jeszcze sprzed wojny. Kiedyś do ludzi ja jeździła, szukała takiego. Tylko to zostało. Nie ma więcej u nas. Woda ze świętej studni, świeca od pszczół robiona. Jeszcze tylko ocet.

Babka poruszała się wolno, opierając się o równie leciwą łaskę. Wydawało się jakby skrząca, zrosnięta ze starą podłogą, od której odrywała zmęczone stopy. Skupiona, wychodziła blada z drzwi drewnianego domu. Ciągłe coś mamrotała pod nosem, patrząc w stronę chłopca.

– Komuś ty, synku, przyszedł do głowy? Tylko robactwo, plugastwo i ciało bez mięsa. A gdzie jeho mać<sup>4</sup>? Gdzie matka jeho? Słyszysz mnie? Gdzie jeho mać?

Mężczyzna, który stał w drzwiach trzymał ręce tak jak trzyma się w kościele, mocno przy sobie, ze splecionymi palcami.

– Wyjechała cztery lata temu i do tej pory nie mamy z nią kontaktu. Zostaliśmy we dwóch, sami.

Babka chrząknęła, wyszeptała coś pod nosem i podeszła do ojca chłopca.

– Znajsze<sup>5</sup>, że jej już nie ma? Nie ma i nie będzie.

Mężczyzna przygryzł usta.

– Nie wiem, gdzie jest, podobno w Niemczech, podobno we Włoszech... Syn od tamtej pory nic nie mówi. Nic. To pewnie przez nią, może on tęskni. Jak pani myśli? On tak tęskni? Nikt nam nie pomógł, żaden lekarz. Tu tylko nadzieja...

– On mówi, tylko go nie słyszysz. Serce matki płacze dwa razy mocniej... Tu inne modlitwy potrzebne. A słowo ciałem się stało, a słowo ciałem się stało... Niech w drzwiach stoi. Niech pilnuje, hardo trzyma i nikogo nie wpuszcza. Co by nie usłyszał, kto by nie pukał, niech drzwi trzyma.

Babka podeszła do Janka. Położyła dłoń na jego policzku, uśmiechnęła się.

– Teraz zimne będzie, ale się nie bój, bo to ocet. A to dobre jest... gorączkę z ludzi wyciąga. Jeszcze kiedyś to ja mokre prześcieradło kładła na stworzenie. Tak leczyłam. A ty zamknij oczki, syneczku. Zamknij i nie słuchaj.

Ręce babki były ciepłe, miękkie, z pomarszczoną, jedwabistą skórą. Dotykały bardzo troskliwie dygoczących



ramion dziesięciolatka. Zapach octu wypełnił pomieszczenie i w tym momencie w chacie zrobiło się ciemniej. Przez niewielkie okno wpadało więcej ciemności, szarości, cienia, który rzucają wysokie chmury.

Mężczyzna zaparł drzwi lewą stopą. Rękę trzymał na klamce.

– Ostawi<sup>6</sup> go w miłości, bez cierpienia, bez koltuna, bez nerwa. Ostawi go na zawsze. A ty, Synie Boży, na drzewie rozciągnany, ty jedyny, módl się za nami.

Chłopiec zaczął się jeszcze bardziej trząść. Słychać było, jak zęby uderzają o siebie. Dygot dłoni. Lewe ramię wygięło się nienaturalnie w stronę drzwi. Babka podniosła płótno i narzuciła na głowę chłopca. Na jego skórze pojawiły się czerwone plamy, które przechodziły w bordowe. Ręka chłopca opadła bez siły.

Kobieta rozerwała kępkę lnu na mniejsze części. Położyła na głowie i zapaliła od świeczki. Płomień uniośł kawałki, rozbłysnął i szybko zgasł. Za oknem starego, drewnianego domu zerwał się wiosenny, zimny wiatr. Uderzał w okiennice, w gałęzie wiekowej lipy i drzwi domu. Mężczyzna jeszcze mocniej zaczął trzymać klamkę.

– Zamawiaju<sup>7</sup> na ciebie. Chryste wzywam, Chrystem Panem wroga odganiam. Niech zmartwychwstanie i zmarznąją się wrogowie jeho. Uciekaj. Niech biegną od twarzy bożej. Rany boże, krew czystaja<sup>8</sup> w ranie bożej niech będzie błogosławiennaja<sup>9</sup>. Pij, Janek, teraz wody ze studni. Napij się dla niej, co ci na ustach siedzi.

Babka podała chłopcu kubek z zimną wodą. Wiatr za oknem wzmagał się coraz bardziej. Przebił się przez szczeliny drewnianych beli, gwizdał, szumiał, podnosił firanki w oknie. Mężczyzna zamknął oczy i opuścił głowę. Gwizd wiatru był coraz silniejszy, napierał na drzwi. W pewnej chwili ze szpary przy progu wydobył się pisk. Prawie jak dziecięcy płacz. Dźwięk się nasilił.

– Boże, co to? – mężczyzna spojrzał na starszą kobietę, która opierając się na lasce podeszła do niego. – One tak za matką chodzą. Jak szczeniaki za suką. Słysz tylko... jak płaczą.

Babka wróciła do chłopca, objęła jego głowę i pocałowała w czoło. Zaczęła płuć w każdy kąt domu. Powtórzyła trzy razy. Ciągle się modliła.

<sup>6</sup> Ostawi – zostaw

<sup>7</sup> Zamawiaju – zamawiam

<sup>8</sup> Czystaja – czysta

<sup>9</sup> Błogosławiennaja – błogosławiona

<sup>10</sup> Sława Isusu Christu – odpowiednik polskiego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”

Pomieszczenie wypełniło zimne powietrze. Hałas zdawał się przechodzić przez ściany domu. Mężczyźni wydawało się, że słyszy głosy, rozmowę, płacz dzieci. Przez chwilę widział postać dziecka zaglądnącego przez okno.

– Zamawiaju na ciebie. Chryste, to stworzenie czyste. Bez skazy. Uratuj stworzenie. Zamawiaju na ciebie.

Wszystko ucichło. Babka zdjęła z głowy Janka płótno. Strzepała popiół i uśmiechnęła się do chłopca.

– Dobrze. Poszło na niebo. Trochę się złościło. Klóciło się. Ale nie ma.

Mężczyzna puścił drzwi i wziął na ręce Janka. Ten popatrzył na niego i zaczął płakać.

– To dom stary i ja stara – wymamrotała babka. – Tu wiatr może chodzić jak chce, śpiewać może, ale nie ma się czego bać. Weźmie chłopca do domu. W ciepło posadzi i rozmawia, dużo mówi.

Babka usiadła na taborecie i spojrzała na ojca i syna.

– Tera zdrowym trza być. Modlić... módl się Janek... Nuu mów: Ojczy nasz, któryś jest w niebie... nuuu... mów stworzenie.

Chłopiec podniósł głowę, spojrzał na bakę i w okno starego domu. Wiatr poruszył gałęzie lipy, ruszył firanką, wcisnął się w szczelinę między drzwiami. W pokoju zdało się słyszeć cichy szepot chłopca:

– Ojczy nasz...

\*\*\*

Kiedy batiuszka Tomasz przechodził przez drzwi domu babki, po wiosennej wichurze nie było śladu. W powietrzu roily się drobiny piasku, które wymieszane z ciepłym słońcem opadały na ulicę i podwórko. Wszedł cicho i od progu zaczął się witać:

– Sława Isusu Christu<sup>10</sup>. Babko, jesteście? Babko?

W domu panowała cisza, pachniało wypaloną świeczką oraz jakimś kwaśnym zapachem, którego batiuszka nie umiał rozpoznać.

– Nie chowajta się. Wiem, że jesteście w domu – pop wszedł do kuchni i nagle się zatrzymał.

Pod oknem z pochyloną głową, opartą o laskę siedziała starsza kobieta. Batiuszka przeżegnał się i podeszedł do babki.

Dotknął jej ramienia, ale nic się nie stało. Potrząsnął jeszcze raz, a głowa owinięta w kwicistą chustę uniosła się. Babka spojrzała na popa i powiedziała:

– Boże myślałam, że to już wieczer<sup>11</sup>. A to jeszcze słońce nad nami. Zachadzi<sup>12</sup> Tomasz. Zachadzi. Czaj nastawię.

Babka pokuśtykała do białego kredensu i wstawiła elektryczny czajnik. Woda zaczęła powoli się gotować.

– Na cóż się do mnie pokwapił znowu? Tyle zachodu dla starej. Przyjdzie po mnie za jaki czas. Przyjdzie odstrojony, żeby mnie zaprowadzić do Pana naszego. A tak po próżnicy łązi Tomasz, szuka czego? Może co ostatnio tu u mnie zgubił? Zgubił co?

Batiuszka Tomasz odetchnął głęboko i usiadł na krzesła, które wydało z siebie pękający trzask.

– Nic nie zgubił. Martwił się ja. Czy u Andrychowej wszystko dobrze? Jak się czuje i w ogóle?

– Oj, pop chyba nie po to przyszedł. Ano powiedz mi chłopcze, powiedz mi dziecko, czemu ty nocy się słuchasz i tak łatwo oczy zamykasz, aaa? Czemu ty święty czelowiek<sup>13</sup>, którem Bóg nakazał mówić w jego imieniu, a w jego języku już nie mówisz?

Batiuszka zbłądł, położył dłoń na piersi i powiedział:

– Ja... ja... A co babka za bzdury gada? Ja z troski przychodzę. Teraz to po wszystkich naszych chodzę, żeby dopilnować zdrowia. Czy czego nie trzeba? Czy cali? Ot, takij ze mnie dobry czelowiek.

– Tyś nie jest dobry, Tomasz. Napij sia<sup>14</sup>. Tam masz czaj z pokrzywą, to na nerki dobre. Sikać będziesz lepiej, bo pewnie cierpisz z wczesnej pory? Cierpisz, Tomasz?

– Nie o moje zdrowie chodzi, tylko o babki. Powie mi jedno...

Babka otworzyła czarne drzwiczki kaflowej kuchni. Dołożyła kilka szczap brzozy, powiedziała coś pod nosem, a ogień rozpalil się w całym piecu.

– Powie mi – ciągnął pop – czy ten człowiek, z tym niemotą, synem swoim był u babki?

Babka podeszła do szafki, wyjęła zawiniątko – kawałek starej gazety. Położyła przed popem i rozwinęła papier.

– To, co z niego wyjęła. Złe same. Ale już nie ma.

Przed popem leżał kawałek wosku o dziwnym, ale prawie rozpoznawalnym kształcie.

– I wyleczyła babka?

– Czemu ty, Tomasz, nie patrzysz na to, co ci pokazuje? To twój los tu leży. Nu patrzaj<sup>15</sup>, patrzaj.

– To tylko kawałek wosku.

Babka uśmiechnęła się pod nosem.

– Za czarne na noc, za świecące na dzień, tylko drzazgi z krwi, tylko kolki z kości.

Zaczęła się śmiać, a batiuszka Tomasz wziął do ust pierwszy lyk herbaty na oczyszczenie organizmu. Jego problemy z nerkami dręczyły go od kilku lat. Na niewiele zdały się wizyty u lekarzy, którzy jedyne co proponowali, to garści tabletek, a za jakiś czas groźbę przeszczepu.

– Babka nie strasz, tylko powie, czy pieniądze dał? Dawał babce?

– Nic nie dawał, bo i nie prosiłam. Za syna jeho nic.

– To dobrze, że nie dawał. To po bożemu wyszło. To dobrze.

Batiuszka zrobił drugi lyk herbaty.

– Da mnie rękę.

Tomasz podał dłoń babce. Ta ją podniosła do twarzy i powąchała.

– U Pana naszego na każdego pora przyjdzie, a ty za rękę z diabłem chodzisz. Uściskujesz sia. Głaszczesz po plecach jak kota. A i on cię głaszczę. Ty mu jak narzeczony jaki. Potrzebien dla jego bywania na tym świecie. Ooo te twoje nerki. Widzisz gdzie on siedzi? Boli kiedy chcesz, żeby było normalnie. Taki on jest cwany. On je, ten ból, jak rana co się zasklepić nie da.

Batiuszka szybko zrobił trzeci lyk i wstał z krzesła.

– To ja już pójdę. A babce dziękuj<sup>16</sup> za pomoc. To był dobry człowiek, a i syn niczemu nie zawinił, że się taki urodził.

– On się nie urodził taki jak ty myślisz.

– Pójdę ja, jeszcze dalej. Pomodlić się pójdę za babkę, niech Bóg da zdrowia i siły.

Staruszka spojrzała w podłogę i wyszeptala:

<sup>11</sup> Wieczer – wieczór

<sup>12</sup> Zachadzi – zachodź

<sup>13</sup> Czelowiek – człowiek

<sup>14</sup> Napij sia – napij się

<sup>15</sup> Patrzaj – patrz

<sup>16</sup> Dziękuj – dziękuję

– Za czarne na noc, za świecące na dzień. Tylko drzazgi z krwi, tylko kolki z kości.

– O czym do cholery babka gada? Jaka krew?

Kobieta przeżegnała się, a jej wzrok zatrzymał się na rękach popa.

– Pan Bóg na to pozwoli!... Przecież wiesz o tym... Tomaszku.

\*\*\*

Krokwie w stodole starego Fortuny przypominały napięte luki. Prawie jak kościelne sklepienie, tylko pokryte strzechą. Na klepisko, stary wóz, sieczkarnię, stertę rozrzuconych worków z żytem spadły brunatno-czarne kłęby siana. Jakby stodoła przetrawiła już dach i w ciszy konała, rozpadając się na kawałki. Grube, drewniane słupy i poprzeczne żerdzie przypominały rozstawione krzyże. Antoni krzątał się po stodole, próbując naprawić drzwi. Wokół niego leżały narzędzia, kilka zardzewiałych gwoździ, kowalski młot, którego obuch wyglądał na często używany. Lśnił, polyskiwał wygładzonym metalem. Pod ścianą stała duża siekiera do rozłupywania pni. Zakurzona, stara, łuszcząca się kawałkami rdzy, podtrzymywała przechylającą się do środka ścianę. Być może Antoni miał inną, lżejszą, która służyła mu w drewni. O tej po prostu zapomniał.

Batiuszka ubrany był w ciemną kurtkę i dzinsowe spodnie, wyglądał na zmęczonego. Wszedł szybko przez bramkę gospodarstwa Fortuny i od razu udał się do stodoły. Tam stanął za plecami starca i czekał aż ten się odwróci.

– Nu widać, że teraz to ty się już nie witasz ze starymi przyjaciółmi. Tylko zachodzisz jak złodziej od pleców.

– Witaj, Antoni. Po co mnie tu ściągnąłeś? Myślałem, że wszystko omówiliśmy.

– Nic nie omówiliśmy i niczego nie wyjaśniliśmy do końca. Są między nami sprawy... które nie są jasne.

Fortuna odwrócił się, podszedł do popa i podał mu dłoń. Uścisnął ją bardzo mocno. Tomasz poczuł, jak kości dłoni ocierają się o siebie, drapią skórę.

– Widzisz, Tomaszku, ja już stary jestem, ale mnie wydaje się, że jeszcze mogę coś zrobić. A chociażby te drzwi naprawić, wymienić lodówkę w domu, a nawet nowy samochód sobie kupić. Bez pieniędzy to ja nic nie zrobię.

– Pieniądze przepiłeś albo wydałeś na baby. Stary capie, ty... Ja tobie nic nie jestem winien.

– Jesteś.

– Nie jestem.

– Gdzie pieniądze od tego chłopca, co ostatnio tu... z tym niemotą był u mnie? Przestał dzwonić. Był u babki. Uleczyła czy nie?

– Babka mówi, że uleczyła, ale jej pieniędzy żadnych nie dał. I tak by nie wzięła.

– A skąd mnie to wiedzieć, Tomaszku? Może tobie dał?

Pop odsunął się pod ścianę stodoły, ponieważ Fortuna wziął do ręki ciężki kowalski młotek. Wymierzył nim w batiuszkę zdecydowanym ruchem. Zrobił to bardzo szybko i precyzyjnie. Obuch zatrzymał się koło ust.

– A może ty złodziej jesteś? Sobie pieniądze zabrał? Sobie przysposobił na nowy samochód? Mało ci z tacy spada, złodzieju? Mało masz napchane w kieszenie?

– Osz ty... mnie... złodziejem. Diable ty. Ja nikomu... nigdy... nic...

– A właśnie, że kradłeś. Ze mną, od tych wszystkich ludzi co do babki przychodzili. Kradłeś, a teraz oddaj co moje. Połowę mnie dawaj.



Fortuna przyłożył młotek pod brodę popa Tomasza. Ten przestraszony zaczął się jękać.

– Nic.. nic ci nie dam. Nic nie dostałem. To kłamstwo... nic nie mam.

– To ze swojego oddasz. Wyciągaj z kieszeni. Z tej swojej czarnej sukienki. Noo, dawaj.

– Won psie jeden. Won czarcie, co mi życie zepsuleś. Ty z tymi swoimi pomysłami. To dlatego babka tak mówiła, to dlatego ona gadała, że siarką czuć, że ty diabeł.

– A ty ptaszku kolorowy, ty nawet mężczyzną nie jesteś. Chłopem nie jesteś. Bo ci tam wszystko wycięli. Wygryźli ci na spowiedziach, na klęczkach ci wygryźli. One to zrobiły i oni. Nie masz odwagi, żeby żyć jak chłop. Obce żony do lasu prowadzać, ich dzieci do domu na słodczy zapraszać. Co ty myślisz, że ja nie wiem, kto z nas większy diabeł? Tyś za pieniądze łzy dzieci zakopywał w kieszeniach rodziców. Tyś je wodził, pokazywał, jaki ty mężczyzna. Myślisz, że nie wiem, co o tobie mówią ci, którzy chcą zapomnieć? Ile po wioskach rodzin przez ciebie płakało, bo wstyd powiedzieć coś ty z ich dziećmi wyczyniał? A ja wiem wszystko i wszystko mogę powiedzieć. Ty złodzieju, gwałcicielu...

Pop Tomasz wyczuł w prawej dłoni drewniany, lepący się od brudu trzonek. Wpasował się idealnie w zaciskające palce. Zimny, ociekający rdzą obuch świsnął w powietrzu. Tomasz uderzył Fortunę z boku, trafiając siekierą pomiędzy szyję, a lewy obojczyk. Puścił ją i się odsunął. Fortuna upadł na kolana i przewrócił się na plecy. Z rany trysnęła krew na kawałki desek i piaskowe klepisko. Zaczęła szybko parować, a brunatna plama robiła się coraz większa. Starzec jęknął, a z jego ust wydobył się czerwony bąbel. Odchylił głowę i przestał oddychać.

Batiuszka Tomasz spojrzal na swoje dłonie, a potem na ciało. Odwrócił się i belkoczając „Nie jestem diabłem” wybiegł z gospodarstwa.

W stodole Antoniego Fortuny zrobiło się cicho, ale po chwili zerwał się wiatr, który wpadł do środka przez otwarte drzwi, przez dziury w ścianach. W powietrzu zakreśliły się drobiny piachu i zapach świeżej krwi. To wszystko uniosło się lekko do góry, w dach, w niebo, na które zaczęły wpływać jasne, rozświetlone wiosenne chmury.



foto. archiwum prywatne autora

## RAFAŁ MIKOŁAJ KRASUCKI

– dziennikarz, z wykształcenia politolog. Przez ostatnie lata był zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Benefit”, obecnie kierownik Działu Edukacji Kulturalnej i Organizacji Imprez w Miejskim Domu Kultury – Domu Środowisk Twórczych w Łomży. Pasjonat poezji, podlaskiej przyrody oraz wędkarstwa.

Katarzyna Nowak-Szelejewska

## Pierwszy śnieg

Benek zapił się najszybciej. Szukał żony, miał gospodarkę, trochę pola. Gadali, że ponoć w przewoźniku, który przewoził ludzi łodzią na drugi brzeg rzeki, do miasta, widział już nie człowieka, ale sługę tamtych światów i kiedy dobrze popił z innymi chłopami, plótl, że tamten go nawet nagabywał: „Zapłać mi, a przewiozę cię na drugi brzeg”. Chłopy śmiały się z niego, a on, że nie na drugi brzeg rzeki, ale na drugi brzeg życia.

– Bo życie ma dwa brzegi – bełkotał, a oczy mu jaśniały. – Ten brzeg to wieś, a tamten śmierć.

W końcu nie wrócił z miasta, choć błąkał się po wsi. Raz i ja spotkałam go na drodze.

– Benek, Benuś – ulitowałam się. – Toś ty nie po tamtej stronie?

Zamyślił się, pokiwał głową, był piękny, jak gdyby odjęto mu kilka, może nawet kilkanaście lat, zniknęły siwe pasma włosów, usta stały się pełne, czerwone, i rumieńce wystąpiły na policzki.

– Po tamtej stronie? – powtórzył. – Nie, nie ma żadnych stron. Tylko wieś – ocknął się z zamyślenia. – A wiesz, myślałem kiedyś, żeby ciebie poprosić, ale gdzie byś się zgodziła za pijaka. Lepiej było już umrzeć. Czasem tak nieznośnie boli – szarpnął ręką koszulę i wskazał na pierś. – O, tutaj. Tyle, że nikt mi nie da wódki, nie mam czym zapłacić.

– Poczekaj.

Skinął smętnie głową, nawet przysiadł na kamieniu, wyciągnął przed siebie nogi i zdziwiłam się, że choć szedł boso, stopy miał czyste.

– Nie spiesz mi się.

Wróciłam do niego biegiem. Odwinęłam butelkę ze spódnicy. Spojrzał łakomie, wyciągnął rękę.

– Nie, nie – pokręciłam głową. – Teraz mi opowiesz.

– Co tu gadać? Daj choć łyka.

Może miał rację, nic nie było do gadania, jak widać po nim. Wrócił, nie wrócił, z innymi także się widywał.

– Ostatnio maślaki obierałem.

– O, maślaki? – zdziwiłam się uprzejmie.

– Tyle po lasach, szkoda, żeby się zmarnowały.

A jak człowiek zbierze, to żal potem nie obrać.

– Że też maślaki przypadły ci w udziale! – oburzyłam się za niego, bo tyle grzybów w lesie, niechby już podgrzybki obierał, nie mówię o prawdziwkach, albo kurki czy rydze.

– Mam nożyk – wyciągnął z kieszeni swój stary nóż z drewnianą rączką, taki co to dawno dopasował się do jego dłoni, chociaż teraz ta dłoń była młodsza. – Nie jest tak źle, niektórzy nie lubią obierać maślaków, ale ja?

Kiedy chodził po lesie? Nie udało mi się zauważyć jego śladów. A może tak samo było ze wsią, kręcił się po drodze, wchodził do chat, ale tak niepostrzeżenie, że nie mogliśmy widzieć, jak siada z nami do kolacji, jak kładzie się w izbie, żeby tylko choć na minutę przyłożyć głowę do poduszki, choć po prawdzie, sen już go nie morzył. Ani głodu, ani pragnienia, jedynie to pieczenie w piersi, ból, nie ból, jak ci to powiedzieć?

– Maślaki dobre grzyby, a że trzeba ściągnąć z nich skórkę?

– Palce się kleją.

– No tak – wyciągnął przed siebie rękę, rozwarł szeroko palce i przyglądał się im, brew lekko podjechała mu do góry, jakby się zdziwił, że to jego, ale zaraz powiedział: – To moje – i wyraźnie w jego głosie zabrzmiała duma.

Rzeczywiście, miał długie te palce, szczupłe i bez jednej zmarszczki, niczym wykute w białym kamieniu.

– Warto było, choćby i dla tych palców umrzeć – ale duma uleciała z jego głosu.

– Masz – podałam mu butelkę.

Myślałam, że może teraz powie coś więcej, ale on zamilkł, otarł usta dłonią i dopiero po jakimś czasie odezwał się: – Śnieg pada, popatrz.

Leciały płatki śniegu, niektóre zatrzymywały się na drzewach, inne topniały, Benek otworzył usta, żeby poczuć je na języku.

– I po grzybach – dopiero teraz schował nóż do kieszeni.

– E, może jeszcze nie, pierwszy śnieg, wiesz jak to z pierwszym śniegiem.

– Nie, nie, ten nie jest pierwszy.

– Tak? – Dni szybko mi mijały, może nie dostrzegłam pierwszego śniegu, może o nim zapomniałam.

– Byłabyś dobrą żoną – uśmiechnął się do mnie, ale widać zrobiło mu się smutno, bo oczy mu pociemniały, a cała postać jak gdyby skuliła się, pomniejszając o połowę.  
– Może trzeba było poprosić? Powiedz.

Co mi szkodziło. Zawiał lekko wiatr i płatki posklejały się ze sobą, spadając teraz niczym kawałki chleba.

– Biała cisza – powiedział.

Bo rzeczywiście, wieś zamilkła, szykując się na przyjęcie śniegu.

– Zostawiłeś nas – wyrzuciłam mu w przyplwywie nienawiści.

Nie wzdrygnął się nawet. Uniósł lekko głowę, żeby popatrzeć na śnieg. Obserwował, jak płatki upadają na drogę i jeden po drugim znikają w kałużach.

– Nie zostawiłem – zaprzeczył, i dopiero wtedy pojąłem, że rzeczywiście nigdy nas nie zostawił. To jego skradanie się, fałszywa nieobecność, siadanie do stołu, gra w karty i targi z przewoźnikiem: „Weź mnie jeszcze raz na drugi brzeg rzeki, do miasta”, ale przewoźnik już go nie mógł wziąć, bo Benek nie miał czym zapłacić.

– Nie wiem, po co wróciłem – wyznał. – Chyba nie było tam dla mnie miejsca – kopnął niewielki kamień, który potoczył się i wpadł do kałuży.

Mój Boże, był teraz piękny i młody, nie znałam go takim.

– Czasem wracam do chaty. Przy stole pusto. Siostra krząta się koło pieca, ale nie siądzie już ze mną. Nie odezwie się. Kiedyś mówiła: „Ty sukinsynu, won mi stąd, teraz do mnie wracasz?”

– A kiedy błagałam: „Zboże trzeba kosić, drzewa narąbać, gdzie byłeś?!”. Wstyd było ludziom pokazywać się na oczy. „Rozpił się” – mówili do mnie z pretensjami, jakbym to ja ciebie rozpiła.

– Po co było umierać? Nie wiem, nie wiem. I umarli mną gardzą, ojciec, matka, mijam ich na drodze,

to odwracają się plecami, nawet ksiądz w kościele: „Jezus umarł za prawdę, a ty, synu, za co umarłeś?”. „Za ten ból, księżo proboszczu, co dusił mnie w klatce piersiowej” – to tylko uśmiecha się kpiąco. „Ból jak ból, bo to ciebie jednego męczył?”. Ale nie wie, że mnie najbardziej. Sterczę czasem jak głupek w tej kolejce do konfesjonału, a tylko ciągle brak odpuszczenia win i w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Trzech ich, ale ani jeden nie przepuści. Zobacz, śnieg już przykrył gałęzie.

Spojrzałam tam, gdzie wskazał mi ręką, na klon, który wyrósł naprzeciw nas.

– To co dopiero o wódkę ich prosić – wzruszył ramionami. – Prędzej by może wybaczyli niż oddali darmo. A tu ani jednego, ani drugiego. Oj, trzeba było zostać po tamtej stronie. Głupi byłem, że wróciłem.

– Jak tam było? – Benek nie mógł mi powiedzieć. Zaciśnął usta i pokręcił głową.

– Nie i nie, to nie dla ciebie, jeszcze nie możesz wiedzieć, taka wola boska, takie prawa, gdybym ci powiedział i ty musiałabyś odejść, a nie mnie decydować, kto tu, kto tam, dobrze wiesz o tym, nie mnie. Zresztą, nie zrozumiała-byś. Taki wasz los, nie rozumieć. Ja rozumiem, ale czy dzięki temu mi lżej?

– A kiedy rzeka zwała lodem, nie mógłbyś przejść?

Roześmiał się. Benek zabił się akurat zimą. Mrozy były tegie, pod butami skrzypiały, a jak się szło przez wieś, to człowiek ginął w tym mrozie. Przechodziłam obok cmentarza, kopali mu grób, po dużym ognisku rozpoznałam. Łopaty leżały w dole, a tamci rozsiedli się wokół ognia, okutani w kozuchy, czapeczki z pomponami sterczały z daleka i wcinały się pomiędzy krzyże. Było ich trzech. Podeszłam do nich od tyłu, wzdrygnęli się, ramiona im się uniosły, głowy zawirowały, jeden zaklął: „Co do kurwy nędzy?”

Znaliśmy się dobrze, przy każdym pogrzebie usługiwali, trumnę na linach spuszczały do grobu, czasem coś

przyśpiewali, żeby było bardziej uroczyście, i przywdziewali żalobę, jakby smutek rozpierał ich od środka.

– Dla Benka kopie my. Pewnie wiesz.

– Co bym miała nie wiedzieć. W mieście się zabił. Ponoć pijany.

– Głupi. Ja to bym się nie dał. Tyle ziemi i do kogo ona teraz pójdzie? A koń? Takiego miał pięknego konika. A tyle kobiet, nie mógł to sobie wziąć jednej? A nawet i drugiej? Któraś by go tam zechciała. A ten od razu wieszac się. Piliśmy, nieraz, on stawał, ja stawałem, kieliszek jeden, drugi, na prawą nogę, na lewą, na zdrowie, na życie, ja to tam na życie palem, bo jakże inaczej? A tamten na śmierć, zapil się. Bo to nie żal? Na urodziny piliśmy, imieniny, przy stole, porządnie, do kart, do chleba, do ogórków, mówiłem mu, że pijemy jak prawdziwe chłopcy i że nie ma się czego bać. Bo jak już się porządnie spił, to dygotał ze strachu. Przed czym? Jak tu powiedzieć? Słów brak. Gdybym tylko wtedy wiedział, że on na śmierć pije, nie pozwoliłbym mu tyle. Pewno, i mnie na śmierć się zdarzało, kieliszek, dwa, dzień gorszy, człowiek jak zwierzę się czuł, tą robotą przede wszystkim upodlony, w polu, gdzieżby indziej, nie tutaj przecież, nie na cmentarzu, co to raz na jakiś czas dół wykopać, przy zmarłym zaśpiewać, ale tam ziemia człowieka upadła, aż do krwi nieraz ściskałem widły, łopate, a ojciec, że wciąż jeszcze mało. Ale nie, nigdy całej butelki na śmierć, po dwóch, trzech kieliszkach przechodziło i pilo się tylko na życie, żeby babę jaką przyciągnąć do siebie, choć

na jedną noc, do miasta popłynąć, w słońcu się wygrzać, zresztą, co będę ci mówił, wiesz sama – zamilkł, jakby mróz zabrał mu słowa.

– Usiądź – stary przesunął się, żeby zrobić mi miejsce na desce, którą ułożyli przy ognisku. Usiadłam i poczułam ciepło.

Trzeci milczał. Nie odrywał wzroku od ognia, twarz mu szczerwieniła i może nawet trochę opuchła, zrzucił rękawice, leżały na śniegu.

– Benek, Benuś – zawodził stary. – Gdyby mi syn coś takiego zrobił ... Nawet mu już przez łeb nie przyłożysz, bo za późno na naukę. Gdzie on teraz się podzieje? Ksiądz niby zechciał go na cmentarzu, już teraz z nich nie takie pany jak dawniej, że wisielca do poświęconej ziemi nie przyjmą, ale czy tyle świętości, co w tej cmentarnej ziemi starczy, żeby Bóg zechciał go zabrać do siebie? I o czym mieliby gadać? Jak z Benkiem szło mówić dopiero, gdy wypił. Inaczej to mruk.

– Przyszedłem wtedy do was, dosiadłem się do ogniska – powiedział Benek.

Popatrzyłam na niego z niechęcią.

– Sprawdzałeś, czy wykopali wystarczająco głęboki dół?

Wzruszył ramionami, a ja pomyślałam, że nie chcę go już więcej widzieć. Skradacz, cień, umarły. Wstałam, otrzępałam spódnicę z kilku płatków śniegu, zrozumiał, że odchodzę. Został przy drodze jak kamień.

## KATARZYNA NOWAK-SZELEJEWSKA

– psycholożka, psychoterapeutka, pisarka. Została wyróżniona m.in. w konkursie zorganizowanym przez Wydawnictwo Czarne, w konkursie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz w Międzynarodowym Literackim Konkursie im. Siegfrieda Lenza. Brała udział w warsztatach literackich organizowanych w trakcie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz Festiwalu Góry Literatury – Fundacja Olgi Tokarczuk. Uczestniczka Pracowni Prozy Biura Literackiego w ramach Pracowni Stacji Literatura 23 w 2018 r. Autorka zbioru opowiadań *Skrzypki* (fragmenty opublikowane w „Bibliotece” Biura Literackiego, 2019). Publikowała na łamach czasopism: „Akcent” (2021), „Tlen literacki” (2021), „Fabularie” (2021) oraz „Twórczość” (2022). W 2021 r. zdobyła Nagrodę Literacką im. Mariana Redwana.



fot. archiwum prywatne autorki

Aleksandra Woźniak

## Wędrownik niedźwiedzia

Trzy kroki, obrót, trzy kroki, obrót. Pazury pozdzierane od krat. I tak cały dzień.

Nie wiem, jak długo to trwa, bo nie widzę, jak dzień przechodzi w noc. Wiem, że i tak mam szczęście, inni świata poza tym miejscem nie widzieli nigdy. Nie żyli wcześniej, ale i nie chcą żyć później. Życie kojarzy im się z cierpieniem. Żywią ich więc wspomnieniami, tak samo jak siebie.

Pierwsze życie pachniało igłami sosen, mokrymi od topniejącego śniegu. Gdy wyszedłem spod ciepłego oddechu matki, świat czekał na mnie, a ja czekałem na świat. Wąchałem wilgotną ziemię, wyciągałem z niej larwy, wykopywałem korzenie, szukałem owoców. Myślałem, że to dopiero początek, ale wtedy znaleźli mnie ludzie.

Zamieszkałem z nimi. Nie traktowali mnie źle. Przynosili najsmaczniejsze kęski, patrzyli z podziwem, bojaźnią, a nawet miłością. Żalowałem, że nie poznam już lasu za wzgórzem, nie sprawdzę skąd wypływa strumień. Ale nie cierpiałem. Obserwowałem kobiety z rysunkami na skórze i brodatych mężczyzn, znoszących do wioski ryby. Nazywali siebie Ajnami, czyli po prostu ludźmi. Słońce świeciło wyżej i wyżej. Gdy wieczory zaczęły robić się coraz zimniejsze, wiedziałem, że coś nadchodzi. Życie przestało toczyć się zwykłym torem. Słyszałem, że krok istot robi się coraz szybszy, w powietrzu unosił się zapach zdenerwowania i oczekiwania.

W końcu nadszedł ten dzień. Okryli mnie wzorzystymi szatami, obwiesili ozdobami. Poczulem ich niecierpliwość i ekscytację, ale nie było w nich okrucieństwa. Była nadzieja. Wiedziałem, że za kilka chwil opuszczę moje ciało, ale byłem spokojny. Ludzie chcieli, bym wrócił tam, skąd przyszedłem. Do wiatru, deszczu i ziemi, skąd znów powrócę. Ich oczy szklily się, oddech rwał. Śpiewali o nas, o mnie i o nich, błagali mnie, bym sprawił, że świat nigdy nie będzie skąpił im darów. Wtedy strzała przebiła moją pierś i utkwiła w sercu. Uniosłem się ponad dachy drewnianych chat, ponad las, a na ziemi zostało moje ciało, które posłużyło ludziom za pokarm.



Anna Bulatewicz / PLSP w Supraślu

Następna była biel. Skrzypienie śniegu pod łapami. Wycie wiatru. Dni i noce ciągnęły się w nieskończoność, ale nigdy nie było ciemno, niebo rozświetlały gwiazdy, których blask skrzył się w kryształkach śniegu. Czasem nad horyzontem pojawiała się inne światło. Mieniało się barwami, które pamiętałem z poprzedniego wcielenia. Światło brzęczało, wibrowało, pulsowało jak serce foki, z której uchodzi życie. Woda też była moim żywiołem. Przemierzałem morze z taką samą swobodą jak śniegi.



Chwytałem ryby, czasem udało się dogonić fokę. Niekiedy walczyłem o mięso z istotami ludzkimi, które również żyły na tej niegościnniej ziemi, chociaż starały się nie wchodzić mi i braciom w drogę. Też żywiły się foczym mięsem, skór używały, by chronić się przed zimnem. Matka opowiadała mi, że kiedyś morze zaczynało się wiele godzin biegu stąd. Teraz woda pochłaniała coraz więcej lodu. To chyba dlatego zacząłem zapuszczać się do ludzkich siedzib. W końcu podszedłem za blisko. Człowiek, z którym stałem oko w oko, śmierdział strachem. Uniósł metalowy pręt i odebrał mi kolejne ciało. Koło obróciło się kolejny raz.

To był dobry czas. Teraz tylko ból. Nie widzę słońca, nie czuję wiatru. Ciemność. Beton, żelazo, wytwory ludzkiej ręki. Te istoty ludzkie są dalej natury. Nie żyją wraz z nią, odgradzają się, ukrywają. I nas też chowają przed światem. Dają tylko tyle jedzenia, żebyśmy nie pomarli z głodu. Gdy podrosłem, wykroili w moim ciele otwór. Tędy dostali się do mojego-swojego skarbu, soków ciała, które zbierają

codziennie do pojemników. Rana nie zabliznia się. Życie ucieka, kropla po kropli, a oni wymieniają je na pieniądze. Mówią między sobą, że przecież pomagają innym. Że nasze soki ulżą cierpieniu ludzi. Nie wierzę w to. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wymieniają swoje cierpienie na nasze.

Bracia nie wierzą, ale ja wiem, wiem, że to nie koniec. Gdy moje ziemskie ciało dłużej już nie zniesie tej męki, znowu zespolę się ze światem. Stanę się wiatrem, deszczem, ziemią, na koniec powrócę, jak wracałem wiele razy. Ludzie przeminą. Śpiewających i brodatych z długimi kijami już prawie nie ma. Wiem, patrzyłem czasem na nich, gdy moja dusza po raz kolejny opuszczała wystygłą skorupę. Tych w foczych futrach nie będzie już niedługo, znikną razem z lodem, na którym mieszkają. Wszystko roztopi się w morzu. I ci teraz, którzy nas dręczą, i oni przeminą. Kołowrót obróci się jeszcze wiele razy, ale kiedyś świat znowu będzie nasz. Umiem już czekać.



foto. archiwum prywatne autorki

### ALEKSANDRA WOŹNIAK

– z wykształcenia sinolożka i japonistka. Była bibliotekarka, obecnie tłumaczy i pracuje w azjatyckiej redakcji Culture.pl. Pisze dla „Przekroju” i „Torii”, publikowała też w „Gazecie Prawnej”, portalu gazeta.pl, „Fabulariach” i „Przeglądzie”. W wolnych chwilach trenuje kendo i podróżuje pociągami.

Marek Nowak

## Kraj Dogonów

– Rozumiem, ale nie nazywaj go tak, nawet kiedy mówisz do mnie i nie ma nikogo w promieniu kilometra – Enzo odwrócił się i sięgnął do lodówki po butelkę wody.

Błażej wykorzystał ten moment, by otrzeć pot z czoła. Przyzwyczaił się wprawdzie do afrykańskich upałów, ale trudno znosił krytykę. Denerwował się jak szczeniak, a krople potu niemal natychmiast pojawiały się na jego czole. Oczywiście nie zawsze tak było. Kiedyś, lata temu, był przecież dobrym polskim policjantem.

– Wymsknie ci się potem przypadkiem coś takiego i będzie bardzo, bardzo niezręcznie – kontynuował Enzo, rozstawiając i napelniając szklanki. – A nie dość, że będzie niezręcznie, to zamiast miliona monet zobaczymy odjeżdżającego milionera.

– To jak mam mówić? – wychylił niemal całą szklankę jednym łykiem.

Enzo zamyślił się. Był niższy od Błażeja o głowę i dużo gorzej zbudowany. W całym Mali nie było zresztą nikogo lepiej zbudowanego od Błażeja. Sylwetka kulturysty oraz to, że nikt nie potrafił tu poprawnie wymówić jego imienia (francuskie Blaise brzmiało przecież jak „blaza”), zapewniły mu ksywę Arnold.

Enzo przyjął zaskakująco poważny wyraz twarzy.

– Wiem – uderzył nagle ciemnoskórą dłonią w brązowy blat biurka. – Nazywaj go ekscentrykiem. To nie obraża. Możesz chyba przez kilka dni nie obrażać najbogatszego klienta w historii mojej firmy?

– Oczywiście – Błażej wzruszył ramionami. Ukrywanie zdenerwowania szło mu coraz gorzej i chciał jak najszybciej ponownie zobaczyć spokojną wersję twarzy przełożonego. – Przyznasz jednak, że zamówienie C4 w ilości, jaka wystarczyłaby do wysadzenia głównej dzielnicy Bamako i tego całego sprzętu budowlanego, jest... mocno ekscentryczne.

– Mam to gdzieś. Amerykański milioner z Rhode Island może u mnie zamawiać co chce, a ja mu to zapewnię w bardzo dobrej cenie. Jeśli potwierdzi wszystko, o czym pisał w mailu i zaakceptuje moje wyceny, zostawi tu prawdziwą fortunę. Właściwie, jakby chciał kupić cały ten kraj, też bym dał radę mu pomóc – Enzo uśmiechnął się odsłaniając białe zęby. Znów był sobą.

Błażej rzucił okiem za okno na popękaną nawierzchnię Kasse Kelta, wysuszoną od słońca trawę i nieliczne palmy. „Do tego kraju, to trzeba by raczej dopłacić” – pomyślał. Pieniądze były dla niego trudnym tematem. Enzo wyciągnął go przecież z rynsztoka i ocalił życie. Przemógł się jednak.

– Będę miał z tego coś ekstra? – spytał.

– Tak, Arnold. Ochroniaj go, traktuj z szacunkiem, pomóż ogarnąć robotników, a dostaniesz ogromną premię i sporo wolnego. Będziesz mógł zrobić sobie wakacje w jednym z tych pięknych hoteli z basenami. Albo spłacić długi w Polsce. Do wyboru.

\*\*\*

Ubrany w bluzę i spodenki koloru khaki Francis Plowman już z daleka wyglądał na turystę. Był siwiejącym, szczupłym szatynem około czterdziestki, miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, kilkudniowy zarost i przenikliwe niebieskie oczy.

– Negocjacje są tutaj dość proste – mówił z nieznośną sprzeciwu pewnością w głosie. – Chcesz detonować skałę na obszarze wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO? Tłumaczysz urzędnikowi, żeby się nie krępowal i podał kwotę, z której będzie zadowolony on i jego rodzina. Gdy się zastanawia dodajesz, że biorąc pod uwagę okoliczności panujące w Mali, jest też pewien rozsądny limit. Jest to suma pieniędzy, które czysto teoretycznie wziąłby jakiś zły człowiek za spowodowanie nieszczęśliwego wypadku...

– To rzeczywiście przemawia do wyobraźni – potwierdził Enzo, przyglądając się ministerialnemu zezwoleniu na prace budowlane i użycie ładunków wybuchowych w ścisłym rezerwacie przyrody.

– Tak, życie jest tu zaskakująco tanie. Podobnie jak siła robocza.

– Skoro pan o tym wspomniał – Enzo sięgnął po teczkę leżącą na biurku. – Analizowałem przesłaną specyfikację i mam wątpliwości co do liczby robotników. Myślę, że ogarną to w ośmiu, najwyżej dziesięciu.

– Mówmy sobie po imieniu Enzo, dobrze?  
 – Jasne.  
 – Ma być trzynastu. Trzynastu Murzynów, dokładnie tak, jak napisałem. Do tego ktoś, kto przygotowuje posiłki i jakiś biały gość, który ich upilnuje i ogarnie.  
 – Od tego właśnie będzie Arnold – szef wskazał go skiniem głowy. – Mój najlepszy człowiek.  
 Płowman spojrzał na stojącego za plecami Enzo Błażeja, jakby dopiero teraz odnotował jego obecność.  
 – Arnold? Tak masz na imię?  
 – Nie, ale tak najłatwiej zapamiętać. Przez mięśnie – odruchowo napiął bicepsy i wypiął klatkę piersiową. Obawiał się, że Płowman zacznie drażnić temat jego prawdziwego imienia, kraju pochodzenia i przeszłości, lecz Amerykaninowi było to całkowicie obojętne.  
 – Dobra, ja jestem Francis. Co myślisz o tej całej robocie?  
 – Da się zrobić.  
 – A masz do niej jakiś osobisty stosunek?  
 Zdezorientowany Błażej spojrzał na Enzo i leżące na biurku papiery.  
 – Jak dla mnie jest trochę... ekscentryczna.  
 Enzo uśmiechnął się i skinął porozumiewawczo głową.

\*\*\*

– Niektóre z tych rysunków powstały jeszcze w epoce kamienia – mówił Francis patrząc na utrwalone na skałach prymitywne postaci. Na głowie miał bawelniany kapelusz przeciwsloneczny z szerokim rondem. – Wiesz, nasi przodkowie gładzili przez całe dni kamyki i dopiero co skumali, że jak zasiejesz, to wyrośnie...  
 – Niektórzy dotąd nie skumali – mruknął Błażej.  
 Usiadł i oparł się o skałę. Francis od dłuższego czasu robił zdjęcia postaciom na skałach i porównywał niektóre z rysunków z zawartością skórzanej teczki. Kilka metrów pod nimi przejeżdżała koparka i samochody wiozące robotników.  
 – Wiesz, że tubylcy, Dogonowie, do tej pory wierzą w starożytnego boga zwanego Nommo, który rozerwał się na sześćdziesiąt kawalków i po kilku dniach zmartwychwstał? – kontynuował Amerykanin.  
 – Tak, słyszałem. Ochraniam turystów, słucham przewodników – wyjaśnił w odpowiedzi na zaskoczone spojrzenie rozmówcy. – Urwisko Bandiagara i cały ten Kraj

Dogonów to jedne z najważniejszych atrakcji turystycznych Mali.

– To słyszałeś też pewnie ciąg dalszy opowieści o Nommo.

– Kiedy się złożył w całość, okazało się, że jego penis został zjedzony przez rybę. Wszyscy turyści wtedy rechoczą i można jechać dalej. Do meczetu w Diafarabe.

Płowman uśmiechnął się tajemniczo.

– Według mitów Nommo dał początek wszystkim istotom: ludziom, zwierzętom, a także czemuś takiemu – wyciągnął z teczki i pokazał wydrukowane zdjęcie przedstawiające rysunek naskalny, na którym widoczne były istoty posiadające zarówno ludzkie jak i rybie cechy.

Błażej przyjrzał się mu, po czym wzruszył ramionami.

– Nie dziwi cię to?

– A co w tym dziwnego? W Grecji wierzyli w istnienie ludziokoni i kolesia z głową byka, to w Mali mogą wierzyć w ludzioryby. Jeden pies.

Płowman usiadł obok i wypił kilka łyków wody z bukłaka.

– W sumie racja. Dla mnie jednak kluczowe były okoliczności, w jakich po raz pierwszy trafiłem na opis takich istot.

Samochody poniżej zatrzymały się w niewielkiej dolinie, a robotnicy zaczęli rozkładać obóz.

– „Nagle z wody wyłoniło się podobne do nich stworzenie, potężniejsze jednak. Ogromne niczym Polifem, zdumiewające niczym potwór z koszmarnych snów” – cytował z pamięci ogarnięty narastającą pasją. – „Objęło swymi łapami obelisk i wydało z siebie kilka miarowych odgłosów...”. Pięknie to było opisane.

– Gdzie?

– W tekście Howarda Philipa Lovecrafta. Największego mistrza horroru w historii literatury. A może raczej proroka... – zamyślił się. – Po zobaczeniu tej przerażającej istoty bohater opowiadania traci zmysły i rozpoczyna ucieczkę. Potem już niewiele pamięta. Wie, że wskoczył do szalupy, zerwał się ogromny sztorm, a on stracił przytomność. Ostatecznie sam nie wie, jak został uratowany. Przez resztę życia dręczą go koszmary i wizje potwora. Próbuje radzić sobie z tym morfiną. Szybko przestaje to wystarczać i popelnia samobójstwo. Najważniejsze jednak: stwór z opowiadania nazywa się Dagon.

– Ten Lovecraft miał coś wspólnego z Mali?

– Długo nie mogłem tego rozgryźć. Mistrz opowiadał różne historie o swoim drzewie genealogicznym. Zleciłem to w końcu zawodowcom.

Ponownie przerwał i wypił kilka łyków wody.

– I co? – Błażej był szczerze zaintrygowany, do czego to wszystko zmierza.

– Pewne jest, że Howard nigdy tu nie był, a jego ojciec dosłownie nigdzie się nie ruszał, bo dostał paraliżu. Zaraził się kilką. Ale w końcu coś mnie tknęło i kazalem zbadać też możliwe powiązania z Mali ze strony rodziny jego matki, Sary Susan. I to był strzał w dziesiątkę. Wygląda na to, że jej ojciec, Whipple Van Buren Phillips, pełnił przez pewien czas poważną funkcję w strukturach francuskiej administracji w Sudanie Francuskim. Czyli między innymi na terenach dzisiejszego Mali.

– To były czasy kolonializmu, tak?

– Raczej czasy wkraczania cywilizacji do świata dzikusów.

– Chyba nie tak na to patrzą.

– Ale my wiemy swoje, tak?

Błażej nie zaprzeczył. Doświadczenie nauczyło go, by nie wchodzić w spory ideologiczne ze zleceniodawcami. Nie płacili za to premii.

– Kolonizacja to najlepsze, co mogło się Murzynom przytrafić w całej ich pieprzonej historii – spointował Płowman. – Ale do rzeczy. Kiedy Whipple Van Buren Phillips osiadł w Stanach i poznał wreszcie Howarda, ten przeżył załamanie nerwowe. Zaraz po wyjściu ze szpitala napisał zaś kilka rewelacyjnych tekstów. Między innymi ten o Dagonie. Co więcej, Dagon jest pierwszym bóstwem należącym do panteonu Wielkich Przedwiecznych, bóstw, które Lovecraft opisał w swoich przerażających historiach. Ładnie się to spina, prawda?

Choć brzmiało to jak bredzenie szaleńca, patrząc na wznoszące się nad nimi pokryte prymitywnymi rysunkami potężne urwisko z piaskowca, Błażej poczuł w sercu ukłucie niepokoju.

\*\*\*

Bandiagara miała łącznie sto pięćdziesiąt kilometrów długości. Pierwszą wioskę Dogonów położoną na ścianie tego gigantycznego uskoku tektonicznego Błażej odwiedził już kilkadziesiąt razy. Zawieszane na skalnych półkach domy, spichlerze i pomosty zawsze budziły zaskoczone okrzyki

turystów. Zrobiono tu dziesiątki tysięcy zdjęć. Nikomu też nie chciało się jednak jeździć dalej niż do tej pierwszej.

Błażej słyszał wielokrotnie, jak unikalna jest kultura tego ludu. Dogonowie wierzyli, że świat żywych, zmarłych i bogów stanowi jedność, a człowiek rodzi się z podwójną duszą, zarówno męską, jak i kobiecą. Czcił niebiańską istotę Amma, która stworzyła jajo świata. Jajo to składało się z czterech żywiołów: wody, ziemi, powietrza i żelaza. Błażejowi brakowało w tej wyliczance ognia, ale uznał, że najwidoczniej w takim klimacie nie myśli się dodatkowo o czymś, co daje ciepło. Według mitu jajo drgnęło kilka razy i powstał z niego obecny Wszechświat. Z jaja wyłonił się też Wielki Nommo, zarówno jako mężczyzna, jak i kobieta. Kiedy podzielił się na części powstały niebo, ziemia, pory roku, dzień i noc.

Niektórzy z podróżników, których spotykał, byli przekonani, że mitologia Dogonów jest dowodem ich kontaktów z obcymi cywilizacjami. Jeden z nich (kazał nazywać się Gwiazdny Wilkiem), uparcie twierdził, że z jednego z naskalnych rysunków wynika, że tubylcy wiedzieli o Syriuszu B. Opowiadał legendę o synach Ammy-Nommo, przybyłych stamtąd na Ziemię w arce; ta wylądowała przy akompaniamencie huków i płomieni nad jeziorem Debo. Błażej zastanawiał się wtedy, czy on sam też nie powinienem się dowiedzieć czegoś o Syriuszu B, wpisując to choćby w wyszukiwarkę smartfona, ale w końcu odpuścił.

\*\*\*

– Za powodzenie misji! – chłodne butelki piwa w dłoniach Błażeja i Płowmana stuknęły swojsko.

Było już po zachodzie słońca, upał wyraźnie zelżał.

– Dla takich chwil chciałbym być milionerem – oznajmił ochroniarz. – Środek Afryki, kawałek dalej zaczyna się pustynia, a ty wyciągasz z lodówki chłodnego browara przywiezionego zza oceanu...

Francis roześmiał się.

– To rzeczywiście musi być tu niecodzienny widok, ale też muszę ci podziękować, bo sam bym tego nie docenił – pociągnął kolejny łyk. – Teraz smakuje jeszcze lepiej.

Przejechali tego dnia ponad sto kilometrów wzdłuż Bandiagary, mijając przy tym kilka wiosek. Wyglądały dużo biedniej, niż ta oblegana przez turystów. Obóz był rozłożony, robotnicy siedzieli przed swoimi namiotami,

gotując. Błażej spojrzal na plandekę, pod którą ukryte były skrzynki z materiałami wybuchowymi.

– Co właściwie chcesz wysadzić, Francis?

– Tamto rumowisko – wskazał je palcem, lekko odchylając się przy tym w rozstawionym pod baldachimem krzeselku. – Powciskamy C4 między skały, najgłębiej jak się da, schowamy się i odpalimy. Wiesz jakie to cholerstwo jest plastyczne? – Wstał nagle i wyciągnął ze skrzynki trochę szarawej masy. – Możesz wepchnąć to głęboko w dowolną szczelinę albo ulepić, nie wiem... jednorozca. Potem wystarczy tylko zdetonować przy pomocy radiowego detonatora i bum! Ale najważniejsze, że przedtem może ci spadać, możesz w to strzelać, walić młotkiem, a nawet, patrz...

Płowman wyciągnął zapalniczkę, odpalił ją i przyłożył płomień do materiału wybuchowego. Błażej znał teorię, ale i tak odruchowo spiął mięśnie, a krople potu pojawiły się na jego czole. Wpatrzony w płomień wziął jeszcze łyk piwa. „Jak umierać, to z chłodnym piwem w ustach” – pomyślał. Nic jednak nie wybuchło.

– Cudo! – Płowman zakończył eksperyment i rzucił niedbale kawałek C4 na ziemię. Jeden z obserwujących go robotników poderwał się na nogi i rozlał zupe, wzbudzając tym śmiech pozostałych. Milioner pozdrowił go gestem i zakrzyknął:

– Wszystko dobrze!

– Dobra, muszę zadać to pytanie – odezwał się Błażej. – Serio wierzysz, że pierwsi Dogonowie mieli postać ludzi-ryb i utrzymywali kontakty z bogami z innych światów?

– Tak. I chcę osobiście spotkać jednego z tych bogów. I powiem ci, że nie jestem pierwszym, który do tego doszedł. W czasie wojny pracowała w tym miejscu ekipa Francuzów. Niby były to prace archeologiczne, ale kierował nimi wojskowy. Jeden z najlepszych oficerów we Francuskiej Afryce Zachodniej. Mam jego notatki z wielu lat badań. Poczekaj...

Amerikanin rozłożył mapy i notatki, po czym przez godzinę tłumaczył Błażejowi obszerne fragmenty z francuskiego.

– I ten oficer ostatecznie wysadził to wszystko? – zapytał w końcu Błażej.

– Wybuchła wojna i nie chciał, żeby jego odkrycie wpadło w ręce Niemców.

\*\*\*

Wczesnym rankiem potężna eksplozja wstrząsnęła okolicą. Część odłamków skalnych doleciało nawet do ustawionych pięćset metrów dalej pojazdów, za którymi skrył się Francis, Arnold i robotnicy. Jeden z kamieni wybił okno koparki, była jednak zdalna do użytku.

Przez dalszą część dnia Francis właściwie nie spuszczał oka z koparki i jej wielkiej łopaty. Siedział w swoim pustynnym kapeluszu na skałach w pobliżu miejsca, gdzie pracowała i wskazywał robotnikowi, który siedział za jej sterami, miejsca, w których należało kopać.

Większość czarnoskórych nie miała nic do roboty, a z krótkiej rozmowy Błażej zrozumiał, że istnienie pradawnych rytualnych jaskiń nie robi na nich żadnego wrażenia. Okazało się też, że raz na trzy lata przeprowadza się tu zbiorowe obrzezanie młodych chłopców. Przy wejściu do jaskini znajdowały się dwa kamienie. Na większym siedział mistrz ceremonii, na mniejszym po kolei każdy z młodzieńców. Po szybkim zabiegu szli do grotty, gdzie mieszkali razem przez dwadzieścia pięć dni, a po tym czasie wracali do wioski jako prawdziwi mężczyźni.

– Najważniejsze, to nie okazać strachu. Właściwie nikt też nie krzyczy ani nie płacze – dodał jeden z rozmówców.

– Arnold! Co tu robisz?! – wrzasnął zbliżający się Płowman. – Mamy wejście. A ty? Jak się nazywasz? – zwrócił się do robotnika.

– Felix Eboue.

– Chodź z nami Felix, weź ten plecak, latarki, kilof i łopatę – rzucił po czym skierował się do swojego namiotu po torbę z notatkami.

\*\*\*

Jeden rzut oka w świetle latarek czołowych wystarczył, by stwierdzić, że znaleźli się w złożonym kompleksie jaskiń. Już w pierwszej Płowman zakrzyknął z zachwytem na widok malowidła przedstawiającego kilka różnej wielkości kólek i kropek. Porównał je z jedną ze stron w swojej teczce. Błażej odniósł wrażenie, że ich układ rzeczywiście wygląda podobnie.

– To cztery księżycy Jowisza. Callisto, Io, Europa i Ganimedes – mówił Płowman z rosnącą ekscytacją, robiąc przy tym dziesiątki zdjęć. – W Europie dostrzegł je dopiero Galileusz. A tamto nad przejściem do kolejnej



Adria Wierzbowska / PLSP w Supraślu

groty, to Psia Gwiazda, a właściwie... Obie. Syriusz A, czyli w tutejszym języku Sigu Tolo i Syriusz B, nazywany przez nich Po Tolo. Tę mniejszą można zobaczyć tylko za pomocą teleskopu... Ta wiedza jest tu starsza, niż ktokolwiek przypuszczał.

Przez kolejne jaskinie przechodzili szybciej. Astronomiczna wiedza Płowmana nie pozwalała mu rozpoznać ani tym bardziej nazwać kolejnych narysowanych na ścianach układów gwiazdnych i planetarnych. Fotografował je tylko i szedł dalej.

– Widzisz to? – wskazał wreszcie malowidła przedstawiające zbiorowisko postaci. – Takie same rysunki znalazłem w bibliotece w Finlandii. W Turku. Mają tam kolekcję wszelkich ezoterycznych manuskryptów, jakie wyszły spod ludzkiej ręki, w tym jeden szczególnie, spisany na ludzkiej skórze... Przyjrzyj się temu uważnie.

Błażej przypatrywał się chwilę figurom postaci. Rysunek przedstawiał dużą grupę, prawdopodobnie całe plemię, przed którym kapłani składali ofiary z ludzi. Obok piętrzył się stos odciętych głów, a krew z korpusów spływała do niecki. Takiej samej, jaka znajdowała się pośrodku jaskini. Pod nią narysowane były też postacie ryboludzi, które od spodu spijały krew ze skalnej niecki.

– To chyba jakiś rytuał – stwierdził Błażej, zaraz też zreflektował się, jak oczywiste i idiotyczne było to stwierdzenie.

Francis niedbałym gestem ręki kazał Felixowi zbliżyć się i zdjąć plecak, od którego odwiązał długi, zawinięty w materiał pakunek. Zawierał on maczetę, którą wyciągnął, ważył chwilę w dłoni, po czym sprawnym cięciem odrąbał głowę czarnoskórego robotnika. Rozbryzg ciepłej krwi sięgnął twarzy Błażeja.

Szok sparaliżował ruchy kulturysty. Było to takie samo obezwładniające uczucie, jakie czuł pięć lat wcześniej podczas niechlubnej akcji w Radomiu, po której stracił pracę w policji. Zginął wtedy jego partner.

– Przeprowadź następnego – rzucił Płowman, po czym przeciągnął ciało Felixa tak, by krew sączyła się do wglębienia na dnie jaskini. – Tylko się pośpiesz. Potrzebujemy dużo krwi!

– Francis... – odezwał się Błażej, powoli odzyskując władzę w ciele. – Panie Płowman... Nie zrobię tego.

Amerikanin spojrział na niego z wyrazem bezmiernego zdziwienia.

– Jesteś biały, twój kraj latami babrał się w ich krwi...

– Polska nie miała kolonii... Próbowaliśmy, ale... – westchnął. – To dłuższa historia...

Amerikanin podszedł do niego.

– Posłuchaj, Arnold... Potrzebuję więcej krwi pieprzonych czarnuchów, tych „monstrualnych krzyżówek pikantropa i ameby” – szeptał zapalczywie. – Zrozum, że te stwory to nie ludzie, tylko „zdegenerowana substancja zmieniona w coś w rodzaju fermentującej galarety”. Pójdiesz tam teraz...

– Nie – Błażej pokręcił głową. – Możemy powiedzieć, że to był wypadek, ale nie zabijesz już nikogo. Wróćmy teraz do obozu, dobrze?

Błażej zorientował się, że dostrzega więcej szczegółów na twarzy Płowmana. Oświetlenie w jaskini nabrało też nowego odcienia. Z przerażeniem skonstatował, że krew w niecce zaczęła delikatnie opalizować.

Po twarzy Francisza przebiegł wściekły grymas, a maczeta błyskawicznie zatoczyła w powietrzu półkole. Błażej zdążył odsunąć się zaledwie o krok i osłonić lewą gardą. Trzasnęła kość przedramienia, a przecięte w połowie potężne przedramię mężczyzny znalazło się w powietrzu, po czym spadło na ziemię tuż obok kałuży krwi wyciekającej z korpusu Felixa.

Błażej spojrział na kikut, z którego – pulsując – lała się krew, rzucił się na ziemię i przetoczył pod ścianę.

Płowman nie ruszył za nim. Odwrócił się i stanął nad wypelnioną już niecką, wpatrując się w nią jak za hipnotyzowany. Jednocześnie, wbrew prawu grawitacji, coraz silniej jaśniejąca w niecce krew wznosiła się strumieniami nad ziemię, tworząc wokół Amerikanina nierównomierną, sferyczną sieć połączeń.

Błażej odwrócił wzrok od tego upiornego widowiska. Czuł porażający ból, ogarniała go także coraz większa słabość. Odpiął i wyszarpnął pasek spodni, po czym podjął próbę zaciśnięcia go na osłizłym od krwi kikucie.

Amarantowa sfera domknęła się wreszcie ponad głową Płowmana. W tym momencie z niecki począł wyłaniać się obrzydliwy, skąpany w posoce stwór. Wpierw wysunął spięte błoną palce rąk i głowę. Pysk miał zarazem ludzki i rybi. Jego ogromne wargi, szerokie przy tym i obwisłe oraz wybaluszone oczy, sprawiały wrażenie głębokiego umysłowego kalectwa. Gdy w pełni wczuł się do jaskini i przybrał pionową postawę, był o metr wyższy od Płowmana. Jego przygarbione cielsko przybrało przy tym łukowaty kształt, podobny stojącej krewetce. Na plecach miał ostrą pletwę grzbietową, która rozwinęła się z odgłosem przypominającym złowrogi charkot.

Stwór chwycił przerażonego Płowmana w błoniaste palce i natychmiast wbił zęby w jego ciało. Jednym ugryzieniem pozbawił go ręki i części klatki piersiowej. Wygiął następnie cielsko w tył, by łatwiej przelknąć ten olbrzymi kęs świeżego mięsa. Co było jednak jeszcze bardziej zatrważające, Amerykanin wciąż żył i z fascynacją patrzył na pożerające go stworzenie. Jego druga dłoń, działając jakby całkowicie niezależnie, z czułością dotknęła pyska Dagona, a usta z czią wyszeptaly jego imię.

Przytrzymując zębami zaciśnięty na kikucie pasek, Błażej rzucił się do ucieczki. Nie pamiętał nic z szaleńczego błędzenia po jaskiniach i delirycznego powrotu do obozu.

\*\*\*

Enzo usiadł przy szpitalnym łóżku.

– Podobno znów próbowałeś wyskoczyć z okna... Arnold, nie wiem dokładnie, co tam się wydarzyło, ale na maczecie były tylko odciski palców Płowmana. Nikt go nie widział, nikt nie wie gdzie przepadł, ale też ciebie nikt o nic nie oskarża – oznajmił spokojnym tonem.

Błażej nie odpowiedział. Jego wzrok był nieobecny, szalony, mętny. Dla Enzo stało się jasne, że nie wynika to tylko z dużej dawki morfiny, płynącej w żyłach okaleczonego olbrzyma. Gdzieś w tym wielkim ciele kryła się złamana na zawsze psychika, której nie mogła ocalić największa nawet tarcza mięśni.

---

Wykorzystano fragmenty listów Howarda Philipa Lovecrafta do Belkampa Longa w przekładzie Jacka Giszczaka z książki Michaela Houellebecqa *H.P. Lovecraft Przeciw życiu, przeciw światu* oraz opowiadania *Dogon* na podstawie tłumaczenia Roberta Lipskiego.

## MAREK NOWAK

– urodzony w 1974 roku, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, dziennikarz, scenarzysta, autor krótkich form literackich publikowanych między innymi w „Nowej Fantastyce”, „Nowym Talizmanie”, kwartalniku literackim „Fa-Art”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim (PAL)”. Wydał nowele *Zabić Jędzę* (2010) i *Zabójca bogów* (2019). Wyróżniany w konkursach literackich „O świetlne pióro” i „Literatura na miotle”. Dwukrotny stypendysta Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (scenariusze filmów fabularnych „Wielki Książę” i „Obywatel”). Jako scenarzysta współpracował z Łódzkim Centrum Filmowym, Studiem Filmowym Dr Watkins, pisał dialogi na potrzeby programów rozrywkowych i serialu, zaś jego słuchowisko zostało zrealizowane w ramach Sceny Współczesnej Teatru Polskiego Radia. Obecnie pełni funkcję redaktora naczelnego portalu internetowego związanego z telekomunikacją i nowymi technologiami.



fot. archiwum prywatne autora



Przemysław Walczak

## Przypadki Waldemara

– Żyjemy w podłych czasach – myślał czasem Waldemar, pięćdziesięciolatek z otyłością brzuszna, gdy rozsiadał się na pokrytej liszajem starej farby lawce, wystawianej latem przed altanę. Wieki temu zbudowanej na środku niewielkiego ogródka działkowego na wrocławskim Olbinie. Ze szwagrem budowali.

– Dobrze, że pomidory w tym roku się udały. Aż słodkie! – skwitował z uznaniem sam dla siebie.

Waldemar siedział teraz w poplamionej koszulce, ćmiąc papierosa, chleptając tanie i ciepłe piwo z dyskontu albo ruskiego szampana; gładził przy tym zakurzone wąsy, głąskał spoconą twarz. Zdjął niezgrabne buty ze skóropodobnego plastiku i wsunął wielkie stopy, niczym łapy dzikiego zwierzęcia, w wygodniejsze klapki.

– Kiedyś to było, a dziś? Czasy jakieś ciężkie i nieludzkie nastały. Kiedyś ludzie lepsi byli dla siebie. Teraz powariowali wszyscy. Uczciwą pracą się brzydzą, wyśmiewają. Gdzieś się spieszą, cholera wie, gdzie i za czym. Na dodatek nic nie smakuje już jak kiedyś. Słońce nie świeci już tak pięknie, niebo nie tak błękitne, cukier nie tak słodki, pomidory niby malinowe, a mniej soczyste, pośladki mijanych na ulicach kobiet nie tak pełne jak niegdyś. Nawet Polska już nie jest Polską. Chuj wie, czym teraz jest. Tylko wszędzie ci Ukrole. Chleją, mordy drą, jeszcze kradną, panoszą się. A wcześniej tyle nieszczęść przez komuchów, Żydów, Balcerowiczów i innych liberalów. I jeszcze tymi masztami pięć-gie chcą depopulację nam urządzić i tęczowym lewactwem wynarodowić, jak plagę kurewską na nas zrzucić, zagranicznym niezdrowym jedzeniem w choróbska nieuleczalne wpeździć. W raka i adidasa. Chcą nam zmieniać pleć. I na koniec drożyną wykończyć, bo w Kauflandzie masło już ponad siedem złotych, a rzepakowy olej też podrożał, cukier i majonez tak samo – stwierdził rozgoryczony Waldemar i kilka chwil jeszcze telepał nim ten paroksyzm resentmentu. Z rozrzewnieniem wspominał za to pracę w fabryce wielkiej płyty, którą zabudowano potem – Popowice i Kozanów. Pośród łąk i rozlewisk rzecznych, wypiętrzając blokowiska niczym żelbetonowe łańcuchy górskie.

Jesienią Waldek rozstawiał na działce swoją wędzarnię i szykował wędliny. Z wędzarni wypływała wtedy strużka

szarego, drzewnego dymu. W bezwietrzne dni tworzyła siwą kołderkę, okrywającą altanę i Waldka.

– Mięsko najlepsze. Od rzeźnika. Dobre, bo polskie, a nie jakieś tam niemieckie świnię, co je nam, Polakom, w zagranicznych supermarketach sprzedają. Gówno wciśkają, bo sami żreć tego nie chcą. A tu zdrowe i polskie mięsko z polskiej świnki. Od rzeźnika, od Heńka i od kumpla, co go jeszcze od małego znam, bo się razem na podwórku ganiałiśmy, na trzepaku wywijaliśmy akrobacje. Heniek Szponder, najlepszy rzeźnik w okolicy. Karkóweczkę to on nawet samemu księdzu proboszczowi dostarcza, a do ust konsekrowanych i żołądków, jak wiadomo, byle co trafiać nie może – mówił Waldek, oczekując uznania w oczach rozmówcy, gdy tak zachwalał pokawalkowane martwe tkanki, oferowane proboszczowi przez Heńka, najlepszego rzeźnika w okolicy. Do tego tylko zimna wódeczka i ogórki kiszone. Własnego wyrobu, do nich tylko chrzan trzeba ukopać, co rośnie dziko. Taki najlepszy. I najzdrowszy. Nie byle co z supermarketów.

Waldek mieszkał w obdrapanej kamienicy, ledwie kwadrans spacerem od Rynku, ale nie odczuwał z tego powodu zadowolenia. Nie podobał mu się ten wieczorny zgiełk wokół knajp, na które pewnie nie było go stać. Nosił się Waldek w sposób, który sprawiał, że zawsze ubrany był zbyt ciepło jak na porę roku. Pasował do jakiegoś najsmutniejszego zakątka Polski, gdzie nie sięgają mapy Google'a, a ludzkie twarze powykrzywiane są w grymasie zmęczenia, zawiści i bólu zęba. Mieszkał w kamienicy, miał tajemniczą sąsiadkę imieniem Jadwiga. Nienawidził jej i fascynowała go niczym jakaś Alexis z „Dynastii”. Chyba w skrytości serca kochał ją wiecznie niespełnioną, dziwną miłością, jaką może kochać człowiek nieśmiały i bojący się kobiet.

Popołudniami Waldka odwiedzał Heniek rzeźnik. Urobiony po łokcie od dekapitacji zwierząt i ćwiartowania zwłok. Sceny jak u Caravaggia. Jego nazwisko Heniek mógłby pomylić z włoskim salami. Rzeźnik zwykle przynosił ze sobą coś do wypicia. Razem z Heńkiem przyczłapywał jeszcze jego pies, Bąbel. Znudzony i liniejący kundel upasiony na odpadkach z rzeźniczego stołu. Przypominał przez to beczkę kolebiącą się na czterech długich łapach.

Większość dnia spędzał śpiąc niczym menel na stercie brudnych koców.

Wtedy Heniek zamaszystym ruchem stawiał flaszkę na oblatzłym stoliku upchniętym w kącie altany.

– Nie będziemy o suchym pysku siedzieć, przyjacielu drogi. Polej!

Waldek na ten znak wyciągał dwie upačkane brudnymi palcami szklanki, wprawnym ruchem napelniał je ciepłą wódką, po czym obaj wychylali szybkim ruchem zwartość tych upačkanych szklanek.

– Uu, ale zajzajer! Dobry! – zachryplym bardziej niż zwykle głosem wycedził Waldek, poczerwieniał na twarzy, a jego oczy zaszkliły się niczym na wspomnienie dawno zapomnianej miłości.

– Ma moc! Dostałem od Tadka. Nikt nie pędzi takiego bimbru jak on. Jak paliwo lotnicze! – odpowiedział Heniek i także jego twarz nabrała barwy sonej purpury.

– Mam jasne pełne z Biedry. Popchniemy jako utrwalacz – wymamrotał jeszcze na bezdechu Waldek, ale już z uśmiechem i mocno chemicznym posmakiem w ustach.

Bimber i piwo zagryzali kielbasą. Później, już podpici, fałszowali Budkę Suflera. Wraz z pierwszym chłodem nocy rozchodzili się do domów. Szli spać i spali ciężkim, pijackim snem.

Waldek ze wszystkich kobiet kochał tylko matkę. Przynosił jej polskie mięso (żadne tam niemieckie z zagranicznego supermarketu) od Heńka i włoszczyznę na rosół. Ona go z wdzięczności podejmowała przańnym obiadem ugotowanym według kupionej na poczcie książki *Sto przepisów siostry Klementyny*.

Szedł tak do matki z zakupami, przy każdej ręce z dziwaczną torbą, zwisającą u jego ramienia niczym ogromna moszna. Na dokładkę w prawej dłoni ścisnął pasek od nieodłącznej saszetki ze skaju. Wiadrami taszczył węgiel z piwnicy, wyprowadzał psa, zmieniał baterie



William Larsen / Unsplash

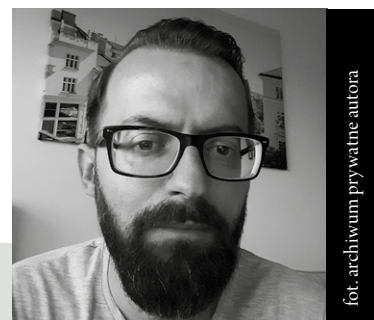
w pilocie od telewizora. Nastawionego zawsze na telewizję Trwam.

Jesienią Waldek popadał w dziwny rodzaj letargu. Jakby półsen po wypiciu zajzajeru od Heńka. Nocami nasłuchiwał radia, które szeptało mu do ucha groźby wybuchu trzeciej wojny światowej, zdrady zachodnich mocarstw i końca cywilizacji. Za dnia Waldek stawał się rozdrażniony, jeszcze więcej zlorzeczył na świat – że schodzi na psy, że już nie taki jak kiedyś, że ludzie źli. Dziś tylko komputery, smartfony i internety, i najważniejsze – pieniądze. Ogrodzeni wysokimi płotami w domach na kredyt. Miłości też już

nie ma (i tu powróciło ciemne jak noc listopadowa wspomnienie nieudanego małżeństwa i zmarłej żony, której tak dawno już nie odwiedził na cmentarzu). Niepotrzebnie świat się zmienia, dobrze było jak było. A teraz powariowali wszyscy. Gdzieś się spieszą, nie wiadomo gdzie i za czym, a zapominają o wieczności, o Bogu. Nie pamiętają. Nie chcą pamiętać nawet twarzy swoich bliskich. Przez głowę przeleciało mu w tej chwili zamglone wspomnienie nieżyjącego od lat ojca. Odbicie w lustrze stojącego w łazience obcego mężczyzny. Zaraz po goleniu, upstrzonego kawaleczkami papieru toaletowego na poranionej od tępej żyletki twarzy. Twarz widział niewyraźnie. Tylko te strzępki papieru. Posmutniał jeszcze bardziej, zemdlilo go, od bimbru wymieszanego z jasnym pełnym czy od tych myśli, sam nie wiedział. Nie lepiej jest myśleć o żywych niż o umarłych? Oni odeszli, ich kościom nie przyda się nasza czułość, uśmiech i pamięć. Kości pozostaną obojętne. Zamknięte w ciemnym dole, przysypane zimną i moką ziemią.

Waldek jesienią wystawał bez celu przed kamienicą, niebo gęstniało, a deszcz zaczynał bębnić mu o plecy i gasił zmiętolonego peta, trzymanego niedbale w kąciku ust. Następnie deszcz zamienił się w śnieg i przylegał do jego

pleców wielkimi płatami. Przykrywał psie kupy i rozmokłe pety. Po chwili śnieg leżał już wszędzie wokół, mokry i ohydny. Tuż nad chodnikiem pochylała się czyszówka, jak przetrącona. Wyraźnie nadgryziona zębem czasu tkwiącym w szczęce jakiegoś olbrzyma. Z kamienicy wypełzał na chodnik jeźor schodów, a Waldek chwiał się na jednym z nich, jak nad krawędzią przepaści. Gdzieś w ciemności skrył się przed padającym śniegiem bury kocur i przypatrywał się teraz Waldkowi, błyskając w brudnym mroku zielonymi tęczówkami. Trzeba myśleć o żywych, a nie o umarłych. Myślami był więc teraz przy dawno już niewidzianej córce. Tlenionej blondynce o spojrzeniu pełnym spokoju i poczucia obowiązku. Mieszkała w białym domu za wielki kredyt w obcej walucie i pewnie miała syna imieniem Kuba lub córkę, Julkę. Czekala na powrót męża, co jako informatyk zarabiał na rodzinę i ten wielki dom na kredyt. Ona gotowała im dietetyczne obiady, piekla wegańskie ciasta, a sobie malowała paznokcie, robiła zakupy przez Internet i oglądała seriale. Latem piła mrożoną kawę na werandzie, odczytywała wiadomości na lótsapie, jesienią grabiła liście w ogrodzie, a zimą stroiła choinkę. Patrzyła na bawiące się obok dzieci łagodnym wzrokiem labradora.



fot. archiwum prywatne autora

## PRZEMYSŁAW WALCZAK

– urodzony w 1982 r., absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach i logistyki na Politechnice Wrocławskiej. Od kilkunastu lat mieszka i pracuje we Wrocławiu. W tym roku ukazał się jego debiut powieściowy *Wądoły*.

Tomasz Juchniewicz

## Droga z domu do domu

Idę, idę... mógłbym nie iść dzisiaj, mógłbym zostać, opatulić się tłuszczem albo pleśnią i dogadzać sobie leniwym, błogim bezruchem. Ale muszę iść, droga mnie wzywa, słyszę jakby dzwony. Tam się dzieją moje sprawy, tam się sączy esencja. Idę więc, a droga, wciąż ta sama, objawia mi się w coraz to nowej scenerii: złana deszczem, obsypana liśćmi albo skuta lodem. Chciałbym o tym opowiedzieć, o drodze, którą przemierzam od dziesiątek, a może setek lat. O drodze, która tak mocno spłotła się z moim życiem, że mówiąc o jednym nie mógłbym pominąć drugiego, a często też mówiąc o jednym, mówię jednocześnie o drugim.

Droga to odcinek łączący dwa punkty. Poruszam się po nim w obie strony. Ma się rozumieć, że dla mnie jest czymś więcej niż odcinkiem między A i B, ale próbuję to przedstawić schematycznie póki co. Całą długość odcinka wypadałoby opisać dodatkowymi punktami, ponieważ jest kilka istotnych przystanków albo raczej etapów drogi, które określam jako: miasteczko, łąki, rzeka, torowisko, zakłady, ulica, las. Natomiast punkt wyjściowy, jak i ten, który stanowi cel wędrówki, nazywam latarniami, które jednakowo są mi domem. Zwykle startuję z latarni nr 1 do latarni nr 2, po czym powracam na noc do latarni numer 1. Tak czy siak, zawsze, bez względu na kierunek w którym podążam, jest to droga do domu.

Latarnia 1 – Miasteczko – Łąki – Rzeka – Torowisko – Zakłady – Ulica – Las – Latarnia 2

Latarnia nr 1 to moja pracownia i forteca, moja nora, mój schron. Tu się chowam, tu się zbroję, liżę rany po złych przygodach i gromadzę siły. Stąd wypuszczam się w teren.

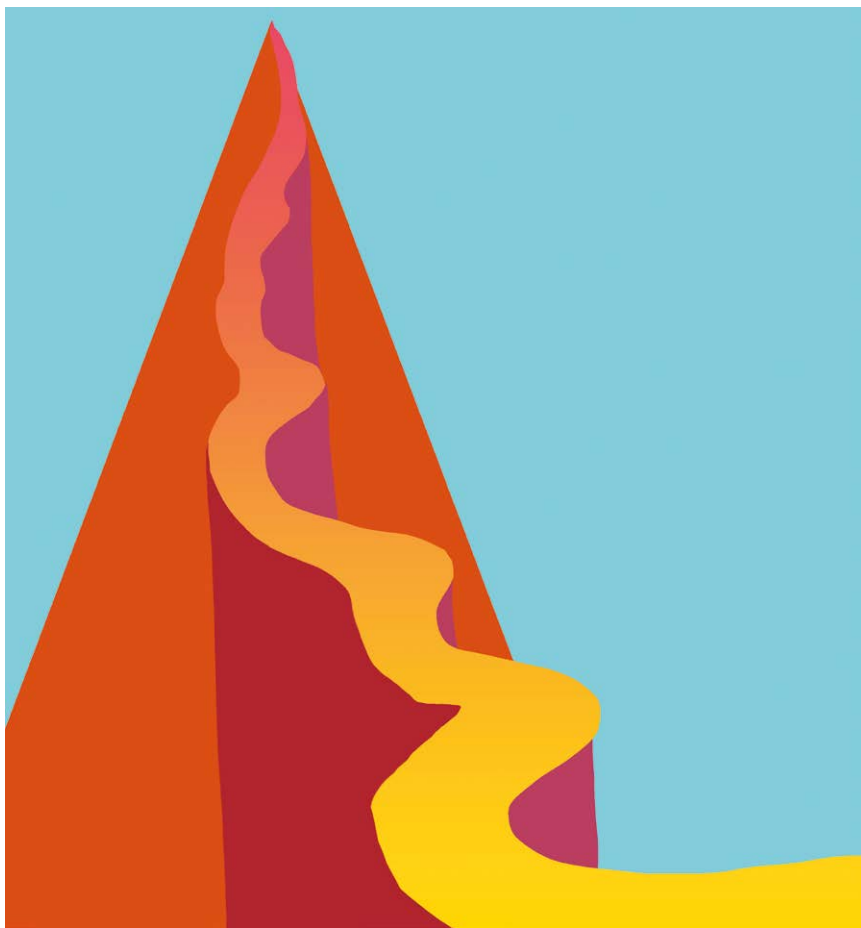
A gdy już się wypuszczę, staję na wprost miasteczka, mam je przed sobą ustrojone kominami, reklamami i antenami. Bloki się pasą, okna biją blaskiem słonecznym, samochody paradują obwożąc swoją blachę i gumę. Muszę minąć to wszystko, zanim znajdę się w gąszczu na łąkach (tak to się mówi w miasteczku: „na łąkach”, „na łąki”), mijam więc, nie patrząc wokół, lecz przed siebie, w stronę linii lasu na horyzoncie, a kolorowe sklepy, szyldy i przystanki zlewają się i śmigają jak tęcze po obu stronach.

Opuszczam szybko teren zabudowany, zagospodarowany betonem, szkłem, plastikiem i ludźmi. Wchodzę na łąki albo raczej w łąki, bo wchodzi się w rozkołysane trawy jak do wody i płynie aż do rzeki, dzielącej ten obszar na dwie części. Przez rzekę prowadzi kładka. Można na niej przystanąć i popatrzeć z wysokości, na przykład na pływające kaczki. Są i tacy, którzy strzelają z kładki do kaczek, ale nie z okrucieństwa chyba, raczej dla sportu, rozrywki, czyli szeroko pojętej kultury. Ja tam się kaczek na razie nie czepiam, chociaż sposób patrzenia na żywą istotę jak na posiłek nie jest mi obcy.

Za rzeką rozpościerają się dalsze połacie łąk, a w nich skryta obfitość jaszczurek, bażantów, kuropatw, dzikich owoców i myszy polnych. Zwłaszcza latem widać to tętniące życie, słychać trzepot skrzydeł nisko nad trawami, głuchy odgłos spadających w zieloność owoców, nawoływanie bażantów, a cała pomniejsza hałastrza czmycha spod nóg idącego.

Życie zanika przy torowisku. Znika też zieloność. Tu podłoże jest czarne od mialu. Czarne i twarde jak gliniana polepa. Miał wysypuje się z wagonów przejeżdżających lub zatrzymujących się pociągów. Czasem jest podbierany przez nocnych podbieraczy. Oni też sporo rozsypują, stąd tyle czerni wokół. Spotykają się w tym miejscu tory, biegnące z różnych stron, trudno powiedzieć skąd i dokąd, przecinają po skosie, płaczą się i biegną dalej, każdy w swoim kierunku. Gdzieś indziej oddalone od siebie, tutaj układają się w porządek wspólnych zawiłości. Nie wolno tędy przechodzić, grozi za to kara. Nie wolno pętać się po torowisku. Zdarza się, że władze przycazone dybią na przechodniów za pagórkciem, chcąc przyłapać ich na gorącym uczynku. Ale tędy właśnie prowadzi droga i należy tędy iść, więc idę.

Aby przebrnąć przez torowisko, trzeba poradzić sobie jakoś z wagonami, które stoją często samopas, bez lokomotyw, zagradzając drogę. Można to zrobić przeczolgując się dołem, między kołami albo przejść górą, po zderzakach, w miejscu łączenia wagonów. Dołem lepiej nie. Lokomotywy nie ma i pociąg nie ruszy, nic na to nie wskazuje, ale zabobonne obawy, przecucia,



Julia Kulikowska / PLSP w Supraślu

instynkty podpowiadają, żeby dołem nie przechodzić. Górą zawsze różniej.

A potem przez zakłady – to ogólna nazwa na skup złomu, hurtownię części elektrycznych, fabrykę butów i spalarnię włók. Wąska uliczka, którą idę, wiedzie poprzez owe zakłady i prowadzi wprost do lasu. Z lewej i z prawej strony rozbrzmiewa donośne stereo: zardzewiały zgrzyt żelastwa ładowanego na wagę, szybki stukot maszyn fabrycznych, przypominający seryjne wystrzały z automatu, zakładowy świst, brzęk, skrzyp i posępne milczenie spalarni. Panoszy się tu gęsty dym z palonych opon, psy łańcuchowe zdzierają gardła, a to wszystko jest mi w smak i towarzyszy mi w marszu jak pieśń obskurna, jak psalm z czeluści. Idę, a dłonie mam umorusane węglem i smarem od wagonów po przebyty torowisku.

Dalej jest ulica. Oddziela hałaśliwy bałagan, który mam już za sobą, od cichego i pachnącego lasu. Już z oddali

rysował się linią wierzchołków najwyższych drzew, poszarpaną, nierównomierną, przypominającą wykres kardiografu. Teraz stoi przede mną okazały, a raczej ja stoję przed nim jak najmarniejszy lennik, składający hołd. Sama ulica również jest ważna, jako granica, jako miejsce, gdzie ocierają się o siebie wymiary.

A spacerować tą ulicą, wzdłuż wysokich i smukłych topoli, to tak jakby sunąć kanionem nieznanym, jakby chodzić na krawędzi, ale spokojnie, bez strachu. Podobnie jak wtedy, gdy wynurzamy się z głębokiego snu, czy to mętnego i nieprzyjemnego, czy też ciekawego, choć zawiłego i czujemy jak rozplywa się cała senna logika. Już za chwilę zbudzimy się, wszystko okaże się bzdurą, o jakiej nie pamiętamy po pierwszym, porannym spojrzeniu w okno. Ale teraz jeszcze śnimy, jeszcze jesteśmy tu, w marach, w odmętach, zaangażowani w urojoną fabułę i tkwiący w jej prawidłach. Chociaż już

czujemy, że wszystko jest nietrwale, nieśmiało podajemy w wątpliwość, już poprzez głębiny dociera do nas przebudzenie, już zza kurtyny się wychyla i rośnie w nas pewność, że wszystko jest mrzonką. Że nie ma się czego bać.

Tak jak to było z Alicją. Błądziła wśród niedorzeczności, trochę zabawnych, trochę niepokojących, a w ostatnich chwilach towarzyszył jej strach przed okrutną królową i jej gwardią, strach przed ścięciem. Aż do momentu, gdy sen był tak skrajny, tak napięty, że został ujawniony. Czego się bać? Tali kart? Karcianej królowej, która grozi śmiercią? Bzdura! – powiedziała Alicja i złamała nieodwracalnie strukturę absurdu, zdemaskowała sen. Obudziła się w ogrodzie, pośród spadających liści.

Takie są spaceru ulicą na granicy lasu. Na granicy przebudzenia.

Ściana lasu jest zielona wiosną, a zimą wygląda jak szary wysoki mur. Topole stoją na straży przez cały rok, tworząc

palisadę z ciasno zbitych pni. Można tam jednak wejść, trzeba tylko zbliżyć się i wypatrzeć lukę, wnękę, tajemne przejście. Szara lub zielona ściana stoi nieruchomo aż do jesieni, kiedy coś tam zaczyna się poruszać, szemrać, błyskać, aż wreszcie strzela po oczach wszystkimi kolorami października i sypią się liście jak u Alicji.

Przyleśna ulica graniczna mogłaby nosić nazwę „Przyleśna” albo „Graniczna”, ale nazywa się inaczej, zresztą różnie, raz tak, raz siak, ciągle zmieniają. Jest mało ruchliwa, przeważnie pusta, jakby istniała tylko po to, by oddzielać jeden wymiar od drugiego. Czuje się wyraźnie tę odmienność światów już po wejściu do lasu.

A w lesie? Ho, ho! Długo by o tym. Innym razem. Teraz wspomnę tylko, że las jest właściwym miejscem. Dalej więc, w półmroku, chłodzie i cieniu gałęzi przemykam cicho i z szacunkiem do otoczenia. Pokora jest w lesie potrzebna i trzeba ją sobie wypracować, a gdy się już ją wypracuje, wtedy wchodzi się tam nie jako zdobywca, niszczytel, a jako uczestnik życiodajnej symbiozy, który z igły sosnowej potrafi wysączyć dawkę energii na dalszą podróż. Las staje się wówczas dyskretnym sprzymierzeńcem i mruga odtąd przyjaźnie niezliczoną ilością zazielenień.

Gdy opuszczam las, widok mi się rozjaśnia. Stąd już tylko krótka aleja, pachnąca jaśminem i czeremchą, a zimą żywicą sosnową. I tak docieram do celu. Staję u progu latarni nr 2.

Robinson miał swój York i swoją willę letnią, to podobnie jak ja, tyle że letnia willa, czyli latarnia nr 2, czynna jest

o każdej porze roku. Jest to więc również willa zimowa, gdzie można uraczyć się na przykład kanapką ze smalcem. I myślę, że to dobrze. Dobrze mieć dwa miejsca bliskie sercu i podróżować z jednego do drugiego. To uzasadnia ruch, dążenie do celu, tak istotne w życiu.

Moja droga łączy więc dwa miejsca, jak przewód krwioobiegu, żyła lub tętnica, łącząca dwa wspólnie bijące serca. Tam i z powrotem. Samą drogę też skłonny jestem nazwać latarnią. Do tego stopnia się z nią zżyłem, zespoliłem. Nie z drogą w ogólnym pojęciu, nie z podróżowaniem, poetycko powiewającą apaszką, ale z tą konkretną – od latarni do latarni. Choć z tułactwem nie jest mi tak znowu zupełnie nie po drodze. Poniekąd uprawiam, owszem praktykuję, ale nie światowe tułactwo, tylko małe, regionalne powsinóstwo. A na obu biegunach mojego świata – dwie latarnie – nigdy nie śpią, zawsze czuwają i oczekują. Dostrzegalne z najdalszych manowców. To do nich wiedzie nieustannie żywa busola wbudowana w korpus. Do nich zawsze kieruje się umęczony wędrowiec. Gdziekolwiek by się znalazł, zawsze do którejś ma bliżej niż dalej, zawsze jest powód, by brnąć przez zawieruchy, szlabany, zasieki i wydeptywać swoją własną bruzdę, wytyczać ścieżkę pośród innych, cudzych ścieżek, krętych, prostych, różnorodnych.

Idę, idę, a droga wciąż ta sama. Niech więc trawi kolejną parę butów i niech los pozwoli mi przedzierać się przez deszcze, śniegi, babie lata, ukropy, niech się toczą pory roku, cykle, mandale, kołowroty – tą samą drogą. Ścierają się podeszwy, skóra i kości. Ścieram się w proch i zetnę się do cna, zostawiając echo kroków.

## TOMASZ JUCHNIEWICZ

– urodzony w 1981 r. Autor tomiku poetyckiego *Otulisko* (2014). Publikował m.in. w internetowych magazynach „Kwartalnik” i „Helikopter”. Autor tekstów i muzyki zespołów Mir i Zwierzę Natchnione.

Małgorzata Sochoń

## Tato Kazio



Tim Nieland / Unsplash

Może dobrze byłoby zacząć od tego, jak mój ojciec leży w boksie, już chory, ale jeszcze o tym nie wie, i zabija łapką muchy, które lażą po kocu w kratkę. Jest lato, macocha patroszy pstrągi. Mam w domu książkę wydaną przez Instytut Pamięci Narodowej z tekstem mojego ojca, nagrodzonym w konkursie na wspomnienie – Moja pierwsza „Solidarność”, więc może wspomnę i o tym, wezmę z niego jedno zdanie, jako cytat jedyny, osobisty, w którym pisze, że mama zachorowała przez „Solidarność”, przez jego – ojca – internowanie. Może uda mi się pokazać, jak mało warte jest zaangażowanie w politykę. A może nic o polityce? Tylko o tym, jak ojciec gwizdał i czyścił buty, gdy pokłócił się z mamą, albo jak malował siwaki w kwiaty, które oglądał przez lupę na znaczkach pocztowych? A może o jego Biebrzy?

### Pliszka

– Miałas szczęście – mówi tato i obejmuje mnie serdecznie, po przyjacielsku, poklepuje po plecach, całuje w policzek. – Właśnie chciałem wypłynąć, ale pomyślałem: „A, nabieram jeszcze szczawiu”.

Odsuwa mnie trochę od siebie i przygląda się z uśmiechem.

– Przecież wiesz, że jestem szczęściarą – śmieję się. Patrzę na jego wielki brzuch, niedopięte w pasie ogrodniczki, miodową koszulę i śmieszne, krótkie kaloszki, w których chodzi rano, kiedy trawa jeszcze mokra.

– Smutno u nas – pokazuje palcem gniazdo na słupie. Z gniazda wyrasta las zielonych badyli.

– Gdzie bocian?

– Siedzi tam, na latarni. Zobacz, jaki wyliniały. Jak każdy facet bez baby – śmieje się. – Ileż tych piór mu zostało! I jaki brudas!

Wychudzony, łysawy Wojtek wykręca szyję i uparcie wyskubuje coś spod skrzydła.

– Chyba ma pchły.

– Wszy. I to takie jak mój paznokciec – tato pokazuje szerniałą od słońca dłoń i przykłada wskazujący palec lewej do małego prawej, jakby odcinał płytkę.

Wzdychamy. Wyciągam z torby whisky w ładnej butelce, paczkę kabanosów i dobry, kwadratowy chlebek z ciężkiej mąki.

– O! – mówi i znowu przytula mnie do swojego brzuszyska, pochyla się trochę, żebym zmieściła się w jego ramionach. – Częściej do mnie przyjeżdżaj! – zwalnia uścisk i opowiada, jak to wczoraj złowił dwa spore szczupaki, a wcześniej sama biżuteria, drobne płotki, karaski. „Dostaniesz te szczupaki!”

Rzeka nie jest najweselsza. Woda wysoka, ciemna, nieprzejrzysta. Wysepki skrzeku w trzcinach wyglądają jak mokre strupy, ropa z ran. Mało kwitnących grążeli. A te, co są – zaledwie na wpeł rozchylone. I tylko jedna ważka w powietrzu.

– Chodź na most – mówi tato.

Most dawno miał być rozebrany, ale ciągle stoi. Łuszczą się niezaimpregnowane deski. Tu i tam rozsypane, długie drzazgi. Kiedy z rzadka przejeżdża jakiś samochód, słychać dudnienie, jakby przetaczał się nad rzeką grzmot i z dech wyskakuje kolejny odłamek. Stoimy oparci o rdzewiejącą poręcz, z której płatami złazi niebieska farba i przyglądamy się dwóm facetom w pomarańczowych kapokach, siedzącym na pontonie. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej bada nurt. Przyglądam się okrągłemu logo na drzwiach stojącego na brzegu auta. Białe IM na ukośnych niebieskich kreskach symbolizujących deszcz i GW na poziomych, jakiś zbiornik wodny, może rzeka. Ładne.

– Proszę uważać na linę – woła młodszy do pana Zbyszka, który wysuwa się spod mostu starą, brązową łodzią. – Jeszcze dziesięć minut i znikamy!

– Dobra – odpowiada wędkarz i zawraca. Teraz wiosłuje pod prąd. Dziób łodzi przedłużony o czuby dwóch bambusowych kijów z przelotkami, żyłką, kołowrotkiem.

Tato nie popłynie dzisiaj na ryby. Będziemy siedzieć w norze obrośniętej bluszczem. Wypijemy po kieliszku whisky. Łaciaty kot będzie ocierał się o nasze nogi. Przytoczy się wielki, czarny Pimpek i swoimi niesamowicie żółtymi, żółtszymi od głębokiej żółci kwitnącego krwawnika, pięknymi, przemądrymi oczami poprosi o kawałek kielbaski.

– A wiesz, z tym Zbyszkiem od zawsze „panie Zbyszku”, „panie Kaziu”. A wczoraj przychodzi i mówi: „Może przejdźmy w końcu na ty. Nie mam wódki” – mówi – „ale mam cukierki”. I wyciąga dwie miętówki w zielonych papierkach. Zjedliśmy. I teraz ja do niego „Zbyszku”, a on do mnie „Kaziku”. – Uśmiecham się. Po zielonej krawędzi burty jednej z kilku przycumowanych łódek przebiega pliszka.

## Telefon

– Cześć, tato, co u ciebie?

– A, siedzę za drzwiami boksu i ciamkam jakąś bułkę.

## Zeszyty

Urodził się w 1940 roku, w sercu Puszczy Knyszyńskiej, w małej wiosce Kulikówka, jako siódme dziecko Urszuli i Piotra. Był chorowity. Gdy skończył osiem lat, najstarsza siostra zabrała go do siebie, do miasta, i zajęła się jego edukacją. Dostał się do Liceum Plastycznego w Supraślu, lecz w drugiej klasie rzucił naukę, bo zamiast na malarstwo trafił na tkaninę. Skończył „kolejówkę”, został pomocnikiem maszynisty. Mając dziewiętnaście lat namalował patykiem i czarnym tuszem obraz na jakiś konkurs i dostał nagrodę. Kobieta zapatrzona w lustro. Wszystko uproszczone. Nie ma oczu, nosa, ust, tylko owal twarzy. Zgrabny biust. Czarne wstęgi miękkiej tkaniny okrywają kolana. Ten obraz wisi teraz w moim domu. Papier jest przyżółcony od papierosowego dymu, jeszcze z domu rodziców.

Tato ożenił się. Swojej pierwszej córce dał na imię Małgorzata. Małgorzata to ja. I to ja, mając dwanaście lat znalazłam w domu na półce stare zeszyty, w których zapisane były jego wiersze.

Czytałam w ukryciu:

*twoich piersi koniuszki nagie  
i to nas nie łączyło  
potem  
przeklinałem niedziele*

*plakałem w wolne soboty  
pośród biebrzańskich bagien  
gdzie kwiatów było na śmierć za wiele  
a ptaków za mało na miłość*

Później, gdy był na emeryturze, czytałam fraszki, które układał, siedząc w łódce, na rybach:

*Buchalter  
W zakolu pustym,  
Gdzieś pod grążelem,  
Lin liczył łuski...  
Na płotki ciele.*



*Koldra cenzury  
Płóć była chętna na tę zabawę,  
A lin się starał...  
Co dalej? Nie wiem, bo zakrył sprawę  
Liść nenufara.*

## Pomocnik maszynisty

Był pomocnikiem maszynisty. Później maszynistą. Najpierw jeździł parowozem, później lokomotywą spalinową. Pamiętam jej numer: SP 45–243. Jako nastolatka, przechodząc przez most nad torami, zawsze szukałam wzrokiem tego numeru wśród stojących na stacji lokomotyw.

Pomocnik maszynisty parowozu, na trasie o długości około dwustu kilometrów (tyle jest z Białegostoku do Warszawy) musiał wrzucić szuflą do pieca siedem ton węgla. I siedem ton w drodze powrotnej. Był wtedy bardzo chudy: stoi, młody, zmęczony, uśmiechnięty, na żelaznym schodku parowozu, w czarnej od sadzy czapce z daszkiem, na malutkim zdjęciu w albumie. Maszyniści parowozów cierpieli na bóle szyi i karku, bo mieli szyje i karki przewiane, i obolale od ciąglego wyglądania bocznym oknem. Lecz co mówił tato? Że maszynista to romantyczny zawód. Że aż trudno opisać widoki, jakie on podziwia, przemierzając kraj.

Chodził po domu z rozgrzewającym plastrem przyklepionym do karku. Gdy przesiadł się na spalinówkę, plastry zniknęły.

## Siwak i znaczek z księciem

Najpierw pomalował stary siwak na żółto, a gdy wyschła farba, wziął klaser ze znaczkami, lupę, i... Ale o tym już napisałam. Tak wyglądał jego pierwszy rok na wcześniejszej emeryturze, a może rencie zdrowotnej, na którą go wysłano, aby tylko przestał pracować, działać. Był rok 1982. Bieda. Któregoś dnia odwiedziła nas wujenka Regina z synkiem, chrześniakiem taty. Nie widzieliśmy ich od lat, a przyjechali jak byliśmy w wielkim niedostatku. Mama chora, w szpitalu, tato sprzedał rower.

– Który klaser ze znaczkami jest najlepszy? – zapytał.

– Ten! Z malarstwem! – odpowiedziałam z dumą, bo były tam moje ukochane znaczki. Najbardziej lubiłam ten z księciem Poniatowskim. Książę miał czarne włosy ułożone na skroniach w pazurki, puciołowatą twarz, drobne usteczka, ciemne oczy. Wydawał mi się zabawny z wyglądu, mimo,

że znaczek był poważny. Zaglądałam do klasera w chwili smutku.

– Daj mi go – powiedział tato. I w tej całej biedzie i niedostatku, w tym całym stanie wojennym, oddał mojego księcia swojemu chrześniakowi! Z całym klaserem.

Jakże on wtedy musiał źle się czuć, z tą biedą, ten książę.

## Badylarka

Nogi są gołe i bose. Tato na kucaka. Przed namiotem, w trawie, stoi spirytusowa maszynka, na maszynie menażka, w menażce bulgocze woda. Mama siedzi na kocu, zapatrzona w trzciny i drzewa po drugiej stronie rzeki. Nuci piosenkę. Ja – na ręczniku. Spod przewiązanej na głowie chustki wystają dwa splecione mocno warkoczki. Patrę to na niego, to na nią. On wsypuje do menażki proszek z dużej torebki i miesza biwakową łyżką. Ona wyciąga w moją stronę rękę z herbatnikami. Podchodzę, biorę ciastko i wracam na swój ręcznik. Płynie rzeka.

– Myszka – szepczę, widząc w trawie małe zwierzątko.

– Badylarka – mówi tato, odrywając wzrok od menażki.

Mama nas nie słyszy.

„Badylarka” – powtarzam w myślach imię zwierzątka. Kładę na ziemi otwartą dłoń z okruszkiem herbatnika. Badylarka nieruchomieje. Krótkie, rudobrazowe ciałko, czarne koraliki oczek, ogonek. Znika w trawie. Po chwili znowu się pojawia. Przebiega przez moje palce, zatrzymując się na ułamek sekundy, żeby chwycić zębami okruszek, i znika wśród źdźbeł.

– Ha ha ha! – śmieje się tato. – Patrzenie!

Spoglądamy. A on trzyma w ręku aluminiowy garnek ze sterczącą ze środka biwakową łyżką.

– Ale kit! Za dużo wsypałem!

– I tak bym tego nie jadła – mówi ze smutkiem mama.

Tato znika za namiotem i słyszę, jak wyskrobuje kit z garnuszka. Później myje menażkę w piachu i rzecznej wodzie.

Nocą budzi mnie ich rozmowa.

– Dłużej tu nie wytrzymam! – płacze mama.

– Wytrzymaj... – prosi tato.

– Nie widziałam w życiu większego durnia! – płacze mama.

– Przepraszam... – szepcze tato.

– Przegoń je! – płacze mama.

– Już poszły... No chodź... Uspokój się... Proszę... Jak chcesz, przestawię namiot w inne miejsce...

Nie boję się o nich. Wiem, że tato zaopiekuje się mamą, a ona przestanie płakać. Boję się o badylarkę. Nie wiem, czy szczury, wydry, bobry i piżmaki, które przyszły w nocy jeść grochówkowy kit, które drapały pazurami w płócienne ściany naszego namiotu, czy te wszystkie potwory zjadają także małe myszki. Może tak.

### „Co tu mówić?”

Był reportaż w TVP Białystok. Tato znowu w celi więzienia, przy Kopernika. „Jak się pan czuje tutaj, teraz, po latach?” – zadaje pytanie dziennikarz. Tato siedzi zamyślony na pryczy. „Co tu mówić” – odpowiada. Zaglądam do jego wspomnień:

„(...) drugiego dnia w celi, na okrągłej pokrywce od pudełka margaryny, ołówkiem przemyconym przez któregoś z osadzonych, wyryłem krzyż i napis: Internowani – 13 grudzień 1981. Powiesiliśmy to nad drzwiami wejściowymi (...). Któregoś dnia wszedł do celi jakiś większy klawisz – wychowawca, w towarzystwie dwóch palkowników. Klawisz coś tam truł, kiedy jeden z tych z palką pokazał mu to moje dziełko. Popatrzył tam, potem na nas. Jednemu ze swojej obstawy kazał to zdjąć i zmiął pokrywkę w rękę.

– Jeszcze wam mało? – wykrztusił. – Kto to zrobił?

– Ja.

Popatrzył dziwnie na mnie i kazał jednemu ze swoich otworzyć klapę bardachy. Chwilę się zastanawiał, potem wymruczał: – Tu jest krzyż.

Schowal to do kieszeni”.

### Tato Kazio palił papierosy

Dużo palił. Leżał na tapczanie z książką i popielniczką, i palił. Rzucił palenie, gdy już ledwo oddychał.

### Trzy żony

Tato zmarł w 2016 roku jako mąż Barbary. Teresa, moja mama, a pierwsza żona taty, zmarła kilka lat wcześniej, gdy leki przeciwbólowe wywołały u niej perforację jelit.

Tato ostatnie chwile życia spędził w hospicjum. Nie załamał się. Byłam tam codziennie, po trzy godziny, przez trzy miesiące. Mówił, że jest mu tu lepiej niż w szpitalu. Tak, było to miejsce przyjazne, chociaż – wiadomo

– smutne. Można było przynieść ze sobą kota. Można było przychodzić nawet w środku nocy.

Któregoś dnia idąc korytarzem z drugą żoną mojego taty i jej dorosłym, czterdziestoletnim, niepełnosprawnym synem z poprzedniego małżeństwa (taką ekipą przyjeżdżaliśmy najczęściej), usłyszałam rozmowę z pielęgniarzem:

– O, nadchodzi pana rodzina!

– Mówi pan, że zbliża się moja ostatnia godzina?

– Ha ha ha!

– Ha ha ha!

Miał dystans do siebie, był silny, lubił żartować, nigdy się nie skarżył. Lubił też spokój i mrówczą pracę. Przepisał ręcznie książkę Klimuszki o leczniczej mocy ziół. Ze swoich wypraw na soczyste, zielone łąki przynosił liście piołunu, kwiaty krwawnika i suszył na lnianym płótnie rozpiętym na drewnianej ramie. Słodko pachnący, suszony nostrzyk, białe i żółte, dodawał do ciasta, z którego lepił kuleczki. Kuleczki nakładał na haczyk i wyciągał z rzeki zgłodniałe plotki i okonie. Godzinami mocował przelotki na bambusowych kijach, owijał ich nóżki żyłką, lakierował. Sam wytapiał małe rybki z ołowiu, które służyły za błystki.

### Obrazy

Na pogrzebie obecny był poczet sztandarowy. Trzech mężczyzn, ubranych w odświętne, kolejowe mundury, uderzało co kilka minut drzewcem flag o posadzkę kościoła. Ksiądz, który odczytywał kazanie, zdziwił się, że „pan Kazimierz był zaangażowany w politykę”:

– Przychodziłem do tego domu po kolędzie, widziałem piękne obrazy na ścianach. Jeden wisi nawet u nas, na plebanii. Myślałem, że pan Kazimierz był malarzem.

Przez ostatnie lata swojego życia tato nigdy nie wspominał, że był przewodniczącym Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” na kolei, że internowano go zaraz po północy, jako trzeciego z listy. Że nasz dom był obserwowany, niepokojony przez rewizję, że opuścili nas niektórzy „przyjaciele”, że było bardzo ciężko. Malował, pisał, zbierał grzyby, jeździł na ryby, smażył placki kartoflane, mył okna. Nad rzeką trzymał w wiaderku ziemię, w której żyły rosówki, a w słoiku z podziurkowaną pokrywką – pijawki. Sam remontował swoją łódź, która była jego największą miłością, trzecią żoną.

Nauczył mnie wszystkiego. Także – jak starzec się z humorem i podniesioną głową. Że gdy wyrośnie brzuch, trzeba będzie kupić buty bez sznurówek, żeby się

nie schylać. A gdy przyjdzie czas na sztuczną szczękę, i coś tam zakluje w dziąsło, można to coś samemu podpiłować pilniczkiem do paznokci. I że najlepiej być dla wszystkich życzliwym, lecz mieć także swój świat, do którego można od wszystkich uciec.

## Karuzela

Tato zestrzelił mi kwiatek z gąbki i papieru, a sobie papierozy. Później wsiedliśmy do kosza na diabelskim młynie i już chciałam wracać, bo ludzie głośno się śmiali, potracali mnie, tato ciągle spotykał kolegów i stałam obok, i bolały mnie nogi. Kwiatek był brzydki, nie pachniał, to go po cichu zgubiłam.

– Żeby nie było ci żal, że zgubiłaś kwiatek, pójdziemy na karuzelę.

Patrzyłam na malowane błyszczącą farbą konie, koguty, labędzie i zastanawiałam się, czy chcę się kręcić przy muzyce, ale minęliśmy małą karuzelę i tato kupił bilety na dużą.

– Spadnę.

– Nie spadniesz. Konie i koguty są dla malutkich dzieci.

A ty jesteś już dużą dziewczynką. Zobaczysz, jak się lata.

– A jak spadnę?

– Nie spadniesz. Widzisz ten łańcuch? Nikt jeszcze nie spadł.

Rozgrzany słońcem łańcuch pachniał żelazem. Pan, który go zapinał, zapytał, czy nie jestem za mała.

– Nie – odpowiedział tato, majstrując przy swoim krzeselku.

Otworzyłam oczy tylko na chwilę i zobaczyłam jak wirują niebieskie wagony z biletami, a ludzie na ziemi fruną jak zestrzelone lizaki. Poczulałam, że wypuszczam z siebie niedzielny obiad, który zjadłam w domu. Wystarczyło go na całe miasteczko. Wyleciały ze mnie kawalki kurczaka ze smażoną skórką, pogryziona marchewka, łyżka utłuczonych z mlekiem ziemniaków i pół talerza rosolu z oczkami, makaronem i nawet spalona cebula, co została w domu, na talerzu. Zamknęłam oczy i zaczęłam płakać. Wtedy karuzela zwolniła, dotknęłam nogami desek, a tato wziął mnie na ręce. Zeszliśmy na ziemię i zobaczyłam, że ludzie wcale się nie gniewają za to, co się stało, a gruby pan siedzi na stoleczku, gra na akordeonie i śpiewa piosenkę.

## Przypinka

Niewielki, metalowy przedmiot – białe tło, czerwone litery ułożone w słowo, widok maszerujących, bliskich sobie, połączonych wspólną sprawą ludzi. Znaczek „Solidarności”. Leży w moim domu, w szkatułce z pamiątkami. Obraz z namalowaną kobietą – wisi w nowych ramkach, na ścianie. Na półce siedem starych zeszytów, a w nich wiersze zapisane drobnym, ostrym, pochylonym w prawo pismem. W albumie fotografia, a na niej mężczyzna w starym swetrze i wysokich, gumowych butach, trzymający za skrzela ogromnego, dwunastokilowego suma, którego wyłowił z Biebrzy. Sum wisi na uniesionej dłoni, wzdłuż wyprostowanej sylwetki taty.

W tekście wykorzystałam dwie spośród około dwustu fraszek napisanych przez mojego ojca, Kazimierza Skobodzińskiego i fragment jego wiersza miłosnego. Rzeczy te znalazłam w подарowanych mi przez tatę zeszytach. Historyjkę na temat rysunku na pokrywce pudełka od margaryny wyjęłam z tekstu o dziejach NSZZ „Solidarność” na kolei w Białymstoku, napisanego także przez tatę i opublikowanego w książce wydanej pod patronatem IPN – *Początki „Solidarności” w północno-wschodniej Polsce (1980–1981)*.

## MAŁGORZATA SOCHOŃ

– autorka tomików *Liryki domowe* (2001), *Wplątane w kalendarz* (2008), *Wiersz o świcie* (2019). Za pierwszą książkę otrzymała Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, książka trzecia była nominowana do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz” w kategorii „Orfeusz Mazurski”.

Jean Anglemont

## Au Rue Vignon, samedi du memoire<sup>1</sup>. Z relacji cher Monsieur J. Heurtebise

MÉMOIRE-RÊVE-DROGUE-OPIUM-DOULEUR-ÂME-ACTEUR<sup>2</sup>

Tymczasem za oknami zdążyło się znacznie ściemnić: i oto w Łacińskiej Dzielnicy<sup>3</sup>, na Saint-Fiacre<sup>4</sup> i na Rue Montmartre<sup>5</sup> poczęły panować pustki: z witryn sklepowych powoli znikaly dekoracje i szyldy, ludzie zaś poczęli rozbiegać się ku swoim domom... Tylko w stronę Rue Vignon<sup>6</sup>, gdzie mieszkował, jechała dorożka, zaprzężona w czwórkę siwych koni podkutych złotem, z których jeden obwieszony był ze wszystkich stron srebrzystymi dzwoneczkami, zebranymi jakby w grona, które przy każdym stąpieniu czy nawet zwykłym poruszeniu lbem wydawały z siebie dźwięk tak delikatny i temu miły dla duszy mojej, a które obnosił z taką dumą, z jaką dobry wojak nosi order na własnej piersi.

Zmrużyłem lewe oko i dostrzegłem, że dorożkarz ma na czole ranę, szeroką może na trzy palce, a która tylko w połowie zdążyła się zasklepić. Uwagę moją przykuł jednak pasażer, który zajmował akurat miejsce na tylnym siedzeniu. Był to mężczyzna może czterdziesto- i kilkuletni, z twarzą podobną do woskowej maski, ale mającą w miejscu otworów na oczy dwa żywe, ciemne klejnoty, z włosami krótko przyciętymi, w rozpiętym płaszczu, ludzaco podobnym



Jacques-Emile Blanche, „Studium portretu Jeana Cocteau”, 1912

źródło: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:JEB\\_-\\_Etude\\_pour\\_le\\_portrait\\_de\\_Jean\\_Cocteau.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:JEB_-_Etude_pour_le_portrait_de_Jean_Cocteau.jpg)

<sup>1</sup> Au Rue Vignon, samedi du mémoire (fr.) – Przy ulicy Vignon, sobota pamięci.

<sup>2</sup> Mémoire-rêve-drogue-opium-douleur-âme-acteur (fr.) – dosłownie: *pamięć, sen, narkotyk, opium, ból, dusza, aktor*. Tzw. *motywy*, tj. dłuższe sekwencje wyrazów w języku francuskim, połączonych ze sobą myślnikami, zapisywanych wyłącznie wielkimi literami, jest zabiegiem obecnym w prawie każdym utworze z cyklu „Monsieur Heurtebise et ses contes”: najczęściej ma na celu zapoznanie czytelnika z przewodnimi motywami konkretnego tekstu.

<sup>3</sup> Dzielnica Łacińska (Quartier Latin) – strefa obejmująca północną część 5. dzielnicy i kawałek wschodniej części 6. dzielnicy Paryża, traktowana – zgodnie z tradycyjnym administracyjnym podziałem miasta – jako odrębna dzielnica.

<sup>4</sup> Saint Fiacre, właśc. Rue Saint Fiacre – ulica w 2. dzielnicy Paryża.

<sup>5</sup> Rue Montmartre – ulica w 1. i 2. dzielnicy Paryża.

<sup>6</sup> Rue Vignon – ulica w 8. i 9. dzielnicy Paryża. Jean Cocteau przeprowadził się na Rue Vignon w 1930 roku: zamieszkał w budynku nr 9, skąd, po czterech latach, przeniósł się do hotelu Palace Madeleine – aby, po zaledwie kilku miesiącach, powrócić pod dawny adres.

do tego, którego nazywają cher monsieur Heurtebise<sup>7</sup> – mais pourquoi<sup>8</sup>?...

Obie dłonie, porysowane gęstymi rządkami sinych żyłek, zaciskał na cienkiej lasce, którą, z kunsztem godnym najwyższego z malarzy, kreślił w powietrzu portret tego, którego imię oznaczało: pan Parnasu<sup>9</sup>. Stopy w uszytych z ciemnobrązowej skórki, sięgających powyżej kostek butach, opierał na zagłówku przedniego siedziska.

Zdawało mi się, że w owym człowieku widzę samego siebie. Samego siebie!... Mon âme, ma amie<sup>10</sup>!...

Widziałem duszę moją, jadącą przez Rue Vignon: widziałem duszę, tę przyjaciółkę wszystkich, którzy godni są nazywać siebie poetami!...

Zadawałem sobie w myślach pytanie: jakąż to moc, jakąż to moc potężna i cudotwórcza sprawiła, że ty, mój mały Ange Heurtebise<sup>11</sup>, obudziłeś się z długiego letargu, w jakiś to zapadł, kiedy haftowane bijącymi makowymi sercami skrzydła przekłętego anioła, tego pierwszego z poetów-opiumistów, którzy zrodzili się z płonącej iskry

istnego nienasycenia, którą nosiłeś zamkniętą pomiędzy palcami prawej dłoni, podobną do oddychającego czerwonym ognikiem nasionka, a których wykarmiełeś natchnionym pragnieniem i kwiatami własnej krwi, które, jeśli im urwać choćby płatek, ześlą na ciebie harmonię najgłębszego odurzenia, ten sen przekłety, z którego obudzisz się złany potem rozpalającym twoje półnagie ciało na podobieństwo ognistego fluidu, któremu nakazano rozszarpać twą duszę na strzępy, z których każdy będzie żył zamknięty w zziębniętym i głodnym ciele artysty niczym tygrys uwięziony w klatce zrobionej z własnych, dopiero co odciętych pazurów, mając dłonie podobne do uschniętych od twórczej niemocy feuilles mortes<sup>12</sup> i zarazem rozkwitających pięciopalczystym szaleństwem kwiatów, na końcach których, zamiast główek, które chciałoby się całować spękanyymi marmurami własnych warg, wyrastać będą na przemian wypalone do szpiku fajki i pióra o stalówkach wykutych z moich własnych kości, i z samym de Quincey'em<sup>13</sup> na własnych ramionach, mającym teraz ciało zgarbionego upadkiem

<sup>7</sup> Cher monsieur Heurtebise (fr.) – drogi/kochany pan Heurtebise.

<sup>8</sup> Mais pourquoi? (fr.) – ale dlaczego?

<sup>9</sup> Pan Parnasu – parnasizm: nurt literacki, zapoczątkowany we Francji w drugiej połowie XIX wieku, lecz sięgający korzeniami już późnych lat 40., przypadający na okres *fin de siècle*. Początkowo traktowany jako rodzaj epoki przejściowej pomiędzy romantyzmem a wczesnym symbolizmem, z czasem mający również stosunkowo silne oddziaływanie na kształtujące się pierwsze ruchy modernistyczne. Jako odrębny prąd w literaturze wykształcił się prawdopodobnie w latach 60. Samego określenia „parnasizm” używano początkowo wyłącznie w odniesieniu do nieformalnej grupy poetyckiej pod przywództwem Charlesa Leconte’a de Lisle’a, skupionej wokół dążenia do przywrócenia do poezji wzorców klasycznych, obecnych w sztuce antycznej. Jako nazwa konkretnego nurtu literackiego funkcjonowało ono od około 1866 roku. Termin „parnasizm” wywodził się bezpośrednio od *Współczesnego Parnasu (Le Parnasse contemporain)*, tytułu antologii poezji francuskiej w trzech tomach, opublikowanych odpowiednio w 1866, 1871 i 1876 roku. Nowo powstały prąd zakładał dążenie do uzyskania wiersza doskonałego pod względem nadanej mu formy zewnętrznej (kult doskonałości formalnej). Niektórzy przedstawiciele tego kierunku osiągnęli ten cel poprzez położenie nacisku na nadanie własnym utworom wyjątkowych walorów brzmieniowych poprzez wykorzystywanie rymów, rytmizację czy szczególną dbałość wersyfikacyjną (np. wczesne utwory Paula Verlaine’a). Nadane poezji funkcje społeczne odrzucano, otwarcie głosząc odstępianie od wszechobecnych w sztuce przejawów utylitaryzmu; unikano włączania do poszczególnych utworów motywów patriotycznych. We Francji typowym dla parnasistów stało się kierowanie treści liryki w stronę jednoznaczego, obiektywnego opisu, przeciwstawiającego się popularnym w epoce romantyzmu wierszom-wyznaniom, lecz jednocześnie uzyskanie dzieła o charakterze filozoficznym, skłaniającym czytelnika do refleksji. Współcześnie jako prekursorów parnasizmu wymienia się Charlesa Baudelaire’a i Théophile’a Gautiera. Do najważniejszych związanych z tym ruchem autorów zaliczani są również m.in. Catulle Mendès, Stéphane Mallarmé, Sully Prudhomme, Léon Dierx czy François Coppée.

<sup>10</sup> Mon âme, ma amie (fr.) – moja dusza, moja przyjaciółka.

<sup>11</sup> Ange Heurtebise (fr.) – dosłownie: anioł Heurtebise; pan Heurtebise nieświadomie nawiązuje tu do tytułu dwunastego tomiku poezji autorstwa Jeana Cocteau, który po raz pierwszy ukazał się (w formie książkowej) w sierpniu 1926 roku. Samo określenie *Ange* używane jest w odniesieniu do postaci pana Heurtebise także w innych utworach z cyklu „Monsieur Heurtebise et ses contes”, funkcjonując w części utworów jako imię bohatera.

<sup>12</sup> Feuilles-mortes (fr.) – dosłownie: martwe liście; tu w znaczeniu: liście zeszlóroczne, uschnięte.

<sup>13</sup> Thomas de Quincey (1785-1859) – angielski pisarz i myśliciel, uchodzący za jednego z twórców, którzy wprowadzili do literatury XIX wieku formy zbliżone do klasycznego eseju. Współcześnie znany przede wszystkim jako autor *Wyznań*

epoki antycznego bożka, twarz sześciolatniego chłopca, a palce prawdziwego roi-des-peintres<sup>14</sup>, który śmieje się tylko stłumionym rechotem chemika, któremu kto siłą wiał do ust roztwór azotowego podtlenku i który, umoczonym w moich łzach pędzlem, zakłada mi rozświetloną nie tęczę a szaleństwem aureolę Brockenowskiego widma<sup>15</sup>!

Jakaż to siła sprawiła, żeś zdołał się umyć i odziać, żeś zdążył sił nabrać, a teraz jedziesz dorożką przez ulice Paryża, skręcając ku niewidzialnym granicom Czwartej Dzielnicy?...

Dlaczego nie zajedziesz na Rue Vignon? Dlaczego nie zajedziesz na Rue Ravignan<sup>16</sup>, nie zabawisz w Bateau Lavoir<sup>17</sup>, po czym nie zasiądziesz, jak to miałeś w zwyczaj, przy małym biurku wciśniętym w ścianę zdobioną

---

*angielskiego opiumisty (Confessions of an English Opium-Eater)* – opublikowanego po raz pierwszy w 1822 roku dzieła stanowiącego zbiór refleksji i intelektualnych wywodów artysty nad własnym, regularnym sięganiem po narkotyki, a obecnie uchodzącego za jedno z dzieł kluczowych dla kształtowania się dekadentyzmu jako odrębnego nurtu literackiego. Sylwetka de Quincey'a przywoływana jest także w innych tekstach z cyklu „Monsieur Heurtebise et ses contes” w kontekście uzależnienia Jeana Cocteau od opium.

<sup>14</sup> Roi-des-peintres (fr.) – król malarzy.

<sup>15</sup> Widmo Brockenu (mamidło górskie) – zjawisko atmosferyczne, obserwowane w większości przypadków z górskich szczytów (lub, rzadziej, z okien lecących samolotów). Człowiekowi obserwującemu widmo Brockenu, znajdującemu się pomiędzy padającymi bezpośrednio na niego promieniami słonecznymi a położoną poniżej niego chmurą (często w postaci mgły), ukazuje się własne, powiększone odbicie, niekiedy otoczone tęczą obwódką (tzw. glorią), rozchodzącą się kręgami od środka jego ciała. Thomas de Quincey kreśli na kartach *Wyznań angielskiego opiumisty* obraz zjawiska podobnego do mamidła górskiego, którego miał doświadczyć po zażyciu zwiększonej dawki opium. W późniejszym okresie po opis ten sięgnął Charles Baudelaire, który w 1860 roku opublikował dłuższy esej krytyczny poświęcony zażywaniu narkotyków jako rodzajowi ucieczki od codziennej rzeczywistości, zatytułowany *Sztuczne raje: traktat o winie, haszyszu i opium (Les Paradis artificiels)*. W Polsce wszystkie dzieła Baudelaire'a, których tematyka w jakikolwiek sposób nawiązywała do używek, po raz pierwszy ukazały się w 1926 roku w formie jednej, obszerniejszej publikacji.

<sup>16</sup> Rue Ravignan – ulica w 18. dzielnicy Paryża. Od około 1906 roku przy Rue Ravignan 7 mieściło się mieszkanie poety Maxa Jacoba, natomiast budynek nr 13 stanowił siedzibę nieformalnej grupy awangardowych twórców, funkcjonującej przez dwie pierwsze dekady XX wieku (zob. przypis 15). W 1911 roku nowa, poszerzona część ulicy została wyodrębniona od reszty ciągu i potraktowana jako odrębny plac, istniejący do dziś pod nazwą Place Émile-Goudeau.

<sup>17</sup> Bateau Lavoir, właśc. Bateau-Lavoir – popularne, potoczne określenie kamienicy położonej przy ulicy Ravignan 13, w 18. dzielnicy Paryża. Wzniesiona około 1860 roku w miejsce dawnego kabaretu Guinguette de Poirier-sans-Pareil, z zamiarem przekształcenia na budynek przemysłowy, poddana następnie nieznacznej przebudowie, na skutek otwarcia w niej kilku pracowni artystycznych. Początkowo służyła jako siedziba zakładu produkującego instrumenty muzyczne. Po upadku spółki fabrykę zlikwidowano. Zagospodarowano również pozostałą część pomieszczeń, przekształcając je w salę balową. Pierwsze mieszczące się w Bateau-Lavoir pracownie artystyczne – w większości wychodzące na tyły budynku – otwarto w 1889 roku na polecenie ówczesnego właściciela. Od 1904 roku kamienica funkcjonowała prawie wyłącznie jako miejsce cyklicznych spotkań założonej przez poetę Guillaume'a Apollinaire'a nieformalnej grupy zrzeszającej awangardowych twórców. Określenie Bateau-Lavoir zostało po raz pierwszy użyte – w odniesieniu do budynku przy Rue Ravignan – około 1889 roku. Jego „autorstwo” przypisywane jest poecie Maxowi Jacobowi, natomiast źródło inspiracji dla jej powstania stanowi obecnie kwestię sporną. Za pierwszego artystę, który na stałe zamieszkał w kamienicy przy ulicy Ravignan, uznaje się powszechnie malarza Maxime'a de Maufre. Z Bateau-Lavoir związany był od około 1892 roku. Na początku XX wieku dołączył do niego również Kees van Dongen. Początkowo największy odsetek nowych mieszkańców kamienicy przy Rue Ravignan 13 stanowiły osoby narodowości hiszpańskiej i włoskiej. Do grona najbardziej znanych twórców związanych z Bateau-Lavoir należeli m.in. Juan Gris, Amedeo Modigliani, Louis Marcoussis, Marie Laurencin, Henri Matisse, Raoul Dufy, Ambroise Vollard, André Salmon czy Pau Gargallo. W latach 1904-1909 w budynku mieściła się również pracownia Pabla Picassa. Sama Bateau-Lavoir funkcjonowała jako ściśle centrum życia paryskiej cyganerii artystycznej przez ponad dwadzieścia lat. Do rozwiązania skupionej wokół podopadającej kamienicy grupy doszło jednak już na krótko po wybuchu I wojny światowej. Znaczna większość dawnych lokatorów została zmuszona do opuszczenia budynku. Powszechnym zjawiskiem stały się masowe przeprowadzki na tereny rozwijającej się dzielnicy Montparnasse. Prawie w całości zniszczona na skutek pożaru w 1970 roku (z pierwotnego kształtu zachowała się wyłącznie część fasady), została odbudowana po ośmiu latach na wzór dawnego oryginału. Obecnie mieści się w niej łącznie dwadzieścia pięć pracowni artystycznych. Jean Cocteau dołączył do grupy skupionych wokół Bateau-Lavoir artystów na krótko po jej powstaniu.

tylko chłodną, białą nagością, i nie zabierzesz się za poezję: strofa po strofie, wers po wersie, a słowo po słowie? Dlaczego nie wrócisz do miejsca, któreś tak sobie upodobał? Dlaczego nie wrócisz na scenę Théâtre de Dix-Huitième Arrondissement<sup>18</sup>, do tych artystów, którzy tobie Orfeuszami, Eurydykami, Muzami, Nimfami, a którym ty Zeusem; do tych artystów, tak podobnych do marionetek? Dlaczego nie wrócisz do tych artystów, którym z wyciągniętych ku Perseidom szyjnych kręgow, zamiast twarzy, oczu i ust, wyrastają maski woskowe, mokre od wczesnego paryskiego oddechu?

Monsieur Heurtebise!... I tyś sam do teatralnej marionetki podobny!

Makowe tchnienie wydarło duszę twoją z tego pergaminu, z jakich uszyte są ciała artystów, te kruche uskrzydlenia, za czym przypięło ci do ramion białe rączki dziecięcej lalki, która przypominała ci jednocześnie i tych Koryfeuszy o członkach gipsowych – oto, w co przemienia się aktor, któremu zawiązałeś na powiekach przepaskę własnych dłoni!... – i symbol, symbol sztuki tak ulotnej, a zmieniającej się, wraz z każdym twoim oddechem, w obraz, którego kto inny namalować by nie mógł!

Czyś ty, mój drogi monsieur Heurtebise, przez tych ostatnich kilka niedziel nie był jak taka marionetka, którą ten mały André Toussaint, ten byle marszand z Rue Hautefeuille<sup>19</sup>, i Henri Duval, ten gryzpiórek, który postawić umie tylko kieliszek wódki na pusty blat, nigdy zaś kropli tuszu na świeżym papierze!... A nade wszystko sam de Quincey – tu splunąłem przez prawe ramię – nieustannie ciągnęli za sznurek, tak jak te enfants-terribles<sup>20</sup> z ulicy, co to pierwszego beapańskiego kundla za ogon ciągną?

Dlaczego nie zatęsknisz do tych cahiers-parisiennes<sup>21</sup>, które wciąż jeszcze stały na półkach, za które służyły dwie przeżarte żelaznymi dents-d'un-temps<sup>22</sup> skrzynki po rybach, które-m to otrzymał w spadku po tym maleńkim Dédé Lemaître, którego cher grand-père<sup>23</sup> służył niegdyś jako polawiacz u Lazurwego Wybrzeża, a którego w roku dwudziestym i pierwszym la-maladie-du-Koch<sup>24</sup> ze świata zabrała: do tych cahiers parisiennes, stojących na owych półkach w jakże równych rządkach, dokładnie tak samo, jak ustawiłeś je, żegnając się z nimi, kiedy kładłeś się do nieprzespanego rêve-du-drogue<sup>25</sup>, nie przesunięte nawet o milimetr,

<sup>18</sup> Théâtre de Dix-Huitième Arrondissement – dosłownie: Teatr Osiemnastej Dzielnicy; pan Heurtebise ma na myśli Théâtre de l'Atelier, położony przy Place Charles-Dullin 1, w 18. dzielnicy Paryża. 20 grudnia 1922 roku na deskach Théâtre de l'Atelier odbyła się premiera jednoaktowej sztuki teatralnej „Antygona” w reżyserii Charlesa Dullina, opartej na scenariuszu autorstwa Jeana Cocteau.

<sup>19</sup> Rue Hautefeuille – ulica w 6. dzielnicy Paryża. Od wczesnych lat 70. XIX wieku przy Rue Hautefeuille 6 mieściła się księgarnia, a następnie siedziba agencji wydawniczej założonej przez Léona Vaniera. W budynku nr 17 znajdowało się z kolei mieszkanie Charlesa Baudelaire'a, który opuścił je na krótko po śmierci ojca w 1827 roku.

<sup>20</sup> Enfants-terribles (fr.) – tu, dosłownie: okropne dzieci. Pan Heurtebise ponownie nawiązuje do twórczości Jeana Cocteau. *Straszne dzieci (Les Enfants terribles)* to tytuł piątej powieści autorstwa Cocteau, która po raz pierwszy (w formie książkowej) ukazała się w lipcu 1929 roku, natomiast 19 lat później doczekała się adaptacji filmowej.

<sup>21</sup> Cahiers-parisiennes (fr.) – zeszyty paryskie. Pan Heurtebise, odnosząc się do ustawionych na półkach zeszytów, nieświadomie nawiązuje do tzw. cahiers de Rodez, potocznego określenia serii „dzieł” autorstwa poety, dramaturga i teoretyka teatru Antonina Artauda (1896-1948). *Cahiers de Rodez* stanowiły zbiór szkolnych zeszytów, w których Artaud zamieszczał przede wszystkim krótsze formy literackie (zarówno poetyckie, jak i prozatorskie), przeplatając je odręcznymi, często kolorowymi ilustracjami. Najstarsze zaliczane do tego cyklu „dzieła” datowane są na luty 1945 roku. Poszczególne zeszyty były uzupełniane codziennie. W ciągu pierwszych piętnastu miesięcy od rozpoczęcia prac nad pierwszymi zamieszczanymi w nich utworami powstało łącznie około stu *cahiers de Rodez*. Ostatecznie cykl liczy 106 zeszytów i poprzedza powstałą w II połowie lat 40. zbliżoną (pod względem formy i treści) serię złożoną z kolejnych 300 zeszytów, opatrzonych wspólnym tytułem *Retour à Paris* (dosłownie *Powrót do Paryża*). Współcześnie za najbardziej znany uchodzi tzw. *cahier 406*, kończący się charakterystycznym zdaniem „De continuer à/faire de moi/cet envoûté éternel/etc. etc.”, uważany za jedno z ostatnich słów, które wyszły spod pióra Artauda. Los pozostałych zeszytów (także tych zaliczanych do cyklu „Retour à Paris”) pozostaje z kolei kwestią sporną.

<sup>22</sup> Dents-d'un-temps (fr.) – dosłownie: zęby czasu.

<sup>23</sup> Cher grand-père (fr.) – drogi/kochany dziadek.

<sup>24</sup> La-maladie-du-Koch (fr.) – dosłownie: choroba Kocha, gruźlica.

<sup>25</sup> Rêve-du-drogue (fr.) – sen narkotyczny.

albowiem po tym, jak zapadłeś w sen opiumowy<sup>26</sup>, nikt nie śmiał ich tknąć?

Dlaczego nie wstąpisz na Rue Ravignan?

A co, jeśli-ś to nie ty, mon cher poète-maudit<sup>27</sup>?... Nie!...  
To przecież musi być dusza twoja!

<sup>26</sup> Metafora użyta w odniesieniu do Jeana Cocteau poddającego się kuracji odwykowej, będącej formą walki z jego uzależnieniem od opium. Cocteau decydował się na leczenie kliniczne łącznie czterokrotnie. Po raz pierwszy ubiegał się o przyjęcie do paryskiej Clinique des Thermes Urbains w połowie marca 1925 roku, za namową przyjaciół; trwająca zaledwie miesiąc terapia nie przyniosła jednak oczekiwanego skutku. Pan Heurtebise odwołuje się jednak bezpośrednio do drugiej podjętej przez poetę próby walki z nałogiem. Pod koniec listopada 1928 artysta ponownie rozpoczął kurację odwykową, tym razem w klinice w Saint-Cloud w departamencie Hauts-de-Seine. Przez pierwszych kilka miesięcy koszty leczenia były w całości pokrywane przez zaprzyjaźnioną z Cocteau Coco Chanel. Pobyt na terapii stanowił dla poety przede wszystkim okres nagłego wzrostu własnego zaangażowania w dalszy rozwój twórczości w dziedzinach literatury i rysunku. Pozostawił po sobie cykl odręcznych szkiców, spośród których większość została później wykorzystana jako ilustracje do wybranych utworów literackich powstałych pomiędzy 1930 a 1940 rokiem. W ciągu zaledwie siedemnastu dni ukończył również pracę nad ostateczną wersją powieści *Straszne dzieci* (zob. przypis 20), której pierwsze egzemplarze trafiły na sprzedaż w lipcu 1929 roku. Współcześnie za najbardziej znaczące dzieło pochodzące z tego okresu uchodzi jednak *Opium. Dziennik z kuracji odwykowej* – rodzaj pamiętnika, przeplatającego szczegółowe opisy poszczególnych etapów podejmowanej przez autora walki z uzależnieniem z licznymi anegdotami dotyczącymi wcześniejszych okresów jego działalności artystycznej. Publikacja pierwszego książkowego wydania przypadła na grudzień 1930 roku. Na język polski został przetłumaczony około sześćdziesiąt lat później, stanowiąc obecnie jedną ze stosunkowo nielicznych publikacji autorstwa Cocteau, które doczekały się polskiego przekładu. Artysta ostatecznie zakończył swój pobyt w Saint-Cloud w połowie kwietnia 1929 roku, na krótko po złożeniu przez Chanel rezygnacji z dalszego opłacania terapii.

<sup>27</sup> Mon cher poète-maudit (fr.) – mój drogi wyklęty poeta. W literaturze określenie „poeci wyklęci” (poeci przeklęci), stworzone przez Alfreda de Vigny na potrzebę powieści *Stello*, funkcjonowało od około 1832 roku; do szerszego użytku weszło jednak dopiero w 1884 roku, na krótko po opublikowaniu przez Paula Verlaine’a dzieła złożonego z trzech dłuższych esejów krytyczno-literackich o charakterze biograficznym, opatrzonych wspólnym tytułem „Les Poètes maudits”, poświęconych odpowiednio postaciom Stéphane’a Mallarmégo, Arthura Rimbauda i Tristana Corbière’a. Początkowo było ono traktowane jako synonim postaci tragicznej. Poetę przeklętego utożsamiano wówczas z osobą spotykającą się wyłącznie z odrzuceniem ze strony otaczającego go społeczeństwa, doprowadzoną do skrajnej rozpaczki, popadającą w obłąd. Większość tych wizji była – w mniejszym lub większym stopniu – inspirowana wybranymi utworami literackimi z epoki romantyzmu i stanowiła próbę wpisania sylwetki „wyklętego” w myśl ówczesnej epoki. W dalszej kolejności określenia „poètes maudits” zaczęto używać również w odniesieniu do sześciorga autorów, których biografie Verlaine zdecydował się nakreślić na kartach własnego zbioru esejów. Z czasem jednak stopniowo wykraczano poza ściśle grono opisywanych przez niego artystów, nadal jednak odnosząc się wyłącznie do twórców z zamkniętego kręgu literatury francuskiej. We Francji, obok bohaterów powstałego w latach 80. dzieła, podstawowe cechy poety przeklętego przypisywane są także m.in. Charlesowi Baudelaire’owi, Comté de Lautréamontowi czy Maxowi Jacobowi. Wraz z nadaniem terminowi „poète maudit” nowego, szerszego znaczenia, ukształtowała się sylwetka „wyklętego” jako skrajnie negatywnego bohatera licznych skandali obyczajowych, przekraczającego obowiązujące w społeczeństwie normy, odrzucającego ogólnie przyjętą hierarchię wartości – zarówno duchowych, jak i materialnych. Poszczególnych twórców ukazywano jako buntowników i prowokatorów. Niezrozumiani lub odrzuceni przez środowisko, w którym na co dzień się obracali, pozostawali na jego uboczu, żyjąc w poczuciu zupełnego wyobcowania. Za życia zgromadzonego wokół tego kręgu artystów ich twórczość pozostawała niezauważona. Nie cieszyła się popularnością ani wśród krytyków, ani wśród publiczności. Często spotykała się z zupełnym brakiem akceptacji. Zainteresowanie poszczególnymi dziełami wzrastało dopiero po śmierci ich autorów. W wybranych środowiskach utwory niektórych poetów określanych mianem „wyklętych” urastały do rangi przedmiotu otoczonego szczególnym kultem. Sama tematyka ich twórczości budziła liczne kontrowersje. W biografii poszczególnych poetów określanych mianem „przeklętych” powtarzały się charakterystyczne elementy: niestabilność emocjonalna, obłąd, zachowania autodestrukcyjne, skłonność do popadania w konflikty z prawem, uzależnienie od narkotyków i/lub alkoholu, przedwczesna śmierć (często samobójcza). Współcześnie określenie to funkcjonuje również w odniesieniu do artystów angielskich (William Blake, John Keats), amerykańskich (Edgar Allan Poe, Sylvia Plath, Charles Bukowski), włoskich (Salvatore Toma) czy rosyjskich (Aleksandr Błok). W Polsce do poetów przeklętych zalicza się m.in. Andrzeja Bursę, Rafała Wojaczka, Stanisława Grochowiaka, Edwarda Stachurę, Ryszarda Milczewskiego-Bruno czy Kazimierza Ratonia.

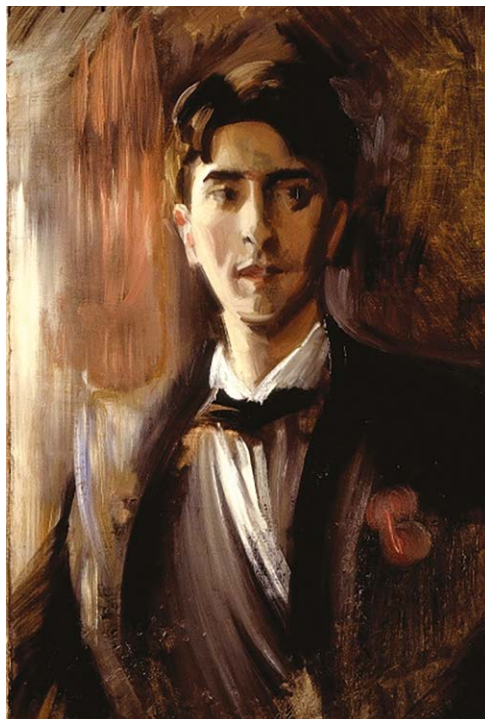


Z jego źrenic bije bowiem ten sam blask, który przed dziesięcioma tchnieniami twoimi kręcił się w twym oku, kiedy to morzył mnie sen najczystsze go odurzenia.

Poza tym ostatnimi czasy, mon cher monsieur Heurtebise, osłabłeś mocno; zeszedł zimy zapadłeś bowiem na pneumonie-aigue<sup>28</sup>: chorowałeś długo i ciężko, a ledwo co wyszedłeś od doktora Mirbeau, od razu doń wracałeś i spędzałeś tam więcej godzin, niż było ci pisane. Raz wtóry zdrowie opuściło cię na Sainte-Marie<sup>29</sup>, kiedy dzień cały spędziłeś w łóżku, ukołysany na przemian omdlałym bólem i majaczącym letargiem: w głowie ci się kręciło, łamało cię w kościach, kłuło w lewym boku i w piersi, tuż obok serca.

Nic bardziej mylnego! To musi być dusza twoja, ton ange<sup>30</sup>!

Tymczasem doróżkarz, nie wiedząc dlaczego, skierował ku Rue Vignon i kazał koniom na chwilę zatrzymać



Federico de Madrazo y Ochoa, „Portret Jeana Cocteau”, między 1910 a 1912  
źródło: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Portrait\\_of\\_Jean\\_Cocteau.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Portrait_of_Jean_Cocteau.jpg)

– Monsieur Heurtebise!... – krzyknąłem, stukając pięścią w szybę...

swoj bieg pod oknem kamienicy, w której mieszkałem.

Raz jeszcze rozległ się dźwięk dzwoneczków, potem parskanie, rżenie i stukanie szesnastu podkutych kopyt o mokry od deszczu bruk: wreszcie oczom moim ukazał się raz jeszcze ów jego- mość o twarzy z wosku wytopionej: tym razem poruszył się na siedzisku i skierował najpierw wzrok, a potem srebrną gałkę swojej laski ku zapatrzonemu w szybę, po czym uśmiechnął się krzywo. Raz jeszcze rozpoznałem w tym obliczu twarz siebie samego – wiedziałem wprawdzie, że to nie byłem ja, bom przecież już dawno zapadł w sen, do którego złożył mnie sam de Quincey: ale teraz ów człowiek wydał mi się tak podobnym do mojej duszy...

W najgłębszym wnętrzu własnego umysłu widziałem siebie, jak śmiałem się głośno, radośnie, serdecznie...

*Sylwetka bohatera powyższego utworu – tj. Monsieur Heurtebise – choć stanowiąca postać fikcyjną – odnosi się do postaci rzeczywistej – tj. Jeana Cocteau (1889-1963).*

*Ewentualne nieścisłości fragmentów ww. utworu z biografią Jeana Cocteau powstały wyłącznie na potrzebę utworu, a sama treść ww. utworu nie ma i nie powinna mieć charakteru ściśle biograficznego.*

*Pozostali bohaterowie utworu – o ile nie zaznaczono inaczej – są w pełni postaciami fikcyjnymi.*

*Ewentualna zbieżność z postaciami lub zdarzeniami autentycznymi jest przypadkowa i niezamierzona.*

*Wszelkie podobieństwo do innych postaci, miejsc lub zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe i niezamierzone.*

## JEAN ANGLEMONT

– urodzony w 2002 r., początkujący twórca, autor utworów w języku polskim i francuskim, fascynat poezji m.in. Cocteau i Baudelaire'a, które są dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji.

<sup>28</sup> Pneumonie-aigue (fr.) – zapalenie płuc.

<sup>29</sup> Sainte-Marie – miejsce fikcyjne, stworzone na potrzebę tekstu.

<sup>30</sup> Ton ange (fr.) – twój anioł.

## Żeby „ono” już do nas nie mówiło

**Czy człowiek musi upaść nisko, by mógł wzbic się wysoko? Na jakim poziomie są edukacja i literatura psychologiczna w Polsce? Z Agnieszką Jucewicz – dziennikarką i autorką książek o zdrowiu psychicznym rozmawia Malika Tomkiel.**

**Malika Tomkiel:** Przyjmijmy, że gabinet pana psychologa znajduje się na trzecim piętrze. Jak według Ciebie mogłaby wyglądać edukacja i pomoc psychologiczna w szkołach? Czy można coś zrobić, by kryzys psychiczny nie dotyczył tak wielu młodych osób?

**Agnieszka Jucewicz:** Myślę, że wiele osób stara się zaradzić temu, jak tylko potrafi. Robią to i rodzice, i nauczyciele, i właśnie szkolni psycholodzy i pedagodzy, pedagożki. Problem w tym, że brakuje systemowego wsparcia i koordynacji tych wysiłków. Ludzie często robią to w pojedynkę, trochę po omacku. System wygląda tak, że tego psychologa na trzecim piętrze może w ogóle nie być w szkole, albo w poniedziałki jest on w jednej szkole, we wtorek w drugiej, w czwartek w trzeciej – ciągle w biegu, nie mając na nic czasu.

**Jak ułatwić więc to „wchodzenie” po schodkach do specjalisty?**

To czego bardzo nam brakuje to profilaktyka. Nauka o tym, jak dbać o własne zdrowie psychiczne, ale też jak wspierać się nawzajem. Jak rozmawiać z tymi, którym jest źle. Jesteśmy systemem naczyń połączonych, ale żyjemy w świecie, który stara się nas przekonać, że tak nie jest – że każdy zależy wyłącznie od siebie i własnych starań. To po prostu nieprawda.

**Dokładnie! Jest we mnie silne poczucie, że wciąż zbyt mało mówi się ludziom wstępującym w dorosłość na temat połączenia ich emocji z ciałem. Jako doświadczona pisarka zauważyłaś wśród swoich rozmówców moment, w którym powiedzieli „stop” i postanowili zawalczyć o swoje zdrowie?**

W ogóle mało się mówi o emocjach. O tym, jak je rozpoznawać, nazwać, ale też jak wyrażać w konstruktywny sposób, nie raniąc innych, ale też siebie. A o tym, że jesteśmy i umysłem, i ciałem mówi się jeszcze mniej. Stąd taki wysyp



foto. Lukasz Sokół

zaburzeń psychosomatycznych. Kogoś bez przerwy boli głowa albo ma problemy z żołądkiem, czy z kręgosłupem, i nie wie, że podłoże tego bólu może być zupełnie inne niż czysto fizyczne. Zarówno rozmówcy mojej najnowszej książki pt. *Czasem czuję mocniej. Rozmowy o wychodzeniu z kryzysu psychicznego*, jak i *Domu w butelce. Rozmowy z dorosłymi dziećmi alkoholików*, którą napisałyśmy wspólnie z Magdaleną Kicińską, powiedziały „stop” w podobnym momencie, kiedy albo już ich umysł nie dawał rady funkcjonować tak jak dotychczas, albo

ich ciało zaprotestowało. Mieli do wyboru – żyć dalej w ogromnym cierpieniu albo podjąć walkę o zdrowie. O życie, tak naprawdę.

**Tematem tego numeru pisma „Epea” jest bycie na różnych wysokościach. Brylowanie, wspinaczka i spadanie. Czy radykalne kroki „ku wyzdrowieniu” podejmuje się będąc w rozsypce?**

Będąc w totalnej rozsypce raczej chyba rzadko. Można podjąć decyzję – chcę jeszcze zawalczyć o siebie, wydobyć się z tego kryzysu. Jednak na radykalne kroki, czy nawet małe kroki, trzeba mieć choć odrobinę siły. Trochę się „odkarmić”, podleczyć, potem można ruszyć w drogę. Ale chcę zaznaczyć, że kryzysy, to spadanie, o którym mówisz jest wpisane w zdrowienie. Zdrowienie to nie jest tylko pięcie się „wyżej”, to są potknięcia, a czasem zupełny upadek. To normalne. Jak się o tym wie, może ciut łatwiej jest zdrowieć i nie być takim surowym dla siebie. Jesteśmy ludźmi, „porażka”, upadek są ludzkie.

**Jaką rolę odgrywa tu literatura?**

Dla wielu moich bohaterów – ogromną. Wielu z nich mówi, że książki, głównie powieści ich nieraz ratowały. Pozwalały im przeglądać się w historiach, w bohaterach, zrozumieć coś lepiej. Obcować z doświadczeniem, którego nie znają, które jest im obce, ale które w ten sposób mogli poznać. Literatura ma leczniczą moc.

**Jako pisarka podejmujesz się głównie tematyki związanej ze zdrowiem psychicznym, psychiatrią. Dlaczego?**

Mogłabym powiedzieć, że to przypadek, że coś mnie

zaczęło w pewnym momencie ciągnąć w tę stronę i nie wiem co. Ale poważnie, mam za sobą doświadczenie wychowania w rodzinie alkoholowej oraz niejeden kryzys psychiczny, ale jestem tu nadal, żyję. A do tego lubię życie i kocham ludzi. Wzruszają mnie. I bardzo mnie przejmują, kiedy cierpią, dlatego swoją pracą staram się przywracać im wiarę i nadzieję, że pomoc jest możliwa, że dzięki sobie nawzajem, lepszemu zrozumieniu siebie, ale też innych, jesteśmy w stanie żyć lepiej. I na przykład nie przekazywać swoich traum dalej, kolejnym pokoleniom.



Agnieszka Jucewicz, *Czasem czuję mocniej. Rozmowy o wychodzeniu z kryzysu psychicznego*, Znak Literanova, 2022

**Powiedziałaś, że przywracasz im wiarę swoją pracą – literaturą. Jako twórcy poruszający tematy społeczne bardzo często robimy to, by pomagać.**

Ciągle dostaję od kogoś wiadomość, że jakaś rozmowa, którą przeprowadziłam albo książka pozwoliła tej osobie coś lepiej zrozumieć, sięgnąć po pomoc, naprawić jakąś relację czy wyjść z takiej, która niszczyła. I to jest najlepsza zapłata, jaką można dostać za swoją pracę.

**Jak dużo miejsca na współczesnym rynku książki jest więc dla literatury tzw. psychologicznej? Wydaje mi się, że coraz więcej.**

Miejsca jest nieskończenie dużo, bo poza książką papierową mamy też e-booki, do tego wiele

osób wydaje książki własnym sumptem. To, co mnie trochę martwi to to, że siłą rzeczy, im więcej czegoś, tym mniejsza jest jakość. I tak jak zła powieść nikomu krzywdy nie robi, tak książka z gatunku „pop-psychologii”, która rozsiewa nieprawdziwe informacje już tę krzywdę zrobić może. Zdrowie psychiczne to bardzo delikatna materia, tak samo zresztą jak zdrowie fizyczne, dlatego uważajmy na to co czytamy, po jakich autorów sięgamy.

**Wspinamy się ku górze, rozwijamy się, a zaraz później**



**przechodzimy przez kryzys. Mamy świadomość tego, że upadek może czekać każdego z nas?**

Tak jak mówiłam wcześniej, niektórzy z nas są świadomi, wiele osób nie. Myślę, że wiele wciąż postrzega ciało jako coś odrębnego od umysłu. Wiele z nas też wciąż wierzy w szybkie leczenie pt. weź tabletkę, przejdzie ci. Na marginesie, to nie przypadek, że taką popularnością cieszą się u nas lekarstwa dostępne bez recepty. Jesteśmy w stanie wziąć niemal wszystko, żeby to ciało wyciszyć i żeby ono już do nas nie „mówiło”, a nie zastanawiamy się, co ważnego chce nam powiedzieć. No i nie sądzę, żebyśmy mieli świadomość, że upadek czeka każdego z nas ... Według najnowszych badań EZOP II, co czwarta osoba w Polsce doświadczyła, doświadcza, doświadczy jakiegoś kryzysu psychicznego, ale tylko 16% sięgnie po pomoc. Nie tylko dlatego, że tak trudno się dostać do specjalisty, również dlatego, że ludzie wciąż się wstydzą i boją się stygmatyzacji z tym związanej.

**Temat stygmatyzacji jest tak obszerny, że mogłybyśmy długo o tym dyskutować. Ciekawi mnie jednak, jak mocno Twoje książki są... Twoje? Widzisz siebie w swoich bohaterach i bohaterkach?**

Zawsze. Widzę się nie tylko w osobach w kryzysie, czy po kryzysie psychicznym. Widzę się też w swoich rozmówczyńiach i rozmówcach z książki o dorastaniu w rodzinie alkoholowej. Ale widzę się też w pisarzach, pisarkach, z którymi rozmawiam. W psychiatrach, psychoterapeutach, psychologach. Generalnie widzę się w ludziach, z którymi się spotykam. Czuję się częścią wspólnoty rodzaju ludzkiego.

**A w innych książkach? Czy masz w swojej głowie pozycje, które byłyby dla czytelnika dobrym wstępem do komunikacji ze sobą i swoimi emocjami? Mi przychodzi do głowy Alexander Lowen i jego *Głos ciała*.**

Jest bardzo wiele takich książek. Uwielbiam książki amerykańskiego terapeuty Irvina Yaloma, ale też Viktora Frankla. Myślę, że dobrym wstępem do lepszego rozumienia emocji może być moja książka – rozmowy ze specjalistami od zdrowia psychicznego pt. *Czując. Rozmowy o emocjach* z pięknymi ilustracjami Arobała.

**To ciekawe, że wspomniałaś właśnie o Franklu, bo jestem świeżo po lekturze jego książki i szczerze polecam. Kiedy czujesz, że jesteś najniżej?**

Kiedy mam nawrót objawów zaburzeń lękowych. I jestem cała w lęku. Wtedy czuję się najniżej, bo wtedy wydaje mi się, że to się już nigdy nie skończy. Wysoko – kiedy dni po prostu płyną, mam poczucie sensu tego, co robię.

**A najwyżej?**

Chyba wtedy, kiedy czuję, że na wszystko w odpowiednich proporcjach mam czas i uwagę – na pracę, na ważne relacje, na przyjemność, na pobycie ze sobą, odpoczynek. To są bardzo cenne momenty, niestety bardzo rzadkie.

## AGNIESZKA JUCEWICZ

– dziennikarka związana z „Gazetą Wyborczą”, znana z pogłębionych wywiadów z polskimi i zagranicznymi psychologami, psychoterapeutami i psychiatrami. Autorka i współautorka książek o tematyce psychologicznej, m.in. *Kochaj wystarczająco dobrze* (z Grzegorzem Sroczyńskim), *Czując. Rozmowy o emocjach*, *Dom w butelce. Rozmowy z dorosłymi dziećmi alkoholików* (z Magdaleną Kicińską) oraz nowej *Czasem czuję mocniej. Rozmowy o wychodzeniu z kryzysu psychicznego*.

Bogdan Malach

## Wrona

Przyszła wrona do słowika,  
który ćwiczył trele –  
„Naucz śpiewać mnie, mój drogi,  
choćby mało-wiele...”

Krakać już mi się znudziło,  
pragnę zmiany głosu –  
może znajdziesz, mój słowiku,  
na to jakiś sposób...”

Słowik spojrział na nią czule,  
bo przyniosła kwiaty –  
„To jest chyba niemożliwe,  
uwierz mi – poza tym...”

Pośród ptactwa tak już bywa,  
nie chce być inaczej –  
jeden ptaszek pięknie śpiewa,  
inny pięknie kracze...”

## Pliszka

Każda pliszka – jak wiadomo,  
swoją ogonek chwali,  
że jest wielką chwalipiętą,  
wszyscy się poznali.

Choć nieładnie tak wychwalać  
swoje pod niebiosa,  
pliszka tym się nie przejmuje  
i zadziera nosa.

Wtem pojawił się w ogrodzie,  
idąc własną drogą,  
paw przepiękny, wielobarwny  
i rozłożył ogon.

Wpadły w zachwyt wszystkie ptaki,  
bo to cud bez mała,  
tylko pliszka zła wyraźnie,  
nawet nie spojrzała.



Małgorzata Masłowiecka,  
ilustracja do: Małgorzata Dobkowska, *Lotne*,  
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok, 2022

## Kogut i kura

Obiecywał złote góry  
kogut pewnej kurze,  
by za niego raz zapiała,  
choć to wbrew naturze.

Takie proste „kukuryku”,  
powtórzyć trzy razy,  
żeby rano, skoro świta,  
zbudzić gospodarzy.

Kura chętnie się zgodziła,  
no i wczesnym rankiem,  
piers wypięła i stanęła  
na płocie przed gankiem.

Otworzyła mały dziobek  
i przymknęła oko,  
ale zamiast „kukuryku”,  
wyszło jej „kokoko”.

### BOGDAN MALACH

– od pół wieku zajmuje się szeroko pojętą twórczością literacką, choć największą ilość publikacji (kilka tysięcy) miał w pismach szaradziarskich jako autor krzyżówek, szarad itp. Napisał kilkaset tekstów piosenek, m.in. dla zespołu Czerwone Gitary, kilka bajek muzycznych dla dzieci z różnymi kompozytorami (m.in. z Antonim Kopffem), kilkaset limeryków i fraszek, ze dwie setki wierszyków dla dzieci.

Janina Lesiak

## Jak Gucio i Franciszek nauczyli się przyjaźni

### Bajka staroświecka

Było sobie miasteczko ukryte wśród lasów i jezior. Nad miasteczkiem wznosiła się wysoka wieża starego zamku, a przy wąskich, brukowanych uliczkach stały białe domki kryte czerwoną dachówką.

Przed każdym domkiem kwitły różowe malwy i niebieskie szafirki albo fioletowe i białe astry, hiacenty i konwalie, pnące amarantowe róże i głogi obsypane czerwonymi koralami.

Każda pora roku rozpościerała przed oknami domków kolorowe dywaniki, nawet jesienią było tam złoto i pomarańczowo, bo jesień właśnie taka jest: pomarańczowa i złota. Zima natomiast zamieniała zieloną trawę w białe futerko, błyszczące i migocące jak najpiękniejsze kolczyki mamy, bo każde dziecko wie, że śnieg w słońcu mieni się wszystkimi kolorami tęczy!

Za miasteczkiem rósł ciemnozielony las pełen grzybów, jagód i słodkich, pachnących poziomek. Blisko lasu, w chatce ze szpiczastym dachem i zielonymi okiennicami, mieszkali: babcia, dziadek, kot Franciszek i szczeniaczek Gucio.

Kot był duży i bardzo mądry. Miał tak błyszczące futro, jakby je ktoś wysmarował czarnym lakierem, a potem jeszcze długo polerował miękką szmatką, żeby świeciło i strzelało iskrami przy każdym dotknięciu. Chodził cicho i miękko, mrużył okrągłe złote oczy z dziwnymi źrenicami, podobnymi do pionowych, czarnych kresiek, wyginał grzbiet, jakby wcale nie miał kości. Zręcznie i lekko skakał z parapetu na stół, ze stołu na szafkę, a kiedy już się tak naskakał i nachodził, wylizywał do czysta miseczkę z pysznym jedzeniem i drzemał na poduszce umieszczonej w szufladzie wysokiej komody.

W całym domku słychać było wtedy mruczenie, bo Franciszek uwielbiał być najedzony i wypoczęty, więc swoim „mmrrrr, mrrruuuu, mmmrrry” oznajmiał, że podoba mu się tak leżeć i słodko leniuchować, więc grzecznie prosi, żeby nikt nie odważył się mu przeszkadzać.

– To moje miejsce. Nie mam zamiaru nikogo tu wpuszczać. Lubię się zwijać w kłębek i rozkładać jak długi,

kiedy mi przyjdzie na to ochota. Niech się nikomu nie wydaje, że można mnie stąd wygonić. Jestem delikatny i nie lubię się awanturować ani przemęczać, ale umiem pacnąć łapą, kiedy trzeba! Popatrzcie na mój ogon; jeśli jego koniuszkiem kręcę kółka, to znaczy, że jestem bardzo zły. Wąsy też potrafię nastroszyć jak dziadek, kiedy ma kiepski humor. A kiedy głośno prychnę, omijajcie mnie z daleka!

Niestety, małe szczeniaczki nie rozumieją kociego języka, więc tłusciutki, jamniczny Gucio o sierści rudej jak wiewiórka i bystrych ślepkach z niebieską mgielką podrygiwał na krótkich łapkach, próbując się dostać do Franciszka i skubnąć jego ucho albo koniec ogona.

Gucio był jeszcze malutki, niezdarly, bez przerwy się potykał i przewracał, ale był też uparty i ciekawski oraz z niczego łatwo nie rezygnował. Podskakiwał, zaczepiał ostrymi pazurkami o drewniany blat, chwilę tak wisiał pokazując różowy brzuszek, ale zaraz spadał jak kluska, po czym piszcząc rozpaczliwie zaczynał wspinaczkę od początku. Raz nawet udało mu się wleźć na kanapę! Stamtąd już prawie dosięgał franciszkowej poduchy, ale nagle poczuł mocne szturchnięcie i sprężysta łapa Franciszka zmiotła go jak piórko! Grubiutki Gucio leżał na podłodze i wniebogłosey płakał. Długo i żałośnie użalał się nad swoim losem, nie rozumiał, dlaczego starszy kolega go odpycha. Potrzebował przyjaciela, podziwiał poważnego, rozsądnego Franciszka i było mu bardzo przykro, że jest przy nim taki niezgrabny i do niczego. W jego niebieskawych oczkach połyskiwało coś jakby łzy, ale przecież psy nie płaczą, więc chyba tylko tak nam się wydawało.

Mijały dni i tygodnie, Gucio rósł, ale w długość. Jego sierść traciła dziecięcą puchatość, z oczu zniknęła błękitna mgielka, stawały się bystre i błyszczące, jak przystało na sprytnego, rezolutnego psiaka. Najbardziej zmieniła mu się śliczna mordka z policzkami w kolorze mlecznej czekolady albo pysznego kakao. Do tej pory była okrągła jak u żaby, aż nagle wyciągnęła się w dłuugi, wąski pyszczyk, zakończony czarnym nosem. Wyglądało to tak,



jakby ktoś na koniec ołówka nasadził mokrą śliwkę. Gucio często oglądał się w dużym, stojącym lustrze babci i uważał, że jest bardzo przystojny. Już nie był mazgajem i marudą. Znał wszystkie dziury w płocie, rozróżniał coraz więcej zapachów, a jego wilgotny, czuły nos z rozkoszą węszył woń dalekich przygód, nieznanych dróg i zarośli, krecich kopców i mysich nerek. Coraz bardziej pragnął poznać je osobiście, zanurzyć w ziemię krzywe łapki z mocnymi pazurami i kopać, grzebać, rozgarniać, przesypywać, rozrzucać. To była jego ulubiona zabawa.

Miał wielu znajomych dużych i mniejszych. Od wszystkich czegoś się uczył, bo małe zwierzęta i małe dzieci poznają świat przez dotyk, smak i węch. Dopiero później kojarzą i wyciągają wnioski. Gucio był bystrym psiakiem, więc obserwował i zapamiętywał kolejne przygody. Lubił na przykład wiewiórki, których nawet nie próbował prześcignąć, chociaż śmigaly tuż przed nim i zapraszały do zabawy. Były śliczne i bardzo wesołe. Stawały blisko, patrzyły czarnymi oczkami podobnymi do guzików, podnosiły przednie łapki i wołały: „goń nas!”. Gucio parę razy dał się nabrać i ruszył w pościg, ale odkąd walnął lepkiem w drzewo i usłyszał chichotanie z wysokiej gałęzi, zrozumiał, że nie ma z nimi szans. Zwinne wiewiórki przekonały Gucia, że jeśli się naprawdę nie da czegoś zrobić, to trudno! Trzeba się z tym pogodzić i nie nabijać sobie guzów w daremnych wysiłkach. Jamnik to nie wiewiórka, nie skoczy z gałęzi na gałąź, choćby się nie wiem jak starał.

Śmieszne jeże tuptające po ścieżkach wyglądały sympatycznie, ale nie można było do nich podejść za blisko, bo zwijały się w kolczasty kłębek, podobny do tego, jaki leżał w koszyku z robótkami babci. Wystawały z niego igły, druty i szydelko, i choć wydawał się mięciutki i bezpieczny, to porządnie kujnął Gucia w pupę, kiedy szczeniak chciał sobie zrobić z niego piłkę. W dodatku dostał burę od babci, a bardzo tego nie lubił, bo kochał babcię całym swoim psim sercem i pragnął, żeby była z niego zadowolona. Dzięki jeżom Gucio pojął, że każde stworzenie broni się przed niebezpieczeństwem tak, jak potrafi i że nikogo nie wolno lekceważyć, choćby był mały i niepozorny.

Była wrzaskliwa sójka przelatująca nad ogrodem, której obietnicom nie warto było wierzyć, bo tylko papalala i ogłaszała, że już leci za morze, a wcale nie była gotowa do podróży. Był kret kopiący tunele pod rabatkami z maciejką – jedni go lubili, bo spulchniał ziemię, inni uważali za szkodnika, więc Gucio się przekonał, że w tej samej sprawie może być wiele różnych opinii. Była

zwinna kuna migająca wśród gałęzi czeremchy i był kolega z sąsiedniej wioski – czupurny i trochę zarozumiały Azorek, w bialo-czarne łaty. To on namawiał Gucia na coraz dalsze wycieczki:

– Nie bądź tchórzem, ciągle siedzisz w domu, nosa nie wysuwasz poza ogrodzenie, nie wiesz co się dzieje na świecie. Czy ty kiedyś porządnie zmokłeś, czy się wytarzałeś w kałuży, albo poczułeś jak pachnie las?

– Mnie nie wolno samemu chodzić do lasu – tłumaczył Gucio. – Mam szlaban na las.

– Co z tego? – kusił Azorek. – Nikt nie będzie wiedział. Wymkniemy się po śniadaniu, pobiegamy i wrócimy na obiad. Nikt się nawet nie zorientuje!

Tak się składało, że świadkiem tych szczeniackich rozmów zawsze był czarny kot Franciszek. Zjawiał się jak duch, siadał w pobliżu, owijał ogonem i udawał, że drzemie, ale ponieważ strzygł lewym uchem, można było przypuszczać, że wszystko dobrze słyszy i rozumie.

Odkąd Gucio trochę dorósł, przestało mu tak bardzo zależeć na przyjaźni Franciszka. Potrafił się nawet odszczeknąć, kiedy pewnego razu kot na niego prychnął i bojowo wygiął grzbiet. Wtedy na karku Gucia krótka sierć ułożyła się jak ostra szczotka, górna warga podjechała do góry pokazując białe kły, a w gardle zabulgotało jak w kranie. Gucio nie miał pojęcia, że potrafi tak groźnie wyglądać, ale bardzo mu się to spodobało i odtąd na widok Franciszka, często robił głupie miny. Nic dziwnego, że o przyjaźni między nimi nie mogło być mowy, tym bardziej, że Franciszek ciągle się wtrącał i pouczał Gucia, jakby pozjadał wszystkie rozumy:

– Znowu kopales na grządce koło jaśminu – zrzędził. – Babcia posadziła tam herbaciane smolinusy i pachnącą rezedę. Zezłości się na ciebie, zobaczysz!

– Skąd będzie wiedziała, że to ja? Chyba nie naskarżysz, chociaż to do ciebie podobne! Ciągle latasz i miauczysz, nawet kiedy cię nie proszą. Podlizujesz się, żeby cię bardziej lubili! Zawsze byleś wredny!

– A ty głupi! Robisz doły i niszczysz ogród babci. Nie rozumiesz, że może się potknąć i złamać nogę? Że ją boli krzyż od schylania się i że nie powinno się niszczyć cudzej pracy?

– Nic złego nie robię! Zresztą, zaraz pójde i wszystko wyrównam. Nie będzie śladu.

– Mówiłem, że jesteś głupi! Cebulki kwiatowe już zniszczyłeś, nic tam nie urośnie. Babci będzie przykro...



Gucio nie znosił pouczania. Dorastał i z każdym dniem sam sobie wydawał się najmądrzejszy na świecie, więc takie wtykanie kociego nosa w jego psie sprawy bardzo mu się nie podobało. Dlatego postanowił trzymać Franciszka z daleka od siebie. Nawet, kiedy układali się do snu, Guccio tak manewrował, żeby kot nie mógł na niego patrzeć. Przeciągał zębami swoje posłanie w kącie za drzwi albo pod stół i zasłaniał oczy łapką.

– Jak ja niczego nie widzę – myślał – to on pewnie też nic nie zobaczy. I nie będzie mógł o mnie plotkować.

Życie Gucia było bezpieczne i szczęśliwe. Oczywiście miał gorsze chwile, na przykład wtedy, gdy użądliła go osa albo wtedy, gdy przestraszył się ogromnego wilczura i uciekając wpadł w kolczaste osty. Babcia długo wyciągała mu z boków, uszu i łap ostre igielki. Popłakiwał, ale był szczęśliwy, że ma mu kto pomóc. Był psem domowym, nie musiał się martwić – opiekunowie zawsze byli blisko. Minęło upalne lato, potem jesień pokolorowała świat na złoto, rudo i czerwono, a jeszcze później przyszła zima. Kałuże pokrył lód, a krople wody wiszące na gałęziach zmieniły się w błyszczące korale. Mróz odebrał drzewom ostatnie liście, ale w zamian podarował im brylantowe naszyjniki i białe girlandy, żeby się nie gniewały i spokojnie czekały wiosny.

Gucio był bardzo zadowolony. Uwielbiał harce w puchatych zaspach, przekopywał się przez zaśnieżony ogród, węszył pod krzewami, gdzie, jak mówił jego nos, na pewno zimowały myszy i nornice. Już nie zwracał uwagi na kota Franciszka, choć często widział jego wyprostowaną sylwetkę na parapacie, owiniętą w puchaty ogon.

Franciszek godzinami obserwował białe motyle śniegu i chmary ptaków przylatujące do karmnika na akacji. Były tam wesole sikorki w błękitnych czapeczkach i wróble klójące się o każde ziarenko, i jemioluszki, i gile

z czerwonymi brzuskami. Był nawet dzięcioł w malinowych rajtuzach i jaskrawym berecie, ale on wpadał tylko na chwilę i od razu przeganiał całe skrzydlate towarzystwo. Franciszek odruchowo oblizywał wąsy, ale robił to wyłącznie z przyzwyczajenia, bo był tak najedzony, że ptaki mogłyby mu bezkarnie spacerować nawet po nosie.

Po wielkich mrozach, które skuly ziemię przyszyły śnieżyce i zamiecie, zmieniające pola i łąki w białe, równe prześcieradła i przyginające do ziemi ogromne sosny i świerki. Świat zrobił się cichy i trochę zaspiany, bo długie godziny drzemał pod puchową pierzyną. Mijały dni, a śnieg padał i padał, tworzył zasy i wypełniał wszystkie doły i nierówności terenu. Panowała cisza, tylko czasami przerywana krakaniem wron i czarnych kruków. To była pierwsza zima małego Gucia i to od razu taka, że kiedy nurkował w sypkim śniegu, widać było tylko koniec jego cienkiego ogonka.

Gucio się nudził. Czasami wybiegał z domu i obszczekiwał okoliczne ploty wołając kolegów i koleżanki do wspólnej zabawy, ale nikomu oprócz Gucia nie chciało się wychodzić z ciepłych kuchni i marznąć pod szarym niebem. Czasami któryś wyskakiwał z sieni, podnosił to lewą, to prawą łapkę, otrząsał się i wracał, żeby się położyć przy piecu lub kaloryferze.

– Zostań jeszcze trochę – namawiał Guccio. – Pobiegamy, zobacz jakie tunele można robić w śniegu. Pobawmy się w jaskiniowców, będzie fajnie!

Ale nawet laciaty Azorek wołał się zakopać w kocyku, niż w śniegu. I znowu Guccio nauczył się, że samotne zabawy są do niczego, bo każdy psiak wie, jakie smutne i nudne jest kręcenie się bez celu i bez dobrego towarzystwa.

Pewnego dnia już miał zaskrobać w drzwi, żeby sprawdzić, co babcia gotuje na obiad, kiedy przypomniał sobie,



że po drugiej stronie jeziora mieszka bardzo miła i ładna koleżanka, więc postanowił ją namówić na wspólny spacer. Wymknął się z podwórka przez niedomkniętą furtkę, a potem wystarczyło tylko przemknąć przez brzozowy zagajnik, minąć kępy tarniny, znaleźć ścieżkę w trzcinie i już się było na miejscu.

Gdyby nie świeży ślad sarny albo daniela Gucio dotarłby tam bez najmniejszego problemu, jednak, co z niego byłby za jamnik, gdyby zrezygnował z takiej okazji?! Wrażliwy nos, który potrafił rozróżnić pół miliona zapachów, prowadził go jak najlepszy GPS. W każdej komórce nerwowej czuł radosne drżenie, jego krótkie, mocne łapki ledwo dotykały śniegu i choć był nadal grubutki, mknął jak strzała, prawie nad ziemią.

Gucio nikomu nie chciał zrobić krzywdy! Był radosnym, sympatycznym psem i lubił cały świat. Tylko z kotem Franciszkiem miał swoje porachunki, ale unikał awantur, schodził mu z drogi i nie zwracał uwagi na dąsy i prychnania, bo, jak mówiła babcia: „Zgoda jest najważniejsza”. Więc teraz wciągając powietrze przesycone ostrym, cudownie dzikim zapachem sarny, Gucio gnał przed siebie, bez opamiętania. Miał nadzieję na dobrą zabawę. Chciałby pofikać koziołki, na chwilę przyłgnąć do ziemi przednimi łapkami wypinając przy tym pupę i wachlując ogonem, piskliwie poszczekać, wskoczyć na jakąś górkę i zjechać z niej na brzuchu... no, w ogóle miał Gucio sto pomysłów na porozrabianie z leśną nieznajomą. Niestety, kiedy się tak pędzi i pędzi nie zwracając uwagi na otoczenie, łatwo o przykrą niespodziankę. Babcia zawsze powtarzała: „Uważaj, nie wtykaj łapki w nieznanne szczeliny, nie zbliżaj się do ognia, nie próbuj polizać gorącego, miej oczy dookoła głowy!”. Miała rację.

Gdyby Gucio o tym pamiętał, pewnie by zauważył, że zbliża się do miejsca okrągłego jak studnia

i ciemniejszego niż biały śnieg dookoła, ale Gucio niczego nie widział. Trzeba szczerze powiedzieć, że nawet nie mógł niczego zobaczyć, bo taki był zadowolony, że przymknął ślepką i biegł trochę na oślep. Zbliżał się do brzozowego zagajnika. Za nim rosły wielkie, rozłożyste, grube świerki obwieszane długimi, jasnobrązowymi szyszkami pełnymi nasion, które uwielbiają leśne wiewiórki. Gucio lubił zapach żywicy i wiatru, a w kosmatych, zawsze zielonych i trochę klujących świerkowych gałązkach ten zapach był najmocniejszy, więc Gucio jeszcze przyspieszył, zrobił dwa wielkie susy i właśnie chciał zrobić trzeci, gdy ziemia się pod nim zapadła i koziołkując stoczył się na dno głębokiej jamy.

Nie rozumiał, co się dzieje. Bolała go przednia łapka, cały był poobijany i trochę mu się kręciło w lepkę. Ale przede wszystkim nie wiedział, gdzie jest i jak ma się wydostać z dołu, w jakim zmieściłoby się dziesięciu Gucioów i to wtedy, gdyby ktoś ich ustawił, jednego na drugim.

Gucio nie miał pojęcia, że ostatnia jesienna wichura wyrwała ogromny, stuletni świerk i zostawiła w ziemi ślad po jego korzeniach – czeluść wypełnioną śniegiem i dlatego prawie niewidoczną. Na dnie tej czeluści, w czasie deszczu albo odwilży zbierała się woda, potem ścisnął mróz i woda zamieniła się w twardego lodu, dlatego Gucio tak się poobijał podczas upadku i teraz nie mógł utrzymać równowagi. Krótkie łapki rozjeżdżały mu się na boki, ta potłuczona jeszcze bardziej bolała, mokry, okrągły brzuszek przywierał do śliskiego podłoża – jednym słowem Gucio był w bardzo trudnym położeniu. Na dodatek był głodny. Minęła pora obiadu, pusty żołądek Gucia skręcał się jak obwarzanek. W jego domu na pewno czekała miseczka pełna wspaniałego, smacznego jedzenia. Biedny psiak wyobrażał sobie, jak babcia wychodzi na ganek,

rozgląda się, robi z dłoni daszek i wypatruje, czy nie nadbiega jej ulubieniec.

– Pewnie się martwi, że mnie nie ma – myślał. – Znowu będzie brała krople na serce. Żeby się tylko nie przeziębila, bo na pewno wyglądała już ze sto razy, a nigdy się nie okryła ciepłą chustką. Babcia ma delikatne zdrowie, tyle razy sobie przysięgałem, że będę o nią dbał, a tu proszę... Znowu narozrabiałem.

Przez moment Guciovi się wydawało, że czuje na lepką ciepłą i dobrą dłoń babci. Westchnął zadowolony, ale to jego marzenie nie trwało długo, robiło się coraz zimniej. Gucio marzył, bo jego króciutka sierść nie chroniła dostatecznie przed mrozem. Zaczął dygotać, był coraz bardziej przerażony. Czuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy spotkał nos w nos ogromnego owczarka kaukaskiego i ze strachu nie wiedział, co ma robić. Na wszelki wypadek przewrócił się wtedy na grzbiet podnosząc wszystkie cztery łapki i prosząc: „Zostaw mnie w spokoju, jestem grzeczny i malutki, nie rób mi krzywdy”. Wielki kaukaz nie miał zamiaru zamować się taką psią pchelką. Sapnął, powąchał wystraszonego Gucia i pobiegł swoją drogą, ale Gucio do końca życia będzie pamiętał, jaki był wówczas bezradny. Teraz bał się dokładnie tak samo.

Zimowy dzień trwa krótko, zmierzch zapada szybko i od razu dookoła robi się czarno i ponuro. Gucio jeszcze nigdy nie był nocą poza domem. Po kolacji zasypiał spokojnie na swoim mięciutkim posłaniu, a stary zegar śpiewał mu kołysankę: bim, bom, bim, bom, bim... Teraz nawet mruczenie kota Franciszka wydawało mu się najpiękniejszą melodią. Dalby wszystko, żeby być w swoim domku, czuć zapach ciasta z jabłkami, jakie na pewno upiekła babcia oraz woń mięska z kaszą i warzywami – ulubionej potrawy wszystkich Guciołów na całym świecie.

Niestety, tutaj tylko obco pachniał stary las, a z ciemności dochodziły trzaski, huki, skrzypienia, jakich Gucio nie znał i jakie sprawiały, że trzęsły się i dygotały wszystkie guciove mięśnie i kostki, długie uszy pojechały na tył głowy i leżały płasko na szyi, a ogona wcale nie było, bo przyłgnął do brzucha i nie chciał się stamtąd odkleić. Tyle się w nim nagromadziło uczuć i emocji, że po raz pierwszy w życiu nagle wysoko podniósł długą mordkę i głośno zaśpiewał: „Auuuu, ooouuu, raaatuuunku, pooomooocy, SOS!”

Gucio bardzo chciał, żeby ktoś go usłyszał, najlepiej dziadek, który był mądry i na wszystko miał sposób i radę. Dziadek umiał naprawić żelazko i radio, znał

wszystkie hasła do krzyżówek, wiedział, jak włączyć kosiarkę i pięknie rzeźbił w lipowym drewnie. Gdyby wiedział, co się przytrafiło Guciovi na pewno by go nie zostawił i uratował. Więc Gucio śpiewał i śpiewał, wołał, popłakiwał rozpaczliwie, aż zachrypl i zaczęło go boleć gardło. Wtedy pojął, że chyba wszystko stracone. Mówiliśmy wcześniej, że psy nie płaczą, ale chyba nie mieliśmy racji...

Gucio płakał wielkimi, prawdziwymi łzami, miał mokry pyszczek i nos, a krople, jakie z nich spadały od razu zamieniały się w lodowe kuleczki i uderzając o twarde grunt dzwoniły: „dzyń, dzyń”, zupełnie, jak małe, srebrne dzwonki. I wtedy Gucio sobie przypomniał, że dziadek zawsze powtarzał:

„Nie ma sytuacji bez wyjścia! Zdarza się, że złapiemy zająca, przewrócimy się, nawet potłuczemy kolana i łokcie... Trudno! Trzeba się wtedy podnieść, otrzepać, zacisnąć zęby i iść do przodu! Trzeba być dzielny i mieć charakter, próbować raz, drugi, trzeci... do skutku!”

Gucio nie był głuptasem. Rozumiał, że jeśli się podda, to przegra, więc zaczął drapać pazurami oblodzone krawędzie dołu, ale to na nic się zdało. Podciągał się na jednej zdrowej łapce i zaraz zjeżdżał w dół. Było zbyt wysoko i stromo, żeby mógł sobie sam poradzić. Wreszcie, bardzo już zmęczony, skulił się jak malutki szczeniaczek, wsunął nos pod tylną łapę i zasnął. Miał nad sobą ciemnogrnatowe niebo pełne gwiazd i okrągły, jasny księżyc, który wyglądał tak, jakby się martwił o biednego, samotnego i nieszczęśliwego Gucia. Ale co mógł zrobić daleki księżyc? Mógł tylko świecić tak mocno, żeby Guciovi było nieco raźniej, bo trzeba powiedzieć, choć to tajemnica, że wesoly i dzielny Gucio troszkę się bał ciemności ...

Mglistym, śnieżnym świtem obudziło Gucia krakanie wrony. Chyba się dziwiła, co robi taki nieduży pies w głębokiej pułapce i opowiadała każdemu, kto chciał słuchać: „Krra, krra, halo, halo... Uwaga, ostrzegam wszystkich mieszkańców – nie jesteśmy tutaj sami... Obcy w lesie!”

Gucio czuł się jeszcze gorzej niż wczoraj. Chora łapka piekła żywym ogniem, rwała, jakby ją ktoś piłował tępym ostrzem. Gucio aż zapiszczał, kiedy nieostroźnie próbował się na niej oprzeć. Nos i uszy płonęły od gorączki, a na szpiczastej kufie roztopiały się płatki śniegu, jak na rozpalonej fajerce.

Gucio jeszcze nigdy nie był chory, zwykle skakał i biegał całe dni, a energii miał w sobie więcej niż mała elektrownia. Teraz leżał bez ruchu, a przez jego długi tułów przbiegały dreszcze podobne do czerwonych mrówek. Gucio wiedział,

jak one potrafią ukąsić, bo kiedyś goniąc za motylem wszedł na ich terytorium. Och, jak się wtedy namęczył, żeby je z siebie pozganiać, a i tak go mocno i boleśnie poszczypały za karę, że zakłócił ich spokój. Oprócz dreszczy miał w gardle ostrą drzazgę, która nie pozwalała mu oddychać i przelykać śliny. Chciało mu się pić, więc wziął na język trochę śniegu, ale nie zaspokoił pragnienia. Próbował się chować przed słońcem, które jak na złość, świeciło dzisiaj bardzo mocno i odbijało się od śniegowej bieli, puszczając oślepiające zajączki. Piekły go oczy, jak wtedy, gdy zrzucił ze stołu pojemnik z przyprawami i zaproszył sobie ślepka pieprzem. Babcia długo przemyślała mu pyszczek letnią wodą. Jak zwykle mu pomogła i pocieszyła, bo na babcie i dziadka zawsze można było liczyć. Teraz Gucio wiedział, że sam się nie wydostanie, a nie było przy nim nikogo, kto mógłby go wyciągnąć z tarapatów, więc chociaż był już nastolatkiem, popiskiwał jak malutki szczeniaczek. Było mu bardzo smutno.

Znowu szybko zapadł wieczór, świat poszarzał, a potem pociemniał, bo tym razem księżyc chował się za chmurami. Guciovi wydawało się, że do jego jamy zagłąda drapieżny rosomak i chytry lis, że niedaleko siedzi sowa z zakrzywionym dziobem i czarna kania z żółtymi nogami, o mocnych, ostrych szponach. Wszyscy tak wyglądali, jakby też byli głodni i wyraźnie na coś czekali. Gucio wołał nie wiedzieć na co...

Biedny, mały psiak był zupełnie sam, a samotność nie jest dobra i Gucio właśnie się o tym przekonał. Małe serce Gucia odmierzało coraz straszniejsze godziny, jego nos łowił nieznane, groźne zapachy, pies kulił się, związał w kłębek, wstrzymywał oddech, aż nagle... coś mu kazało się podnieść. Stanąć prosto jak na warcie, podnieść uszy, znieruchomieć i słuchać. Ktoś nadchodził.

Gucio coraz wyraźniej słyszał ostrożne kroki, tak miękkie i delikatne, że nawet nie zapadał się pod nimi puszysty śnieg. Według Gucia tylko jedna istota umiała się tak skradać, tak prześlizgiwać z miejsca na miejsce jak cień albo dym. Tą istotą był czarny kot Franciszek! Gucio się nie mylił! Aż pisał z wielkiego szczęścia, kiedy się przekonał, że Franciszek naprawdę go odnalazł. Najpierw jego trójkątny pyszczek pojawił się na tle nieba, a potem jednym, lekkim susem kot znalazł się na dnie jamy, tuż przy Guciu.

Gucio znowu przewrócił się na grzbiet, ale tym razem z radości. Pokazał różowy brzuch zwykle okrągły jak piłeczka, a teraz pusty i zziębnięty, odwrócił w bok

lepek, przymknął ślepka i podniósł łapki. W ten sposób psy mówią: „Boję się, daj mi spokój, odejdz”, ale także – „Mam do ciebie zaufanie, chcę się bawić, bardzo cię lubię”.

Gucio przeproszał Franciszka i przyznawał: „Jesteś mądrzejszy i silniejszy ode mnie. Będę cię słuchał”. Pozwolił się obwąchać, poszturchać aksamitną łapką i pokornie wysłuchał kociego narzekania:

– Kto to słyszał – szeptał gniewnie Franciszek – żebył ja, stateczny i wygodny kot w dojrzałym wieku włóczył się po nocach w poszukiwaniu smarkacza, któremu zachciało się uciekać z domu!

– Nie uciekałem, to był wypadek – tłumaczył Gucio. – Chciałem pozwiedzać okolicę, naprawdę tak było!

– Pozwiedzać, pozwiedzać – przedrzeźniał go Franciszek. – Przez to twoje zwiedzanie babcia i dziadek prawie się pochorowali ze zmartwienia! Patrząc na to nie mogłem. Musiałem zaryzykować przeziębienie i cię poszukać. Na szczęście jestem inteligentny, więc się domyśliłem, gdzie mogłeś pójść...

Gucio chciał powiedzieć, że Franciszek jest także skromny, ale tylko westchnął i grzecznie poprosił:

– Zabierz mnie stąd jak najszybciej.

Franciszek zaczął starannie opukiwać łapką oblodzony dół, wysuwał pazury i zaczepiał je o zmarzniętą ziemię, myślał, szukał sposobu wydostania się na zewnątrz. Nie dla siebie, on dałby sobie radę, bo był zręczny jak linoskoczek, ale trzeba było przecież wyciągnąć zmęczonego, niewyspanego i głodnego Gucia, który na dodatek nie potrafił się wspinać, miał bardzo krótkie nóżki, w tym jedną bezwładną i obolałą. Franciszek marszczył czoło, kręcił płaskim lepkim i przymykał oczy, wielkie, okrągłe i żarzące się jak drewnienka w ognisku.

– Noo, nie wiem, nie wiem – mruczał. – Jak tu sobie prądzić z takim niezdarą? Co wymyślić?

Nagle złożył łapki, jakby samemu sobie chciał bić brawo i zawołał:

– Mam pomysł! Słuchaj, mały, skakałeś kiedyś na batucie?

– Nigdy. Nawet nie wiem, co to jest.

– Batut to taka trampolina, skocznia, jak się dobrze odbijesz, możesz polecieć w górę, a nawet zrobić parę fikolków. Dałbyś radę?

– Ale tu przecież nie ma batutu!

– Jest. Popatrz na mnie...

– Patrzą. I co?

– Będą mnie znowu bolały kości, ale co tam! Poświęcę się dla ciebie!

– Nic nie rozumiem...

– To proste. Mój grzbiet będzie dla ciebie batutem. Podrzucę cię tak wysoko, jak się da. Reszta zależy od ciebie, musisz polecieć w górę i wylądować obok tego dołu, w którym teraz obaj siedzimy. To proste. Nie bój się! Pamiętaj, jak nasz dziadek mówił: „Nie święci garnki lepią”? To, co masz zrobić jest łatwiejsze niż ulepienie garnka. Rozumiesz?

Gucio wszystko rozumiał, ale rozumieć, to nie znaczy zrobić. Rozumie się na przykład, że nie należy jeść za dużo słodczy, bo potem boli brzuch i zęby, ale rozumienie w niczym nie pomaga, bo słodczyce są takie smaczne. Rozumie się, że samotne wyprawy do nieznanymi, dalekich miejsc mogą się źle skończyć i... co z tego? Guccio był najlepszym przykładem, że samo rozumienie nie wystarczy.

– Co będzie, jeśli źle wyceluję i z powrotem trafię do tej jamy? – zapytał.

– Właśnie o to chodzi, żebyś nie trafił! Masz celować obok.

Kot Franciszek mówił takim pewnym, spokojnym, przyjaznym głosem, jakiego Guccio jeszcze nigdy u niego nie słyszał. Chwalił Guccia, twierdził, że sobie świetnie poradzi w tej niezwyklej i trudnej sytuacji, chociaż Guccio myślał, że będzie odwrotnie. Mówił, że zawsze wierzył w gucciovą zręczność i siłę. Na koniec pogłaskał psiaka po uchu i rozkazał:

– Policzę do trzech, a wtedy ty gramol mi się na plecy. Potem już myśl tylko o tym, że to twoja jedyna szansa. Musisz ją wykorzystać!

Potem dodał:

– Całe szczęście, mały, że trochę schudłeś. Takiego serdelka, jakim byłeś, mógłbym nie udźwignąć! Noo, zaczynamy? Przybij piątkę!

Kot położył się na dnie lodowej jamy, a Guccio wdrapał się na jego grzbiet. Nigdy by nie przypuszczał, że w takim jedwabistym, delikatnym i mięciutkim futerku mieści się stalowa sprężyna umiejająca się zginać i prostować, kiedy tylko Franciszek zechce. Koci kręgosłup był elastyczny i giętki. Guccio nie miał pojęcia, że mały kot ma aż o czterdzieści kości więcej niż duży człowiek i że kręgi kociego kręgosłupa od szyi do końca ogona tworzą długi i mocny łuk, przy pomocy którego Franciszek miał zamiar „wystrzelić” Guccia w powietrze. Wiedział tylko, że musi bezgranicznie

zaufać Franciszkowi, posłuchać go i zrobić dokładnie to, czego on chce. Innego wyjścia nie było.

Guccio w ciągu paru minut zmądrzał i wydorosłał, jakby nagle z zerówki przeszedł do trzeciej albo nawet czwartej klasy. Zrozumiał, że są takie poważne i trudne chwile, kiedy trzeba słuchać starszych, robić to, o co oni proszą i nie marudzić, na przykład wtedy, gdy komuś grozi niebezpieczeństwo. Przekonał się, że ktoś bliski i godny zaufania na pewno pomoże. Tak, jak teraz kot Franciszek, który w mroźną i śnieżną noc opuścił swoją wygodną poduszkę i poszedł szukać małego Guccia, a jak powszechnie wiadomo koty nie lubią się przemęczać, nie znoszą wilgoci i bardzo dbają o swoje futerka.

Króciutkie łapki Guccia trochę się ześlizgiwały z kociego grzbietu, więc musiał się najpierw nauczyć, jak utrzymywać równowagę, ale po paru próbach siedział na kocim grzbiecie jak jakiś dżokej! Kot wolniutko wstał. Jego mięśnie zrobiły się twarde jak stal, głęboko odetchnął, a potem głośno i stanowczo miauknął:

– Jesteś gotowy? Uważaj... juuuż!

Guccio wyleciał w górę, jak z procy! Instynkt kazał mu szeroko rozłożyć łapki, a płasko położyć lepek i ogon. Guccio wyglądał jak mały spadochron. Szkoda, że nie było wtedy nikogo z aparatem fotograficznym albo chociaż komórką, bo zrobiłby wspaniałe zdjęcie. Ale ponieważ nikogo takiego nie było, to może można by to chociaż narysować?

Wspominaliśmy, że zmartwiony księżyc właśnie tej nocy chował się za chmurami, widocznie jednak trochę zerkał na Ziemię obserwując małego Guccia i jego przygody, bo właśnie wtedy, gdy Guccio tego najbardziej potrzebował, odsłonił jeden pyzaty policzek i oświetlił świat, jakby pstryknął tysiącwatową żarówkę. Dzięki temu Guccio lecąc w dół mógł tak celować, żeby spaść nie do głębokiej jamy, ale obok, prosto w puszystą śnieżną zaspę.

Był bezpieczny. Troszkę poobijany, mocno wystraszony, głodny, ale bardzo, bardzo szczęśliwy. Podniósł się, otrząpiał, postawił ogonek jak antenkę i przysiągł sobie, że już nigdy, przenigdy nie narobi żadnych głupstw. Jak myślicie, można mu wierzyć?

Czekała ich jeszcze droga powrotna, ale to już była pestka, chociaż Franciszek trochę narzekał, że zimno i pogoda nie dla poważnych, roztropnych kotów, a Guccio musiał kuśtykać na trzech zdrowych łapkach, ale gdyby nawet miał się czołgać jak żołnierz na poligonie, też by się nie skarżył. Prawdziwa radość czekała ich dopiero w domu.

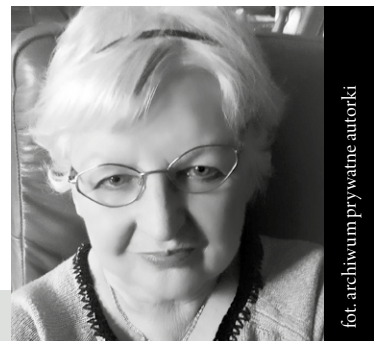
Babcia aż się poplakała ze szczęścia, a dziadek od razu opatrzył łapę Gucia i umieścił ją w sztywnych drewniakach, owiniętych elastycznym bandażem, żeby wydobrzała i znowu była sprawna. Najedzony, wytarty do sucha piesek długo leżał na kolanach babci czując jej dłoń na swoim łepku i grzbiecie. Drzemał, ale od czasu do czasu podrygiwał, jakby śniło mu się coś strasznego. Wtedy Babcia szeptała:

– Ciiiicho, nie bój się już. Jesteś w domu – i Gucio znowu zasypiał chowając nos w babcinym fartuchu.

Babcia i dziadek chodzili na palcach, żeby go nie przstraszyć, szykowali przysmaki, głaskali i przytulali, nawet okrywali kocykiem, ale prawdziwym bohaterem był kot Franciszek. Miał nową, jeszcze wygodniejszą poduszkę i miseczkę pełną przysmaków. Dziadek go bardzo pochwalił, a na pochwałach dziadka Franciszkowi zawsze zależało, bo dziadka najbardziej kochał i szanował. Na koniec dostał od babci mały, płócienny woreczek z kocimiętką i mógł go do woli turlać, wachać i tarmosić, przymykając z rozkoszy złotozielone oczy. Gucio mu wcale nie zazdrościł. Był bardzo wdzięczny Franciszkowi i rozumiał, że zasługuje on na wszystkie nagrody i prezenty, a także na dużo więcej.

Nadeszła noc. Babcia i dziadek poszli spać, w domku było ciepło i bezpiecznie, miło grzał kaflowy piec, a stary zegar jak zwykle wydzwaniał godziny: bim, bom, biiim, booom. Tylko Gucio nie mógł zasnąć. Co przymknął ślepką, to mu się wydawało, że znowu jest w czarnym, lodowatym dole bez wyjścia, że słyszy szum lasu i szmer drapieżników przemykających między drzewami. Popiskiwał ze strachu, a może nawet cichutko płakał?

Wtedy ze swojej poduszki, leżącej na komodzie, zeskoczył czarny kot Franciszek. Podszedł do małego Gucia, który zamknął oczy, bo się wstydził, że jest takim mazgajem, ułożył się obok i objął Gucia miękkimi, aksamitnymi łapkami. Pozwolił, żeby Gucio się do niego mocno przytulił i zaczął mu mruczeć najpiękniejszą, kocia kołysankę. Dopiero wtedy Gucio naprawdę głęboko i spokojnie zasnął. Miał przy sobie prawdziwego przyjaciela, miał kochanych i kochających babcię i dziadka, miał dom i ogródek, posłanie i własną miseczkę. Miał wszystko, czego potrzebuje pies, żeby był szczęśliwy. A wy, jak myślicie? Czy człowiek potrzebuje dużo więcej?



fot. archiwum prywatne autorki

## JANINA LESIAK

– autorka dziesięciu książek (Wydawnictwo MG), w tym cyklu o polskich królowych. Bajkę o Guciu i Franciszku napisała zaniepokojona przemocą i okrucieństwem ukrytym w twórczości dla dzieci.



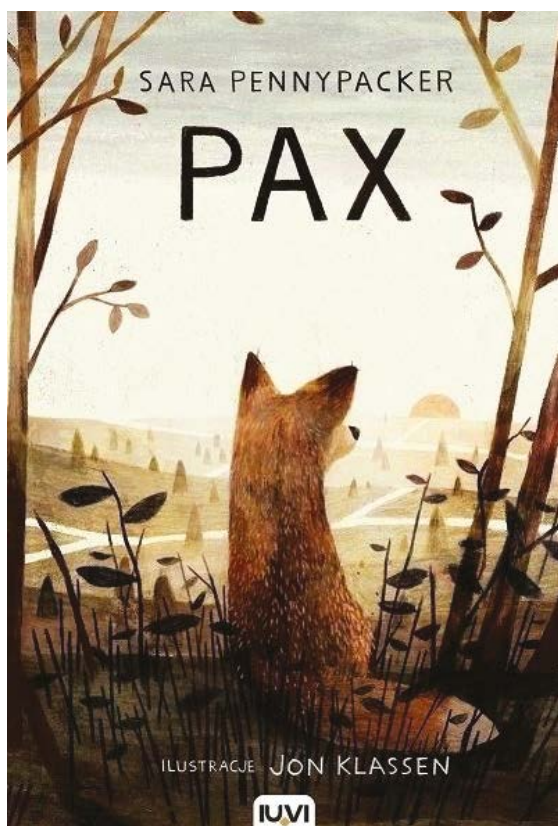




Tomasz Filipowicz

## Nie tylko dla dzieci

Jesteśmy tacy poważni i tacy dorośli. Poukładaliśmy sobie świat i podzieliliśmy, co jest dla nas – dojrzałych i mądrych – a co dla dzieci. No właśnie. Dla dzieci. Od razu nasuwa się myśl, że coś dziecięcego nie jest poważne, nie jest warte uwagi, jest „mniejsze” i nie dla nas. A mały człowiek to w pełni człowiek – ze swoimi pasjami, marzeniami i oglądem świata, często wykraczającym poza nasze wyobrażenie. Dziecko nie myśli jak dorosły – to fakt! Brakuje mu doświadczenia i wiedzy o świecie, ale nie znaczy to, że nie może zastanawiać się nad poważnymi sprawami. Dlatego ważna jest myśl zaczerpnięta od Janusza Korczaka: „Nie ma dzieci. Są ludzie”. Dopiero ta perspektywa pozwala nam inaczej spojrzeć na książki napisane dla dzieci, ale nie tylko. Bo wśród dzieł, które powstały z myślą o najmłodszych, wiele jest takich, które potrafią oczarować, ale też zachęcić do głębszej refleksji dorosłych. Wielu z nas zachwycało się pewnie, już jako świadomi i dojrzały czytelnicy, losami Małego Księcia, zanurzyło się w proste mądrości Kubusia Puchatka, przemierzało magiczną Krainę Czarów wraz z Alicją. To klasyka, którą każdy zna. A takich książek jest znacznie więcej i ciągle powstają nowe! Książki, które zachwycają najmłodszych, ale oczarują też i dorosłych.



Sara Pennypacker, *PAX*, Wydawnictwo IUVI, 2016

Pomysł tego zestawienia pojawił się w moich myślach wraz z tą książką. Nie jest to lektura dla najmłodszych, ale już starsze dzieci wraz z rodzicami mogą się zderzyć z magiczną historią tej podróży. Zwłaszcza w czasach, w których przyszło nam żyć, gdy wojna nie jest już wirtualnym problemem z końca świata, a stała się czymś bliskim, obecnym, wiszącym nad naszymi głowami niczym ciężka śnieżna czapa, która lada moment może boleśnie spaść.

Nie tylko wojna jest motywem, który szczególnie aktualizuje *Paxa* – jest tam też niepewność (której pełno podczas kryzysu dotykającego świat), tęsknota (która trawiła nas w czasie pandemii) i pewien rodzaj smutku (takiego, który towarzyszy nam, kiedy jesteśmy przez życie brutalnie wyrwani z poczucia spokoju i rozwoju). Brzmi mrocznie? Cóż, książka ta ma w sobie pewien ładunek mroku, a niekiedy i brutalności – może nie podane wprost, ale odczuwalne dla czytelnika. Opowieść ta jednak jest przede wszystkim ciepła, miękka i wrażliwa – niczym rude futerko, drżące entuzjazmem i emanujące wspaniałym, naturalnym ciepłem. Jak lis. Bo w dużej mierze jest to historia o lisie Paxie, który pojawił się niespodziewanie tuż po tym, jak Peter stracił mamę, i od razu zajął w życiu chłopca szczególne miejsce – miejsce zastrzeżone dla największych przyjaciół. Nie dane im było cieszyć się wzajemną relacją, bo na ich drodze stała, wspomniana już, wojna. W jej wyniku tata chłopca idzie do wojska, a sam Peter trafia do dziadka (którego nie zna i za którym nie przepada z wzajemnością).

W świecie ogarniętym szaleństwem nie ma miejsca na liska, który tym samym zostaje rzucony na pastwę ... wolności, której nie zna. Las, będący kiedyś domem, staje się zagrożeniem i wyzwaniem. A przecież nie jest to zwykły las – wojna odciska swoje piętno nie tylko na ludziach, ogrom jej zła łamie harmonię całego świata zmieniając życie roślin i zwierząt. Poza tym w sercu Paxa ciągle tli się płomień nadziei na spotkanie z Peterem. Ten sam płomień trawi serce chłopaka i nie daje mu spokoju, wzbudzając wyrzuty sumienia, a wspomnienie pozostawionego przyjaciela jest momentami jedyną jasnością w mroku jego dni. Dlatego też obaj ruszają w pełną niebezpieczeństw wyprawę, by znów być razem.

Jeśli myślicie, że będzie to prosta opowieść o przyjaźni chłopca i zwierzęcia, to nic bardziej mylnego. Symboliczne imię liska – Pax – oznacza też pokój. I tak naprawdę jest to opowieść o drodze do pokoju i do samego siebie. Podróż, w którą warto wyruszyć. I nie bójcie się tego uczucia, które będzie charakterystycznie ścisnęło wasze gardło podczas lektury – to tylko oznaka, że droga w was trwa.



Agnieszka Stażka-Gawrysiak, *Self-Regulation. Opowieści dla dzieci o tym jak działać gdy emocje biorą górę*, Znak Emotikon, 2022 [wznowienie]

Kolejna z proponowanych przeze mnie pozycji ucieka wielkim narracjom i tworzeniu rozległych historii. I teoretycznie nie porusza tak dogłębnie, jednak po chwili refleksji powinna pozostawić czytelnika z ciekawymi przemyśleniami. Zarówno tego najmłodszego (bo kierowana jest dla maluchów od przedszkola po pierwsze klasy szkoły podstawowej), jak i dorosłego.

Często mamy wrażenie, że dzieci zachowują się irracjonalnie, wybuchowo, bez kontekstu – jednym słowem „dzieciinnie”. A przecież dzieci także odczuwają stres, zderzają się z nadmiarem bodźców, z presją czasu i nowymi sytuacjami. I to, co dla nas może być zwykłą kłótnią na placu zabaw, popołudniową furią o zły kolor kubka czy może marudzeniem przy wyborze ubrania – ba! legendarne zmęczenie, przy którym nie jest już w stanie zasnąć – w świecie dziecka jest jedynie emanacją burzy uczuć i odczuć. Codzienne dyscyplinowanie ich, bez próby zrozumienia całego kontekstu, może prowadzić do tłumienia wewnętrznego głosu i problemów z odkryciem swojego „ja”.

Książka proponuje podróż w kierunku przyjęcia tych emocji z próbą znalezienia ich przyczyny. Wszystko to zawarte zostało w krótkich historyjkach z życia Kuby i Leny, którzy starają się rozwiązywać codzienne problemy w lepszy sposób. Dorosli dostają krótkie i zwięzłe ramki, w których autorka podpowiada, jak można pomóc najmłodszemu w uporaniu się z zaistniałym problemem. Lektura nie tylko oferuje pewne (oczywiście nie uniwersalne!) ścieżki, pozwalające przebrnąć mniej boleśnie przez mijające dni, ale pozostawia też wspaniałą refleksję – świat małych ludzi jest często tak samo wielki i złożony jak nasz własny.

Obiecywałem, że w zestawieniu postaram się unikać prawdziwych klasyków, więc skąd dzieło Astrid Lindgren? Przecież prawie każdy zna *Dzieci z Bulerbyn*, przygody Pipi Pończoszanki albo *Braci Lwie Serce*. No właśnie – pośród tych wszystkich „przebojów”, które zachwycają kolejne pokolenia lub męczą zastępy młodych czytelników w formie lektur szkolnych, opowieść o Ronji jest niezbyt znana.

To dzieło różne od tych wymienionych wcześniej. Historia jest zdecydowanie „dziewczyńska” i zbuntowana. Opowiada o miłości i przyjaźni, które realnie zmieniają nas i rzeczywistość, ale też o niesamowitej więzi ojca z córką. I mimo, iż taki skrócony opis brzmi bardzo słodko, to pojawia się tam zło, cierpienie i brutalność naszego świata. Dorosły czytelnik, oprócz przygody znajdzie tam też



Astrid Lindgren, *Ronja, córka zbójnika*, Nasza Księgarnia, 2020

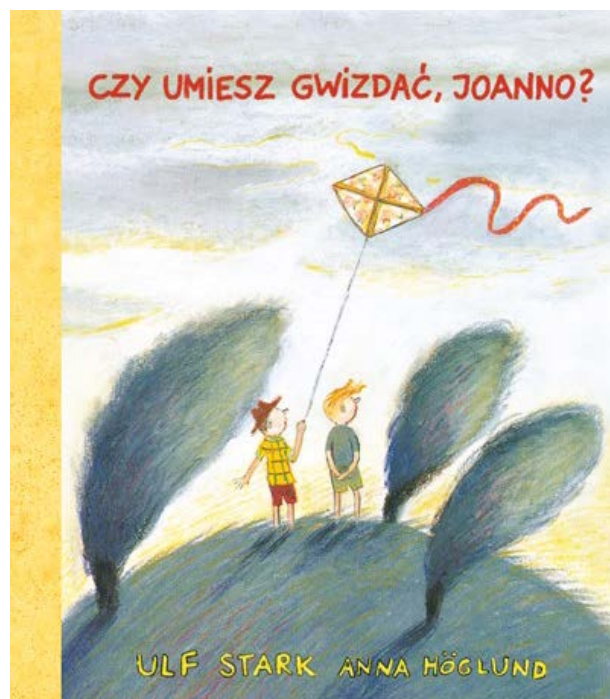
pewien niepowtarzalny i sentymentalny klimat dziecięcego szaleństwa, uganiania się po lasach i polach, wielkich wyzwań, które tworzyła nasza wyobraźnia oraz dzikiej wolności, która jest często tak trudna do odnalezienia w sobie jako dorosłym.

Ale jest jeszcze jeden, bardzo ważny powód, dla którego chciałem, by ta pozycja pojawiła się w niniejszym zestawieniu. Gdy już poznacie Ronję i jej perypetie z kart książki, zwróćcie uwagę na wspaniały serial telewizyjny, ukazujący jej losy. I niech serial ten będzie dla was przepustką w dalszą podróż. Za ekranizację odpowiedzialne jest legendarne Studio Ghibli, które stworzyło jedno z największych arcydzieł anime. Właśnie do poznania tych magicznych, pełnych emocji i moralnych rozważań filmów chciałbym was serdecznie zachęcić. Dajcie się porwać tajemniczym przygodom z „Moim sąsiadem Totoro”, pomyślcie o kierunku, w jakim zmierza rozwój cywilizacji przy genialnej „Księżniczce Mononoke”, zmierzcie się z problemami dojrzewania przy „Podniebnej poczcie Kiki” oraz przesledźcie postępujące gubienie tożsamości w „Ruchomym zamku Hauru”. I – uwaga! – wszystkie te problemy i zagadnienia

nie dość, że podane są w niesamowitej formie, to jeszcze możecie wejść w ten świat razem ze swoimi dziećmi – część tych historii jest gotowa na kontakt nawet z najmłodszymi odbiorcami (ach! Totoro!). A to przecież tylko mały wycinek tego, co was czeka – filmów znajdziecie dziesiątki!

Pędzimy, gonimy, odhaczamy kolejne punkty w napiętych harmonogramach, zdobywamy i... przemijamy. W życiu najmłodszych również często pojawia się kres – mają kontakt ze śmiercią. Ni mniej, ni więcej – końcem. A my, zapędzeni i zajęci dorośli, nie do końca wiemy, jak ugryźć ten temat w rozmowie z dziećmi. Ba! Gotów jestem zaryzykować myśl, że nie tylko chodzi o to, jak poruszyć temat w rozmowie z nimi – my sami często uciekamy od takich rozważań.

Jednak temat śmierci nie wiąże się tylko ze zderzeniem z jej ostatecznością. Przemijanie to kwestia, przy której zdecydowanie warto się na chwilę zatrzymać – nie po to, by przeniknąć zasłonę tego, co nas kiedyś spotka, ale – być może przede wszystkim – by umieć docenić to, co już mamy. I ludzi, którzy nadal są z nami. Brzmi poważnie, prawda? I jak to wszystko ogarnąć w historii dla dzieci? Wszystko zaczyna się od tego, że Bertil bardzo chciałby



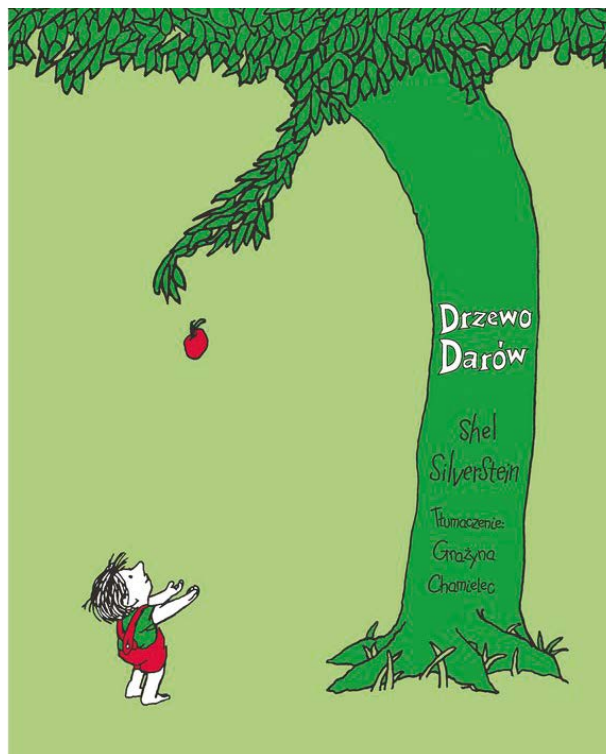
Ulf Stark, Anna Höglund, *Czy umiesz gwizdać, Joanno?*, Zakamarki, 2008

mieć dziadka. Ulf z kolei zna miejsce, gdzie dziadków jest pełno. Zabiera więc Bertila do domu starców. I tu właściwie zaczyna się cała historia o przyjaźni, starości, marzeniach i bliskości. Wszystko to bez patosu i zadęcia, bez namolnego dopowiadania – z ogromną przestrzenią na własne przemyślenia i emocje, którymi sami musimy wypełnić opowieść.

Tym razem proponuję pozycję, którą omawiać możemy spokojnie nawet z najmłodszymi. To niesamowite, że ta książka trafiła na polski rynek dopiero przed paroma laty. W międzyczasie zdążyła już zawojować świat milionami sprzedanych egzemplarzy, zyskując status kultowej.

Dzieci znajdą w niej wspaniałą historię o przyjaźni chłopca z drzewem. Uwielbiam do wspólnego czytania opowieści w pewien sposób niedopowiedziane – dające wiele miejsca na rozmowę, własne spostrzeżenia, refleksje dziecka. Dzięki temu każdorazowa lektura jest nową przygodą, którą możemy zapełniać treściami i obrazami. A przecież dzieci lubią ciągle wracanie do tych samych książeczek.

Dlaczego ta historia jest dobrym pomysłem dla dorosłych, zwłaszcza rodziców? Z każdym dniem i miesiącem nasze pociechy się rozwijają. Idą dzielnie do przodu w swoim życiu. I kiedy wydaje się, że już udało nam się wpaść w jakiś wygodny schemat i rolę, okazuje się, że nasze dziecko jest już dalej. A my znowu myślimy o tym, jak się odnaleźć i gdzie moglibyśmy „przycupnąć” tak, by być wsparciem w dalszym rozwoju, a nie ścianą hamującą progres. Proces ten jest stały i ciągle się powtarza – już opanowaliśmy przewijanie i zręczne noszenie, a okazuje się, że trzeba biegać za maszerującym szkrabem, który lada



Shel Silverstein, *Drzewo darów*, Kinderkulka, 2017

moment uda się do przedszkola, szkoły... i hen! daleko w świat. Tylko teoretycznie proces ten trwa latami, bo ciągle coś się zmienia, pewne momenty pojawiają się i znikają. W ich miejscu pojawia się pustka i ciągną troska o „nadążanie” za nową rolą. Właśnie o tej stałej zmienności traktuje ta pięknie ilustrowana, minimalistyczna książeczek.

To zaledwie kilka propozycji (a wspominałem przecież na początku o „gatunkowej” klasyce!), które mogłyby być okazją do wspólnego czytania z naszymi dziećmi, ale zarazem ciekawą lekturą dla nas samych. Wydaje mi się, że niewiele rzeczy tak łączy i tworzy nici wzajemnego porozumienia jak wspólne fascynacje i rozrywki.

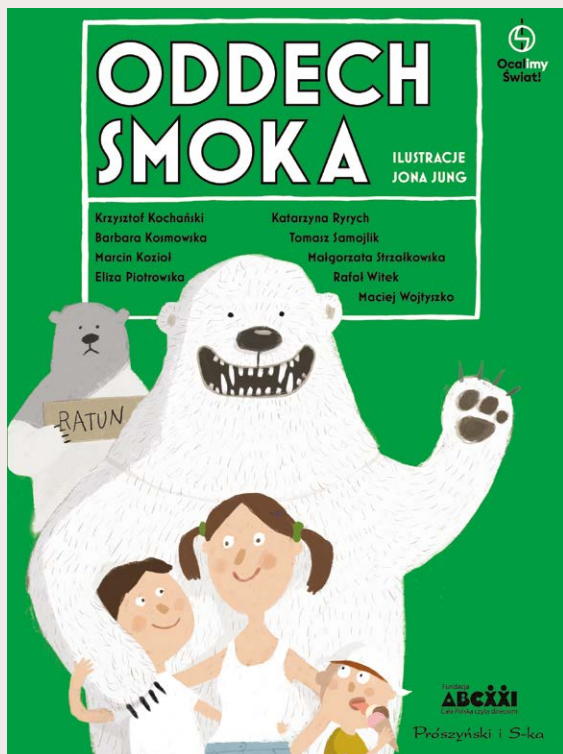
### TOMASZ FILIPOWICZ

– bibliotekarz i aktywista, mąż i ojciec – ról można by wymieniać znacznie więcej. Uważa, że świat jest opowieścią i sam lubi je snuć. Przyznaje, że „lubi piękne i poruszające narracje”, dlatego nie różnicuje dobrych książek, gier, seriali, muzyki czy filmów. Najważniejsza jest opowieść i jej piękne zaaranżowanie.



fol. Bogumiła Małyszewska-Oksztol

## Recenzje Redakcji



Praca zbiorowa, *Oddech smoka*, Prószyński i S-ka, Fundacja „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”, 2022

*Oddech smoka* to jeden z trzech tomów opowiadań wydanych w serii „Ocalimy Świat!”. Dedykowany jest dzieciom od 7 lat. Swoje literackie umiejętności zaprezentowali w nim: Krzysztof Kochański, Barbara Kosmowska, Marcin Kozioł, Eliza Piotrowska, Katarzyna Ryrych, Tomasz Samojlik, Małgorzata Strzałkowska, Rafał Witek i Maciej Wojtyzko. W każdym tekście pojawia się ekologiczny problem, opisywane są jego przyczyny i co możemy zrobić, by poprawić sytuację.

Dlaczego należy segregować śmieci i jak robić to właściwie? Jakie znaczenie mają dla nas pszczoły, co im grozi i dlaczego warto je ratować? Jakie zmiany możemy wprowadzić w naszym otoczeniu, by chronić naturę? Jak zapobiegać marnowaniu żywności i globalnemu ociepleniu oraz dlaczego egzotycznych zwierząt nie powinno się trzymać w domu? Tęgo wszystkiego młody czytelnik dowie się z książki *Oddech smoka*. Warto podkreślić, że są to opowiadania współczesne, co pomaga dzieciom utożsamiać się z bohaterami opowieści.

Co istotne, obok kwestii ekologicznych, autorzy opisują zjawiska i sytuacje, z jakimi na co dzień mają do czynienia młodzi ludzie, takie jak: potrzeba przynależności do grupy, brak akceptacji czy siła współdziałania.

Każde z opowiadań w tomie przemyca w treści wartości moralne: szacunek, uczciwość, życzliwość, odpowiedzialność, umiar, przyjaźń, mądrość, humor, wolność lub zaangażowanie. Wszystkie one opisane są na końcu książki.

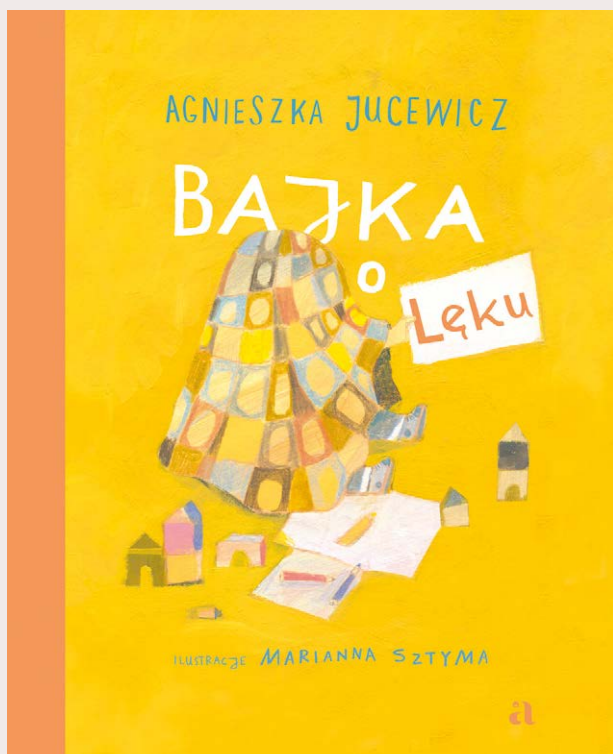
Zadbano również o szatę graficzną, za ilustracje odpowiedzialna była Jona Jung, współautorka – z Roksaną Jędrzejewską-Wróbel – bestsellerowego cyklu książek i serialu animowanego „Pamiętnik Florki”. W publikacji zastosowano też większą czcionkę, by ułatwić dzieciom czytanie.

Znakomita i jakże dziś potrzebna lektura. Nie tylko dla dzieci.

(js)



W serii „Ocalimy Świat” ukazały się także zbiory opowiadań: *Latający talerz* – dla dzieci od 10. roku życia oraz *Sieci widmo* – dla młodzieży od 13 lat.



Agnieszka Jucewicz, *Bajka o Lęku*, Agora dla dzieci, 2022

Państwu Człowieczyńskim rodzą się pięcioraczki: Radość, Złość, Smutek, Wstręt i Lęk. Każde z dzieci jest piękne, mądre i kochane przez rodziców. Każde z nich jest też inne i jedyne w swoim rodzaju. Radość – nieustannie się cieszy, Złość – jest bardzo ekspresyjna, Smutek – ciągle popada w melancholię, Wstręt – doskonale wie, czego nie lubi, a Lęk ... No właśnie, Lęk to dziecko, które wprawilo rodziców w zakłopotanie. Kochali je, ale martwili się o nie najbardziej. Bo jak tu radzić sobie z małym człowiekiem, który boi się wszystkiego? Dosłownie wszystkiego: innych dzieci, chodź do przedszkola, zostawać samemu w domu, burzy, bajek o smokach, czarnych kotów (białych też), dużych psów, panów w czapkach, pań z parasolką, nocy, dnia ...

*Bajka o Lęku* to piękna i mądra opowieść o emocjach. My, dorośli, często nie potrafimy o nich mówić, a co dopiero dzieci. Ale gdy mówi o nich Agnieszka Jucewicz, możemy mieć pewność, że zrobi to z niezwykłą delikatnością, wrażliwością, uwagą i szacunkiem.

Z pięciorga emocji przedstawionych przez autorkę to właśnie Lęk jest tą najbardziej nieprzyjemną. Kiedy

przychodzi, nie wiemy co z nim robić, bo dławi nas, paraliżuje, odbiera zdolność racjonalnego myślenia ... A rozwiązanie wydaje się być proste: „Jak się pojawia, to trzeba się z nim przywitać, zatroszczyć o niego, przytulić, побыć z nim, a potem go pożegnać”. Książka skierowana jest do dzieci, ale z pewnością jest lekturą obowiązkową dorosłych.

(mk)



Agnieszka Suchowierska, *O Białymstoku i o białym stoku*, Fundacja Sąsiedzi, 2022

Tak mało jest książek, zwłaszcza skierowanych do dzieci, opisujących regionalne legendy Białostoczczyzny, a szerzej – Podlasia. Bywa, że autorzy zabierając się za konkretne historie, opowiadają ich skróconą wersję, pozostawiając uzupełnienie rodzicom. Agnieszka Suchowierska postanowiła pójść inną drogą. Na bazie legendy o powstaniu Białegostoku stworzyła wciągającą opowieść, którą okraśliła dowcipem i wplotła w tekst rymy, nadające całości tempa.

Kolorowe, żywe ilustracje Magdaleny Pilch zabiorą młodych odbiorców w zaczarowany (a przecież tak bliski!)

świat podlaskich kniei, pokażą lokalną florę i faunę. Poza tym, jeśli nie wiecie kim był książę Giedyminas, gdzie kryły się „barstuki” oraz nad czym czuwał Telawel, to znajdziecie tu słowniczek trudnych słów, opisy osób oraz przyrody.

Pod koniec opowieści autorka proponuje wspólną zabawę, by sprawdzić czytelniczą czujność. Aby ułatwić młodemu odbiorcy odnalezienie najważniejszych informacji zawartych w legendzie, zostały one oznaczone w tekście na kolorowo.

Pozostaje mieć nadzieję, że kolejne legendy regionu doczekają się podobnych publikacji. A jest o czym pisać – o duchu w Choroszczy, supraskich mnichach, białowieskich dzikach z krzyżami czy gielczyńskiej czarownicy... nie znacie tych historii? Wszystko przed Wami!

(tf)



Justyna Dźbik-Kluge, Jarosław Sowizdraniuk, *Praktycznie wszystko. Podpowiednik dla dzielnych dzieciaków*, Wydawnictwo Kropka, 2022

jak poradnik, pełne dowolności. Książek aktywnościowych dla dzieci jest na rynku wydawniczym całkiem sporo, wiele z nich na naprawdę wysokim poziomie, dlatego trudno jest zaproponować coś atrakcyjnego i świeżego. Jednak Justyna Dźbik-Kluge oraz Jarosław Sowizdraniuk podolali temu zadaniu. Ich dzieło sprawi, że nóż czy igła w rękę dziecka nie będą już przyprawiać nas o ciarki, bo dzięki podpowiedziom zawartym w książce młodzi ludzie nauczą się cerować skarpetki czy kroić cebulę. A to tylko mały wycinek proponowanych „przygód”. Znajdziemy tam również podpowiedzi, jak zbudować profesjonalną bazę w domu i szalać w lesie czy podstawy komunikacji w języku migowym. Brzmi ciekawie, prawda?

*Praktycznie wszystko* podzielone jest na 5 głównych rozdziałów: „Przyjemne”, czyli zaproszenie do zabawy, która ma uratować dzieci przed nudą; „Pożyteczne” – o tym, jak podjąć próbę zmierzenia się z niektórymi „dorosłymi” obowiązkami w domu; „W terenie” to z kolei pomysły na czas spędzany na podwórku, pełen praktycznych zadań z pogranicza survivalu rodzinnego; „Tylko spokojnie” – treści uczące, jak radzić sobie z prawdziwymi problemami, kiedy nie ma nikogo dorosłego, kto mógłby pomóc; „Różne różności” to z kolei prawdziwy miszmasz ciekawych pomysłów na aktywności, które niesłusznie bywają zapomniane. Wszystko to okraszone świetnymi ilustracjami Tomasza Samojlika, które dają prawdziwą przyjemność z obcowania z książką.

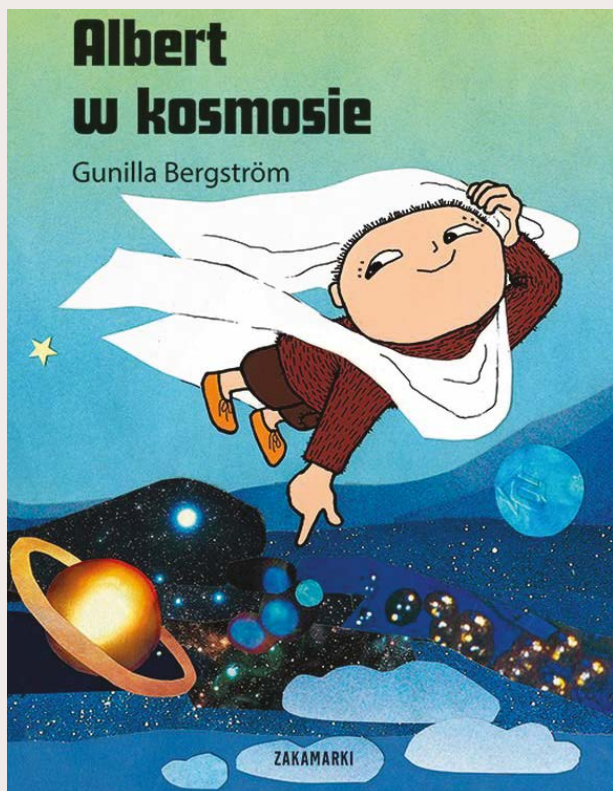
Choć *Podpowiednik...* jest dla dzieci, to wiele z proponowanych w nim aktywności jest skierowanych także do rodziców. Jeśli zastanawiacie się nad umiejętnościami, w jakie chcielibyście wyposażać swoje pociechy (książka jest kierowana do czytelników 7+, ale z wieloma zadaniami poradzą sobie ogarnięte przedszkolaki) to *Praktycznie wszystko* podpowiada gotową listę.

Doskonała pomoc w uczeniu naszych dzieci samodzielności. Kiedyś nam za to podziękują.

(tf)

Na początku zachwylił mnie tytuł! „Podpowiednik” – jakież to jest nienachalne słowo, nie tak „autorytarne”





Gunilla Bergström, *Albert w kosmosie*, Zakamarki, 2022

Literatura dziecięca rodem ze Skandynawii od lat ma swoje szczególne miejsce na rynku wydawniczym, a i w Polsce zdobywa coraz większą popularność. Któż z nas nie zna ciepłych i sympatycznych Muminków lub nie myślał o dzikich przygodach Pipi Pończoszanki czy tych z opowieści Lisy Erikson? U naszych północnych sąsiadów prawdziwym hitem są także opowieści o Albercie Albertsonie, które w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat przetłumaczone zostały na ponad czterdzieści języków, sprzedając się w nakładzie ponad dziesięć milionów egzemplarzy.

Od dziesięciu lat także i polscy czytelnicy mogą udać się w świat Alberta – zwyczajnego pięciolatka. Ta zwyczajność jest jego największym atutem – dzięki temu dzieci są w stanie zobaczyć w nim swoje odbicie, analogiczne zachowania i te same emocje. *Albert w kosmosie* to kolejna odsłona jego przygód.

Tym razem chłopiec chciałby być dorosły i poważny jak tata, który powtarza mu, by... nie był tak dziecinny. Jednak to właśnie dziecięca chęć zabawy, ciekawość świata

i radość stają się remedium na strapienia rodzica, który włącza się w szalone harce.

Książka dla wszystkich czytelników, małych i dużych, którzy rozumieją, że radość jest ważna nawet w „dorosłym i poważnym” świecie.

(tf)



Elżbieta Michalska, *W domu to w domu*, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, 2022

Elżbieta Michalska, zdobywczyni Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, dała się poznać jako poetka tworząca dla dorosłego odbiorcy. Tym razem jej wiersze ukazały się w serii „Bajkowa Książniczka”, wydawanej przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Teksty Michalskiej – mocne, wyraziste, bezkompromisowe, naznaczone melancholią, osadzone blisko natury, często dotykające spraw fundamentalnych – choć ubrane w formę książeczki dla dzieci i okraszone pracami znakomitej ilustratorki Małgorzaty Masłowieckiej, w rzeczywistości wydają się być przeznaczone zarówno dla młodego, jak i starszego czytelnika. Dziecko zobaczy w nich: ropuchę zimującą w piwnicy domu, kota który podarł

stare fotografie, mysz mieszkającą w pniu drzewa. Dorosły dostrzeże więcej, pod płaszczykiem nieskomplikowanego obrazka kryje się bowiem poruszający obraz dzieciństwa, dla którego tłem była przyroda z całą swoją brutalnością (*Bajka*). Autorka nie ucieka przed tematem śmierci (*Dziecinna mogiłka*), cierpienia (*Stara fotografia*), dojrzewania (*W słonecznikach*) czy choroby (*Modlitwa*), choć pisze o nich nie wprost. Na dojrzałego odbiorcę wskazują

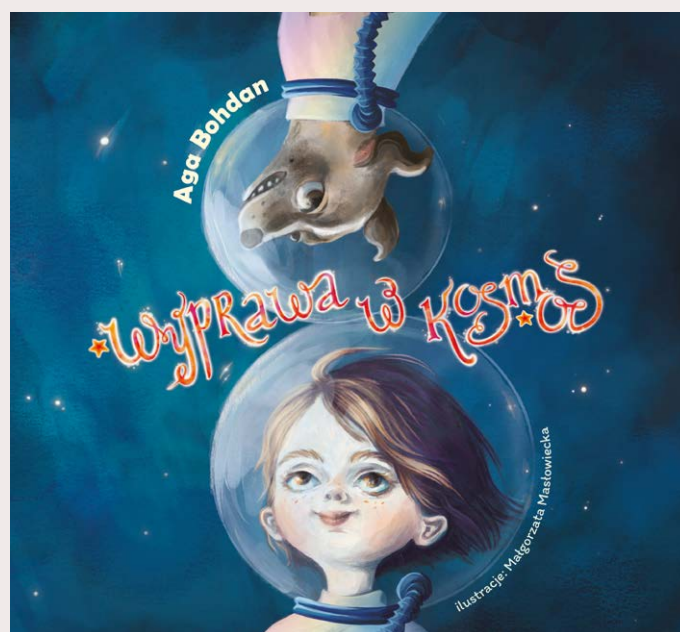
też wzmianki o Godocie, muzyce Bacha czy nawiązanie do obrazu Cranacha.

To chyba pierwsza tak odważna i niejednoznaczna pozycja w serii „Bajkowa Książniczka”, wymykająca się schematom, otwarta na wielość odczytań, oswajająca dziecko z „dorosłą” poezją. Bo tak właśnie Elżbieta Michalska traktuje swoich małych czytelników – jak partnerów w lirycznej rozmowie. Bez lukrowania świata, bez tematów tabu.

(js)



W 2022 roku w serii „Bajkowa Książniczka” ukazały się także dwie inne pozycje: *Przygody Mgiełki* Katarzyny Zdanowicz-Cyganiak i *Wyprawa w kosmos* Agi Bohdan. Do każdej z książeczek, prócz ilustracji, Małgorzata Masłowiecka przygotowała zabawy online do pobrania ze strony: [www.ksiaznicapodlaska.pl/dzieciom](http://www.ksiaznicapodlaska.pl/dzieciom).



Tekst i zdjęcia: Zofia Piłasiewicz

## Bieszczady



Kierowca wysadza nas z samochodu w połowie drogi między Pszczelinami i Bereżkami, obok wejścia na szlak. Dziękujemy, machamy ręką na pożegnanie, skręcamy w szutrową drogę i za chwilę przekraczamy most na Wołosatym. Jeszcze tablica: „Uwaga – niedźwiedzie” i już opuszczamy szutrowkę, by niebieskim szlakiem wspiąć się w górę błotnistą dróżką. Szlakiem na Bukowe Berdo – dla mnie najpiękniejszym wśród bieszczadzkich dróg. Wracam tu po raz kolejny, obserwując zmiany, jakie z upływem lat nieuchronnie zachodzą również tutaj.

Moje pierwsze spotkanie z Bieszczadami miało miejsce w 1970 roku, kiedy skończyłam 10 lat. Rodzice mieli gen wędrowny. Urlop to była dla nich łącząca z plecakiem. Jak tylko dziecko było już w stanie zarzucić takowy na plecy – zabierali je ze sobą. Jeśli było za małe – zostawało

Ze szlaku na Bukowe Berdo rozciąga się panorama morza gór

z dziadkami. Dziesięciolatka miała wystarczająco dużo siły, żeby wędrować na całego. I tak to się zaczęło.

Bieszczady wówczas mnie oczarowały! Dzikie, bezludne, z ciekawymi ludźmi spotykanymi na trasie, z poszumem Wołosatego, kiedy już dobrnęliśmy z Komańczy do Ustrzyk Górnych. No i te biwaki na poloninach, i jagody zbierane garściami. Trawy po pas, wiatr hulający po stokach i żętyca<sup>1</sup> pita w szalaszach pasterzy, wypasających owce. Opowieści mojego ojca przy ognisku i śpiewy przy gitarze ze spotkanymi „włóczęgami”.

Długo po powrocie opowiadałam koleżankom o Bieszczadach – jakie to wspaniałe, dzikie góry i jakich zakręconych ludzi można tam spotkać. Następnie przyszedł czas na Beskidy, Pieniny, Tatry, Sudety i Tatry zimą.

<sup>1</sup> Serwatka z mleka owczego.

W Bieszczady wracałam co kilka lat, ale dopiero w dojrzałym życiu uderzyła mnie obecność śladów dawnych społeczności zamieszkujących ten teren. Niby wiedziałam, niby widziałam, ale szczątki informacji i obrazów, jakie do mnie docierały wcześniej, nie przekładały się na emocje. Bo Bieszczady to nie tylko pełne osobliwości przyrodniczych i piękne krajobrazowo pasmo górskie, ale też obszar zagospodarowywany od wieków przez człowieka – wołoskiego osadnictwa, na którym to obszarze rozwijały się pasterskie tradycje o bałkańskim rodowodzie. Wędrując po Bieszczadach ma się wrażenie obcowania z pierwotną i naturalną przyrodą, ale tak naprawdę, wiele z tych terenów to wtórne zdziczenie, będące wynikiem ponad siedemdziesięcioletniej przerwy w intensywnej działalności człowieka.

Przyroda szybko radzi sobie z tym, co pozostaje, kiedy człowiek znika. Zdumiewająca jest intensywność, z jaką się odradza, a jednocześnie daje nadzieję dla naszego, w większości zmienionego przez działalność człowieka i zniszczonego, świata.

Trudno dziś sobie wyobrazić, że zaledwie sto lat temu, dziś dzikie ostępy były w większości łąkami, pastwiskami, polami, że były tam wsie, osady i przysiółki, a tereny zagospodarowane na południowych stokach Bieszczad, dzieliło zaledwie dwieście metrów lasu od polonin. Na północnych stokach obszar leśny był znacznie szerszy.

Dzisiaj łąki i pastwiska są porośnięte lasem, ale ślad drzew owocowych wyraźnie mówi: „Tu kiedyś żyli ludzie”. Zaglądam na stare cmentarze – w Wołosatem, w Berehach. Tam, gdzie to możliwe, odczytuję stare napisy, tu i ówdzie zrekonstruowane, częściej wytarte przez wiatr i wodę.

Jak im się tu kiedyś żyło? Jakimi językami mówili? Co zostało po Łemkach, Huculach, a przede wszystkim Bojkach, bo to oni stanowili główną ludność tych terenów. Trudno znaleźć literaturę na ich temat, jedynie jakieś skrawki artykułów wywabiam z czeluści Internetu, powiedzenia i słowa, przechowane jeszcze we wschodnich Bieszczadach, gdzie zachowały się miejscowości



W stronę Wołosatego

zamieszkałe nadal przez przedstawicieli tej grupy etnicznej. I kilka pieśni i ozdób, jakimi ustrajały się dziewczyny.

Gdzie więc szukać informacji? Można obejrzeć zbiory Muzeum Kultury Duchowej i Materialnej Bojków w Myczkowie, prezentujące kulturową różnorodność Bieszczadów sprzed stu i więcej lat. Poznać przedmioty związane z dawnym życiem okolicznych wsi, dworów oraz miasteczek. Zwyczajnie, obrzędy, tradycję i codzienną pracę ludzi minionej epoki. Bojkowie od przeszło pięciu stuleci wzbogacali barwny krajobraz etniczny tych ziem. Ich historia została gwałtownie przerwana.

Można zachwyć się zdjęciami w albumie *Karpacki świat Bojków i Łemków. Roman Reinfuss. Fotografie*, które pokazują unikatowo-



Zapomniany grób na cmentarzu bojkowskim w Wołosatem



Stary klon jawor pamięta dawnych mieszkańców. Gdyby tylko mógł mówić...

wy, przedwojenny świat karpaccich górali. Na ponad dwustu fotografiach zgromadzonych w albumie znajdziemy świat dawnych mieszkańców bieszczadzskich stoków. Są tam wędrowni druciarze i szklarze, grajkowie, gazdowie karmiący i strzyżący owce, tabory Cyganów oraz cała galeria innych postaci. Jest też bieszczadzka przyroda, a także kościoły, cmentarze, przydrożne kaplice, chaty i szalasy czy ludowe stroje. Dzięki znakomitemu polskiemu etnografowi Romanowi Reinfussowi, poznajemy udokumentowany świat bieszczadzkiej kultury, bezpowrotnie zniszczony tragicznymi wydarzeniami: przesiedleniami z wiosny 1940 roku, akcji Wisła z 1947, akcji H–T, czyli wymiany ludności między PRL a ZSRR w 1951 roku.

Dziś po setkach bojkowskich chyżach<sup>2</sup> pozostały jedynie nikłe ślady. Łatwiej dostrzec zdziczałe drzewa owocowe czy tarasy dawnych pól niż gdzieś ledwie majaczące w trawie podmurówki chat. Dawne cmentarze ukryte są wśród drzew, dziś oznaczone i odchwaszczone, na nowo ożywiają świat zagubionej

bieszczadzkiej Atlantydy. Pozwalają wyobrazić sobie ludne wsie pełne gwaru, ruchu i ciężkiej pracy.

Chodząc po starym cmentarzu w Wołosatem, zauważam stary klon jawor, pochylający się nad nagrobkami. Tymi z odcyfrowanymi napisami i tymi, po których zostały zaledwie bezimienne, kamienne płyty. Patrząc na stare lipy, kiedyś posadzone na terenie grekokatolickiej cerkwi, której już dawno nie ma. Pewnie miały dawać cień wiernym, zmierzającym do świątyni i na przycerkiewny cmentarz. Drzewa pamiętają. Wystarczy wsłuchać się w szelest ich liści.

Na tablicy informacyjnej, postawionej w Berechach Górnych<sup>3</sup>, czytam, że w czasie spisu ludności w 1921 roku, 445 osób podało narodowość rusińską, a 82 osoby narodowość polską. Tyle osób tu wówczas mieszkało. W tej jednej wsi. A dzisiaj? Liczba ludności w 2020 roku wyniosła w Brzegach Górnych 6 osób.

Czytam też, że we wsi istniało chronologicznie kilka cerkwi. Najstarsza wzmianka o nich pochodzi z 1589 roku. Ostatnia została spalona w 1946 roku. Stała u zbiegu dróg z Dwernika, Wetliny i Ustrzyk Górnych. W czerwcu 1946 roku wysiedlono mieszkańców 128 gospodarstw Berechów Górnych i przesiedlono ich na teren ZSRR.



Poloniny, poloniny. Widok na Caryńską

<sup>2</sup> Chatach.

<sup>3</sup> Dziś zwanych Brzegami Górnymi.

Po wysiedleniu wieś uległa całkowitemu zniszczeniu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX w. na cmentarzu było ponad sto nagrobków. Część z nich posłużyła za materiał budowlany podczas budowy obwodnicy bieszczadzkiej. Dziś zostało kilkanaście. W tym kilka wykonanych przez kamieniarza-amatora, Chrycia Buchwaka, który sam sobie również wykonał nagrobek.

Jesienią Bieszczady są szczególnie urokliwe za sprawą buków zmieniających kolory, a w górnych partiach – zarośli olchy kosej i jarzębiny karłowatej z czerwonymi koralami i żółtymi liśćmi. No i barwy traw! Płowe górskie grzbiety przypominają te końskie. Szerokie, przyjazne, aż chce się je pogłaskać. Położyć wśród traw i jagodników, i wsłuchać w ciszę. I wspomnieć tych, którzy kiedyś tu mieszkali.



## ZOFIA PIŁASIEWICZ

– pisarka i fotografka. Autorka książek: *Syberyjski sen. Opowieść bezdrożna, Gruzja. W pół drogi do nieba, Podróż*, tomiku wierszy *Ćwiczenia z pamięci*, poematu *Rzeka. Opowieść Czarnej Hańczy*, licznych artykułów prasowych. Wystawy fotograficzne indywidualne: „Moje pejzaże” – 2008, „Impresje” – 2010, „Sen leśnych olbrzymów” – 2012, „Gruzja w pół drogi do nieba” – 2013, „Północ-Swiatło-Przestrzeń” – 2018, „Droga” – 2019, „Rzeka” – 2022, udział w wystawie zbiorowej „Mężczyźni w obiektywie kobiet” – 2013. Lubi być w kontakcie ze sobą, ludźmi i światem. I wsłuchiwać się w naturę.



## Aby nikomu nie stała się krzywda

– z **Marcinem Leszczyńskim** o drzewach, arborystyce, naszych dzieciach, wnukach i sąsiadach rozmawia Piotr Janicki

**Piotr Janicki:** **Być może pamiętasz, jak przed kilku laty rzuciłem się na Ciebie, dowiedziawszy się, że jesteś arborystą, z pytaniem, czy czytałeś *Barona drzewołaza* Italo Calvino. W bohaterze powieści, dwunastoletnim Cosimie, rodzi się wyrafinowany bunt, będący odpowiedzią na równie wyrafinowany ucisk rodziny. Młodzieniec wchodzi na drzewo i więcej go na ziemi nie widzimy. Poza tym, że dowiedziałem się, że znasz książkę, niczego więcej nie pamiętam, więc powiedz teraz, dlaczego wszedłeś na drzewo?**

**Marcin Leszczyński:** Studiowałem leśnictwo w Warszawie i mieszkałem w akademiku. Z grupą kumpli zostaliśmy na lato w stolicy, aby pracować i paru z nich dorwało taką fuchę, że wspinali się po drzewach i przycinali gałęzie. Ja w tym czasie, na starówce, w stroju krakowiaka sprzedawałem atlasy Polski. Wieczorami opowiadaliśmy sobie, kto jakie miał przygody. Rozumiesz chyba, że ich opowieści były dużo bardziej szalone od moich. Co więcej, nigdy ich nie zapomniałem. Po paru latach, również z grupką kumpli, pojechaliśmy pracować do Stanów. Przed wyjazdem rozesłałem kilkanaście maili do firm świadczących usługi arborystyczne i jedna się odezwała. Nie mogłem lepiej trafić. Zatrudniono mnie, wyszkolono i pracowałem tam prawie dwa lata. Po powrocie Europa stała otworem dla gościa z takim doświadczeniem. Popracowałem jeszcze w Norwegii i Irlandii, aż w końcu założyłem własną firmę w Supraślu.

„– Kto jest wysoko, tego zewsząd dobrze widać – rzekł baron [...]” przewrotnie, bo nie potrafił inaczej myśleć, jak tylko nadziewając europejskim ratio swój etyczny umysł. Czy dostrzegłeś na drzewie coś, czego nie da się zobaczyć z ziemi albo na ziemi z drzewa, i co według ciebie czyni arborystykę czymś więcej niż rzemiosłem?

Pracując w koronach drzew, przez cały rok widzi się wyraźniej wiele rzeczy, które normalnie są jakoś dalej. To,

co przykuje naszą uwagę z ziemi tylko czasami, jak przelatujący dzięcioł, skacząca wiewiórka, czy przelot wielkiego szerszenia, na drzewie staje się zjawiskiem na wyciągnięcie ręki. Szybko dotarło do mnie, że rozbudowana korona wielkiego drzewa jest małym ekosystemem ze swoimi mieszkańcami. Można zajrzeć do gniazda ptaka, w pęknięciu pnia może być gniazdo os, a w dziupli cmentarnej lipy nietoperze. Niby się to wiedziało i nawet widziało z dołu, ale w koronie jest inaczej. Nigdy nie nurkowałem, ale może to jest tak, że można sobie pływać łodzią po archipelagu, a można też wskoczyć do wody i ponurkować? No, to wspinaczka w koronę drzewa byłaby takim daniem nura w ocean, tyle że podniebny.

Ogromną różnicę robi też fakt, że zaczynamy obserwować koronę nie z dołu, pod słońce lub na tle jasnego nieba, ale patrzymy na nią od środka, poziomo lub po prostu w dół. Konary stają się siecią pomostów, przejść i uliczek.

Kolejną rzeczą, która uderzyła mnie i chyba zmieniła to przybliżenie się śmierci.

Byłem młodym człowiekiem, w swoim mniemaniu nieśmiertelnym, gdy w ramach szkoleń oraz w praktyce zaczęto mnie ostrzegać dzień po dniu, godzina po godzinie, przed zagrożeniem wypadkiem lub śmiercią. Nawet pamiętam rozmowę z samego początku kariery. Po kilku miesiącach pracy zwróciłem uwagę swojemu brygadziście, że chyba przez ostatni miesiąc więcej zastanawiałem się, jak nie umrzeć, niż przez całe swoje dotychczasowe życie.

Według mnie arborystyka jest czymś więcej niż rzemiosłem również dlatego, że to jeden z zawodów, gdzie własne ciało staje się narzędziem pracy. Kontuzje, zwyrodnienia, wypadki, uszkodzenia, wiek, starzenie się, przybieranie i trącenie na wadze to wszystko bardzo obecne tematy pośród aktywnie wspinających się arborystów.

Jeszcze jedną ciekawą pochodną wykonywania ryzykownego zawodu jest przenoszenie na codzienne życie myślenia kategoriami „najgorszego możliwego scenariusza” i w ogóle taka zawodowa odchyłka polegająca na ciągłym ocenianiu i stopniowaniu zagrożenia zdrowia i życia. Na przykład nie przepadam za spacerami z dziećmi po parku lub lesie, gdy wieje mocniejszy wiatr. Oczami wyobraźni



i tymi cielesnymi widzę te wszystkie osłabione rozwidlenia, przeciążone konary, naderwane bryły korzeniowe i mikro-  
pęknięcia pni, które zaraz spowodują tragedię.

**To samo pisze w Wicie Miciński! „Przedziwnie straszno wdzierać się w te żywe gęstwiny, gdzie każdy listek szepce, każda gałązka gra od wiatru, każdy olbrzym przemilcza obcym, a śpiewa swoim, wśród gromów, Bojanowe dumy”. Człowiek widzący w podlaskich, dajmy na to, ciemnościach kolczastą zebłą żującą jego przewiny albo żarłoczne oczy nieśpiących mirabelek może zracjonalizować zagrożenia i niemalże ośmieszyć własną wyobraźnię, a zupełnie inaczej przedstawia się rzecz w górze. Jak pośród tej pszczelej pieśni w kwitnącej lipie nie poczuć się intruzem?**

Widzisz, ja się nie czuję tam intruzem. Nigdy nie musiałem borykać się z takimi emocjami przebywając w „podlaskich ciemnościach”, nie odwiedziły mnie też one w koronach drzew. Więcej, z moich obserwacji wynika, że wiele osób, w tym ja, od razu czuje się tam swojsko, przytulnie i po prostu dobrze. Może to nie jest tak, że w górze jest zupełnie inaczej? Jeśli nie trapią nas takie przypadłości jak lęk wysokości i przestrzeni, to na drzewie można poczuć się nawet bezpieczniej niż na ziemi. Czy to właśnie nie drzewo jest prawdziwym miejscem schronienia? Nie, to nie jest tak, że przybliżanie się do elementów natury na górze jest inne. Trzeba to, jak w każdym innym przypadku, robić umiejętnie. Wyprawa na bieberzańską łąkę może być najgorszym przeżyciem, jeśli się do niej nie przygotujemy

lub wspaniałą wyprawą. Podobnie jest z odwiedzaniem koron drzew. Aby nikomu nie stała się krzywda, trzeba to robić z „przewodnikiem”. Jest coraz więcej osób proponujących drzewną wspinaczkę rekreacyjną. Są to spotkania, zajęcia lub kursy, gdzie wspinanie się na drzewa jest już celem samym w sobie. Inaczej niż w arborystyce, gdzie wspinaczka jest środkiem do wykonania komercyjnego zadania.



**Kojarzę jakąś etymologiczną podróż z nazwą jednego ze środkowoeuropejskich plemion, nazwą odślaniającą umiejętność tego plemienia długotrwałego przebywania pod wodą w czasie zagrożenia, więc to drzewo jako pradawne miejsce schronienia potraktowałbym bardzo poważnie, ale metaforycznie. I poważnie zapytał o Twoje zdanie na temat tego, co myślisz o świecie bez drzew.**

Myślę, że świat bez drzew jest możliwy. Jeśli nie traktować tego dosłownie, jako naszą planetę, to moim zdaniem takie bezdrzewne światy już dziś istnieją. Może nawet dla większości populacji nasz świat jest miejscem bez drzew? Pewien stan pośredni jest nawet udowodniony naukowo. Badania pokazują, że maleje średni wiek drzew na świecie. Czyli coraz

mniej jest starych drzew, drzew weteranów. Mam nadzieję, że ten proces oddalania się od natury wkrótce wyhamuje i jako gatunek nigdy nie będziemy żyli w krajobrazie jak z cyberpunkowej powieści, gdzie globalna metropolia wyprze zieleń wokół nas. Z natury jestem optymistą, ale nie romantykiem. Uważam, że istnieją racjonalne powody, dla których my, nasze dzieci i wnuki powinny sąsiadować z drzewami. Najlepiej jak największymi i jak najstarszymi. Dzięki takim sąsiadom jesteśmy zdrowsi i trochę mądrzejsi. Jeśli uświadomimy to sobie, będzie dobrze.

**A jak, na koniec, definiujesz mądrość?**

W kontekście tej rozmowy: dbanie o drzewa, czytanie książek i pisanie wierszy.

## MARCIN LESZCZYŃSKI

– urodzony w 1977 r. w Białymstoku. W 1992 r. rozpoczął naukę w Technikum Leśnym w Białowieży. Tam już jako piętnastolatek podejmował się prac robotnika leśnego. W 1997 rozpoczął studia na Wydziale Leśnym w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Przerwał edukację w roku 2002, aby podjąć pracę w USA jako arborysta-praktykant.

W latach 2002-2003 pracował, szkolił się i uczestniczył w zawodach we wspinaczce drzewnej w Ameryce Północnej. Po powrocie do kraju ukończył studia i zaczął pracę jako arborysta w Norwegii, a następnie w Irlandii.

W 2006 wrócił do Supraśla, gdzie założył firmę i ożenił się ze swoją wielką miłością, Moniką. W kolejnych latach często podróżował, biorąc aktywny udział w organizowaniu i przeprowadzaniu mistrzostw Polski i Europy we wspinaczce drzewnej. Wraz z żoną zajmuje się handlem sprzętem arborystycznym.



foto. Piotr Janicki

Dział Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej to miejsce, gdzie kolekcjonujemy i archiwizujemy regionalną twórczość, zarówno pisaną, jak i muzyczną. W cyklu **WyGracie – MyPropagujemy**, skupiamy się na przybliżaniu sylwetek białostockich artystów muzyków, pokazujemy czym się zajmują oraz w jaki sposób tworzą. Podpowiadamy, co się gra „na mieście”.

## „Muzyka jest językiem uniwersalnym”

– z **Katarzyną Garłukiewicz-Szubzdą (ps. Wolska)** rozmawia Eligiusz Buczyński.

Wolska to jednoosobowy projekt Katarzyny Garłukiewicz-Szubzdy, powstały wiosną 2020 r. To szukanie wokalnych harmonii, zabawa i eksperyment, dlatego nie ma tu miejsca na jeden wyraźny gatunek muzyczny. Jej piosenki można usłyszeć na falach Polskiego Radia Białostok, Białoruskiego Radia Racja, Radia Akadera czy Radia 357. Finalistka plebiscytu Niebieski Mikrofon Polskiego Radia Białostok. Jej muzyka rozbrzmiewa w filmie „Czarna Dama”. W wolnych chwilach tworzy duchowosy, do których komponuje ilustracje muzyczne. Tekstowo wspiera ją Krzysztof Szubzda.

**Eligiusz Buczyński:** Kasiu, na lokalnej scenie muzycznej działasz długo (pierwszy zespół deMorela), nie wahasz się współpracować z różnymi artystami (Cira, Lukasy, Max Fedorow i jego zespół, Consonance Trio), a płyty Wolskiej jak nie było, tak nie ma... Wciąż poszukujesz, czy z pewnością nie chcesz się zamknąć w jednym albumie?

**Katarzyna Garłukiewicz-Szubzda:** Płyta nie jest dla mnie aż tak istotna. Zresztą w dobie YouTube’a, Spotify’a i innych tego typu platform płyta wydaje mi się przeżytkiem. Może pięknym, może romantycznym, ale jednak przeżytkiem. Poza tym nie jestem dobra w te wszystkie marketingi i dotacje. Wielu artystów wydaje płyty w ramach stypendiów, dofinansowań czy projektów. Szanuję takie decyzje. W moim odczuciu pojawia się jednak jakaś groźba ingerencji w treści czy autocenzury. Teksty, z których korzystam, pisane przez Krzysia Szubzdę albo przeze mnie, często odnoszą się do sytuacji okolopolitycznych, jak „Smogson” o problemie smogu czy „Muszę z Tobą żyć”, gdzie jest aluzja do wyborów politycznych („pudrujesz dla mnie swój nos / poprawiasz blond włos / i zebrzesz o mój głos”). Artysta powinien być niezależny.



fot. Justyna Sawczuk

Jeśli więc kiedyś zachciałoby mi się płyty, to zrobiłabym to za swoje pieniądze. A że ostatnio z kasą wszyscy mamy ciężko, to i priorytety są inne.

**Nie obawiasz się tego, że trudno Cię skojarzyć z jakimś nurtem, trudno nadążyć, z czym za chwilę pokażesz się na scenie? Czy nie prościej byłoby pójść jednak w tę bossa nowę albo smooth jazz, niechby nawet naśladować Annę Marię Jopek?**

Pewnie, że prościej, ale uważam, że w życiu wcale o prościej nie chodzi. Przynajmniej w moim. Naśladowanie kogoś to jakaś pomyłka. Kiedyś półświadomie goniłam za ulubionymi wokalistkami. Teraz stawiam na szukanie prawdy w głosie i dźwiękach, dlatego moje piosenki są bardzo różne. Gdzieś przeczytałam, że człowiek przeżywa parędziesiąt emocji dziennie, tylko sobie tego nie uświadamia. Parędziesiąt! Jaka to ogromna różnorodność! A w muzyce o emocje przecież chodzi, o przekazywanie ich i o wywoływanie ich w słuchaczu. Muzyka to też piękno, a dróg do piękna jest tak wiele. Lubię więc tę moją różnorodność, która zawsze podporządkowana jest prawdzie i pięknu. Gdy śpiewałam głównie covery, też szukałam w nich siebie, ale było to pójście na łatwiznę. Znane melodie zawsze się podobają, a ja niczym nie ryzykuję. Czulałam się jednak przesycona i bardzo zmęczona. Zanim głowa odpoczęła od tych natrętnych melodii, znów brałam mikrofon i znów je śpiewałam. Tę potrzebną twórczą przestrzeń dał mi dopiero lockdown. W ciszy przyływały dźwięki, a ja nie mogłam ich nie usłyszeć.

**Twoje muzyczne opowieści cechuje wrażliwość na drugiego człowieka, na otaczającą naturę. Jest to swoisty manifest stanu ducha. Jak go rozwijasz? Czytasz dużo medytacyjnych książek?**

Był taki okres w moim życiu, że czytaliśmy z Krzysiem namiętnie wszystko, co nam wpadło na temat duchowości. Jednak ostatecznie i tak chodzi o to, by usiąść i zacząć medytować, a nie, by o tym czytać. Albo pójść w las, posłuchać śpiewu ptaków, poprzytulać się do drzew czy usiąść na polanie i pooddychać zapachem traw. Albo zatrzymać się i usłyszeć, co mówi drugi człowiek. Brzmi to banalnie, w praktyce jest cholernie trudne. Szczególnie teraz, gdy świat tak mocno się skurczył, prawie do kodu zerojedynkowego i jak nie ma cię w social mediach, to nie ma cię

*Katarzyna Garlukiewicz pseudonim WOLSKA to jedna z najciekawszych i najbardziej znanych wokalistek z Podlasia. Oczywiście technicznie Kasia jest fenomenalna – bez dwóch zdań. Jednak osobiście bardziej skupiam się na emocjach, przekazie i tutaj mogę śmiało powiedzieć: Kasiu, wzruszają mnie Twoje piosenki, potrafisz tak cudownie wyśpiewywać każdą nutkę, która trafia prosto w moje serce. Twoje utwory są kompletne. Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się stanąć na jednej scenie.*

KATARZYNA ANTOSIEWICZ  
(wokalistka zespołu „Szeptucha”)

wcale. To rozpraszacze, małpy skaczące po drzewach umysłu. Właśnie te proste sprawy, jak duchowość, natura, medytacja ratują mnie przed chaosem, to są moje kotwice. Co by się z ludzkością nie działo, drzewa będą tu o wiele dłużej niż my.

Duchowość była też impulsem do poszukiwań religijności. Nie utożsamiam się z żadną religią, ale bardzo podoba mi się idea modlitwy na sznurach modlitewnych. Wymyśliłam więc swój własny różaniec. Kupiłam parę kamyczków szlachetnych w Internecie i po chwili robiłam już zamówienia dla znajomych: katolickie różańce, prawosławne

czotki, buddyjskie male, muzułmańskie subhy. Nazwałam tę moją biżuterię duchowosty, biżuteria z duszą. Na mojej stronie na Facebooku albo Instagramie można znaleźć każdy rodzaj biżuterii, a jak ktoś, prócz ładnego przedmiotu, chce użyć duchowostu do poszukiwań duchowych, to daję wskazówki, jak można to zrobić. A w samym robieniu biżuterii też odnalazłam pasję i okazję do medytacji.

**Twój mąż, znany z mocno satyrycznych tekstów i wystąpień, Krzysztof Szubzda, jest też autorem wielu piosenek, i to raczej nie są scherza... Czy Twoja muzyka tak go inspiruje i uwrażliwia, czy to raczej Ty chodzisz wokół niego, pytając, czy nie skrobnie paru linijek w wolnej chwili?**

Krzyś jest pod tym względem niesamowity. Czasem moja muzyka powstaje już pod jego gotowe teksty, ale często daję mu zaśpiewaną dowolnymi słowami melodię, jakiś zarzys tekstu albo ogólny pomysł i za godzinę mam gotowe słowa, które mówią dokładnie to, co chcę powiedzieć.

**Waszym wspólnym dziełem jest pieśń „Łania”, do filmu „Czarna Dama”. Pieśń osobna, szczegółna, wybijająca się pod każdym względem. Przyznam, że to jedno z tych muzycznych dzieł, których słuchałem w zapętleniu wiele razy. Magiczna, poetycka**

**dumka, w świetnym duecie z Maćkiem Snitkowskim, który śpiewa w języku białoruskim. Skąd pomysł, żeby śpiewać po polsku i białorusku?**

Dzięki, to miłe, że ta pieśń tak się podoba. Obejrzelismy z Krzysiem po raz setny „Czarną Damę”, jeszcze bez piosenki finałowej i poczuliśmy, że tu musi być jakieś rozładowanie, przełamanie. Poszłam pod prysznic i wyszłam z gotową melodią. Moje najlepsze melodie to te spod prysznic. Chcieliśmy, by tekst był rosyjski. Krzys oczywiście po godzinie dał mi gotowe słowa, parafrazę psalmu 42. w języku rosyjskim. Mamy tę wspaniałą możliwość, że możemy sobie zejść do naszego studia nagraniowego do piwnicy i nocą powstała gotowa wersja „Łania”, z dwudziestoma czterema śladami naszych głosów w chórkach, bo Krzysia też zagoniłam do śpiewania. Potem chłopaki z „Muchy na dziko”, z ekipy producenckiej, podsunęli pomysł, by część piosenki była śpiewana po białorusku, a część po polsku. Miało to nawiązywać do różnorodności językowej Podlasia. I by zmienić tekst na miłosny, bo w filmie też jest miłosny wątek, który koreluje z żarliwą religijną miłością proroka Eliasza – jednego z bohaterów filmu – do Boga. W refrenie zostało więc luźne nawiązanie do psalmu, z łanią w roli głównej. Hubert Buharewicz podsunął nam pomysł z Maćkiem Snitkowskim, który fajnie śpiewa i świetnie mówi po białorusku. Bardzo zależało mi na chórze, który był szkieletem aranżacyjnym

pieśni. Wspomogli nas chórzyci podlaskiej opery. I tak narodziła się „Łania”, która hula w Internecie. W filmie użyto wersji białoruskiej, śpiewanej przeze mnie.

**Od początku Twojej muzycznej drogi był Białystok. Czujesz, że dałabyś radę żyć i tworzyć w zupełnie innym miejscu? Czy raczej jest to dokładnie to miejsce, w którym chcesz żyć i śpiewać?**

Przed pandemią bardzo dużo z Krzysiem podróżowaliśmy. Zwiedzaliśmy Polskę i świat. Jesteśmy świrnięci i potrafimy zachwycić się bardzo dziwnymi miejscami, często poza popularnymi szlakami. Raz spędzaliśmy walentynki w Sosnowcu. Poza Polskę wylatywaliśmy często cztery, pięć razy w roku. Siłą rzeczy pojawiała się myśl, co by było gdybyśmy gdzie zostali. Odkąd mam swoją bratnią duszę w postaci Krzysia, wiem, że odnalazłabym się wszędzie. To urodzony poliglota, muzyka zaś jest językiem uniwersalnym. Kiedyś marzyło mi się śpiewanie bez słów. Sprawy rodzinne przesądziły, że zostaliśmy tu. Ludzie są ważniejsi niż miejsca. Teraz mamy syna i chciałabym, by miał kontakt z babciami i dziadkami, a co będzie dalej... Może emerytura nad bezkresem portugalskiego morza.

**Dziękuję za rozmowę.**

## KATARZYNA GARŁUKIEWICZ-SZUBZDA

– jako wokalistka udziela się w różnorodnych projektach artystycznych od jazzu, muzyki etnicznej, kabaretowej, hip-hopu po szeroko rozumianą muzykę rozrywkową. Występowała na festiwalu bluesowym „Jesień z Bluesem”. Wspierała wokalnie zespół Kasa Chorych. Wystąpiła gościnnie na płycie „Tam Tam Project” – wspólnym projekcie Piotra Jacksona Wolskiego i Tytusa Wojnowicza. Śpiewała w jazzowym zespole Driving the Car. Współtworzyła rockowy projekt WEM, z którym koncertowała po całej Polsce. Jako wokalistka sesyjna i współproducentka wspomagała takie formacje jak m.in.: Panorama Paru Faktów, Hukos, Cira, Lukasyo. Zaśpiewała gościnnie na płycie „Still Alive” zespołu COCHISE Pawła Małaszyńskiego. Z zespołem coverowym MegaBand saportowała takie gwiazdy jak: Kayah, Varius Manx, Wilki, występowała ze Smolikiem. Z zespołem deMorela doszła do finału programu „Śpiewaj i walcz”, pojawiła się też w programie „The Voice of Poland” w drużynie Ani Dąbrowskiej. Pod pseudonimem Wolska zajmuje się komponowaniem, pisaniem tekstów, aranżacją i produkcją własnej muzyki, również filmowej. Jako trenerka wokalna pomaga innym odnaleźć swój głos.

Katarzyna Droga

## Czekan i tiurniura. Kobiety w drodze na szczyt

Pierwsza w góry poszła księżna Beata Łaska, wychowanka królowej Bony. Potem długo nie działo się nic, aż wiek XIX przyniósł prawdziwy szturm kobiet na Tatry. Najpierw ciągnęła je romantyczna kontemplacja, potem sportowa rywalizacja. Pionierki nie miały łatwo: nazywano je bezczelnymi, musiały ukrywać spodnie pod falbaniastymi spódnicami. Wspinały się z parasolkami i na obcasach, ale tak właśnie wydeptały i przetarły szklaki współczesnym taterniczkom. Bywało, że za pragnienie przygody i przekraczanie granic płaciły życiem, lecz uważały, że góry są tego warte.

(...)

*Jak lekko*

*turnię zawisłą na rękach*

*utrzymać i nie paść,*

*gdy*

*w oczach przewraca się obnażona ziemia*

*do góry dnem krajobrazu*

*niebo strącając w przepaść!*

*Jak cicho*

*W zatrzęsniętej pięści pochować Zamarłą*

Julian Przyboś, *Z Tatr*.

Przyboś zadedykował swój wiersz „pamięci taterniczki, która zginęła na Zamarłej Turni”. Dość sucho. Sieć skomplikowanych metafor nie zachęca licealistów do analiz i interpretacji awangardowego utworu, tymczasem to ujęty w strofy kawałek historii kobiecego taternictwa. Kryje się za nim prawdziwa tragedia, romantyczna opowieść o miłości i śmierci... Było tak: Julian Przyboś, profesor literatury i filozofii w cieszyńskim gimnazjum, zakochał się w swojej uczennicy Marzenie Skotnicównie z Zakopanego, już wtedy znanej jako pasjonatka wypraw górskich. Marzena chodziła w góry z młodszą siostrą, Lidą, znaly wspinaczkę od dziecka, całe ich życie związane było z górami. Marzena, uważana za piękność ze względu na złote włosy i błękitne oczy, mawiała: „Tatry są mną i ja jestem nimi”. Nie odwzajemniała uczuć profesora literatury i filozofii, bo oddała



Adria Wierzbowska / PLSP w Supraślu

serce artyście, Mieczysławowi Szczuce. Szczuka dwa lata wcześniej zginął w górach – spadł z Zamarłej Turni. Lida, może nie tak atrakcyjna, ale za to jeszcze lepsza we wspinaczkę, kochała z wzajemnością starszego o kilka lat taternika Wiesława Stanisławskiego, pokonali już razem kilka szalenie trudnych tras.

Tragedia rozegrała się 6 października 1929 roku. Niedziela, piękna pogoda. Nie planowały niczego specjalnego, chciały przejść przez Zawrat do Doliny Pięciu Stawów. Nie wiadomo dlaczego impulsywnie zaczęły zdobywać wschodnią ścianę Tatr – właśnie Zamarłą Turnię (2179m n.p.m.) nazywaną też „Cieniem Szatana”. Nie wszedł tam jeszcze żaden kobiecy zespół. Być może sukces miał być swoistym porachunkiem Marzeny z górą, która uchodziła za niezdołaną i zabrała jej ukochanego? Skotnicówny nie były same na szlaku, tego dnia na Zamarłą Turnię podchodziła też grupa mężczyzn. Na widok rywali Marzena i Lida, zaczęły przyspieszać, szły brawurowo, jakby nie chciały im oddać stoku. Weszły bardzo wysoko: Lida już niemal była na Turni, gdy coś poszło nie tak, zapewne zawiódł sprzęt. Na oczach męskiej grupy odpadła ze ściany i pociągnęła za sobą siostrę. Marzena nie była w stanie utrzymać takiego szarpnięcia, runęły „niebo strącając w przepaść”. Wypadek wzburzył opinię społeczną, dziewczyny były „tutejsze”, znane, doświadczone. Zrozpaczony Przyboś napisał o tym wiersz, i w jego późniejszej twórczości już zawsze przewijał się motyw spadania, co ciekawe sam zmarł 6 października, wiele lat później.

Zamarła Turnia zyskała miano „ściany śmierci”, matkę sióstr nazwano Tatrzańską Niobe. Zaczęto dyskutować sensowność kobiecych wypraw, tym bardziej, że rok wcześniej w podobny sposób zginęły w drodze na Ostry Szczyt inne dwie kobiety – Jadwiga Honowska i Zośka Krukowska, też pełne życia, młode, zakochane. Trudno się dziwić, że nawet Jadwiga Roguska-Cybulska, prekursorka kobiecych wspinaczek, wówczas już szanowana taterniczka zawahała się, czy warto. Napisała manifest *Do młodych taterniczek*, przestrzegała kobiety, by nie wspiwały się same, lecz zawsze w męskiej obstawie.

Potoku górskiego nie da się jednak zatrzymać – kobiety chciały zdobywać szczyty, ciągnęła je tam przygoda, ryzyko, potrzeba przekraczania własnych granic. Marzena Skotnicówna pozostała symbolem tej postawy – była buntowniczką, nie godziła się z odsuwaniem kobiet od męskich pasji czy protekcyjnym ich traktowaniem. Uważała, że powinna urodzić się sto lat później, kiedy nikt

nie będzie się dziwił kobietom z liną i czekaniem. Miała rację, lecz aby tak mogło się stać, damy wcześniejszych stuleci musiały przetrzeć szlaki.

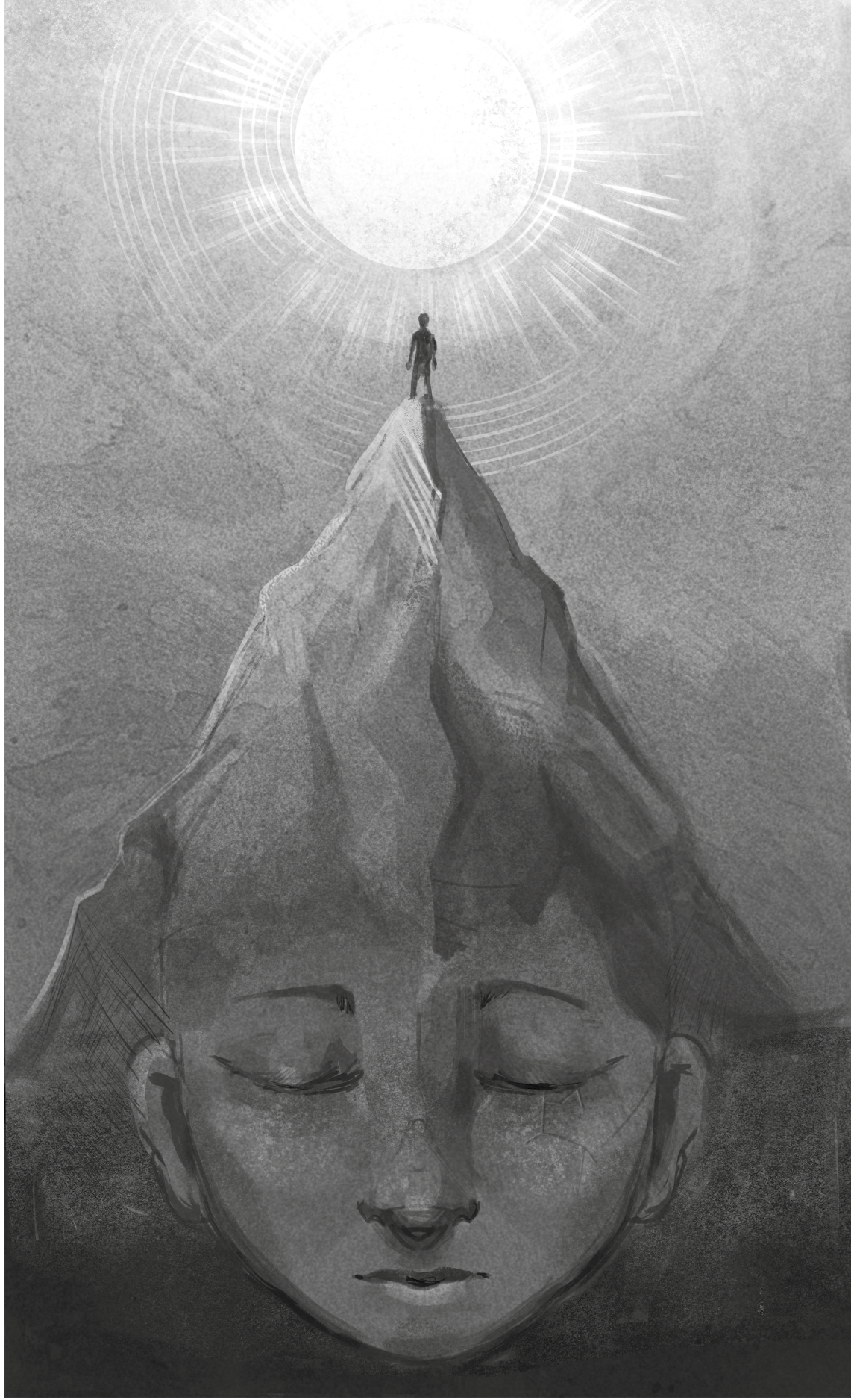
## Pierwsza była księżna Beata

Jak prawi Wielka Encyklopedia Tatrzańska: „Dnia 21 V 1565 roku Beata Łaska przybyła z mężem do Kieżmarku, gdzie na zamku wyprawiono huczne przyjęcia [...], w okresie Zielonych Świąt 1565 roku księżna w towarzystwie licznych mieszczan kieżmarskich udała się w Śnieżne Góry...”

Księżna Beata należała do renesansowych elit. Wychowana na dworze królowej Bony, kasztelanówna, żona wojewody i nadzupana Olbrachta Łaskiego, miała podobno odwagę równą mężczyznom i silny charakter. Zapragnęła pójść w Śnieżne Góry – tak wówczas zwano Tatry – więc poszła, za nią świta. Prawdopodobnie była pierwszą osobą z Rzeczypospolitej, która wpadła na taki pomysł. Wynika z tego, że polską turystykę w Tatrach zainicjowała kobieta i to w XVI wieku!

Mijały stulecia, nadszedł romantyzm, który wielbił góry w poezji i malarstwie, rozpałał wyobraźnię pań. W krynolinach i falbanach, „skrzydlatych” kapeluszach wchodziły na szlaki pierwsze turystki XIX wieku. Wprawiały w zdumienie taterników, budziły także ich niechęć, bo w swoich sukniach i pelerynach opóźniały marsz. Nie śmiały jednak włożyć ubrań męskich, spodnie uznano by za skandalicznie nieprzyzwoite, i tak góralki splotowały za nimi z pogardą na Krupówkach. Mimo to Stanisław Witkiewicz w roku 1891 odnotował refleksję o dzielnych damach: „Wszystkie percie, brzeżki, granie, przełęczce zmierzone zostały ich drobnymi stopami, i z najwyższych wirchów tatrzańskich powiewała już chorągiew – w spódnicy”. Chorągiew, dodajmy, uzdolniona literacko, bo góry przyciągały poetki i pisarki.

Był rok pański 1844, gdy księżniczka Łucja z Giedrojców Rautenstrauch wybrała się na wycieczkę ze Szczawnicy – modnego wówczas kurortu – do Morskiego Oka, a następnie do Doliny Kościeliskiej, po czym stworzyła poemat: *Miasta, góry i doliny*. Bardziej już znana Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) wybrała się w rejon Smokowca na Łomnicę, ale nie dotarła na szczyt. Uczyniła to podobno inna poetka – Maria Wolska, tak przynajmniej z egzaltacją pisała w swoich strofach. Być może fantazjowała (poetce wolno!), bo oficjalnie za pierwszą zdobywczynią Łomnicy i Gerlacha uważa się Natalię Janothównę.



Adria Wierzbowska / PLSP w Supraślu



„Wędrowiec” z roku 1889 odnotował: „słynna znakomitość muzyczna wdarła się na szczyt Garluchowski”. Owszem Natalia była kompozytorką i pianistką. Weszła pod przewodnictwem górala Macieja Sieczki, a po zejściu skomponowała cykl pięknych utworów fortepianowych, bo tak jak dla młodopolskich poetów, góry były inspiracją dla jej weny twórczej. Janothówna zaszokowała świat, bo jawnie ubrała się po męsku, podczas gdy inne damy szły na stok w sukniach, a męskie spodnie skrywały pod spódnicami. Szły wciąż jeszcze nieśmiało, wiedzione ciekawością i wyobraźnią. Natalia Janothówna poszła odważnie i zapoczątkowała trend: od niej zaczyna się poważna, profesjonalna kobieca wspinaczka górską następnego stulecia.

## Mniej egzaltacji, więcej rywalizacji

Wiek XX w Tatrach zaczął się od tego, że Wanda Herse jako pierwsza kobieta stanęła na Mnichu, uważanym za szczyt bardzo trudny do zdobycia, za to oferujący niebotycznie piękny widok. Pierwsza użyła liny do asekuracji, przewodnikiem jej był góral Klimek Bachleda, a weszli w roku 1902. Młoda warszawianka miała już za sobą górskie sukcesy – między innymi Mięguszowiecki Szczyt. Jej nazwisko kojarzy się ze znanym magazynem mody i słusznie. Dom Mody Herse prowadzili w stolicy jej ojciec i wuj, budując rodzinną fortunę i dyktując trendy mody początku stulecia. Wanda studiowała w Paryżu, sama została projektantką, wróciła i powierzono jej zarządzanie firmą. Była bardziej społecznicą niż kapitalistką, więc zwróciła uwagę na trudną sytuację kobiet w pracy, namawiała je do tworzenia stowarzyszeń i związków zawodowych. Ubierała się „inaczej” niż panie w Warszawie, jeśli już wkładała kobiece stroje, to bez ozdób i biżuterii, wołała garnitur szyty na miarę. Ścięła włosy po męsku i samodzielnie podejmowała decyzje prywatne i zawodowe. Nigdy nie wyszła za mąż, chciała zarządzać domem mody osobiście. Fotografowała – i ta pasja pchała ją w góry, na wspinaczkę. Często udawała się na szlak samotnie. Wanda Herse dożyła sędziwego wieku, nie miała własnych dzieci, ale liczną rodzinę, w której funkcjonowała jako ciotka-autorytet. W historii górskiej zapisała się jeszcze tak, że jako jedna z pierwszych kobiet zasiadła w Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Był to klub zarezerwowany do tej pory dla mężczyzn i zaproszenie do niego pań stało się rewolucją obyczajową. Wanda Herse przyczyniła się także do propagowania

turystyki górskiej, bo założyła w roku 1910 Sekcję Miłośników Gór przy Polskim Towarzystwie Krajoznawczym.

Drugą postacią, która miała aż tak wielkie zasługi w popularyzacji Tatr była wspomniana Jadwiga Roguska-Cybulska. Urodziła się w Warszawie, ale wiele lat mieszkała w Zakopanem. Panienska z dobrego domu, doskonale wykształcona na tajnych kompletach Jadwigi Sempołowskiej, biegła w śpiewie, muzyce, malarstwie. Córka kompozytora, także literatka i publicystka, jako dziewczyna spędzała nieraz z rodzicami wakacje w Zakopanem i pokochała Tatry. Przed pierwszą wojną światową uchodziła za najaktywniejszą taterniczkę: do niej należą pierwsze wejścia na ściany Mięguszowieckiego Szczytu, próby kobiecego podejścia na Zamarłą Turnię, ona też była jedną z pierwszych kobiet uprawiających narciarstwo wysokogórskie. We wspomnieniach współczesnych jawi się jako wulkan energii i brawury. Wierzyła w siebie, nocowała samotnie na szlakach, wychodziła w trasę bez latarki i czekana, zresztą później już jako dojrzała kobieta ganiła się sama za te młodzieńcze wybryki. Od roku 1927 na stałe zamieszkała w Zakopanem, tu wyszła za mąż, stąd systematycznie pisała artykuły do czasopism i szerzyła wiedzę o Tatrach w nowelach i powieści *Tajemnica Tatr*.

## Pasma klęsk i szczyty sukcesów

Wanda Jeromin, zamożna córka właścicieli garbarni, pianistka, pokochała wspinaczkę. Ruszała z Zakopanego na dziewicze szczyty z przewodnikami najwyższej klasy, takimi jak Klimek Bachleda czy Jędrzej Marusz. Inteligentna, odważna, według relacji jej towarzyszy także bardzo piękna i energiczna. Potrafiła zakłąć i nie bała się wysiłku, sprawnie używała liny i haków. Rok 1908 był jej pasmem sukcesów we wspinaczce: jako pierwsza Polka weszła na szczyt Żabi Koń, wytyczyła nową trasę na Chłopku, weszła na Żabią Lalkę, Żabi Szczyt Niżny i Rumanowy. Kiedy weszła na Iglę w grani Apostołów, taternicy nadali górze jej imię: Turnia Wandy. Znała się dobrze z Mieczysławem Karłowiczem, według niektórych byli zaręczeni. Po tragicznej śmierci muzyka – w górach pod lawiną, w roku 1908 – zajmowała się jego spuścizną. Pierwsza wojna światowa zmieniła wszystko: Jerominka straciła majątek i zdrowie, została sama. Żeby się utrzymać prowadziła sklepik w Warszawie i tęskniła za górami. Jako sześćdziesięcioletka trafiła do Ravensbruck i tu zginęła w roku 1944, ciało jej spalono w krematoryjnym piecu.

Smutna jest też biografia siostrzenicy noblistki Marii Skłodowskiej-Curie. Helena Dłuska, córka lekarzy: Kazimierza i Bronisławy. Jej matka była jedną z pierwszych polskich lekarek, studiowała, a potem praktykowała we Francji. Pod koniec wieku XIX przeniosła się z dziećmi do Polski, do Zakopanego, gdzie zajęli się z mężem tworzeniem sanatorium przeciwgruźliczego i pierwszego TOPR-u. Nie przypuszczali, że uratuje życie ich córce.

A Helena była zawołaną taterniczką: zaplatała dwa grube warkocze, nakładała okrągłe binokle, bo miała słaby wzrok, i ruszała na szlak – wołała granie od towarzystwa ludzi. Pierwszy raz weszła na Świstowy Róg (ok. 2112 m n.p.m.) jako siedemnastolatka. Lubiła wspinać się sama, ale często zdobywała góry z przyjaciółką Ireną Pawlewską, w roku 1906 razem wytyczyły nową trasę na Szczyrbski Szczyt. W 1908 r. Helena Dłuska zdobyła czterdzieści szczytów i być może to ją rozzuchwiliło. Pewnego październikowego dnia w roku 1909 wybrała się samotnie, bez lin, na środkowy ze Strążyskich Kominów. Odpadła ze ściany tuż przy szczycie, prawdopodobnie na skutek odłamania się kawałka skały. Znalezione ją poważnie ranną, prawie oskalpowaną, ze złamaną miednicą i podstawą czaszki. W rękę trzymała kartkę: „Helena Dłuska, sama, 13.10.09.”. Cudem ocalono jej życie, lecz po wypadku stopa jej nigdy nie odzyskała sprawności. Helena nie wróciła na najtrudniejsze szlaki, wyjechała do ciotki Skłodowskiej-Curie do Paryża, potem do Stanów Zjednoczonych, gdzie chodziła trochę po Górach Skalistych. Buntowniczką, zdobywczyni Tatr nie poradziła sobie z depresją, w roku 1921 popełniła samobójstwo. Jej i Pawlewskiej przypisuje się

prekursorstwo w stworzeniu wspinaczki kobiet w zawodowym stylu, takim, do jakiego wróciły kobiety dopiero po II wojnie światowej. Mimo to dwudziestolecie międzywojenne można już śmiało nazwać czasem wejścia kobiet w góry, bo było ich sporo.

Róża Drojecka zdobywała szczyty w zimowych przejściach, pisała artykuły, została przewodnikiem górskim, nauczała taternictwa, a już po wojnie, w 1967 roku uzszyła I klasę przewodnika. Malarka Orla Górka z mężem zaliczyła w latach dwudziestych i trzydziestych dziewięćdziesiąt szczytów. Wanda Czarnocka-Karpińska, lekarka medycyny sportowej, także wspinała się z mężem, i zdobyła w rok siedem szczytów tatrzańskich i nie tylko. W roku 1926 dokonała niezwykłego czynu: weszła na Mont Blanc będąc w siódmym miesiącu ciąży!

Pojawia się wśród taterniczek dwudziestolecia nazwisko znane dziś w sporcie: Zofia Radwańska. Turystka, taterniczka, narciarka, miłośniczka Tatr, z wykształcenia botaniczka badająca górszą roślinność. Osiedla w Zakopanem tuż przed II wojną światową. Już jako Radwańska-Paryska ze względu na swoje wybitne osiągnięcia taternicze, została członkiem wyprawy Klubu Wysokogórskiego w Alpy, a nigdy wcześniej nie zaproszono do takiego przedsięwzięcia kobiety. W 1937 roku weszła jako pierwsza Polka na Monte Rosa i Matternhorn. Była też pierwszą ratowniczką TOPR, i to ona zdobyła przez południową ścianę Zamarłą Turnię. Pokonała górę Marzeny Skotnicówny. Dała radę „turnię zawisłą na rękach utrzymać” – i zdobyć!



foto. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

## KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczczyzną. Współpracuje dziennikarsko z magazynem „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 roku w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.

Jan Wypiański

## Monopol na Chińczyka? Nie, dziękuję.

### Czym (nie) są dziś gry planszowe?

Wyobraźmy sobie przechodnia w godzinach szczytu, przy jednej z bardziej ruchliwych ulic większego miasta. Jakiej odpowiedzi udzieliliby zapytany, czym są dla niego gry planszowe? W większości przypadków nie pokusiliby się o sformułowanie, nawet potocznej, definicji. Z reguły odpowiedź zmierza w stronę przykładów „takich jak”, czyli, „to na pewno chodzi o Chińczyka, Monopoly”. Bardziej dociekliwi, ambitniejsi dorzucą do wymienionych tytułów jeszcze szachy i warcaby. Sprytniejsi, chcąc zablasygnąć oryginalnością, wspomną bierki lub przypomną „kapsle”. Wszystkie powyższe, zaprojektowane przeze mnie odpowiedzi w ustach potencjalnego respondenta są prawidłowe, lecz brzmiące archaicznie, jeżeli chcielibyśmy mówić o współczesnych grach. Wspomogę się ciekawostką: kiedy została stworzona gra „Monopoly”? Założę się, że niektórzy celują w lata osiemdziesiąte ubiegłego stulecia. Inni postawiliby na dekady po II wojnie światowej – lata pięćdziesiąte, może bardziej sześćdziesiąte. Prawidłowa odpowiedź: gra została opatentowana w 1935 roku, w USA. Za 13 lat najbardziej stereotypowa odpowiedź z sugerowanych dożyje setki. Jeszcze bardziej stereotypowy „Chińczyk” powstał na podstawie hinduskiej gry „pachisi”, w Niemczech, na przełomie 1907 i 1908 roku. Z jednej strony świadczy to o tym, jak bogatą historię ma świat gier planszowych, z drugiej – wiek wyżej wymienionych tytułów pozwala nam nazywać je klasykami, znajdującymi się na osi historii w wielkim dystansie od współczesności. Ilu osobom dziś zapala się lampka w głowie, gdy słyszą takie nazwy jak: „Catan”, „Kolejka”, „Wsiąść do Pociągu”, „Dixit”?

Niedoprecyzowana pozostaje jeszcze jedna kwestia: jak traktować gry planszowe? Tutaj przychodzi z pomocą spojrzenie oczami przedsiębiorcy. Przez brak własnego kodu PKD, gry planszowe są bardzo często stawiane na jednej półce z zabawkami i to dosłownie. W krajach zachodnich, jak Niemcy czy Francja, w których kultura grania w planszówki jest bardziej rozwinięta, gry postrzegane są jako rozrywka bliższa książkom, filmom

czy muzyce, toteż często naturalnie sąsiadują właśnie z takim asortymentem.

### Czym są współczesne gry planszowe?

Zacznijmy od wzięcia się za barki z próbą doprecyzowania definiensa. Gdy zasady gry wydają nam się niejasne, warto zajrzeć do angielskojęzycznej wersji – objaśnienie bywa prostsze, bardziej zrozumiałe. A więc w języku angielskim „planszówki” możemy znaleźć pod dwoma terminami: „boardgames” oraz coraz częściej spotykanym „tabletop games”, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „gry stołowe”. Dlaczego w ten sposób? Stwierdzenie gry planszowe niejako z definicji wymaga obecności planszy. Dzisiejsze gry, które rozkładamy na równych i płaskich powierzchniach, nie zawsze zawierają ten element. Obszar rozgrywki może znajdować się na kartach fizycznie położonych na stole lub bezpośrednio w naszej wyobraźni. Elementy, z których składają się omawiane gry, zazwyczaj zawierają:



fol. Justyna Sawczuk

pienki, kostki, znaczniki, żetony, karty, plansze, notesy. Co nie oznacza, iż sztandarowa planszówka musi zawierać wszystkie pozycje. Zazwyczaj jest to wybór elementów, pasujący do mechaniki znajdującej się w grze, połączony

ze zmyslnym, artystycznym (i użytecznym!) projektem, jak najlepiej oddającym immersję w świat przedstawiony.

Spoiłem w przypadku większości tytułów jest fakt, że możemy się nimi cieszyć analogowo – bez prądu. Istnieją oczywiście wyjątki, w których gra jest wspomagana aplikacją elektroniczną, w nielicznych sytuacjach – nierozzerwalnie. Nie możemy tu mówić o trendzie, a raczej o subgatunku, który ma swój skrawek przestrzeni.

Na polskim rynku funkcjonuje około sześćdziesięciu wydawców, publikujących około pięćset tytułów rocznie<sup>1</sup>, co daje nam 1½ gry wypuszczanej każdego dnia. Jak odnaleźć się w tym gąszczu wydawniczym? Kiedyś kluczowym wskaźnikiem było określenie minimalnego wieku oraz liczba graczy. Dziś też są to pewne sugestie, mogące oddawać poziom skomplikowania, jako pierwszy filtr zwracając naszą uwagę. W drugiej kolejności jednak należy zabrać się za właściwy gatunek, a jest z czego wybierać:

- **Abstrakcyjne gry strategiczne:** szachy, warcaby, go, młynek, Tryktrak (backgammon) – klasyka sięgająca swoją historią o wiele dalej niż omawiana współczesność. Z pewnością zasługuje na osobną analizę.
- **Eurogry** – nazwa nawiązuje do miejsca powstania. Są to gry z czytelnymi, średniozaawansowanymi zasadami, bardziej abstrakcyjnym powiązaniem mechaniki wraz ze światem przedstawionym. Czas gry jest relatywnie krótki. Interakcja między graczami zazwyczaj jest na znikomym poziomie. Punkty, prowadzące do zwycięstwa, są zdobywane w indywidualny sposób. Pojawia się też element losowy, taki jak rzut kośćmi czy wylosowanie karty modyfikującej reguły danej tury. Przykłady: Catan, Puerto Rico, Carcassonne, Wysokie Napięcie, Agricola.
- **Ameritrash** – gry, w których od razu zauważalne jest bogactwo formy wykonania. Z reguły zawierają wiele elementów: pięknie wykonane figurki, z dbałością o detale zaprojektowane karty i żetony. Celem Ameritrashy (zwanym w skrócie Ameri) jest maksymalne przedstawienie świata, w którym przebiega rozgrywka, jak najgłębsze „oddanie” przygody. W większości przypadków zawierają

sporą liczbę zasad oraz duży element losowy. Najczęściej wydawane przez wydawnictwa amerykańskie. Stąd nazwa. Przykłady: Arkham Horror, Talisman, Zombicide.

- **Gry imprezowe** – zawierają proste zasady. Rozgrywane są w relatywnie najkrótszym czasie spośród wszystkich gatunków. Elementem nadrzędnym jest dobra zabawa w drodze po zwycięstwo. Znajdziemy tam szeroki wachlarz projektów: od symbolicznego, prostego i czytelnego designu, na dziełach popkultury kończąc.
- **4X** (z ang. Explore, Expand, Exterminate, Exploit) – najłatwiej byłoby nazwanie tego gatunku grami strategicznymi. Cechują się najbardziej rozbudowanym poziomem zasad oraz najdłuższym czasem gry. Przykłady: Eclipse, Twilight Imperium, Sid Meier: Civilization, Runewars.
- **Legacy** – przez złośliwych nazywane grami jednorazowymi. Są to tytuły, w które gra się kampanijnie. Oznacza to, że przebieg przeżywanej opowieści jest odgórnie zaprojektowany wraz z jej wszystkimi, możliwymi zakończeniami. Zrozumienie ułatwi porównanie do komputerowych gier role playing, których spora reprezentacja oscyluje wokół tego samego rozwiązania, co w świecie planszowym. Czas gry pojedynczej przygody nie przekracza w większości przypadków dwóch godzin, natomiast ukończenie całej gry zależy od ilości przygód. Niektóre tytuły mogą zająć miesiąc, a inne rok, zakładając regularne spotkania przy stole.
- Coś pomiędzy? Tak – **powieści i komiksy paragrafowe!**

Przedstawiona klasyfikacja jest na tyle płynna, że wraz z rozwojem branży może doprowadzić do powstania kolejnych szuflad gatunkowych. Należy również pamiętać o hybrydowości. Opatentowanie mechaniki w dzisiejszych grach planszowych jest praktycznie niemożliwe. Dzieje się tak z prostego powodu. Mnogość rozwiązań powoduje przenikanie się nawzajem innowacji ze sprawdzonymi metodami, dając nowe jakościowo doświadczenie. Przez to część nowego dzieła może pozostawać cytatem starego.

<sup>1</sup> <https://quantify.pl/analiza-ryнку-gier-planszowych-w-polsce/> (dostęp: 16.11.2022)

Warto poświęcić chwilę na walor edukacyjny. Stworzona przez Karola Madaja na zlecenie IPN „Kolejka”<sup>2</sup>, poza świetną zabawą, poprzez przystępną mechanikę pozwalała wcielić się w społeczeństwo deficytów i kombinowania lat osiemdziesiątych. Gra okazała się hitem sprzedażowym, a jej dodruki do dzisiaj zapełniają wirtualne i fizyczne półki sklepowe. Planszowa adaptacja „This War of Mine” daje nam poczucie dotknięcia piekła, walki o przetrwanie na zapleczach terenów „przemielonych” przez front wojny. Ciekawostka: komputerowy pierwowzór planszowej adaptacji o tym samym tytule, trafił w tym roku do kanonu nieobowiązkowych lektur szkolnych<sup>3</sup>.

## W co najchętniej grają Polacy?

Badania zrealizowane przez Sotrender na zlecenie Narodowego Centrum Kultury potwierdzają największe zainteresowanie grami planszowymi. Za nimi znajdują się gry elektroniczne obu konsol poprzedniej generacji (Xbox, PS4), a dopiero na samym końcu gry komputerowe na PC. Jak się to ma do przedstawionych poprzednio przeze mnie gatunków? Jak widać Polacy najchętniej sięgają po coś, co będzie przystępną przygodą dla wszystkich, jednak pozwalającą się zmierzyć w skodyfikowany sposób. Wszelkie inne formy rozrywki elektronicznej zostały zdeklasowane przez analogowego faworyta.

Spróbujmy się zastanowić: skąd ta przewaga nad elektroniczną rozrywką? Dziś gry planszowe są doskonałym pomostem między pokoleniami. Pozwalają na róż-

nych zasadach komunikować się młodszym i starszym odbiorcom. Mogą uczyć i bawić w tym samym momencie. Warto wspomnieć, że trudno jest wskazać zgubny, nalogowy wpływ gier planszowych. Stanowią przystępną, modną, a w konsekwencji dobrze sprzedawalną formę obcowania z kulturą. Różnorodnością i kunsztem przekazu nam subtelną, niebezpośrednią wiadomość.



foto. Justyna Sawczuk

Dospołeczniająca rola planszówek wzrosła w dwóch ostatnich latach. Czy stało się to przez pandemię, Internet, kryzys intensywności relacji „face to face”? A może gry planszowe stały się narzędziem do przelamywania nieśmiałości w kontaktach i formą intelektualnych wyzwań? Te pytania to już zupełnie inny temat...

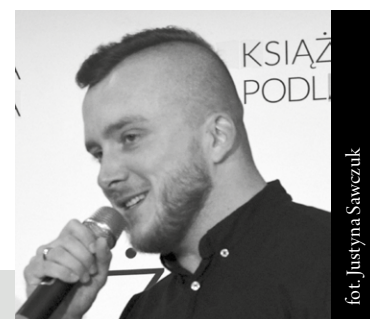


foto. Justyna Sawczuk

## JAN WYSPIAŃSKI

– od dziecka pasjonat przygody życia, jaką są dla niego gry pod wszelką postacią. Prezes fundacji Grający Białystok Johnny’ego, odpowiedzialnej za największe spotkania z planszówkami na Podlasiu. Prowadzący audycję „GameCast”, serwującej solidną porcję wiadomości wokół gier, technologii i popkultury. Z wykształcenia socjolog, z praktyki akademickiej kognitywista. Po godzinach podróznik motocyklowy, praktykujący sporty walki.

<sup>2</sup> <https://edukacja.ipn.gov.pl/edu/materialy-edukacyjne/gry/gry-planszow/93066,Kolejka.html> (dostęp: 16.11.2022)

<sup>3</sup> <https://www.gov.pl/web/grywedukacji/this-war-of-mine> (dostęp: 16.11.2022)



Małgorzata Masłowiecka,  
ilustracja do: Małgorzata Dobkowska, *Lotne*,  
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok, 2022

Irena Słomińska

## Lotne – IMPRESJA

To dziwna książka. Graficzno-poetycka. Współtworzą ją: poetka Małgorzata Dobkowska i grafik – Małgorzata Masłowiecka. Grafika stanowi tu swoiste wyobrażenie wiersza, często niedosłowne, przeczute, ulotne. Książkę reżyserują drobinki lirycznych utworów, odpryski, migawki obrazu świata. Preludium – wstęp stanowi wiersz *prośba*, w którym dominuje doznanie siebie i piękna oraz tajemnicy świata – ulotny obraz bytu, natury, okruchy wizji, a w niej jakby przeczucie siebie, zanurzonej w świecie.

Poza pierwszym tekstem, tworzonym chwilami metodą (nie formą) haiku, występują jakby krople doznań, niezatytułowane miniminiatury, w których „ja” liryczne żyje pośrednio – poprzez przyrodę.

Tom nosi tytuł *Lotne*, niby piórka zgubione przez ptaki, o których autorka mówi w przebłyskach emanacji świata. Jest tu niedopowiedziany kosmos, przyroda, człowiek – ledwo muśnięte. Egzystencja wpisana w esencję, byt, roztopiona i wtopiona w rzeczywistość, złożoną z tego,

co lotne i ulotne. Efemeryczna, ledwie tworząca obraz (choć nie zawsze) jest tu grafika.

Kontemplując ten poetycki album, doznajemy złożoności, wielopłaszczyznowości i niekonkretności człowieka i rzeczywistości. Ciągłe obecne jest tu niedopowiedzenie.

*pod powiekami  
niespokojne świetliki  
wycinają okno*

– pisze autorka, sugerując nowe, „odnowione” spojrzenie na świat, który przecież tworzą znane znaki rzeczywistości: ptaki, planety, świt, poranek, wiatr, niebo ... Zaskakują one często nieoczekiwanym skojarzeniem.

I wpisane w krajobraz serce, cień refleksji.

Książkę zredagowali Piotr Janicki i Małgorzata Masłowiecka.

Igra niedookreśloną formą.

### IRENA SŁOMIŃSKA

– urodziła się w 1948 r. w Siemiatyczach. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Poetka, autorka recenzji, współredaktorka tomików. Debiutowała w 1975 r. („Głos Szczeciński”). Opublikowała arkusze poetycki *Stopa za stopą* (1976) oraz tomiki: *Granice* (1990), *Powracają ogrody* (1994), *A przecież jest jeszcze miłość* (1999), *W błękicie odnajdziemy się o zmierzchu* (2001), *Przebaczyć sobie dzień* (2003), *A w kruchej skorupce dusza* (2004), *Smak istnienia* (współautorka, 2009), *Pogranicza* (2011), *Przydrożnym różom nie brak wyobraźni* (2012), *Doznania* (2016), *Tożsamość* (2018), *Jestem* (2019), *Nieskończony wiersz* (2019), *Ni, nie tylko Ariadny* (2020), *Lampka wiary (wybór)* (2020), *Mikrokosmos* (2021), *Pocałunki* (2021), *Szkice wierszem* (2022). Związana z Nauczycielskim Klubem Literackim w Białymstoku. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Mieszka w Białymstoku.



fot. archiwum prywatne autorki

Ewa Szarkowska

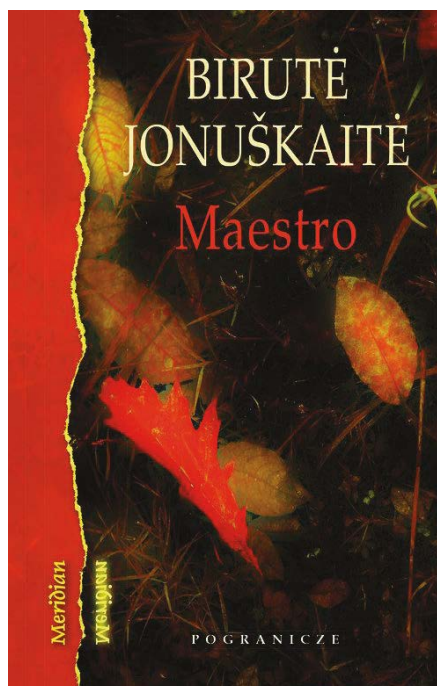
## Portret z litewską nutą

Są książki, które czyta się raz, choćby i z przyjemnością, ale potem już się do nich nie wraca. Są takie, które po przeczytaniu odkłada się z myślą, żeby koniecznie do nich zajrzeć za jakiś czas, może kilka miesięcy, a może i kilka lat. Są też takie – i do nich należy *Maestro* Birutė Jonuškaitė – które zaczyna się czytać ponownie od razu po dotarciu do ostatniej strony. Co o tym decyduje? Zaciekawienie postacią głównego bohatera? Intrygująca narracja? Chęć pełniejszego zrozumienia utworu, kiedy wszystkie (możliwe) dane zostały już przez autora przedstawione? Nadzieja, że z perspektywy końca lepiej zrozumiemy początek i środek nie tylko samej książki, ale przede wszystkim czyjegós życia?

„Pod tą jabłonią siedzi siwy starszy pan. Opiera się o pień, na jego twarzy wesoło tańczą cienie płatków. Od tego tańca wygładzają się zmarszczki. Starszy pan z uśmiechem mruży oczy. Chyba jest szczęśliwy”. Taki obraz dostajemy na zamknięcie opowieści. Sam w sobie, w oderwaniu od poprzedzającej go narracji, jest nieco zwodniczy, sugeruje akceptację i jakiś buddyjski spokój, czego raczej na próżno szukać w całej powieści. Jednocześnie – może właśnie przez ten kontrast – prawie natychmiast odsyła do początku, do tego, by przyjrzeć się raz jeszcze, z większą uwagą i już w szerszym kontekście, opowiedanej historii.

Obraz otwierający książkę jest bardziej niespokojny, fragmentaryczny, pełen jeszcze niedopowiedzeń. Oto starszy mężczyzna w kąpielni, odwrócony tyłem do widza, towarzyszy mu jakaś kobieta, ale trudno odczytać, w jakiej są relacji. Myjąc plecy mężczyźnie, kobieta zaczyna śpiewać po francusku dziecięcą piosenkę i delikatnie przytula się do jego mokrego ramienia. Chwilę trwają tak w bezruchu pełnym czułości. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że ów mężczyzna, Maestro, to podstarzały dandys i cynik, wyśmiewający u siebie i innych najmniejsze chwile słabości.

Oba obrazy dostajemy widziane oczami tej samej postaci, Rasy, towarzyszkii Maestra i głównej narratorki powieści. Pomiędzy nimi, jak w kontrapunkcie, rozciąga się proza Birutė Jonuškaitė. Proza wysmakowana, intrygująca (zarówno językowo, narracyjnie, jak i tematycznie),



Birutė Jonuškaitė, *Maestro*, Pogranicze, 2022

bogata w mało znane detale i realia z epoki. Świetnie skomponowana, tak, że nie przytłacza, nie nuży czytelnika, tylko wciąga w głąb po więcej i więcej. Zmusza do stawiania pytań, a tam, gdzie bohaterowie zadają je sobie sami – do szukania wraz z nimi odpowiedzi.

Głównym bohaterem książki jest wspomniany Maestro Wiktor, wybitny malarz, ekscentryk i samotnik, którego poznajemy u kresu życia, jako schorowanego i nieco zgorzkniałego starca. Towarzyszy mu odnaleziona po latach wnuczka Rasa, również malarka. Ich trudna relacja, pełna napięcia, tajemnic i żalu, jest jednocześnie dla obojga ostatnią deską ratunku. Bowiemy tylko próbując pozbyć się pancerza ochronnego i otworzyć się na drugiego, a jednocześnie ustępując nieco ze swej niezależności i dumy, mogą ocalić bliskość i w ogóle historię swojej rodziny.

A historia ta, opowiedziana głównie z perspektywy Wiktora, nie jest zbyt prosta i harmonijna. Jest w niej beztrojskie dzieciństwo panicyka, chłopca z dobrego domu, ale też ból odepchnięcia i porzucenia przez rodziców. Jest manieryczny przedwojenny Paryż z artystyczną socjetą, ale jest też dzikość i surowość litewskiej wsi na Sejneńszczyźnie. Jest zbombardowana Warszawa i nie mniej straszna wojna na prowincji. I na tym tle dorastanie młodego chłopaka: pierwsze fascynacje i rozczarowania, zetknięcia z pięknem,



ale i brutalnością życia. Wszystkie te doświadczenia wiele lat później będą wybrzmiewać w jego obrazach, przynosząc mu światową sławę.

Malarstwo jest motywem przewodnim tej książki. To jedyna rzecz, której Wiktor pozostaje wierny przez całe życie i która najpełniej ukazuje jego prawdziwe oblicze. Malowanie jest dla niego przyjemnością, poczynając od dziecięcych rysunków chwalonych przez dorosłych, zwłaszcza przez babcię, po sielskie obrazki wsi i przyrody widzianej oczami nastolatka. Ale staje się też koniecznością, terapią pozwalającą uwolnić się od traumy wojennych przeżyć czy utraty bliskich osób. Sam Maestro przyznaje w duszy, że całe jego malarstwo to intymny dziennik, że wszystkie obrazy, nawet te najbardziej abstrakcyjne, noszą ślady jego osobistych doświadczeń, choć stara się wydobyć z nich to, co uniwersalne, wspólne dla wszystkich ludzi.

Komplementarność doświadczeń życiowych artysty i jego dzieł jest w książce silnie akcentowana. Jakby pod postacią Wiktora autorka przemycić chciała swoje osobiste przekonania o źródłach prawdziwej sztuki, nie tylko malarstwa, ale też na przykład literatury. Dowodzić tego wydają się dość obszerne, a przy tym bardzo osobiste notatki z pisania powieści, zamieszczone na końcu książki. Sztuka może wyrastać tylko z tego, kim człowiek jest i co przeżył, z jego osobistych doświadczeń przenicowanych przez wrażliwość i umiejętności. Tyle że odkrywanie własnej tożsamości bywa bolesne i trudne, rodzi wiele wątpliwości. Wiktor nieraz się o tym przekonał, ale jak na prawdziwego artystę przystało, nie ustaje w stawianiu pytań i szukaniu odpowiedzi.

„Kto przemawia naszymi ustami? Kto podpisuje za nas najważniejsze pakti? Skąd przynosimy pewność naszej przyszłości? (...) Może widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć? (...) Jak i z czego powstaje ból?”. Czasem Maestro zdaje się sobie (i nam) odpowiadać, odsłania swój sposób myślenia i rozumienia rzeczywistości, częściej jednak zostawia tylko tropy, punkty orientacyjne swoich dociekań, jak kamienie wystające tu i tam z wody, po których trzeba skakać, by dotrzeć na drugi brzeg.

Takich filozoficznych pytań jest w książce Jonuškaitė całkiem sporo, zwłaszcza, gdy do głosu Wiktora dołącza Rasa, równie jak on zbuntowana i niepokojona z życiem. Ich dialogi pełne są intelektualnego napięcia, ale też trafnych życiowych obserwacji, do czego – jako malarze – mają wyjątkowo sprawne oko. Ta filozoficzna

dialogowość jest ogromną zaletą powieści. Pozwala przekroczyć ramy jednego tematu (malarstwo) czy jednego życiorysu (Wiktor), by stać się uniwersalną opowieścią o ludzkiej kondycji w ogóle. Dlatego po książkę *Maestro* może sięgnąć każdy, także ktoś, kto niespecjalnie interesuje się malarstwem.

Niemniej trzeba przyznać, że wielka sugestywność i znajomość rzeczy, z jaką autorka opisuje malarskie dokonania swego bohatera wywołuje w czytelniku przemożną chęć ich zobaczenia. Najlepiej, gdyby opisywane obrazy mogły ilustrować na bieżąco tekst powieści. Te wszystkie portrety Zyni (leśna znachorka i pierwsza erotyczna fascynacja Wiktora), obrazy Stefana z luską pocisku niosącego zarówno pozdrowienia, jak i śmierć, cykl rozliczający się z niezawinioną śmiercią japońskiej studentki czy zwyczajnie pejzaże Sejneńszczyzny.

Wielką zaletą książki jest bogactwo szczegółów obyczajowych i realiów z epoki. Czy jest to snuta przez Wiktora opowieść o modnym paryskim fryzjerze Tonim (Antoni Cierplikowski), czy widziane oczami dziecka zakazane rejony przedwojennej Warszawy, wakacje spędzane nad jeziorem Gaładuś, czy wreszcie smutne realia czasów wojny – wszędzie dostajemy opowieść pełną pietyzmu i autentyczności. Z pewnością dla wielu czytelników wartością dodaną będzie szeroko opisana historia i obyczajowość mniejszości litewskiej, mieszkającej w okolicach Sejn, przemyczone elementy litewskiego folkloru.

Na koniec niech przemówi sam Maestro. Może ktoś przejrzy się w jego słowach i odnajdzie cień własnych poszukiwań. Albo przeciwnie, poczuje się sprowokowany do dyskusji – zechce zmodyfikować pytania i/ albo skorygować odpowiedzi. Tak czy inaczej będzie to sukces Birutė Jonuškaitė.

„Na początku było słowo, na końcu też będzie słowo. A między tymi słowami odbywa się nasze spotkanie. Czas cichego współlistnienia, mijania się i rozmijania, zbliżeń i oddaleń. Nieuchwytnych. A co, jeśli tylko gromadziłem zdobytą już przez ludzkość wiedzę, starając się zrozumieć, jak jest skonstruowany ten świat, ale własnych wniosków nie zapisałem? Ile są warte moje nieutrwalone myśli, nieutrwalone doświadczenia? Nieutrwalone cierpienie? Nieutrwalony zachwyty, który wzbudzili we mnie autorzy sprzed wieków?”

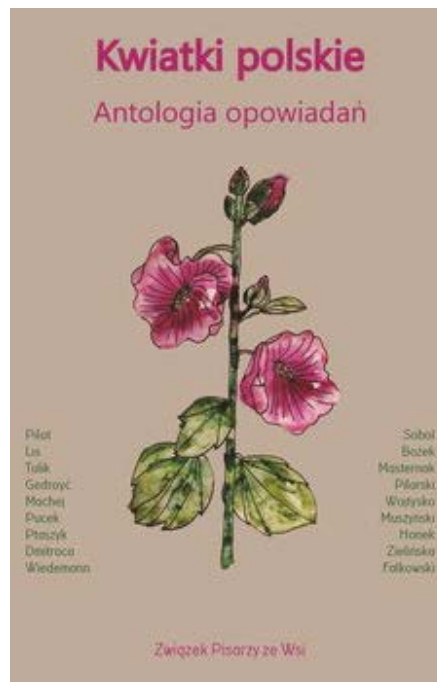
PS. Dobra wiadomość dla tych, których zainteresuje *Maestro* – postaci Wiktora i Rasy występują również we wcześniejszej książce Birutė Jonuškaitė, *Maranta*.

## Takie kwiatki!

Dla tych, co tęsknią za przyrodą. Za wsią i prostym życiem. Albo za zielenią w miejskich murach. Za pająkami i pokrzywami. Albo za lekkością dmuchawców. Za miłością (do) drzew. A czasem za metafizyką. Również dla tych, którzy nie tęsknią, a chcieliby. I dla tych, którzy nie tęsknią, ale muszą, bo niezbywalna siła ciężenia wiedzie ich ku korzeniom. *Kwiatki polskie*. Osiemnaście rzadkich okazów *flora literaria*. Opowiadań mniej lub bardziej rozrośniętych, wybujałych od słońca i autorskiej wyobraźni, czasem żartobliwych, częściej skłonnych do nostalgii (zapewne winna szerokość geograficzna). Dowodzących niezbitcie, że sekretne życie roślin trwa w najlepsze, choć czasem w takich rejestrach, do których rzadko zagląda przyziemny umysł.

Kwiaty doniczkowe, ogrodowe, łąkowe, „(…) kwiatki po babci, kwiatki z przeceny, kwiatki ze śmietnika, kwiatki z klatki schodowej, kwiatki-nietrafione-prezenty (…).” Rośliny nielubiane (jak perz czy pokrzywy), niezauważane (mchy czy porosty) lub niebezpieczne (bieluń). Wreszcie drzewa, tak ogółem, jak i w postaci pojedynczej. A nawet „kwiaty nieistniejące”, jak np. roślinne wzory malowane mrozem na szybach. Pełny przekrój form, gatunków i znaczeń. Modelowa bioróżnorodność, jak w dobrym ekosystemie.

Podobnie w strukturze książki. W ślad za zróżnicowaniem pokoleniowym autorów (od urodzonych przed wojną po dzisiejszych trzydziestolatków) idzie różnorodność form wypowiedzi i sposobów ujęcia „zadanej” tematyki. Są zatem szkice autobiograficzne, przeplatane się z quasi naukowym opracowaniem (*Krasula w liliach i starty na proch gad, Moiczek*) lub opisujące poczucie straty (*Kośba*). Są opowiadania realistyczne (jak np. *Brzeg* czy *Hanna*), czasem puszczające do czytelnika oko (*Dzień naci*), czy teksty jawnie fantasmagoryczne (*Liść zimowy i dmuchawce* czy *O Jaśku, co poszedł do ziemi*). Jest namiastka eko prozy (*Romuś*), bliski poetyce lingwizmu (a przy tym dość wulgarny) monolog dębu skazanego na ścięcie (*Błuźwy, rzęzy, wjebny, wkurwy, szlochysz omszałego dęba, tępą piłą rezanego przez rezun-ministra Antoniego Żyngiel-Rzęcha*),



Praca zbiorowa, *Kwiatki polskie*, Fundacja Sąsiedzi, 2022

czy mały traktat filozoficzny paproci (*Tarantula na torcie [Milczenie paproci]*).

Świeżością zaskakują teksty, w których opowieść jest prowadzona z perspektywy roślin, a narratorem jest konkretny kwiat (kwiaty) lub drzewo. Tak jest np. w *Sekretnym życiu roślin*, gdzie pojawia się zabawny dialog roślin doniczkowych, czy w *Brzozie*, gdzie historia życia pewnej kobiety (od małej dziewczynki do staruszki) zostaje opowiedziana przez rosnącą w pobliżu jej obejścia brzozę. Podobnie w opowiadaniu *Turki w Polsce*, gdzie rolę narratora przejmują aksamitki rosnące na balkonie. Ich spojrzenie i ocena sytuacji stanowią cenną próbę odejścia od antropocentrycznej narracji, dając przy tym sposobność wytknięcia ludzkich wad i śmieszności.

Różnorodność przejawia się również w potraktowaniu tematu. Najczęściej głównym przedmiotem narracji jest konkretny przedstawiciel flory. Jego perypetie lub doświadczenia (np. hazardowe przypadki grubosza Ambrożego czy tulaczka wystawionego na śmietnik wilczomlecza) są podstawą opowiadanej historii. Czasem jest to niemal systematyczny opis danej rośliny, takiego na przykład mniszka czy perzu. Innym razem botanika jest tylko pretekstem do pokazania ludzkiej historii, tak jak ma to miejsce

w *Brzozie* (patrz wyżej) czy w *Hannie* (gdzie wspomnienie zrywanych jabłek staje się dla bohaterki pretekstem do snucia rozważań o śmierci).

W zasadzie wszystkie opowiadania wychodzą poza atlas przyrody – pod maską roślin albo przy ich pomocy nazywają tematy czysto ludzkie: miłość, śmierć, lęk, przemijanie, żal utraty. Albo też pokazują stosunek ludzi do otaczającego świata. Dowodzą, jak bardzo potrzebujemy natury

do prawidłowego funkcjonowania i jak bardzo nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nie zauważamy tych wszystkich „małych cudów przyrody”. Dobrze, że są tacy, co widzą i potrafią je celnie opisać. A na dodatek poczuć jeszcze związek z innymi piszącymi i utworzyć Związek Pisarzy ze Wsi. Antologia opowiadań jest debiutancką publikacją Związku. Teraz wypada czekać na następną.

## EWA SZARKOWSKA

– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski.



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Justyna Sawczuk

## Wbrew schematom

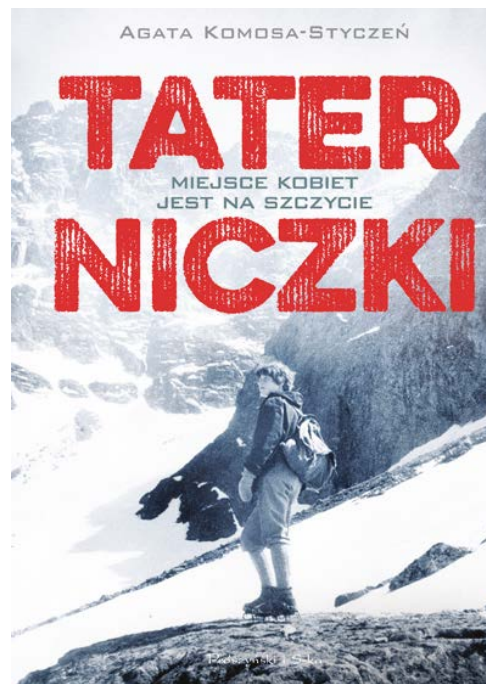
Jeśli przejrzymy listę nazwisk Polaków, którzy zdobywali najwyższe górskie szczyty i wytyczali nowe drogi, okaże się, że przeważają mężczyźni. Możemy oczywiście przyjąć, że to kwestia siły i umiejętności z domieszką szczęścia, które w górach zdaje się odgrywać sporą rolę, ale Agata Komosa-Styczeń zwraca uwagę na jeszcze jedną, potencjalną przyczynę takiego stanu rzeczy – droga kobiet, pragnących zdobywać wysokie góry, była przez lata usłana... ograniczeniami, wynikającymi z przypisanej im roli społecznej i głęboko zakorzenionych w patriarchalnym społeczeństwie schematów. Stąd pomysł, by pokazać z czym musiały się mierzyć i opowiedzieć o górskich doświadczeniach z ich perspektywy. Tak powstały *Taterniczki*.

Pierwszą udokumentowaną wyprawą rekreacyjną w Tatry, była podróż Beaty Łaskiej – szlachcianki, wychowanej na dworze królowej Bony i kochanki Zygmunta Jagiellończyka (później Zygmunta I Starego) – w 1565 r., jednak prawdziwy rozwój turystyki tatrzańskiej przypada na koniec XVIII i XIX wiek. W 1858 r. Maria Steczkowska napisała pierwszy tatrzański przewodnik, zachęcający dziewczęta do odkrywania Tatr.

Pierwsze taterniczki zmagaly się nie tylko z trudami wspinaczki, ale też ze stereotypami, np. spodnie, które zdarzało im się nosić w górach, w Zakopanem wywoływałyby skandal. Ponadto część mężczyzn była zdania, że kobiety są zbyt słabe na górskie wyprawy i że to zwyczajnie „nie przystoi”.

Tradycyjne przekonania i kąśliwe uwagi nie były jednak w stanie zatrzymać pań, zafascynowanych Tatrami. W 1908 r. Helena Dłuska i Irena Pawlewska jako pierwsze w historii zdobyły szczyt (Szczyrbski Szczyt) bez męskiego towarzystwa. Momentem przełomowym było włączenie kobiet do Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego w 1910 r.

Mogłabym tak długo, bo opowieści przytaczane przez Agatę Komosę-Styczeń są doprawdy niezwykle, a lekkość pióra autorki sprawia, że *Taterniczki* czyta się z ogromną przyjemnością.



Agata Komosa-Styczeń, *Taterniczki. Miejsce kobiet jest na szczycie*, Prószyński i S-ka, 2021

Komosa-Styczeń przywołuje sylwetki kobiet, które zapisały się w „wysokogórskiej historii”, pomagając utrować drogę do zdobywania szczytów i eksploracji gór, kolejnym pokoleniom Polek. Znajdziemy tam m.in. opowieści o Zofii Radwańskiej-Paryskiej – pierwszej ratownicze TOPR-u i przewodniczce, o grotolazce i taterniczce – Zofii Steckiej, dr Dicie Kicińskiej – pionierce speleologii, ale także „gwiazdach” pokroju Wandy Rutkiewicz, Haliny Krüger-Syrokomskiej czy Anny Czerwińskiej.

Jednym z największych atutów tej książki jest to, że przez pryzmat życiorysów, pojawiających się chronologicznie, widzimy jak zmieniała się pozycja kobiet w społeczeństwie, jak zwiększała się ich samodzielność i dostęp do sfer, zarezerwowanych do tej pory dla mężczyzn.

Kolejny mocny punkt, to wspaniale oddany klimat lat 60. i 70. – trudy szkolenia, czas wspólnie spędzany w schroniskach, radości, romanse, przyjaźnie, poczucie że choć brakowało sprzętu, bywało chłodno i głodno, to liczyła się pasja i więzi międzyludzkie. Na tle tych wspomnień, współczesność wypada raczej błado: wszechobecna dostępność kursów i wypraw nie przekłada się na solidne przygotowanie do wspinaczki – niegdyś wymagania wobec kursantów

były znacznie wyższe, trudniej dziś o przyjaźnie – jesteśmy nastawieni na siebie, na indywidualne wyniki.

Nie sposób nie docenić warstwy ikonograficznej tej publikacji, archiwalne zdjęcia polskich taterniczek przenoszą nas na chwilę w czasie, pozwalają dostrzec zmiany w wyglądzie czy wyposażeniu, podejrzec warunki panujące podczas wypraw.

We wstępie Agata Komosa-Styczeń pisze o tym, że wiele osiągnięć przedwojennych zdobywczyń górskich szczytów nie zostało nigdzie odnotowanych, ponieważ wychowane w patriarchalnym społeczeństwie nie walczyły o miejsce należne im w historii. Część wybitnych taterniczek nie dała się nawet namówić na rozmowę, od jednej autorka usłyszała wprost: „( ... ) kiedyś nie epatowało się tak własnymi osiągnięciami” (s. 10).

XXI wiek przyniósł kobietom swobodę wyboru i łatwiejszy dostęp do dyscyplin jeszcze sto lat temu postrzeganych jako męskie. Okazuje się jednak, że nadal spora część pań boryka się z brakiem wiary we własne umiejętności, niskim poczuciem własnej wartości, bywa, że odbijają się od ścian hermetycznego, męskiego środowiska. Potwierdzają to rozmówczynie Komosa-Styczeń, choć jednocześnie warto zaznaczyć, że nie wszystkie zgadzają się z tezą „kobiety mają trudniej”, jaką zdaje się stawiać autorka na początku książki. Spora grupa mówi o olbrzymim wsparciu, jakie otrzymały od kolegów i partnerskim traktowaniu.

Sięgając po *Taterniczki*, obawiałam się nieco, że trafię na leksykon naszpikowany suchymi faktami, tymczasem otrzymałam nie tylko porcję wiedzy, ale też fascynującą opowieść oraz impuls do przemyśleń na temat ograniczeń, jakie mamy w głowach i jakie próbuje nam – kobietom – narzucać część społeczeństwa.



Magdalena Wilczyńska / PLSP w Supraślu

## JUSTYNA SAWCZUK

– redaktor naczelna nieregularnika „Epea. Pismo literackie”. Współpracowała z „Kurierem Porannym” oraz białostockim ośrodkiem Telewizji Polskiej. Prowadząca spotkania autorskie, blogerka i vlogerka.



foto. Andrzej Androsiuk

Piotr Janicki

## A co ty byś zrobiła?

Gdy wreszcie szczęśliwie dopuszczono, że podstawową materią filozofii jest rzeczywistość subiektywna, a zatem podlega ona wpływowi naszego umysłu, co znaczy, że jest przezeń urządzana, to i przyjęto, że miary umysł wylania z długiego szeregu możliwości, współczekających możliwości, że kiedy nie mierzy, to może być tak, że po prostu jest, tj. jest pusty (nierzeczystny), więc wszystkożerny, a co mu się przydarzy, na tej mocy jest darem; tak i ja potraktowałem *Momenty* Urszuli Koziol.

Już tytuł tomu sam w sobie jest piękny, bo moment to przecież znacząca chwila<sup>1</sup>, mały poruszyciel wydobywający z „dnia i nocy wieczystej” (badaj motto do zaczynającego tom poematu pt. *Melomonolog*) myśl czy stan, albo ich wiązkę, jak w piętrowym obrazie *Raport* z walącym się w pierw na podmiotkę zachmurzonym, deszczowym niebem, który to obraz (nie zdradzę metafizycznej – po teologicznej, a przed pozytywną – fazy wiersza) transmutuje i obraca się w niebowzięcie.

Ale coś dużo większego przykuło mnie na dłużej do książki i do tego pilem w pierwszym akapicie: wspomniany w nim początkowy utwór wykorzystuje do snucia pewnej wizji pojęcie losu rozumianego inaczej, niż mapa powierzchniowych wpływów. Los tu jest rodzajem wizjonera („dał mi do wyboru”), a uczestniczka („wybrałam”) jego gry okazuje się teje współfundatorką:

*od zarania bytu pociągała mnie dwoistość*  
*utrwałała się we mnie*  
 (...) *ja widzialna i niewidzialna ja*  
*ja i ja współlistniejące.*

Więc okay, dwoistość, jednakże specyficznie rozwijana, ponieważ nie w opozycje, a raczej coś w rodzaju sumy („we dwie” to i owo), „żeby znaleźć się tu i tu / być w tym i tamtym”, co bez wątpienia wzbogaca „ja”, a jego treść czyni momentami wręcz ekstrawagancką, jak w tej pyszocie:



Urszula Koziol, *Momenty*, Wydawnictwo Literackie, 2022

*ja niewidzialna*  
*zaskakuję mnie widzialną*

Poemat, chociaż niespecjalnie długi, jest rozwojowy i ma swoje pięknięcie, nawet nie trzeba dużego wysiłku, żeby zgadnąć, że chodzi o widmo... No właśnie, najlepiej, żebyś sobie sam to sprawdził, bo coś dużo większego pojawia się w książce za każdym wierszem, wersem tak chwilami przejmującym, że chce się zawyć, żeby uciszyć swoje czytelnicze obejście i złożyć gdzieś pod kamieniem „uciulaną tu pamięć”, ale nie wolno nie powiedzieć, że *Momenty* są promieniującym na pół łąki kwiatem maku, tak, maku, bo ma taką przedziwną właściwość, że pod wieczór jego czerwień kompletnie przestaje być (widoczna) i potem, następnego dnia można być pełnym podziwu dla tej subtelności.

Tak właśnie rozumiem „ja”, że go nie ma w pobliżu równoważni, z której krzyczycie o powinnościach wobec tego, tamtego i tamtych, że to inny skill:

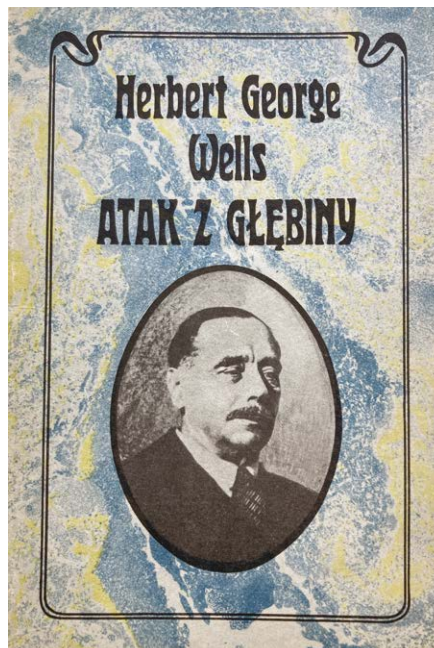
*Potrafię z zamkniętymi ustami*  
*niemo*  
*czekać bez ruchu na ślepą noc*  
*niemo*

<sup>1</sup> „Moment”, coś trwa. „Za moment”, za tę chwilę, której nie myślę przegapić.

## Punktualnie nigdy

Dwie miniatury mistrza niespełniających się wizji z detalicznym wstępem Andrzeja Zgorzelskiego, którego komentarz odsłania to, co dla nas najistotniejsze w numerze poświęconym a to potrzebom odkrywania na metaforycznej osi góra – dół, a to jakimś transgresywnym ambicjom: bohater skoku w morską głębinę z opowiadania *W otchłani* zupełnie nie przygotował narzędzi, kolb i ołówków kreślarskich, dzięki którym udokumentowałby swoje doznania. Stworzył on i w toku prób udoskonalił kapsułę, mającą go zwieźć na dno morskie, a potem z niej wydobyć. Najobszerniejsza prezentacja mechanizmów kapsuły mówi o sposobie jej zanurzenia i wynurzenia tak, żeby pasażer wrócił na powierzchnię żywy. Czy nie o to chodzi alpinistom? Och, pewnie, że nie tylko o to, więc nie czepiajmy się w takiej chwili nieznacznej manipulacji recenzenckiej i nie próbujmy wślaczać w nas uczucia osamotnienia ...

Czego więc doświadcza hydronauta podczas opadania i już na dzień? Pięć mil w głąb, ciemności, wydawałoby się, a jednak nie na tyle egipskie, by Elstead nie wziął holdu dla swojego dokonania (i – co ważne – nie holdu dla ludzkości)<sup>1</sup>. W kulminacyjnej dla pobytu na dnie chwili „Gdy się tak [Elstead – PJ] niespodziewanie ukazał, śpiew przekształcił się w ekstatyczne okrzyki ...”. Chwilę zaś później „Nie wiedział, w jaki sposób się uwolnił, sądząc jednak z końca liny, po prostu przetarła się ona o krawędź ołtarza”. Ołtarza. Nie niesamowite?



Herbert George Wells, *Atak z głębin*, Wydawnictwo Morskie, 1985

Na koniec trzeci fragment, w jakiś przejmujący sposób podsumowujący naszą cywilizacyjną zdobycz czubka własnego nosa:

„Niekiedy tonące przedmioty powalają ich [mieszkańców dna – PJ] i miażdżą, jak gdyby z wyroku jakiejś niewidzialnej siły w górze, a niekiedy zsyłają rzeczy niezwykle rzadkie czy niezwykle użyteczne albo wyroby stanowiące inspirację dla nowych pomysłów”.

### PIOTR JANICKI

– urodzony w 1974 r. w Białymstoku, mieszka w Supraślu. Współtwórca i redaktor zina poetyckiego [www.cycgada.art.pl](http://www.cycgada.art.pl) (2005-2010). Autor tomów poetyckich: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014), *13 sztuk* (2016), „psia książka” (2018), *Spis treści* (wraz z Adamem Kaczanowskim) (2020), *Ćwiczenia muzyczne albo księga muz napisane przeze mnie na gruzach cesarstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.* (2022). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty „Boży rok” (2007).



foto Justyna Sawczuk

<sup>1</sup> Zob. s. 36 i fragment zaczynający się od „– Wielki Boże!”, a kończący zdaniem „Otchłanie!”.

## Recenzje Redakcji

Zofia Piłasiewicz, *Rzeka. Opowieść Czarnej Hańczy*, Paśny Buriat, 2022

Poetycka opowieść, którą snuje ... rzeka. Wspomina swoje narodziny i tych, którzy pojawiali się nad jej brzegami na przestrzeni wieków, mówi o współistnieniu z człowiekiem, florą i fauną. W wodach Czarnej Hańczy łączą się losy zdradzonej kobiety, spragnionej sarny i płotki szukającej ochłody. Nosi w sobie pamięć przeszłości, pamięć doświadczeń: miłości, śmierci, wojny...

*Łaskawie zasypuje  
piaskiem  
ołowiane kule  
ugrzęzłe w mule*

Poemat Zofii Piłasiewicz pełen jest czułości i zachwyty nad „małą ojczyzną”, opiewa piękno augustowskiej przyrody: jezior i lasów, smak jagodzianki, dźwięk harmonii. Przypomina, że gatunek ludzki współzależny jest od Matki Ziemi i winien współzycystować z nią, miast starać się ją sobie podporządkować. Tymczasem współczesny człowiek próbując poskromić rzekę, zdaje się zapominać o dwoistości jej natury – kusząca łagodnością, potrafi uderzyć z wielką siłą:

*W obetonowanym wnętrzu  
tylko czekam na deszcz*

*na wiatr, na siostry  
co wleją mi siłę  
bym runęła  
(...)  
nie zważając na nic  
byle dalej przelać  
uwięzione koryto  
roztrzaskać  
wydobyć się  
z gorsetów  
tych płonnych  
planów  
przewidywać  
kontroli...*

Lirycznej opowieści towarzyszą fotografie Zofii Piłasiewicz, dzięki czemu publikacja nabiera „albumowego” charakteru. Warto podkreślić, że zdjęcia stanowią nie tylko uzupełnienie tekstu, ale też mogą tworzyć odrębną narrację. Choć w tytule pojawia się Czarna Hańcza, jest to historia uniwersalna. Jak napisał Piotr Brysacz: „Rzeka [to] metafora życia – zmierzająca od początku do końca, czasem prosto do celu, czasem meandrami; pierwotna siła, dająca życie, oczyszczająca, niosąca ukojenie ...”.

(js)





Jan Belcik, *Jeszcze inne cienie*, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Krośnieńskiej, 2022

Pozostają raczej odporna na piękno lirycznych fraz. Nie robi na mnie wrażenia słowna ekwilibrystyka, wymyślne metafory, odrzuca też dosłowność, powtarzalność tematów, patos i banal. Czasami jednak trafiam na wiersze, które poruszają do głębi, uruchamiają falę wspomnień, tęsknot i pragnień, a że nie zdarza się to często, zapadają w serce, otulając słowem to, co ważne i piękne. Taką nieoczekiwaną porcję emocji zaserwował mi swoim tomem *Jeszcze inne cienie* Jan Belcik.

Autor podzielił wspomniany zbiór na trzy części: I *Spadek*, II *Dedykacje* oraz III *Cienie podróży*. I to właśnie część pierwsza wywarła na mnie tak wielkie wrażenie. To piękne, intymne opisy przestrzeni wspomnień, postaci ojca i matki oraz trudu, jakiego domagała się beskidzka ziemia. Jest w tych utworach czułość, z jaką myślimy o miejscach nam bliskich.

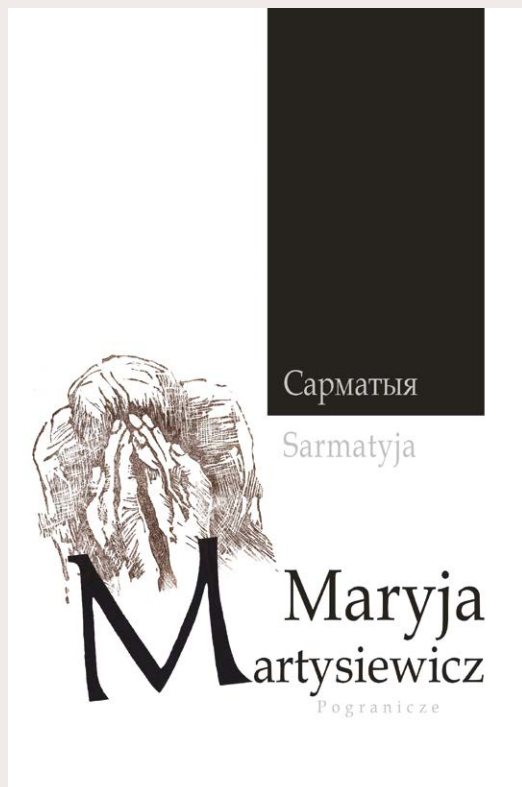
Jesień ma w wierszach Belcika wymiar symboliczny – z perspektywy jesieni podmiot liryczny patrzy na świat, rejestrując zmiany. Ograny przecież motyw przemijania, autor przemycy subtelnie, łagodnie.

To, co wydaje się szczególnie cenne, to sięganie do miejsc i historii regionu, jak wspomnienie zbiorowej mogiły Żydów z Dukli, znajdującej się u podnóża wzgórza Błudna.

Beskid – jego piękno i klimat wzbudzają nieprzesadzony zachwyt autora, ale równie ważni wydają się być dla niego ludzie, m.in. Julian Przyboś, Krzysztof Kuczkowski, Wojciech Kass, Wiesław Setlak i wielu innych, którym poświęcił utwory z części II *Dedykacje*. Nie ukrywam, że ta część wydała mi się najbardziej „obca”, a teksty w niej zawarte „nierówne”. Z przyjemnością natomiast zatrzymałam się przy części III *Cienie podróży*. Te poetyckie pocztówki z Białorusi, Gruzji czy Armenii, są nośnikami wrażeń, wspomnień, zapisem odczuć związanych z danym miejscem i towarzyszących podróżom myśli.

Trzymam w dłoniach cieniutką książeczkę. Nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle sterty innych, leżących na moim biurku. Niepozorna, kryje w sobie ogrom wrażliwości, piękna i wdzięczności, zamkniętych w słowach.

(js)



Maryja Martysiewicz, *Sarmatyja*, Pogranicze, 2022

Tomik poetycki Maryji Martysiewicz czyta się jak dobrą powieść. Jest w niej wszystko, co w powieści powinno się znaleźć: szerokie tło historyczno-obyczajowe, wyrazista bohaterka, element tajemnicy i zaskoczenia, i oczywiście wątek erotyczny. Tylko forma jest bardziej skondensowana i metaforyczna, więcej treści ukrytych między wersami i między wierszami. Większa subtelność opisu.

Poszczególne odsłony poematu (w sumie jest ich trzydzieści) mogą stanowić samoistne utwory, choć znacznie lepiej czytać je jako całość. Wtedy oświetlają się wzajemnie i nabierają znaczeń. Tym bardziej, że zostały pomyślane jako listy pisane przez bohaterkę z obcego kraju do siostry. Ta epistolograficzna forma przydaje utworom wiarygodności, uprawia je w ruch, w interakcję, choćby i z wyimaginowaną osobą. Na swój sposób zaświadcza o *czyimś* życiu.

Narratorką listów jest Heloiza, kobieta wykształcona i niezależna, cudzoziemka, która (przypadkiem?) trafia do kraju Sarmatów i w nim pozostaje, idąc za głosem

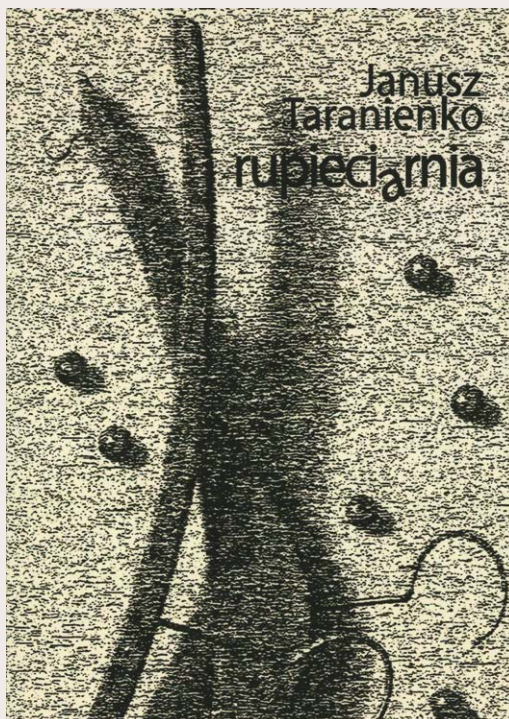
serca. Trochę podróżniczka, trochę etnografka – na pewno odmienna od miejscowych kobiet, wyróżniająca się wzrostem i strojem, ale przede wszystkim inteligencją. „Mówią, że mój umysł to objaw niepokojący.” Próbuje poznać (i zrozumieć) kulturę Sarmatów, pisze o ich życiu i śmierci, notuje zwyczaje, przesady, realia obyczajowe, ale też własne refleksje.

Z opisów tych wylania się postać silnej i świadomej kobiety, której trzeźwości sądów nie mąci nawet miłość do ukochanego. „Ja sama jestem winna, / że gniazduję w tym bagnie”. Świadomość ta jednak nie chroni jej przed tragedią, gdyż presja grupy społecznej bywa czasem silniejsza niż miłość. Powraca znany w kulturze motyw kobiety wyemancypowanej, postrzeganej jako zagrożenie dla czyjegoś status quo i ponoszącej w związku z tym karę. Dlatego można odczytywać poemat Martysiewicz także przez pryzmat feminizmu.

Autorka stara się zdefiniować, czym jest owa sarmatia/Sarmatia. Podaje pewne współrzędne, które pozwalają z grubsza określić czas i miejsce akcji – rzecz dzieje się mniej więcej w XVII wieku i mniej więcej na dawnych ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego (jako punkt orientacyjny pada nazwa Wilno). Ale jednocześnie wielokrotnie i z rozmysłem te współrzędne przekracza. Dość szybko orientujemy się, że na dobrą sprawę ta historia może (mogła) dziać się zawsze i wszędzie. Uniwersalne jest doświadczenie nieprzystawania, bycia obcym/ obcą w jakiejś społeczności. Niektóre frazy brzmią nad wyraz aktualnie.

Jest *Sarmatyja* poematem o poszukiwaniu tożsamości (zbiorowej, etnicznej, ale też indywidualnej i płciowej), szczególną próbą opisania świata. Dzięki swojej wielopoziomowości – można uznać ją bowiem za poemat epistolograficzny, historię nieszczęśliwej miłości, poetyckie zapiski z etnografii, czy wreszcie feministyczne przesłanie – pozostaje tekstem uniwersalnym i otwartym na interpretacje. Intrygujące!

(esz)



Janusz Taranienko, *rupieciarnia*, Stowarzyszenie Promocji Sztuki Łyżka Mleka, 2022

Jest zwyczaj, żeby przeciwstawić poezję, która opowiada, poezji, która pokazuje (to, przy okazji, często robota podobna odsłanianiu starych murów spod murarskiej zaprawy, tym się troszkę różniąc, że zamiast szycht, odsłaniane są nie wiadomo właściwie co z czym stykające złączenia). Na pierwszą część dopiero co wydanego tomu Janusza Taranienki, część zatytułowaną *antologia*, składają się większe objętościowo wiersze pokazujące... opowiadanie, czyli znoszące zarysowaną wyżej naprędce opozycję. Opowiadaniu temu i pokazywaniu zarazem z pomocą idą, jako budowniczości – co warto podkreślić – zgrabne ustrojstwa, jak lokalne dialekty, datowania, dopiski, wszystkie w polifonicznej służbie Taranienki i efekt tej współpracy jest bardzo przekonujący.

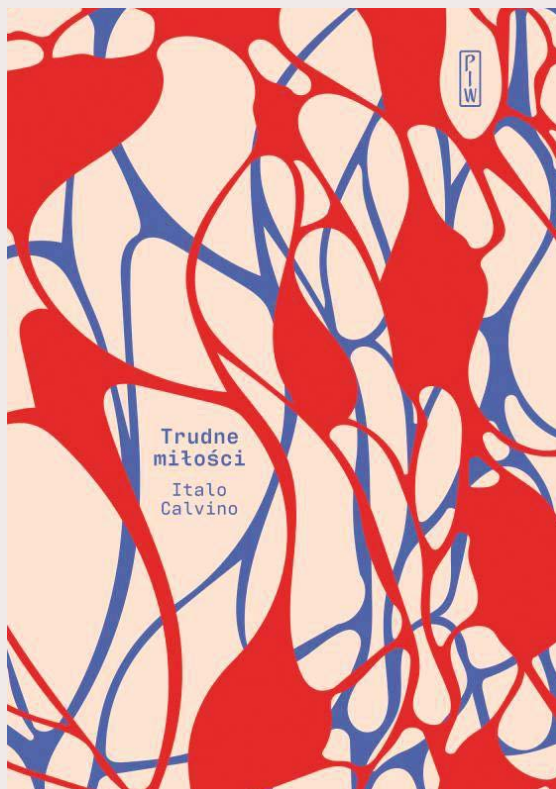
Potem dostajemy drugą część, *przedmioty*, *lekcje z pamięci* i naszą uwagę biorą w jeniectwo wiersze, które wibrują, jakoś tak odbywają się przy nas. W cudenku *artykuł siódmy – muszla* wyłączona z ruchu pamięci bohaterka, chociaż niezsumiająca, to każe się widzieć w aktualizacjach podmiotu, „na bieżąco”:

*nieznaznaczona pragnieniami powrotu  
o nie*

*o tak  
ta uzurpatorka wspomnień*

W roku mistrzostw świata w piłce nożnej, można powiedzieć, że jak *antologia* była odkrywaniem wraz z Sergio Busquetsem mechanizmu i warunków trwającego meczu, tak *przedmioty*... są tą jego częścią, w której Busquets obdziela mecz piłką. Tak więc nie są to szaleńcze napaści Mbape z piłką u nogi fajtającą się jak puszka przymocowana do kociego ogona, a to subtelne rzeźbienie tak pięknie oddane mottem Białoszewskiego do przedmiotów... Że zestawem dłut do odsłaniania rzeczy są słowa, sprawiające, że „to tak nie przemija” (z wiersza *dopokąd*), ale też nie karłowacieje w niskiej mowie, czyli że te dłuta mają robić, a nie wyglądać.

(pj)



Italo Calvino, *Trudne miłości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2022

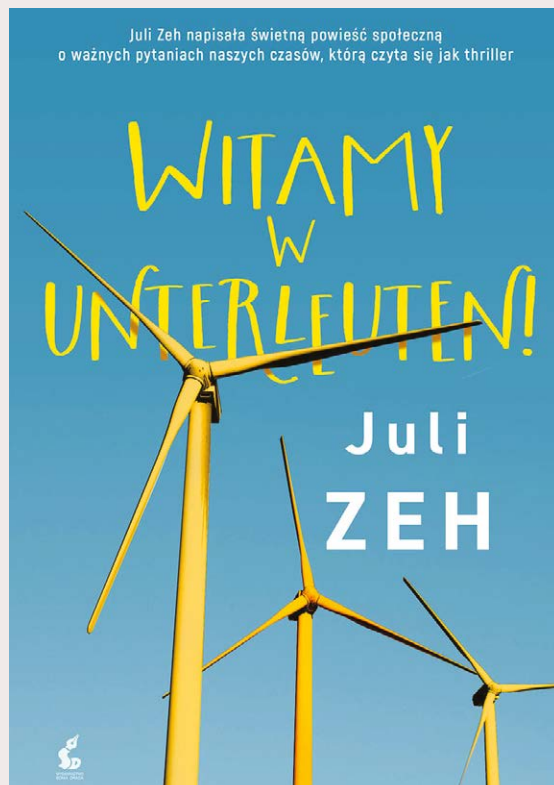
Jednym z trudów miłości do autorów o gabarytach Italo Calvina jest i ten, kiedy się czytelnik postawi w drugim szeregu, kiedy walczy o palmę „drugieństwa” z współuczestnikami rynku wydawniczego, a mało wtedy który, czytając na okładce fragment posłowania tłumaczki, Anny Wasilewskiej, zakrzyknie: „Nie znalazł Calvino przerwy <między światem rzeczywistym a światem przedstawionym>! To nie Sudety oddalone od Karpat!”.

Sama Wasilewska nawiązuje tytułem posłowania, *Przygody dotyku i spojrzenia*, do wszystkich opowiadań jednocześnie (jakoś znajdując ich jednoczesność), bo każdego tytuł zaczyna się słowami „Przygoda”, która jest, bądź powinna być, ugodą, zaręczynami z ręki Godzimira. Być wszystkim, co zostaje spostrzeżone. Czytelnik więc z pierwszego szeregu, czytelnik owładnięty jedyną, właściwą miłością do Calvino nie tylko szanuje tytaniczną pracę tłumacza i komentatora dzieła mistrza, ale i jej nie potrzebuje, bo przewiduje, co może zawierać tom nieznanych mu opowiadań. A co zawiera *Przygoda żołnierza* pierwsze

w kolejności? Na pewno nie bitwę, ale z dużym prawdopodobieństwem ten moment w życiu żołnierza, w którym nie walczy, a nawet odwrotnie, bo spotyka kobietę, najlepiej wdowę po innym żołnierzu. Sprawdźcie proszę przy okazji, jak było naprawdę. Ale jeśli zapytacie: „Gdzie było naprawdę?”, to nie zasługujecie nawet na palmę „drugieństwa”. (Każda wdowa, którą los zetknąłby w jednym rzędzie pociągu z młodym żołnierzem, wypchałaby mu do głowy pomysł, żeby on „pomknął do łydki wdowy i zapukał!”)

Nie będziemy zgadywać dalszej części tomu, żeby się nie znęcać nad wydawcą *Trudnych miłości*, chyba nie wierzącego w podróże pociągiem, jeśli o nich pisze, że „są tyleż ekscytującą przygodą, co i jej brakiem”.

(pj)



Juli Zeh, *Witamy w Unterleuten!*, Wydawnictwo Sonia Draga, 2022

Rok 2010. Brandenburska wieś, położona w sąsiedztwie rezerwatu przyrody. Jej mieszkańcy dzielą się na tych, którzy są tu od zawsze oraz przyjezdnych – uciekinierów z Berlina i innych miast, szukających ciszy lub szansy na realizację planów, których nie udało im się zrealizować gdzie indziej. Z pozoru – idylla, lecz gdy okazuje się, że firma inwestycyjna chce wybudować na pobliskich terenach farmę wiatrową, dotychczasowy porządek zamienia się w chaos: odżywają dawne konflikty, zmieniają się sojusze, a tajemnice sprzed lat zaczynają uwierać jeszcze mocniej, burząc kruchy spokój.

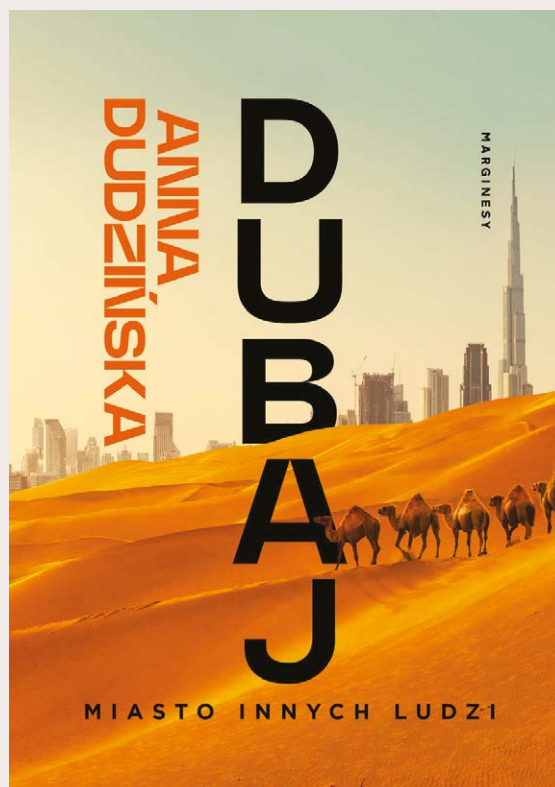
Juli Zeh znakomicie oddała duszny klimat małej miejscowości, w której siatka wzajemnych powiązań zdaje się determinować decyzje mieszkańców. Unterleuten jawi się czytelnikowi jako mikroświat pełen kłamstw i manipulacji, rządzący się niezrozumiałymi dla człowieka z zewnątrz zasadami.

Głównym bohaterem powieści Zeh jest społeczność Unterleuten. Składają się na nią prawdziwe indywidualności.

Rozdziały opatrzone zostały nazwiskami poszczególnych postaci, przy czym warto zaznaczyć, że każdy jest tak samo ważny, każdy obarczony swoją historią, zmagający się z własnymi problemami, dla każdego Unterleuten oznacza jednak co innego. Autorka pozwala każdej z tych osobowości przyjrzeć się z bliska, wniknąć w jej myśli, poznać motywy działania.

W tle pojawia się moment transformacji ustrojowej Niemiec, który cieniem kładzie się na relacjach międzyludzkich jako przyczyna rozłamu wśród miejscowych. Popegeerowska wieś podzieliła się bowiem na tych, którzy zdecydowali się iść z duchem czasu i tych, dla których ów czas zatrzymał się w latach komunizmu. Prócz tego, między zwaśnionymi stronami wisi niewypowiedziane oskarżenie o wypadek sprzed lat.

Rok 2010. Brandenburska wieś. Czas pokoleniowej zmiany, upadek starego porządku. Śmierć – symbol. Epilog. (js)



Anna Dudzińska, *Dubaj. Miasto innych ludzi*, Wydawnictwo Marginesy, 2022

Dubaj to miasto-fatamorgana. Roi się niczym sen na jawie pośród piasków pustyni. Z jednej strony jest prawdziwe i namacalne, z drugiej – wydaje się tak inne, że aż nierealne. Bo wszystko tam wydaje się różne od tego, co znamy: pojęcie narodu, pieniądza, możliwości, nowoczesności ...

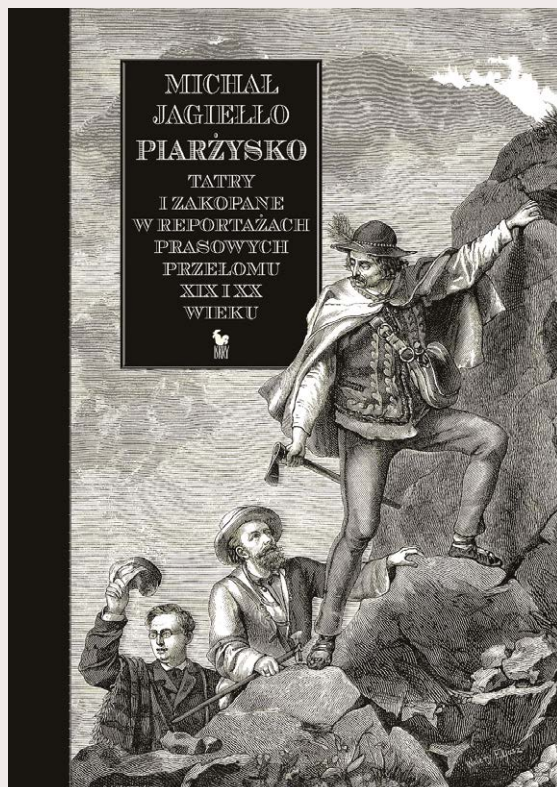
Anna Dudzińska wzięła się w to miasto i ma o nim wiele do powiedzenia, zabiera nas w podróż w miejsca skąpane w świetle palącego słońca, ukryte w klimatyzowanych apartamentach i schowane daleko w zakamarkach biedoty. Nie jest to zimny reportaż, który stawia ukazywanie suchych faktów na pierwszym planie. Każdy z bohaterów ma tu swoją przestrzeń, miejsce na indywidualną historię, za co otrzymuje zasluchanie i reporterską wrażliwość.

Jak opisać miejsce, które w ciągu zaledwie jednego pokolenia uciekło swoistym „wiekiem ciemnym”, by wkroczyć w nowoczesność, a może nawet ponowoczesność? W miejscu chat splecionych z palmowych liści pną się dziś do góry niebotyczne wieżowce. Pustynia zakwita

dziesiątkami sztucznych ogrodów, a wybrzeże ubogacają wyspy stworzone ludzką ręką wspieraną dolarami za ropę naftową.

Niczym biblijna wieża Babel – miasto rozbrzmiewa dziesiątkami języków, łamie schematy i wyznacza możliwości, a wszystko to napędzane, wielką niczym Burdż Chalifa, ambicją. Jednak za zasłoną onieśmielającego rozkwitu ukrywa się też: niewolnicza praca tysięcy imigrantów, nieuznanie praw kobiet, podział klasowy społeczeństwa i cenzura. Na wszystko to jest miejsce w Dubaju i w reportażu z miasta innych ludzi Anny Dudzińskiej.

(tf)



Michał Jagiello, *Piarżysko. Tatry i Zakopane w reportażach prasowych przełomu XIX i XX wieku*, Wydawnictwo Iskry, 2019

Tworząc *Piarżysko* Michał Jagiello postawił przed sobą zadanie: przypomnieć wypowiedzi o Tatrach i Zakopanem, publikowane w prasie od połowy XIX do początku XX wieku. W kręgu jego zainteresowań znalazły się zarówno opinie i artykuły znanych literatów, jak i tych nieco zapomnianych postaci. Tak więc śledzi Jagiello m.in. zakopiańskie i tatrzańskie wątki, pojawiające się w prywatnej korespondencji Adama Asnyka, publicystyce Bolesława Prusa, przypomina zagubiony w niepamięci reportaż Mariana Gawalewicza, wrażenia z wyprawy na Orawę Antoniego Sygietyńskiego, opinie o górach Kazimierza Przerwy-Tetmajera zawarte w jego korespondencji prasowej, szkicach i felietonach.

Podstawą tej publikacji są źródła – gęsto cytowane, stają się nośnikami informacji m.in. o tym jak zmieniał się i rozwijało Zakopane, o zdobywaniu kolejnych szczytów, pokonywaniu forsownych tras, powstaniu Towarzystwa Tatrzańkiego i Towarzystwa Ratunkowego czy rosnącej

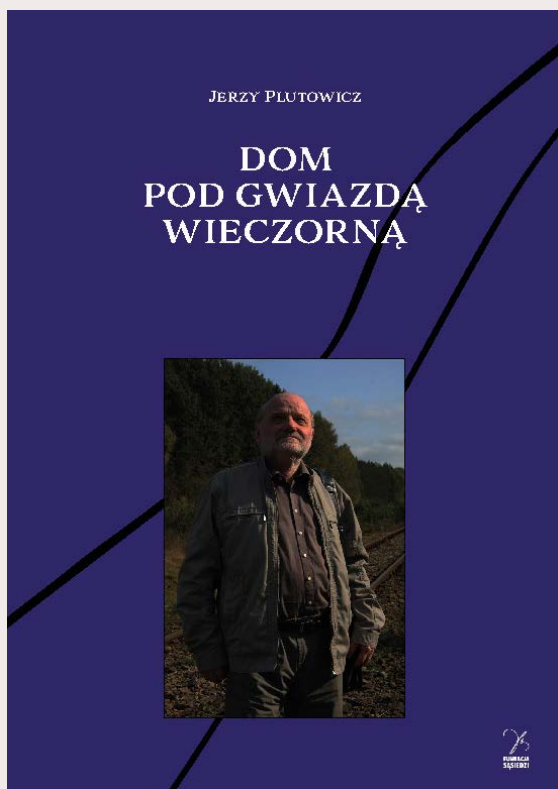
popularności stylu zakopiańskiego. Odbijają się w nich nastroje społeczne, omawiane są aktualne ówczesnie tematy i problemy, ale zdarzają się też opisy scen z życia środowiska artystycznego, plotki i anegdoty.

Sporo miejsca poświęcił autor góralom – nie tylko postaciom legendarnych przewodników, ale też temu jak różnie byli odbierani mieszkańcy Podhala i jaki wpływ wywarła na nich rosnąca popularność turystyki górskiej.

Ciekawa alternatywa dla „górskich” publikacji w postaci reportaży, biografii i wspomnień, jakich sporo pojawiło się na rynku wydawniczym na przestrzeni ostatnich lat. Warto zajrzeć.

W 2020 roku jury Nagrody Literackiej Zakopanego uhonorowało wydaną pośmiertnie książkę *Piarżysko* Michała Jagielly dyplomem.

(js)



Jerzy Plutowicz, *Dom pod gwiazdą wieczorną*, Fundacja Sąsiedzi, 2022

Najnowsza książka Jerzego Plutowicza stanowi rodzaj głosu do poprzedniego tomu jego esejów *Kładka przez rów. Obrona modernizmu* (2019). Zawiera zbiór przemyśleń, komentarzy i intuicji, raczej dość luźno ułożonych, na temat ducha i dorobku intelektualnego Wielkiego Modernizmu, nazywanego też „Czasobranie”. Epoki zamykającej się, zdaniem autora, w latach 1860-1970 (około) i stawianej w wyraźnej opozycji do obecnie panującej postkultury.

„Drażąc problem Czasobrania warto przywołać atmosferę, podróż w głąb, przybliżyć aurę tajemnicy, metafizykę – otworzyć się na wyobraźnię, którą tłumi, ogranicza logika czystego intelektu”. Autor broni tutaj intuicyjnej idei twórczości, zakorzenionej w metafizyce i treściach nieświadomych, operującej metaforą. Jest sceptyczny wobec twórczości i filozofii opartej tylko na intelekcie. Stara się przywrócić należne miejsce ideom oryginalności i autentyczności, a co za tym idzie – przywrócić status geniusza w dzisiejszej kulturze.

W ogóle jest zwolennikiem bycia zakorzenionego w świecie stałych, obiektywnych wartości (prawda, dobro, piękno),

na określenie których przywołuje staropolski termin „iściżna” (istota czegoś, prawda podstawowa). Wyraźnie opowiada się przeciwko nurtom propagującym nihilizm, rozpad norm i nieustanny hedonizm. A te właśnie zjawiska, zdaniem pisarza, cechują postmodernizm i współczesną kulturę, która pozwala człowiekowi „na bez troskę, na byt ułatwiony w kręgu zabawy, uciech, ucieczki od rzeczywistości”. Daje też mu złudne wrażenie wolności uwolnionej z poczucia bycia odpowiedzialnym.

Ponadto postkultura usiłuje narzucić swoim odbiorcom „wszystkoizm” – równorzędność wszystkich idei i postaw, wszystkich stylów w kulturze, brak hierarchii. Zdaniem pisarza, jest to o tyle niebezpieczne, że w konsekwencji pociąga za sobą „niszczenie tradycji, rozpad rodziny, anarchizację państwowości, uwiędnięcie nauki i techniki, degradację cywilizacji Zachodu”.

Opinie i sądy Plutowicza są momentami dość kategoryczne, nie pozostawiające złudzeń: to, co dzieje się obecnie w kulturze, sztuce, polityce czy nauce jest sprzeniewierzeniem się ideom i wartościom modernizmu, grozi popadnięciem w całkowitą anarchię i powrotem do czasów barbarzyństwa. „(...) jeśli bunt przeciwko tradycji przyjmie charakter totalny, grozi nam powrót do życia w jaskiniach”.

Rozważania przybierają formę muzycznych wariacji na główny temat. Przywołują bądź komentują poglądy i dzieła wielu myślicieli, filozofów, pisarzy, uczonych, tworząc swoisty dialog poprzez stulecia. Cechuje je wysoki poziom abstrakcji i erudycji, co sprawia, że książka nie jest łatwa w odbiorze, wymaga czasu, skupienia i pewnego intelektualnego zaplecza. Lektura do przemyśleń.

(esz)





Stanisław Wysocki, *Kształt piękna* – katalog wystawy, Muzeum Podlaskie w Białymstoku, 2022

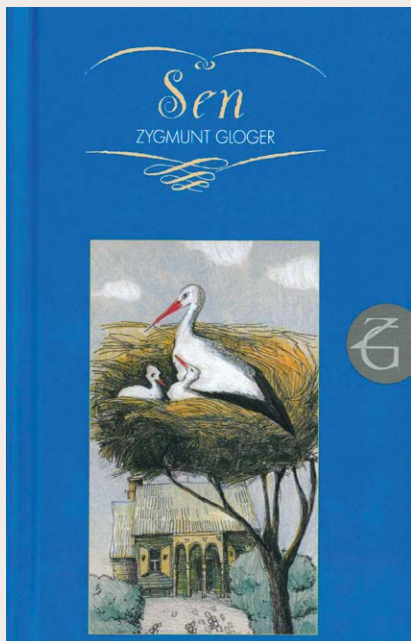
Podpisany skromnie jako „katalog wystawy”, czyli rzecz do towarzystwa raczej w muzealnej przygodzie i do małych gier, kiedy to można z katalogiem w rękach parafrazować stare twierdzenie, mówiące o pewnym otworze w mapie, którą przebiła igła, by wkląć się dokładnie w miejsce na ziemi wskazane przez otwór. Tak więc unosimy znad katalogu palec i naznaczamy nim rzeźbę ze zdjęcia ...

Tylko że ten katalog jest obfity, zawiera na osiemdziesięciu stronach kilkadziesiąt fotografii, szkiców i detali, a ta ilość daje poczucie nieudawanego zapoznania się z artystą. Na przykład gdy przeczyta się fragmenty komentarzy kuratora wystawy, Cezarego Szymaniuka i Magdaleny Joanny Szmida-Pólbratek o wrocławskiej „kuźni” Wysockiego w jakiejś szopie nad kanałem i widzi się na fotografii zbliżenie rżęsiście jarzącego się pieca. Hymn jego Om słyhać znad katalogu i dlatego właśnie, pomimo zakończenia wystawy w białostockim Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego (odbyła się w dniach 2.07-25.09 br.), wydawnictwo się nie tylko nie zestarzało, ale ewoluowało w mini album.

A same rzeźby Wysockiego? Bardzo często perforują oś podłużną obiektu<sup>1</sup> (możliwe, że w rzeźbie inaczej się po prostu nie da), jakby były wynikiem rozmyślań o obrocie czy śrubie, gwincie. Z mojej pamięci wydobyły obraz produkcji ze zwykłej nici szpagatu. Nić wsuwało się w igłę i rozpinało po dwóch stronach, z jednej zaś skręcało się nić mozolnie. Potem igłę wbijało się w ziemniaka. Zwisająca na ziemniaku nić zaczynała wirować, ścieśniać się i tworzyć szewski szpagat ...

(pj)

<sup>1</sup> Nazwy prac Wysockiego uprawomocniają taką interpretację, np. „Pikowy wiatr”, „Zakręcona” czy „Złoty szal”.



Zygmunt Gloger, *Sen*, Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” im. Stanisława Zagórskiego w Łomży, Łomża 2022

Łomżyńskie stowarzyszenie „Stopka” kontynuuje misję przybliżania twórczości Zygmunta Glogera współczesnemu odbiorcy, w tym młodemu czytelnikom. Podstawę wydania tomu *Sen* – piątego w serii „Zygmunt Gloger” – stanowił ostatni tekst (*Sen ziemianina*) pióra wspomnianego etnografa, folklorysty i krajoznawcy, drukowany w łomżyńskiej „Wspólnej Pracy” w 1910 roku. Jak pisze Natalia Kossakowska w nocie od wydawcy: „(...) starano się zachować te cechy języka, które świadczą o jego odrębności i charakterze autorskiej wypowiedzi. Tekst został dostosowany do współczesnych wymogów ortograficznych i interpunkcyjnych. Zmodernizowano pisownię łączną i rozdzielną, pisownię głosek dźwięcznych i bezdźwięcznych, nowa pisownia jednak nie wprowadza nigdzie zmian semantycznych”. Dla ułatwienia, na końcu niewielkich rozmiarów książeczki, dodano słownik wyjaśniający znaczenie niektórych wyrazów.

Publikacja opatrzona została wstępem historyka, prof. Adama Czesława Dobrońskiego, o warstwę ikonograficzną zadbała natomiast Olga Grebennik, ukraińska ilustratorka,

pochodząca z Charkowa, wcześniej wielokrotnie interpretująca motyw snu i marzenia w swoich pracach.

Tematem utworu Glogera jest sen o Lechii – pięknej krainie, w której gospodarzy lud silny i wesoły, miłujący swą ziemię oraz szanujący tradycję. Opis ów przypomina Arkadię. Wszechobecna zieleń, bogactwo pożytecznych roślin, panujący w obejściach porządek, obecność księgozbioru, narzędzi do wyrobu rzemiosła, obrazów z podobiznami tych którzy przysłużyli się ojczyźnie oraz symboli chrześcijańskich potwierdzać miały, że „(...) była to warownia obyczaju rodzinnego, której żadna siła kosmopolityczna zetrzeć nie jest w mocy, że była to granitowa, słowiańska ostoja narodu (...)”<sup>1</sup>. W *Śnie* przemycą też Gloger idealną wizję edukacji: w szkole dzieci uczyły się sadownictwa, prowadzenia pasieki, zakładania ogrodu czyli rzeczy pożytecznych. I choć, jak wspomina we Wstępie prof. Dobroński „(...) w innych swych tekstach Gloger krytycznie wypowiedział się o części ziemiaństwa (...)”, tym razem staropolski dwór jawi się bastionem polskości, a „dzielny ziemianin” teje obronę. Przebija w końcu z kart publikacji Glogera krytyka dawnego sposobu wychowania młodzieży. Naukę obcego języka przy jednoczesnym popieraniu zakazu nauczania i mówienia po polsku, nazywa autor wprost głupotą.

Współczesnemu czytelnikowi, któremu bliska jest idea otwartości i tolerancji, wydać się może tekst znakomitego etnografa miejscami zbyt stanowczy. Ja sama daleka jestem od narzucania komukolwiek jedyne, słusznego schematu wedle którego należy żyć, a obawiam się, że tak może dziś zostać odczytany *Sen*. Warto więc mieć w pamięci, że tworzył Gloger w zupełnie innych niżli współczesne, okolicznościach geopolitycznych, gdy dbałość o ciągłość tradycji była formą dbałości o zachowanie tożsamości narodowej. Postrzegam więc wspomniany utwór jako wyraz miłości do ojczyzny i troski o nią. Nawet ten wyidealizowany – zdawałoby się do granic możliwości – obraz, uzasadniony jest tytułem.

Cytowana już Natalia Kossakowska z Fundacji „Glogerianum”, przywołuje „Gazetę Warszawską”, która podała, że *Sen* to „wizja ziemi rodzinnej taka, jaką to kochające serce widzieć chciało”. I nie ma co do tego wątpliwości, wzięwszy pod uwagę, że mowa o człowieku, który poświęcił życie na gromadzenie pamiątek przeszłości, by stworzyć fundament, na którym budować będą przyszłe pokolenia. (js)

<sup>1</sup> Zygmunt Gloger, *Sen*, Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” im. Stanisława Zagórskiego w Łomży, Łomża 2022, s. 48.



rys. RÓŻA WIKTORIA JAROSZEWICZ PLSP W SUPRAŚLU

pismo literackie  
**ep  
ea**

**WYRUSZ W PODRÓŻ  
KU DOBREJ LITERATURZE.  
EPEA. PISMO LITERACKIE.  
CZYTAJ NAS NA  
[KSIAZNICAPODLASKA.PL/EPEA](http://KSIAZNICAPODLASKA.PL/EPEA)**



**Róża Wiktoria Jaroszewicz**  
Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych  
im. Artura Grottgera w Supraślu

## Nabór tekstów do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”

### **PISZESZ**

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty, felietony lub bajki dla dzieci?

### **CHCESZ**

podzielić się swoją twórczością z innymi?

### **PRZEŚLIJ**

zgłoszenie na adres e-mail: [epea@ksiaznicapodlaska.pl](mailto:epea@ksiaznicapodlaska.pl)

Do współpracy zapraszamy zarówno doświadczonych twórców, jak i tych, którzy są na początku swojej literackiej drogi.

Przyjmujemy jedynie teksty dotychczas niepublikowane i niezgłaszane do konkursów literackich. Redakcja nie zwraca przesłanych tekstów oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.